

Craig Russel

Brat Grimm

(Brother Grimm)

Przełożył Jerzy Malinowski

Dla Wendy

Środa, 17 marca, 9.30.

Plaża Elbstrand, Blankenese, Hamburg

Pogładził delikatnie jej policzek. Bezsensowny gest; może nawet niestosowny, ale w przekonaniu Fabla potrzebny. Dłoń osłonięta rękawiczką drżała, kiedy dotknął twarzy dziewczyny. Serce mu łomotało, tak bardzo przypominała Gabi. Próbował się uśmiechnąć, ale ten grymas bardziej napinał niż rozluźniał mięśnie jego twarzy. Patrzyła na niego błękitnymi, nieruchomymi oczami.

Zaczął wpadać w panikę, trawiony rosnącym niepokojem. Miał ochotę objąć ją ramionami i uspokoić, mówiąc, że wszystko będzie dobrze. Nie mógł tego zrobić i wiedział, że wcale nie będzie dobrze. A ona nadal wpatrywała się w niego martwym spojrzeniem.

Fabel poczuł za plecami obecność Marii Klee. Cofnął rękę i podniósł się.

– Ile ma lat? – zapytał, nie odrywając wzroku od dziewczyny.

– Trudno powiedzieć. Piętnaście, może szesnaście. Nie wiemy jeszcze nawet, jak się nazywa.

Poranna bryza poderwała z plaży drobiny piasku,

kręcąc nimi w powietrznym wirze. Kilka ziarenek wpadło do oczu dziewczyny. Nie zamrugała. Fabel przywołał się do porządku, przestał studiować jej twarz. Wcisnął ręce głęboko do kieszeni płaszcza i spojrzał w górę na biało-czerwone ściany latarni morskiej, tylko po to by odwrócić uwagę od widoku zamordowanej. Po chwili przeniósł spojrzenie na Marię. Miała niebieskoszare oczy, z których nigdy, choć znali się dobrze, nie potrafił nic wyczytać. Zawsze panowała nad emocjami. Odetchnął głęboko, jakby chciał wyrzucić z siebie jakiś wielki ból czy smutek.

– Wiesz, Mario, czasami się zastanawiam, czy jestem w stanie dalej wykonywać swój zawód.

– Rozumiem cię – odparła, spoglądając na dziewczynę.

– Naprawdę mam wątpliwości. Ta praca zajęła mi połowę życia i jestem bardzo zmęczony. Chryste, spójrz Mario, jaka ona jest podobna do Gabi...

– Zostaw to mnie. Przynajmniej w tej chwili. Biore na siebie ekspertyzę medyczną.

Pokręcił głową. Musiał tu zostać. Musiał patrzeć. I cierpieć. Znów wpatrywał się w dziewczynę. Oczy, włosy, twarz. Zapamięta każdy szczegół. Ta twarz,

zbyt młoda, by przybrać maskę śmierci, pozostanie w jego pamięci obok innych twarzy, młodych lub starych, ale zawsze martwych. Nie po raz pierwszy czuł, że jednostronna więź, która łączyła go z tymi wszystkimi ludźmi, to za mało. Wiedział, że w ciągu nadchodzących tygodni, miesięcy, pozna tę dziewczynę – będzie rozmawiał z jej rodzicami, rodzeństwem, przyjaciółmi. Pozna nawyki, zainteresowania. Potem sięgnie głębiej – od przyjaciół dowie się o sprawach sekretnych, przeczyta pamiętnik, skrzętnie ukrywany przed światem, pozna jej myśli, którymi nigdy z nikim się nie dzieliła, imiona chłopaków. Powstanie z tego obraz nadziei i marzeń, duszy i osobowości błękitnookiej martwej teraz dziewczyny.

Fabel poznają tak dobrze, a ona nigdy nie pozna jego. Zaczął się nią interesować wtedy, gdy ona przestała interesować się czymkolwiek. Po jej śmierci. To była praca nadkomisarza policji, musiał poznawać martwych ludzi.

Wciąż patrzyły na niego szeroko otwarte, szkliste oczy. Miała na sobie wyciągniętą bluzę z ledwie widocznym wzorkiem na przedzie i sprane dżinsy. Znoszone, szare rzeczy.

Leżała bokiem z podkurczonymi nogami i rękami skrzyżowanymi na podłożu. Wyglądało to tak, jakby klęcząc na piasku, przewróciła się i została w takiej pozycji. Ale śmierć nie nastąpiła tutaj. Fabel był tego pewny. Nie wiedział tylko, czy o układzie kończyn zdecydował przypadek, czy też ktoś umyślnie tak ułożył ciało.

Od smętnych rozważań oderwał go nadchodzący Brauner, szef zespołu specjalistów medycyny sądowej. Szedł po deskach ułożonych na ceglach, które tworzyły prowizoryczny chodnik, prowadzący do miejsca, gdzie leżały zwłoki. Fabel z ponurą miną skinął głową na powitanie.

– Co mamy, Holger? – zapytał.

– Niewiele – odparł posepnie Brauner. – Piasek jest suchy, wiatr go unosi i zaciera ślady. Myślę, że nie została tutaj zamordowana, a ty, jak sądzisz?

Nadkomisarz pokiwał głową. Brauner zerknął na ciało dziewczyny. On też ma córkę. Ból na jego twarzy był widoczny. Obaj czuli to samo. Brauner wziął głęboki oddech.

– Obejrzymy wszystko dokładnie na miejscu, a potem zabierzemy ją do Möllera na autopsję.

Fabel w milczeniu przyglądał się pracy ekipy. Na podobieństwo starożytnych egipskich balsamistów owijających bandażami mumie, technicy pokrywali każdy centymetr kwadratowy ciała dziewczyny specjalną taśmą samoprzylepną. Poszczególne paski taśmy miały swoje numery i po oderwaniu trafiały do pojemnika.

Kiedy skończyli, zapakowano zwłoki do zamkniętego na zamek błyskawiczny worka i ułożono na wózku, który ciągnęło dwóch pracowników kostnicy. Fabel odprowadzał ich wzrokiem, a worek stawał się coraz mniejszą plamą na tle jasnego piasku, która w końcu zniknęła. Odwrócił się, miał teraz przed oczami rozległą plażę ciągnącą się aż do strzelistej latarni morskiej; jego spojrzenie spoczęło na odległym ciemnozielonym wybrzeżu Altes Land, po czym powróciło do wypielegnowanych zielonych tarasów Blankenese, gdzie królowały eleganckie wille.

Fabel uświadomił sobie nagle, że znalazł się pośrodku pustkowia.

Środa, 17 marca, 9.50.

Szpital Mariahilf, Heimfeld, Hamburg

Przełożona pielęgniarek przyglądała się mężczyźnie, od czasu do czasu wzdychając ciężko. Siedział na krześle obok łóżka, w którym leżała stara, siwowłosa kobieta, nieświadomy tego, że jest obserwowany. Pochylony, gładził delikatnie dłonią jej czoło i włosy. Niskim, łagodnym głosem szeptał jej do ucha coś, co tylko ona mogła usłyszeć. Tuż za przełożoną stanęła jedna z sióstr. Patrzyła ze wzruszeniem na tych dwoje, zamkniętych we własnym hermetycznym świecie. Przełożona nieznacznym ruchem podbródka wskazała na mężczyznę.

– Nie opuścił ani jednego dnia. Widać, że kocha matkę. Założę się, że żadne z moich dzieci nie ruszy tyłka, aby się o mnie zatroszczyć, kiedy będę stara – dodała ze smutkiem.

Druga pielęgniarka uśmiechnęła się gorzko. Obie stały chwilę w milczeniu, obserwując tę scenę, zatopione najwyraźniej w ponurych rozmyśleniach, wywołanych wizją własnej przyszłości.

– Czy ona go słyszy? – zapytała po chwili pielęgn-

gniarka.

– Wszystko wskazuje na to, że tak. Wylew spowodował paraliż i odebrał jej mowę, ale z tego co wiem, zmysły działają prawidłowo.

– Boże! Chyba wolałabym umrzeć. Wyobraź sobie, że jesteś uwięziona we własnym ciele.

– Ma przynajmniej dobrego syna. – Przełożona poikiwała głową. – Codziennie przynosi książki i czyta jej na głos, a potem przez godzinę siedzi, gładzi ją po włosach i łagodnie do niej przemawia. Tak, ma przynajmniej dobrego syna.

Pielegniarka westchnęła ciężko.

Matka i syn byli zupełnie nieświadomi, że ktoś ich obserwuje. Ona leżała sztywno, niezdolna poruszyć członkami, a on siedział na krześle zgarbiony, pochyłony nad nią. Co chwila w kąciku ust kobiety pojawiała się kropelka śliny, którą natychmiast troskliwie wycierał chusteczką. Odgarnął jej spadający na czoło kosmyk i pochylił się niżej, tak, że ustami prawie dotykał ucha; mówił szeptem, a oddech poruszał siwymi włosami na skroniach chorej.

– Rozmawiałem dziś z lekarzem, mamó. Twój stan się ustabilizował. To dobra wiadomość, prawda,

Mutti? – Nie czekał na odpowiedź, której i tak by nie było. – Lekarz powiedział, że po dużym wylewie nastąpiło kilka mniejszych wylewów i to one spowodowały takie spustoszenie. Mówił też, że najgorsze już minęło i jeśli dopilnuję żebyś się właściwie leczyła, nie będzie komplikacji. – Przerwał i odetchnął. A to oznacza, że będę mógł cię zabrać do domu i zająć się tobą. Lekarz nie był, co prawda, zachwycony tym pomysłem, ale przecież ty nie lubisz, kiedy się tobą opiekują obcy ludzie, prawda? Doktor o tym wie. W domu, ze swoim synem, będziesz się czuć o wiele lepiej. Zapewniłem, że zorganizuję dla ciebie opiekę na czas, kiedy będę w pracy, a potem... będę mógł się zajmować tobą osobiście. Pielęgniarka odwiedzi nas w przytulnym, małym mieszkanku, które właśnie kupiłem. Niewykluczone, że zabiorę cię do domu pod koniec miesiąca. Czy to nie wspaniale?

Zamilkł, jakby czekając, aż dotrze do niej, co powiedział. Wpatrywał się w jej wyblakłe, niemal bez oznak życia, szare oczy. Nie wyrażały żadnych emocji. Pochylił się jeszcze bardziej, przysunął krzesło bliżej łóżka, czemu towarzyszył piskliwy zgrzyt wypolerowanej podłogi.

– No, i oczywiście, zdajesz sobie sprawę, mamó, że nie wszystko powiem doktorowi. – Jego głos nadal był ciepły spokojny. – Przecież nie mogę mu powiedzieć o tym drugim domu, naszym domu. Ani tego, że zostawię cię tam i będziesz do końca swoich dni leżała we własnych gównach. Albo że całe godziny poświęcę na sprawdzanie twojej odporności na ból. Nie, nie. Nie dowie się o tym, *Mutti*. – Zaśmiał się. – Pan doktor nie byłby zadowolony. Nie martw się. Jeśli ty mu nie wygadasz, ja też nie. Aha... Ty przecież nie możesz mówić. Widzisz mamó, Bóg cię zakneblował i unieruchomił. To znak. Znak dla mnie.

Głowa staruszki pozostała nieruchoma i tylko w kąciku oka zeszkliła się łza, która szybko spłynęła po pomarszczonej skórze policzka. Mężczyzna ściszył jeszcze bardziej głos i mówił dalej konspiracyjnym szeptem:

– Ty i ja będziemy razem. Sami. Powspominamy dawne czasy. W naszym wielkim, starym domu. Kiedy byłem dzieckiem. Kiedy byłem słaby, a ty silna. – Szept przeszedł w syk, jad sączył się w ucho staruszki. – Znow to zrobiłem, *Mutti*. Kolejny raz. Zupełnie tak samo, jak trzy lata temu. Ale teraz, ponieważ Bóg

uwięził cię w twoim szkaradnym ciele, nie będziesz się wtrącać. Już nie zdołasz mnie powstrzymać, a ja będę to robił dalej. Połączy nas mała tajemnica. Będziesz w tym uczestniczyła, mamó. Obiecuję ci. To jest dopiero początek.

Obie pielęgniarzki stały na korytarzu, wzruszone obrazem gasnącego życia i synowskiej miłości.

Środa, 17 marca, 16.30.

Komenda Główna Policji, Hamburg

Rzeński chłód poranka ustąpił pod naporem ciepłego, wilgotnego powietrza, które napływało z Morza Północnego. Deszcz mżył, uderzając o szyby w pokoju Fabla. Widok za oknem, na Winterhuder Stadtpark był pozbawiony życia i jakichkolwiek kolorów.

Przy biurku Fabla siedziały dwie osoby: Maria i krepny mężczyzna po pięćdziesiątce, z mocno przerzedzonymi czarno-siwymi włosami.

Komisarz Werner Meyer pracował z Fablem dłużej niż ktokolwiek z zespołu. Młodszy stopniem, choć starszy wiekiem, był nie tylko kolegą Fabla, był jego przyjacielem, a często mentorem. Werner i Maria Klee, równi stopniem, wspierali bezpośrednio działania Fabla. Niemniej jednak Werner był numerem drugim w zespole – miał większe doświadczenie jako oficer policji niż Maria. Ona natomiast zaliczała się do prymusów na studiach prawniczych i potem w akademii policyjnej. Werner, robiący wrażenie swoim wyglądem twardego, zajmował się każdą sprawą w sposób metodyczny, skrupulatny, wręcz podręcznikowy. Często

musiał hamować szefa, gdy ten za bardzo ufał intuicji. Zawsze się uważał za partnera Fabela i niełatwo było mu pogodzić się z tym, że musi współpracować z Marią.

Okazało się, że są dobrymi partnerami. Fabel utworzył z nich zespół na zasadzie przeciwieństw – każde z nich należało do innego pokolenia, różnili się doświadczeniem i fachowością. Mieli jedną wspólną cechę: całkowite i bezgraniczne oddanie pracy.

To była zwyczajna narada wstępna. Śledztwa, gdy w grę wchodzi morderstwo, zwykle są dwojakiego rodzaju: pościg na gorąco, kiedy stwierdzono zabójstwo i istnieją mocne, niepodważalne dowody, wskazujące na sprawcę, albo „zwietrzały trop” – morderca już zniknął, od chwili zbrodni minął dłuższy czas, ślady zostały zatarte. Policja ma tylko strzępy informacji, na których podstawie przyjmuje hipotezę i musi zweryfikować ją w toku gruntownego, skrupulatnie prowadzonego śledztwa, a to wymaga i czasu, i nie lada wysiłku. Morderstwo dziewczyny na plaży to właśnie taki zwietrzały trop. Wszystko tu mgliste i niewyraźne. Czeka ich długa i mozolna praca, nim uda się tę ponurą sprawę rozwikłać. Dzisiejsze popołudniowe spotkanie było

więc typową naradą rozpoczynającą śledztwo: przeanalizowali fakty, uzgodnili terminy kolejnych spotkań, kiedy będą już znane wyniki autopsji i badań laboratoryjnych. Należało zacząć od ciała, a konkretnie od czasu, miejsca i rodzaju śmierci. Testy DNA oraz inne zebrane dane miały rozpocząć proces identyfikacji. Rozdzielili zadania. Przede wszystkim chodziło o szybkie ustalenie tożsamości dziewczyny. Fabel chciał jak najszybciej dowiedzieć się, kim była, choć ten moment zawsze go przerażał, moment „ożywienia” ciała; stało się z na powrót osobą, mającą zamiast numeru sprawy nazwisko.

Po naradzie Fabel poprosił Marię, żeby pozostała w pokoju. Werner kiwnął ze zrozumieniem głową, co tylko spotęgowało wrażenie niezręczności sytuacji. Tak więc Maria Klee, ubrana w elegancką, czarną bluzkę i szare spodnie, siedziała z nogą założoną na nogę, obejmując dłońmi kolano, spokojna, trochę usztywniona i czekała, co ma do powiedzenia przełożony. Jak zawsze była powściągliwa, opanowana, a z jej niebieskoszarych oczu nic nie dało się wyczytać. Wyglądała na pewną siebie i świadomą własnej wartości. Ale teraz pomiędzy Fablem a Marią pojawiło się coś krę-

pującego, kłopotliwego. Maria wróciła do pracy miesiąc temu i to była od chwili jej powrotu pierwsza tej skali sprawa. Fabel uznał, iż przed rozpoczęciem śledztwa, konieczna jest szczerza rozmowa.

Okoliczności sprawiły, że łączyła ich wyjątkowa zażyłość. Większa, niż gdyby się ze sobą przespali. Dziewięć miesięcy temu trzymał ją w ramionach pod rozgwieżdżonym niebem w opustoszałej okolicy Altes Land na południowym brzegu Łaby; pewna siebie Maria Klee stała się pod wpływem zupełnie realnego i uzasadnionego strachu przed śmiercią małą dziewczynką. Fabel przytulał ją, patrzył w oczy, łagodnie do niej przemawiał, nie pozwalając zapaść w sen, z którego mogłaby nigdy się nie obudzić. Nie pozwalał jej odebrać od siebie wzroku i spojrzeć tam, gdzie sterczała rękojeść noża tkwiącego w jej klatce piersiowej. To była najgorsza noc w całej karierze Fabela. Dopadli niebezpiecznego psychopata, najgroźniejszego z jakim kiedykolwiek się zetknął, potwora odpowiedzialnego za serię szczególnie okrutnych, rytualnych mordów. W wyniku pościgu zginęło dwóch policjantów – jeden z oddziału Fabela, zdolny, młody oficer Paul Lindemann i drugi – funkcjonariusz z pobliskiego komisariatu. Ko-

lejną ofiarą uciekającego psychopaty stała się Maria; nie zabił jej, ale pozostawił z paskudną, prawie śmiertelną raną. Zdawał sobie sprawę, że Fabel będzie musiał dokonać wyboru – kontynuować pościg czy ratować jej życie. Wybór Fabela był oczywisty.

Teraz oboje leczyli jeszcze niezabliźnione rany. Fabel nigdy wcześniej w czasie pełnienia obowiązków nie stracił żadnego oficera, a tamtej nocy zginęło dwóch policjantów i o mało nie umarła Maria. Leżała dwa tygodnie w szpitalu, w stanie krytycznym, zawieszona pomiędzy świadomością a nieświadomością, na granicy życia i śmierci. Kolejne siedem miesięcy zajęło jej powolne nabieranie sił i powracanie do zdrowia. Wiedział, że ostatnie dwa miesiące rekonwalescencji Maria spędziła głównie na siłowni, odbudowując nie tylko tężyznę fizyczną, ale także tę żelazną determinację, która ją cechowała. A teraz siedziała naprzeciw niego ta sama, dawna Maria o twardym, niewzruszonym spojrzeniu i dłońmi obejmowała kolano. Choć czuła się już dobrze i podjęła pracę, on wciąż wracał do tamtej nocy, kiedy trzymał ją za rękę, nasłuchiwał płytkiego, urywanego oddechu, gdy półprzytomna mówiła błagalnym szeptem, by nie pozwolił jej umrzeć.

Musieli oboje w końcu wymazać to z pamięci.

– Wiesz Mario, o czym chciałem z tobą porozmawiać?

– Nie, szefie... O tym morderstwie? – W niebieskoszarych oczach pojawił się niepokój; Maria zajęła się strzepywaniem ze spodni jakiegoś niewidocznego okruszka.

– Sądzę, że się domyślasz. Muszę wiedzieć, czy jesteś gotowa zaangażować się w to śledztwo.

Chciała zaprotestować, ale Fabel powstrzymał ją gestem.

– Posłuchaj, jestem z tobą szczerzy. Mogłem nic nie mówić i przydzielić cię do jakiejś mniejszej sprawy, zostawić na uboczu i obserwować, jak pracujesz. Ale to nie w moim stylu. Wiesz o tym dobrze. – Pochylił się do przodu i oparł łokciami o blat biurka. – Zbyt cię cenię jako oficera policji, żeby potraktować cię w taki sposób. Z drugiej strony, zbyt cię cenię, by narażać na szwank twoje zdrowie, powierzając ci śledztwo, które może okazać się zbyt ciężkie.

– Jestem gotowa. – W głosie Marii zabrzmiał stalowy chłód. – Poradziłam sobie już ze wszystkim, z czym musiałam się uporać. Nie wróciłabym do pracy,

gdybym czuła, że mogę zawalić sprawę.

– Spokojnie, Mario. Ja nie rzucam ci wyzwania. Nie kwestionuję twoich umiejętności... – Spojrzał na nią. – Tamtej nocy o mało cię nie straciłem. Zginął Paul, ty otarłaś się o śmierć. Zawiodłem nie tylko ciebie, lecz cały zespół. To ja byłem odpowiedzialny za twoje bezpieczeństwo.

Lód w jej spojrzeniu zaczął topnieć.

– To nie twoja wina, szefie. Zacznę od tego, iż obwiniałam siebie, dlatego że się nie sprawdziłam. Że nie zareagowałam dostatecznie szybko albo zareagowałam niewłaściwie. Ale z takim człowiekiem jak on nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia. Był ucieleśnieniem zła. Jest bardzo mało prawdopodobne, bym kiedykolwiek spotkała na swojej drodze kogoś równie niesamowitego.

– Jednak on jest nadal na wolności – przypominał Fabel i natychmiast pożałował swoich słów. Ta przykra prawda kosztowała go już wiele bezsennych nocy.

– Zapewne daleko od Hamburga – odparła Maria. Pewnie opuścił Niemcy, może wyjechał z Europy. A nawet jeżeli nie, nawet jeśli natrafilibyśmy na jego ślad, to będę gotowa.

Fabel był przekonany, że Maria wie, co mówi. Choć on sam wcale nie miał pewności, czy jest gotów spotkać się ponownie z Krwawym Orłem. Teraz, czy w ogóle kiedykolwiek. Ale nie podzielił się tą myślą.

– To nie wstyd, dochodzisz powoli do siebie, Mario.

Na jej twarzy zagościł uśmiech, jakiego wcześniej Fabel nie widział – niewątpliwie sygnał jakiejś wewnętrznej przemiany.

– Ze mną jest wszystko w porządku, Jan. Słowo honoru. Po raz pierwszy zwróciła się do niego po imieniu w biurze. Wymówiła je również wtedy, gdy leżała w wysokiej trawie Altes Land i walczyła ze śmiercią.

Fabel uśmiechnął się.

– Cieszę się, że znów jesteś z nami, Mario.

Rozmowę przerwało bezceremonialne wejście Anny Wolff.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała – ale mam informację z laboratorium. Jest coś, co musimy natychmiast zobaczyć.

Holger Brauner nie wyglądał na naukowca ani nauczyciela akademickiego. Był mężczyzną średniego

wzrostu, jasnowłosym, z twarzą ogorzałą, o surowych rysach. Kiedyś w młodości uprawiał kulturystykę i z tamtych czasów pozostały mu dobrze wykształcone mięśnie i wyprostowana sylwetka. Fabel współpracował z szefem zespołu medycyny sądowej od dziesięciu lat i wzajemny szacunek, jakim się darzyli, przerodził się wkrótce w prawdziwą przyjaźń. Brauner był zatrudniony w LKA 3, oddziale hamburskiego Federalnego Urzędu Kryminalnego, zajmującego się medycyną sądową. Wiele czasu spędzał w Instytucie Medycyny Sądowej, ale w komendzie głównej miał także swoje niewielkie biuro.

Kiedy Fabel wszedł do biura, zastał Braunera pochylonego nad stołem; przyglądał się czemuś uważnie, patrząc przez szkło powiększające zawieszona na wyciągniętym statywie. Podniósł wzrok, ale nie powitał gościa jak zwykle szerokim uśmiechem. Skinął natomiast ręką, każąc mu podejść bliżej.

– Zabójca próbuje nam coś powiedzieć – stwierdził zasepiony i podał koledze parę rękawiczek chirurgicznych. Cofnął się o krok, by Fabel mógł się lepiej przyjrzeć przedmiotowi na stole. Na niewielkim kawałku plastiku leżała prostokątna, żółta kartka, mniej więcej

dziesięć centymetrów na pięć. Żeby zabezpieczyć ją przed uszkodzeniem, Brauner nakrył ją płytką przezroczystego pleksiglasu. Tekst został napisany odręcznie czerwonym atramentem, pismo było staranne, litery małe, ale równe i wyraźne.

– Znaleźliśmy to w zaciśniętej dłoni dziewczyny. Wydaje mi się, że kartkę włożono jej do ręki już po śmierci i zaciśnięto palce, ale stało się to jeszcze przed wystąpieniem stężenia pośmiertnego.

Choć litery były bardzo małe, dało się je przeczytać. Mimo to Fabel przyjrzał się kartce przez szkło powiększające. Tekst oglądany przez lupę stał się czymś więcej niż tylko słowami na papierze – każda linia czerwonego atramentu stawała się szerokim strumieniem rozlanym w poprzek żółtego tła. Zbliżył szkło powiększające do kartki i przeczytał:

Już mnie znaleziono. Nazywam się Paula Ehlers. Mój adres to Buschberger Weg, Harksheide, Norderstedt. Byłam pod ziemią, a teraz czas, żebym wróciła do domu.

Fabel wyprostował się.

– Kiedy to zauważyłeś?

– Zabraliśmy dziś rano ciało na Butenfeld, żeby doktor Möller przeprowadził sekcję. – Butenfeld było nazwą ulicy w dzielnicy Eppendorf, przy której mieścił się instytut. Policjanci w skrócie nazywali tamtejszą kostnicę Butenfeld. Wcześniej zbadaliśmy wstępnie zwłoki i wtedy znaleźliśmy to w jej zaciśniętej dłoni. Jak wiesz, owijamy kończyny w oddzielne worki foliowe, żeby nic nie zgubić w czasie transportu; ta kartka przylepiła się do jej dłoni i nie wypadła nawet wtedy, gdy ustąpiło stężenie pośmiertne.

Fabel ponownie przeczytał tekst z kartki. Poczul lekkie mdłości. Paula. Więc znał już jej imię. Wyjął z kieszeni notes, zapisał w nim nazwisko i adres. Nie miał żadnych wątpliwości, że to zabójca napisał kartkę. Gdyby zmusił dziewczynę do napisania listu, ta, będąc w szoku, nie mogłaby pisać tak wyraźnie. Odwrócił się do Braunera.

– „Byłam pod ziemią...”. Czy to oznacza, że została gdzieś zakopana, a potem ją wydobyto, przeniesiono i wyrzucono na plaży Blankenese?

– Zastanawiałem się nad tym, czytając kartkę. Ale nie. Mogę z całą pewnością stwierdzić, że ciało nie

było wcześniej pochowane, i dziewczyna nie żyła od dwudziestu czterech godzin. Może te słowa należy rozumieć tak, że była przetrzymywana w jakiejś piwnicy. Badamy jej ubranie na obecność kurzu, pyłu, czegokolwiek, co pozwoli określić, w jakim otoczeniu przebywała przez ostatnią dobę.

– Oby – mruknął Fabel. – Znaleźliście coś jeszcze?

– Nie. – Brauner wziął z biurka skoroszyt i przejrzał go. Oczywiście, doktor Möller dostarczy pełną dokumentację patologiczną, ale wstępne ustalenia wskazują, że plaża nie była miejscem zbrodni. Ofiara została zamordowana gdzieś indziej, potem porzucono ją na plaży.

– Nie, Holger... – Fabel odtwarzał sobie teraz widok z plaży. – Nie porzucona. Upozowana. Od samego rana nie dawało mi to spokoju. Mogło się wydawać, że wypoczywa. Albo czeka na kogoś. Nie wchodzi w grę porzucenie ciała. To było swojego rodzaju wyznanie. Nadal tylko nie wiem, co morderca chciał nam powiedzieć.

Brauner zastanawiał się nad słowami Fabla.

– Chyba masz rację – powiedział w końcu. – Choć muszę przyznać, że nie w pełni podzielam twój punkt

widzenia. Zgadzam się, że włożono nieco wysiłku w sposób ułożenia ciała denatki. Nie dostrzegam tam jednak żadnej szczególnej pozy. Może po prostu zabójca poczuł skruchę po tym, co zrobił. A może jest do tego stopnia zwichrowany, że nie uważał jej za martwą.

Fabel uśmiechnął się.

– Niewykluczone, że ty jesteś bliżej prawdy. Ale, przepraszam, mówiłeś, że...

Brauner wrócił do dokumentacji.

– Niewiele więcej mogę dodać. Ubrania były kiepskiej jakości i zużyte. Poza tym nieświeże... Przypuszczalnie nosiła je i bieliznę przez co najmniej trzy-cztery dni przed śmiercią.

– Została zgwałcona?

– Sam wiesz, że Möller jest gotów mnie zamordować za uprzedzanie jego wniosków. Prawdę powiedziawszy, tylko on może dać kompetentną odpowiedź, ale nie... Nie zauważyłem na ciele dziewczyny żadnych śladów wskazujących na motyw seksualny. Oprócz śladów duszenia na szyi nie stwierdziłem innych oznak przemocy. Na ubraniu też nic nie było.

– Dzięki, Holger. Domyślałem się, że sprawdzisz rodzaj papieru i atramentu użytego do napisania tego li-

stu.

– Oczywiście. Szukałem już znaków wodnych. Bez rezultatu. Po badaniach podam ci gramaturę, rodzaj papieru i szczegółowe dane identyfikacyjne, ale dopasowanie tego do konkretnego produktu zajmie trochę czasu. – Westchnął ciężko. – Wydaje mi się, że szukamy pospolitego papieru z hipermarketu. Trudno będzie ustalić dostawcę.

– Ale to oznacza także, że nasz przyjaciel przemyślał wszystko i zaciera za sobą ślady. – Fabel poklepał Braunera po ramieniu. – Widzisz, ile można razem dokonać, Holger? Ty zajmiesz się materiałem, a ja treścią... Możesz zrobić kilka kopii, wyślę je do wydziału zabójstw. Byłoby dobrze trzykrotnie je powiększyć.

– Nie ma sprawy, Jan.

– Zadbam też o to, żebyś otrzymał kopię protokołu sekcji zwłok, który prześle mi Möller. – Dobrze wiedział, że szorstki sposób bycia doktora drażnił Braunera jeszcze bardziej niż jego. – Tak na wszelki wypadek, gdyby cokolwiek w nim wydało ci się warte uwagi...

Kiedy Fabel wrócił do wydziału zabójstw, zatrzymał się przy biurku Anny Wolff. Podał jej notatkę z nazwiskiem i adresem, którą zabójca wcisnął w dłoń

dziewczyny. Anna przeczytała kartkę.

– To dane zabitej dziewczyny?

– Trzeba to sprawdzić – odparł ponuro. – Morderca ukrył kartkę w dłoni ofiary. Prawdopodobnie to są jej dane.

– Już się za to biore, szefie.

Fabel wszedł do swojego biura i zamknął za sobą drzwi. Usiadł za biurkiem i spojrzął przez przeszkloną ścianę, dzielącą go od pomieszczeń reszty wydziału. Do tej pory nie zadomowił się na dobre w nowej komendzie głównej. O wiele bardziej odpowiadała mu stara siedziba przy Beim Strohause. Cóż począć, w policji hamburskiej zaszło tyle zmian. Większości z nich on nie pochwalał. Przenieśli ich do nowego pięciopiętrowego budynku w kształcie gwiazdy z wewnętrznym atrium. Nie wszystko poszło gładko. W atrium główną atrakcją miała być sadzawka, ale stała się ona siedliskiem najpierw komarów, a potem pająków. W końcu wypełniono ją żwirem. Dokonano też innej zmiany: mundury policjantów w Hamburgu, podobnie jak w całych Niemczech, zawsze były w kolorze zielonkawym, teraz zastąpiono je niebiesko-białymi. Ale najtrudniejsza do zaakceptowania zmiana doty-

czyła uzbrojenia części hamburskiej policji: MEK – Mobile Einsatz Komando – i oddziały sił specjalnych były złem koniecznym, jak zapewniali Fabela przełożeni. Zresztą on sam wzywał jednostki MEK do wsparcia, szczególnie po tym, gdy stracił w akcji jednego ze swoich ludzi. Mimo to nie mógł się pozbyć uprzedzeń wobec kwalifikacji niektórych oficerów tych oddziałów specjalnych.

Przyglądał się swojemu zespołowi przez szklaną ścianę. Stanowili perfekcyjną maszynę, idealną do poszukiwania zabójcy Pauli. Byli ludźmi, których można by posłać w świat i każdy z nich wykonałby swoje zadanie. Fabel musiał spojrzeć na sprawę szerzej, musiał ocenić wszystkie elementy układanki i sprawić, by stworzyły całość pozwalającą na odnalezienie zabójcy Pauli. Czuł na sobie odpowiedzialność, o której wolał nie rozmyślać, gdyż wydawała się ponad jego siły. W takich sytuacjach zadawał sobie pytanie, czy dokonał właściwego wyboru. Czy nie byłoby lepiej wieść spokojne życie, będąc wykładowcą w jakiejś prowincjonalnej uczelni. Albo nauczycielem angielskiego lub historii w którejś z fryzyjskich szkół? Może gdyby tak się stało, przetrwałoby jego małżeństwo z Renate.

Może w nocy nie nawiedzaliby go zamordowani.

Anna Wolff zapukała do drzwi i weszła. Miała ładną buzię, ciemne oczy i jaskrawoczerwone usta. Wydawała się przygnębiona. Skinęła z powagą głową na pytające spojrzenie Fabla.

– Tak. Paula Ehlers zginęła w drodze do domu ze szkoły. Przejrzałam bazę danych, a potem rozmawiałam z policją w Norderstedt. Wiek pasuje. Ale jest coś, co nie pasuje w ogóle.

– To znaczy?

– Jej wiek pasuje do wieku martwej dziewczyny. Tylko, że... Paula Ehlers zginęła trzy lata temu, kiedy miała trzynaście lat.

Środa, 17 marca, 19.50.

Norderstedt, na północ od Hamburga

Zwykle droga z Komendy Głównej Policji do Norderstedt nie powinna zająć więcej niż pół godziny, ale Fabel i Anna Wolff zatrzymali się po drodze, żeby coś zjeść. Bar był zupełnie pusty, jeśli nie liczyć dwóch mężczyzn, jak przypuszczał Fabel, kierowców ciężarówki i furgonetki, zaparkowanych przed wejściem. Siedzieli rozparci przy stole i w ponurym milczeniu spożywali posiłek. Fabel obrzucił wzrokiem obu mężczyzn, zgnuśniałych, niechlujnych, z obwisłymi brzuchami. Dopiero, kiedy ich minął, uświadomił sobie, że jeden z nich nie miał jeszcze trzydziestki. Takie marnowanie młodości przygnębiało Fabla. Swoją przyszłość, podobnie jak towarzyszącej mu Anny, też widział w czarnych barwach – skradziony czas, opuszczeni, pozostawieni w domach bliscy oraz stracone złudzenia.

Jako detektyw śledczy miał do czynienia z niejednym, ale zawsze najbardziej poruszała go wizyta w domu osoby zaginionej. Zwłaszcza, jeżeli zaginęło dziecko. W takich domach zawsze czuło się pustkę. I

oczekiwanie: na męża, żonę, syna czy córkę. Albo na kogoś, kto przerwie tę udrękę i powie, że zaginiona osoba nie żyje. Na kogoś takiego jak Fabel.

Zajęli stolik w głębi sali, najdalej jak to możliwe od kierowców, aby tamci nie słyszeli ich rozmowy. Anna zamówiła hot doga i kawę, Fabel wziął kanapkę i kawę. Kiedy usiedli, Anna położyła na stole przyniesione z samochodu dokumenty i obróciła je tak, żeby Fabel mógł przeczytać tekst.

– Paula Ehlers. Miała trzynaście lat, kiedy zniknęła. A dokładnie w dzień po swoich trzynastych urodzinach. Zatem teraz miałaby szesnaście lat. Tak jak napisano na kartce, mieszkała przy Buschberger Weg, w dzielnicy Harksheide w Norderstedt. Dziesięć minut drogi od szkoły; według raportu policji w Norderstedt, zniknęła właśnie podczas takiego dziesięciominutowego spaceru.

Fabel przerzucił kartkę. Z fotografii patrzyła na niego piegowata uśmiechnięta buzia dziecka. Wzdrygnął się. Przypomniwał sobie dziewczynę znaną na plaży, leżącą na zimnym piasku, z zastygłą twarzą. Porównał zdjęcie: dziecka i dziewczyny. Rysy oraz kształt twarzy były podobne, tylko oczy wyglądały ja-

kość inaczej. Czy tę różnicę spowodował wiek? Na fotografii to było jeszcze dziecko, na plaży młoda kobieta. A może było to wynikiem Bóg wie jakich przeżyć w ostatnich trzech latach. Oczy. Tak długo się w nie wpatrywał tam, na plaży Blankenese. Te oczy budziły w nim niepokój.

Anna ugryzła kęs hot doga i mówiła dalej. Palcami jednej ręki uderzała w rozłożone na stole papiery, a drugą zasłaniała usta.

– Policja z Norderstedt zrobiła wszystko, co w jej mocy. Odtworzyli nawet całą drogę dziewczynki ze szkoły do domu. Po miesiącu, kiedy nie udało się jej odnaleźć, sprawie nadano podwójny status: zaginięcia i podejrzenia morderstwa.

Fabel przejrzał pozostałe dokumenty. Brauner zrobił kilka powiększeń kartki. Jedna odbitka była przypięta do tablicy w biurze komendy, kolejna leżała teraz przed Fablem.

– Po roku wznowiono śledztwo – ciągnęła Anna. W rocznicę zaginięcia policjanci przepytывali wszystkich przechodniów i kierowców w okolicy. I znowu, mimo wysiłków, nie przyniosło to żadnych rezultatów. Śledztwo prowadził komisarz Klatt z policji kryminalnej w

Norderstedt. Zadzwoiłam do niego dziś po południu. Powiedział, że jest do naszej dyspozycji, dał mi nawet swój domowy adres, na wypadek, gdybyśmy chcieli po wizycie u Ehlersów wpaść do niego i porozmawiać. Potwierdził, iż nie było żadnych wyraźnych tropów, dodał natomiast, że uważnie się przyglądał jednemu z nauczycieli Pauli... – Anna obróciła kartki w swoją stronę i poszukała raportu przesłanego faksem przez policję z Norderstedt. – Tak... Nazywa się Fendrich. Klatt przyznał, że nic na niego nie ma, poza niedającym mu spokoju przecuciem, że coś go łączyło z Paulą.

Fabel spojrział ponownie na fotografię dziewczynki.

– Przecież ona miała dopiero trzynaście lat...

Anna zrobiła minę, która miała oznaczać: „Sam wiesz, jak to bywa”.

Nadkomisarz westchnął. Jego komentarz był co najmniej naiwny. Od ponad dziesięciu lat pracował w wydziale zabójstw i niewiele ludzkich zachowań mogło go zaskoczyć, a już na pewno nie nauczyciel-pedofil, który oszalał na punkcie jednej ze swoich uczennic.

– Klatt nie znalazł nic konkretnego na potwierdzenie swoich przypuszczeń? – zapytał.

Anna ugryzła kolejny kęs i pokręciła głową.

– Przesłuchiwał go kilkakrotnie. Fendrich zaczął się awanturować, że jest nękany. Klatt musiał spasować. Z braku innych pomysłów na rozwiązanie zagadki, uczepili się właśnie tego nauczyciela.

Fabel wyjrzał przez okno na rozświetlony parking, jednocześnie widząc w szybie odbicie swojej twarzy. Na parking zajechał mercedes, z którego wysiadła para w wieku około trzydziestu lat. Mężczyzna otworzył tylne drzwi i z samochodu wyszła może dziesięcioletnia dziewczynka, którą natychmiast wziął za rękę. To zwyczajny, instynktowny odruch – wrodzone przekonanie, że dziecko wymaga opieki. Fabel odwrócił się do Anny.

– Nie jestem przekonany, czy to ta sama dziewczyna.

– Co takiego?

– Nie twierdzę, że nie. Po prostu nie mam pewności. Zauważam sporo różnic. Przede wszystkim dotyczą one oczu.

Anna odchyliła się na krześle i wyduła wargi.

– To byłby zupełnie nieprawdopodobny zbieg okoliczności, szefie. Jeśli to nie Paula Ehlers, to jest to

osoba cholernie do niej podobna. W dodatku osoba, która trzyma w ręku kartkę z jej nazwiskiem i adresem. To musiałyby być przedziwne zbiegi okoliczności. A ja nie wierzę w zbiegi okoliczności.

– Rozumiem. Jednak wciąż coś mi tu nie pasuje.

Droga numer 433 biegnie przez Norderstedt prosto na północ w kierunku Szlezwika-Holsztynu i Danii. Dzielnica Harksheide leży na północ od centrum miasta, a Buschberger Weg jest po prawej stronie drogi 433. Kiedy dotarli do skrzyżowania z ulicą Buschberger Weg, Fabel zauważył, że szkoła, do której chodziła Paula, znajduje się blisko głównej drogi, po jej lewej stronie. Dziewczynka musiała przechodzić przez zatłoczoną szosę, a nawet iść parę metrów wzdłuż niej. Tu właśnie zniknęła. Po jednej lub po drugiej stronie drogi prowadzącej do Hamburga.

Było tak, jak się Fabel spodziewał. Przyćmione światła u Ehlersów – coś pomiędzy wyczekiwaniem a lękiem. Dom, w którym mieszkali, niczym się nie wyróżniał; jednopiętrowy, pokryty czerwoną dachówką, jak tysiące domów od Holandii po wybrzeże Bałtyku, od Hamburga po północny skraj duńskiej Jutlandii.

Otaczał go zadbany, choć urządzony bez polotu ogród.

Pani Ehlers niedawno musiała przekroczyć czterdziestkę. Włosy miała równie jasne jak córka, lecz upływający czas ich nie oszczędził, straciły wiele z pierwotnego blasku. Jasna, nordycka karnacja typowa była dla mieszkańców Szlezwika-Holsztynu: jasnoniebieskie oczy i przedwcześnie postarzała od nadmiaru słońca skóra. Pan Ehlers sprawiał wrażenie człowieka poważnego; około pięćdziesiątki, wysoki i zdradzający pewną nieporadność – *schlaksig*, jak określa się taki typ ludzi w północnych Niemczech. Jego cera wydawała się bardziej ziemista niż żony. Oczy miał też niebieskie, choć nieco ciemniejsze i podkrążone. Kiedy się witali, Fabel przywołał w pamięci obraz dziewczyny z fotografii i dziewczyny znalezionej na plaży, porównując je z wizerunkiem rodziców. Znowu przez głowę przebiegła mu myśl: była tu jakaś ledwie uchwytna niekonsekwencja.

– Znaleźliście naszą córeczkę? – Pani Ehlers wpatrywała się w Fabla z determinacją i niecierpliwością, którą trudno było znieść.

– Nie jesteśmy tego pewni, pani Ehlers. Musimy prosić panią lub pana Ehlersa o zidentyfikowanie ciała.

– Więc jest nadzieja, że to nie Paula? – Z głosu kobiety przebijał jakby ton sprzeciwu. Fabel kątem oka zerknął na Annę. Ich spojrzenia się spotkały.

– Tak, pani Ehlers, choć wiele wskazuje, że to może być Paula. Dziewczyna, która padła ofiarą, mimo pewnego podobieństwa do państwa córki, nie odpowiada idealnie jej wyglądowi. Ale minęły przecież trzy lata, musiała się zmienić, wydorośleć. Poza tym istnieje pewien dowód łączący ofiarę z tym adresem. – Fabel nie chciał zdradzać, jaką morderca dał wskazówkę.

– Jak umarła? – zapytała pani Ehlers.

– Nie rozmawiajmy o tym, dopóki się nie upewnimy, czy to rzeczywiście jest Paula – odparł Fabel. W każdym ruchu pani Ehlers widoczna była rosnąca desperacja. Drżała jej dolna warga. W końcu nadkomisarz ustąpił. – Została uduszona.

Ciałem pani Ehlers wstrząsnął szloch. Anna podeszła do niej i wzięła ją pod rękę, ale kobieta cofnęła się. Zapanowała kłopotliwa cisza. Fabel omiótł spojrzeniem pokój. Na ścianie, w ramach wisiała duża fotografia. Zrobiono ją zwykłym aparatem i powiększono ponad miarę. Faktura papieru była zbyt ziarnista, w dodatku wystąpił efekt czerwonych oczu, jako że zdjęcie

wykonano z użyciem lampy błyskowej. Dziewczynka na zdjęciu, niewątpliwie Paula Ehlers, uśmiechała się, siedząc za olbrzymim tortem urodzinowym, ozdobionym liczbą trzynaście. Fabla zmroziła myśl, że oto patrzy na niego dziecko, które dzień później oderwano od rodziny.

– Kiedy możemy ją zobaczyć? – odezwał się pan Ehlers.

– Jeżeli nie macie państwo nic przeciwko temu, ktoś z lokalnej policji zawiezie was do Hamburga jeszcze dzisiaj wieczorem – odpowiedziała Anna. – Spotkamy się na miejscu w instytucie na Butenfeld. Samochód przyjedzie po państwa około dwudziestej pierwszej trzydzieści. Wiem, że to późna pora...

Pan Ehlers przerwał jej.

– To nic. Będziemy czekać.

Kiedy wracali do samochodu, Fabel widział, jak bardzo Anna jest spięta. Nie odezwała się ani słowem.

– Wszystko w porządku? – zagadnął.

– Wcale nie. – Obejrzała się, rzuciwszy okiem na mały domek z czerwonym dachem i zadbanym ogródkiem. – To nie było łatwe. Nie mam pojęcia, jak oni

wytrzymali tak długo. Czekanie. Nadzieja. Polegali na nas, wierzyli, że znajdziemy ich córeczkę, a kiedy już nam się udało, ona jest martwa.

Fabel otworzył drzwi samochodu i odezwał się dopiero, gdy wsiedli.

– Taka jest smutna rzeczywistość. Szczęśliwe zakończenia zdarzają się tylko w filmach.

– Miałam wrażenie, że nas nienawidzą.

– Bo to prawda – odparł z rezygnacją Fabel. – Trudno ich nawet winić. Sama powiedziałaś, iż powinniśmy ją odnaleźć żywą, a nie przychodzić z wiadomością, że znaleziono gdzieś tam jej porzucone ciało. Liczyli na to, że doprowadzimy sprawę do szczęśliwego końca. – Fabel uruchomił silnik. – Ale skupmy się na sprawie. Pora wpaść do komisarza Klatta.

Norderstedt cierpi na rozdwojenie jaźni. Jest częścią wielkiego Hamburga, ma taki sam prefiks telefoniczny 0-40 i kiedy Fabel z Anną jechali przez Fuhlsbüttel i Langenhorn w kierunku Norderstedt, nie widać było żadnych granic miast. Niemniej jednak jurysdykcja policji hamburskiej tutaj nie sięgała; w Norderstedt działała policja landu Szlezwik-Holsztyn. Mimo to, z

powodu bliskości i zazębiana się śledztw, policja w Norderstedt kontaktuje się częściej z policją z Hamburga niż z własnymi oddziałami w małych, urokliwych miasteczkach Szlezwika-Holsztynu. Anna zadzwoniła wcześniej, żeby umówić spotkanie z komisarzem Klattem w komisariacie Norderstedt-Mitte, który mieścił się w ratuszu.

Kiedy dotarli na miejsce, młoda policjantka po cywilnemu zaprowadziła ich nie, jak sądzili, do biura wydziału kryminalnego, ale do pozbawionego okien pokoju przesłuchań. zaproponowała im kawę, na co z ochotą przystali. Gdy wyszła, Anna z ponurą miną powiedziała wzrokiem po pokoju.

– Nareszcie wiem, jak się czuje podejrzany – powiedziała.

Fabel uśmiechnął się ironicznie.

– Uspokój się. Myślisz, że nam coś powiedzą?

Anna nie zdążyła odpowiedzieć. Drzwi pokoju się otworzyły i do środka wszedł trzydziestokilkuletni mężczyzna. Był niskiego wzrostu, choć dobrze zbudowany, miał ciemne włosy i szeroką, przyjazną twarz z wyraźnym kilkudniowym zarostem. Uśmiechnął się do swoich gości, przedstawiając jako komisarz Klatt.

Teczkę, którą trzymał pod pachą, położył na stole i gestem zaprosił Fabla i Annę, żeby usiedli.

– Przepraszam, że spotykamy się w takim miejscu – mówił. – To nie jest moje zwykłe miejsce urzędowania. Mam biuro w komisariacie przy Europaallee, ale uznałem, że tu będzie wam łatwiej trafić. Zrobiono mi grzeczność i użyczono tego pomieszczenia, choć teraz widzę, że jest tu bardziej niż skromnie.

Komisarz usiadł. Jego pogodna dotąd twarz spochmurniała.

– Rozumiem, że odnaleźliście Paulę...

– Tego nie jesteśmy pewni, dopóki rodzice nie zidentyfikują ciała. Chociaż wszystko wskazuje na to, że tak...

– To była kwestia czasu – stwierdził Klatt ze smutkiem. Ale zawsze ma się nadzieję, że odnajdzie się taką osobę żywą.

Fabel przytaknął. Miał takie same odczucia. Różnica polegała na tym, że komisarz pracował wśród żywych, a on w wydziale zabójstw zajmował się wyłącznie nieboszczykami. Przez głowę przebiegła mu myśl, że dobrze byłoby wrócić do zwykłej policji kryminalnej. Weszła policjantka i podała kawę.

– Sądzi pan, że była szansa na odnalezienie jej żywej? – odezwała się Anna.

Klatt zamyślił się.

– Nie. Nie sądzę. Znacie statystyki. Jeżeli zaginiony nie znajdzie się w ciągu dwudziestu czterech godzin, to najczęściej nie odnajduje się już nigdy. Rzecz w tym, że Paula była pierwszym zaginionym dzieckiem w mojej karierze. Zaangażowałem się w tę sprawę. Może zbyt mocno. Nie mogłem patrzeć obojętnie, jak jej rodzina cierpi.

– Była jedynaczką? – zapytała Anna.

– Nie. Jest jeszcze brat, Edmund. Starszy od niej o trzy lata.

– Nie widzieliśmy go w domu Ehlersów – zauważył Fabel.

– Teraz ma dziewiętnaście albo dwadzieścia lat. Został powołany do wojska.

– Rozumiem, że go pan dokładnie sprawdził. – W ustach Fabla zabrzmiało to jak stwierdzenie, nie pytanie. Zawsze w przypadku morderstwa pierwszymi podejrzany stają się bliscy ofiary. Fabel uważał, by nie zarzucić Klattowi, że nie dopełnił swoich obowiązków. Nawet jeśli uwaga Fabla rozzłościła komisarza, pano-

wał nad emocjami.

– Oczywiście. Prześledziliśmy każdy jego krok tamtego dnia. Wszystko było w porządku. Potem jeszcze wielokrotnie wracaliśmy do alibi chłopaka. Poza tym on naprawdę bardzo się przejął losem siostry. Nikt nie potrafiłby tak udawać.

Owszem, niejeden potrafi, pomyślał Fabel. Miał już w swojej karierze do czynienia z wcale niemałą liczbą autentycznie zdruzgotanych przyjaciół czy krewnych ofiary, którzy później okazywali się sprawcami zbrodni. Mimo to wierzył, że Klatt sprawdził rodzinę Pauli rzetelnie.

– Podejrzewał pan nauczyciela Pauli... – zaczęła Anna, przeglądając teczkę z dokumentami.

– Fendrich. Nauczyciel niemieckiego. Nie mogę powiedzieć, że był podejrzany. Po prostu coś mi w nim nie pasowało. Ale miał niepodważalne alibi.

Klatt przeglądał raport, który mu przywieźli. Widać było, że dużo szczegółów tego śledztwa ma jeszcze w pamięci. Fabel doskonale wiedział, co oznacza takie śledztwo: nieprzespane noce, gapienie się w sufit, kłębiące się pod czaszką pytania, na które brak odpowiedzi, widziany oczami wyobraźni obraz ofiary. Kiedy

komisarz skończył czytać, Fabel i Anna uznawszy, że nie mają więcej pytań, wstali, dziękując za poświęcony im czas.

– Zobaczymy się jeszcze wieczorem – powiedział Klatt. Jak sądzę, będziecie państwo, kiedy Ehlersowie przyjadą zidentyfikować zwłoki.

Anna i Fabel spojrzeli na siebie.

– Tak, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Komisarz uśmiechnął się ze smutkiem.

– Przywiozę rodziców dziewczyny do Hamburga. Jeżeli tak ma się zakończyć śledztwo w sprawie Pauli Ehlers, to chcę przy tym być.

– Oczywiście – odparł Fabel i pomyślał, że to wcale nie jest koniec sprawy Pauli Ehlers, przeciwnie, śledztwo dopiero się zaczyna.

Środa, 17 marca, 22.10.

Instytut Medycyny Sądowej,

Klinika Uniwersytetu Eppendorf, Hamburg

Zabudowania kliniki uniwersyteckiej Hamburg-Eppendorf ciągnęły się wzdłuż Martinistrasse, tworząc jakby odrębne miasteczko. Bezladne skupisko wysokich i niskich budynków z różnych epok przecinała sieć dróg dojazdowych. Największy parking znajdował się w samym centrum tego kompleksu, ale Fabel był pewny, że z uwagi na nocną porę będą wolne miejsca przy samym Instytucie Medycyny Sądowej. Znał instytut doskonale. Tu zajmowano się wszystkimi dziedzinami technik sądowych: serologią, testami DNA, obserwacją psychiatryczną i sekcjami zwłok. Nadkomisarz miał kontakt z instytutem nie tylko na niwie zawodowej, był także związany z psycholog Susanne Eckhardt. Susanne oficjalnie urzędowała w trzynastopiętrowej klinice psychiatrii i psychoterapii, ale większość czasu spędzała w pobliskim instytucie.

Fabel minął główną bramę, pojechał dalej Martinistrasse, skręcił w Lokstedter Steindamm, a potem w Butenfeld. Tak, jak przypuszczał, przed instytutem

mieszczącym się w dwupiętrowym budynku było kilka wolnych miejsc.

Ten międzynarodowej rangi instytut, aby mógł pomieścić wszystkich uczestników różnego rodzaju szkoleń, którzy przybywali z najdalszych zakątków świata, był ciągle rozbudowywany. Każdego roku badano tu zwłoki trzech tysięcy ofiar zbrodni i przeprowadzano tysiąc sekcji. Dzisiaj w ciemnej chłodni czekało na identyfikację ciała martwej dziewczyny.

Fabel zauważył na parkingu porsche Susanne. Okazało się, że oboje pracują w tych samych godzinach, co dawało nadzieję, że pobędą trochę razem.

Do środka wprowadził ich starszy wiekiem ochroniarz, w którym Fabel rozpoznał dawnego aspiranta policji. Kiedy znaleźli się w recepcji, zobaczyli umundurowanego policjanta z towarzyszącym mu Klattem. Obok stali Ehlersowie. Fabel przywitał się z nimi i zamienił kilka słów z Klattem. Po chwili zjawił się sanitariusz i zaprowadził ich do pokoju identyfikacji. Wózek, na którym leżały zwłoki, przykryty był ciemnoniebieskim prześcieradłem. Na twarzy dziewczyny spoczywał śnieżnobiały kawałek płótna. Fabel przepuścił komisarza prowadzącego Ehlersów. Anna objęła ra-

mieniem panią Ehlers i mówiła coś do niej łagodnym tonem, a potem dała sanitariuszowi znak do zdjęcia zasłony. Pani Ehlers wzięła gwałtowny wdech i zachwiała się lekko. Ehlers zeszytniał, jakby rażony prądem.

Fabel już wiedział, że dziewczyna na wózku to nie Paula Ehlers. Kiedy ciszę przerwał długi, głośny, pełen bólu krzyk pani Ehlers, nie był to żałobny lament tylko krzyk rozpacz.

Chwilę później przeszli do recepcji i pili kawę z automatu. Pani Ehlers wydawała się nieobecna, siedziała bez ruchu, patrząc gdzieś w dal. Na twarzy jej męża malowało się na przemian zmieszanie i wściekłość.

– Dlaczego, panie Fabel? – Poszukał wzrokiem jego oczu. – Dlaczego nam to robią? Wyglądała jak Paula... Była bardzo do niej podobna. Dlaczego ktoś jest tak okrutny?

– Jest pan pewny, że to nie pańska córka?

– Minęło tyle czasu. Rzeczywiście, widać podobieństwo, ale...

– Ta dziewczyna nie jest moją córką – ucięta dyskusję pani Ehlers. Nadal patrzyła szklistym, nieobecnym wzrokiem, ale w jej głosie dał się słyszeć ostry ton absolutnej pewności.

Fabel czuł, jak z każdą chwilą rośnie w nim wściekłość. Ktoś nie tylko odebrał młodej osobie życie, ale wbił sztylet w serce innej rodziny. To był dopiero początek. Można by przypuszczać, że zabójca dziewczyny na plaży rzeczywiście trzy lata temu uprowadził i zamordował Paulę Ehlers. Bo po cóż miałby włączać rodzinę Ehlersów do swojej szalonej gry? Jedno ciało, dwa morderstwa. Odnowiła się rana rodziców Pauli: powróciła niepewność i niczym nieuzasadniona nadzieja.

– Mamy do czynienia z człowiekiem o kompletnie zaburzonej, chorej osobowości. – W głosie Fabela porbrzmiewały te same nuty frustracji i wściekłości, jak u rodziców Pauli. Kimkolwiek jest zabójca, chce, żebyśmy siedzieli teraz tutaj, wściekli, zranieni i zadawali sobie pytanie: po co? To jest takie samo miejsce zbrodni, jak plaża, gdzie znaleźliśmy ciało dziewczyny.

Pan Ehlers patrzył na Fabela, nic nie rozumiejąc, jakby ten mówił po japońsku. Jego żona zmierzyła detektywa przenikliwym spojrzeniem.

– Chcę, żebyście go złapali. – Spoglądała to na Fabela, to na Klatta, obarczając ich po równo odpowiedzialnością. A tak naprawdę pragnę, żebyście go zna-

leżli i zabili. Wiem, że nie mogę tego od was żądać, ale domagam się przynajmniej, żeby został schwytany i osądzony. Tyle chyba wolno mi oczekiwać.

– Obiecuję pani, że zrobię wszystko, żeby odnaleźć tego potwora – odparł Fabel. I faktycznie zamierzał to zrobić.

Kiedy wszyscy byli już na parkingu, Ehlersowie usiedli na tylnym siedzeniu audi Klatta. Smutek, który Fabel zauważył już wcześniej w spojrzeniu komisarza, powrócił, tyle że zabarwiony teraz złością.

– Ta martwa dziewczyna to pana śledztwo, nadkomisarzu – zaczął Klatt. – Ale ponieważ łączy się ono w sposób szczególny z zaginięciem Pauli Ehlers, byłbym zobowiązany, gdyby zechciał mnie pan informować o wszystkim, co mogłoby mieć związek z jej śmiercią. – Mówił aroganckim tonem, był jednak w całą sprawę zaangażowany i nie mógł pozwolić, by Fabel o tym zapomniał. Nadkomisarz zaś przypatrywał się uważnie młodszemu od siebie mężczyźnie: niższy stopniem, niezbyt wysoki, przy kości, ale sprawny. Rozumiał jego zdeterminowanie i cenił inteligencję. W końcu, ważąc wszystkie za i przeciw, tam, na parkingu przed

Instytutem Medycyny Sądowej, Fabel podjął decyzję.

– Komisarzu Klatt – powiedział. – Być może zabójca dziewczyny posłużył się nazwiskiem Pauli Ehlers tylko dlatego, że słyszał o sprawie. Może przeczytał o tym w gazetach. Może jedynym, co łączy te sprawy, jest fakt, że mamy do czynienia z maniakiem, który czytuje gazety.

Klatt zastanawiał się dłuższą chwilę nad sensem słów Fabla, zanim odparł.

– Wątpię. A zaskakujące podobieństwo obu dziewczyn? Zabójca musiał bardzo dokładnie prześledzić sprawę zaginięcia Pauli. Jestem przekonany, że ten, kto wybrał tę dziewczynę na ofiarę i dał jej tożsamość Pauli, musiał znać Paulę żywą. Może nie mam pańskiego doświadczenia ani nie znam szczegółowych raportów ze śledztwa, panie nadkomisarzu, ale doskonale znam sprawę Pauli Ehlers. Żyję tym od trzech lat i wiem, że związek pomiędzy tymi sprawami to coś więcej niż nazwisko.

– Więc pan się spodziewa, że będziemy przekazywać wszystkie wyniki naszego śledztwa?

– Nie... Tylko to, co mogłoby być istotne w sprawie Pauli. – Klatt powrócił do spokojnego, wyważonego

tonu.

Fabel pozwolił sobie na lekki uśmiech. Ten facet nie dał się łatwo wyprowadzić z równowagi, nie przejmował się też, że jest niższy stopniem.

– Komisarzu, ma pan rację. Instynkt podpowiada mi, że obaj szukamy tej samej osoby. Dlatego właśnie rozważam przydzielenie pana do mojego zespołu – na czas śledztwa.

W pierwszej chwili na twarzy Klatta pojawiło się zdumienie, ale już po chwili uśmiechnął się szeroko.

– Nie wiem, co powiedzieć... To znaczy, będę zaszczycony, ale nie wiem, czy to możliwe...

– Sprawami formalnymi zajmę się sam. Chciałbym, żeby kontynuował pan śledztwo w sprawie Pauli i był łącznikiem pomiędzy nami a policją w Norderstedt. Jednocześnie powinien pan zaangażować się w moje śledztwo. Być może coś przeoczyliśmy, a pan, znający tak dobrze sprawę Pauli, zdoła to dostrzec. Jednym słowem, najlepiej by się stało, gdyby przeniósł się pan od razu do wydziału zabójstw w Hamburgu. Przygotuję dla pana miejsce do pracy. Ale powtarzam, to jest chwilowe przeniesienie, tylko na czas trwania śledztwa.

– Oczywiście, panie nadkomisarzu. Będę musiał porozmawiać z moim szefem, nadkomisarzem Pohlmannem. Prowadzę przecież teraz kilka innych spraw...

– Ja porozmawiam z pańskim szefem. Lepiej, żeby gromy spadły na mnie.

– Nie będzie żadnych gromów – zapewnił Klatt. – Pan Pohlmann się ucieszy, że pojawiła się szansa na wyjaśnienie tej sprawy.

Uścisnęli sobie dłonie. Klatt ruchem głowy wskazał na parę siedzącą w milczeniu w jego samochodzie.

– Mogę powiedzieć Ehlersom, że będziemy pracować razem? Wydaje mi się... – szukał odpowiedniego słowa – że to ich trochę uspokoi.

*

Fabel i Anna nie zamienili ani słowa, dopóki audi Klatta nie skręciło w Butenfeld.

– Więc mamy nowego członka zespołu... – zagadnęła Anna.

– Tylko na czas tego śledztwa. Klatt nie zastąpi Paula. Paul Lindemann, zastrzelony w zeszłym roku,

był partnerem Anny. Pozostało po nim puste, niezapełnione miejsce.

– Wiem. – Najeżyła się. – Jak go oceniasz?

– Wydaje mi się, że ma nosa i będzie przydatny w tym śledztwie. – Podał jej kluczyki od swojego bmw. – Możesz zaczekać na mnie w samochodzie? Muszę na chwilę wrócić do instytutu.

Anna uśmiechnęła się znacząco.

– Jasne, szefie.

Fabel zastał Susanne w jej gabinecie. Siedziała za biurkiem i wpatrywała się posepnym wzrokiem w raport na ekranie komputera. Kruczoczarne włosy miała upięte z tyłu, za okularami kryły się oczy, w których wyraźnie było widać zmęczenie. Przywitała go znużonym, choć ciepłym uśmiechem. Wstała, podeszła do niego i pocałowała w usta.

– Widzę, że jesteś całkiem wykończony. Podobnie jak ja dodała z tym swoim monachijskim akcentem. – Zaraz kończę. A ty? Wpadniesz później?

Spojrzał przepraszająco.

– Postaram się. Ale może być już późno. Nie czekaj na mnie. – Podeszedł do krzesła i usiadł. Susanne zrozu-

miała aluzję i usiadła z powrotem za biurkiem.

– No, dobrze. Opowiadaj.

Fabel streścił wydarzenia dnia. Opowiedział o dawno temu zaginionej dziewczynce, o dziewczynie dzisiaj znalezionej, o rodzinie, która już zaczęła się godzić ze śmiercią córki, kiedy się okazało, że to jednak nie ona. Gdy skończył, Susanne przez chwilę milczała.

– Chcesz usłyszeć ode mnie, czy człowiek, który zabił znaną dzisiaj dziewczynę, zabił też tę zaginioną trzy lata temu?

– Chcę tylko poznać twoją opinię. Nie będę cię więcej angażować w sprawę.

Susanne powoli wypuściła powietrze.

– Niewykluczone. Gdyby czas pomiędzy zdarzeniami był krótszy, istniałoby duże prawdopodobieństwo. Ale trzy lata to długo. Sam wiesz, że w zachowaniu zbrodniarza pierwsza eskalacja jest olbrzymim krokiem naprzód. To taki przeskok ze sfery marzeń do czynów.

– I wtedy popełnia pierwsze morderstwo.

– Zgadza się. Potem jest już łatwiej. Szybko może dojść do kolejnego. Choć, z drugiej strony, nie zawsze tak się dzieje. Bywa, że pierwszego przestępstwa do-

puszcza się w dzieciństwie albo we wczesnej młodości, a potem mijają całe dekady, nim popełni następne. Trzy lata to nietypowa przerwa. Wzruszyła ramionami. – Mogłaby wskazywać, że morderców było dwóch, ale niepokoi mnie uderzające fizyczne podobieństwo dziewczyn i ta kartka pozostawiona przez zabójcę.

– No, dobrze – powiedział Fabel. – Założmy, że mamy do czynienia z jednym mordercą. O czym świadczy ta trzyletnia przerwa?

– Mogła być w jakiś sposób wymuszona. Nie wierzę, żeby odezwało się w nim poczucie winy po tym, co zrobił, czy też miał wyrzuty sumienia. Tu musiał zadziałać jakiś czynnik zewnętrzny; musiała zaistnieć jakaś przeszkoda, która uniemożliwiła na pewien czas rozwój psychozy.

– Na przykład?

– Cóż, przeszkoda mogła być natury fizycznej, geograficznej lub osobistej. W przypadku tej pierwszej wchodzi w grę jakieś ograniczenie: mógł się znaleźć w więzieniu albo w szpitalu. Geograficzna zaistniałaby wtedy, jeżeli pracował lub mieszkał przez ostatnie trzy lata gdzieś daleko stąd, a teraz wrócił. Jeśli tak rzeczywiście było, to najprawdopodobniej w jakimś innym

miejscu dopuszczał się podobnych zbrodni. Przeszkodą osobistą byłaby jakaś inna osoba z otoczenia mordercy, zdolna pohamować zbrodnicze instynkty sprawcy. Ktoś dominujący, kto mógł nawet nie zdawać sobie sprawy z popełnienia pierwszej zbrodni.

– I teraz tej osoby zabrakło?

– Pewnie tak. To mógł być dominujący rodzic albo małżonek, który teraz zmarł. Albo psychoza u mordercy osiągnęła takie stadium, że przestały już działać zewnętrzne ograniczenia. Jeżeli to jest ten przypadek, to niech Bóg ma w opiece osobę, która go powstrzymywała. – Susanne zdjęła okulary. Oczy miała podkrążone, powieki ociężałe, a z głosu przebijało zmęczenie. Południowy akcent stał się wyraźniejszy, połykała końcówki słów. – Jest też, oczywiście, inne wytłumaczenie.

Fabel uprzedził ją.

– Że morderca wcale nie pozostawał bierny przez te trzy lata, tylko my nie znaleźliśmy jego ofiar albo nie potrafiliśmy powiązać ze sobą różnych spraw.

Czwartek, 18 marca, 8.30.

Komenda Główna Policji, Hamburg

Fabel obudził się wcześniej, ale leżał długo, podczas gdy blade światło poranka rozjaśniało pokój. Kiedy wczoraj wieczorem wrócił z pracy, Susanne już spała. Miał klucze od jej mieszkania, więc mógł wejść cicho. Wymienili się kluczami, by podkreślić wyjątkowy charakter swojego związku, dając sobie prawo do wkroczenia na najbardziej osobiste terytorium. Ale nie podjęli dotąd decyzji o zamieszkaniu razem. Prawdę mówiąc, nawet nie rozmawiali na ten temat. Oboje odznaczali się silną indywidualnością i z różnych powodów otoczyli siebie i swoje życie głębokimi fosami, nie opuszczając zwodzonych mostów.

Susanne uśmiechnęła się zaspana. Wyglądała prowokująco i już po chwili zaczęli się kochać. Poranki były dla Fabela i Susanne najpiękniejszymi momentami dnia. Nie rozmawiali wtedy o pracy, żartowali, szeptali, zjadali spokojnie śniadanie. Nic nie planowali. Nie tworzyli reguł, kiedy i gdzie mogą rozmawiać o pracy. Utarło się, że rozpoczynają każdy nowy dzień razem. Dopiero potem ich drogi rozchodziły się, każde ruszało

swoją ścieżką w świat pełen przemocy, gwałtu i śmierci.

Fabel wyszedł z mieszkania przed Susanne. Do komendy dojechał tuż po ósmej i zajął się przeglądaniem dokumentacji dotyczącej śledztwa, w tym notatek sporządzonych poprzedniego dnia. Przez pół godziny dodawał pewne szczegóły do planu pracy, który wcześniej przygotował. Starał się podchodzić do sprawy bez emocji, jednak cały czas miał przed oczami zszokowaną, zmęczoną twarz pani Ehlers. Wzbierała w nim wściekłość. Co za bestia czerpie satysfakcję z zadawania psychicznych tortur jakiejś rodzinie? A szczególnie rodzinie, której córkę, jak podejrzewał, ten człowiek zamordował. Nadkomisarz wiedział, że musi teraz te tortury przedłużyć, nie mógł się opierać na tym, że rodzice nie zidentyfikowali ciała córki, której nie widzieli od trzech lat. Istniało nadal prawdopodobieństwo, że czas, bolesne przeżycia, może molestowanie, mogły spowodować pewne zmiany w jej wyglądzie.

Fabel odczekał do dziewiątej, po czym podniósł słuchawkę i wybrał numer Instytutu Medycyny Sądowej. Poprosił o połączenie z doktorem Möllerem, patologiem. Bardzo często z nim współpracował. Aroganc-

kie zachowanie Möllera sprawiało, że nie cieszył się sympatią detektywów w Hamburgu. Mimo wszystko Fabel bardzo sobie cenił jego ekspertyzy.

– Möller. – Ton głosu w słuchawce świadczył, że doktor jest zdenerwowany, jakby odebranie telefonu przeszkodziło mu w jakiejś ważnej czynności.

– Dzień dobry. Mówi Fabel.

– O co chodzi, Fabel?

– Będzie pan robił sekcję zwłok dziewczyny znalezionej na plaży Blankenese. Mamy kłopoty z identyfikacją. – Przedstawił zdarzenia wczorajszego dnia. – Obawiam się, że istnieje możliwość, iż zmarła dziewczyna to jednak Paula Ehlers. Nie chcę więcej niepokoić rodziny, ale muszę ustalić tożsamość ofiary.

Möller przez chwilę milczał. Kiedy się w końcu odezwał, wydawał się spokojniejszy.

– Jak pan wie, będę to mógł zrobić na podstawie dokumentacji dentystrycznej. Ale najszybszą i najpewniejszą metodą byłoby pobranie wymazu z jamy ustnej matki zaginionej dziewczyny. Mógłbym wtedy porównać w naszym laboratorium DNA.

Fabel podziękował doktorowi i odłożył słuchawkę. Wykonał jeszcze jeden telefon – do Holgera Braunera.

Wiedział, że ten potrafi wykazać się taktem, poprosił go zatem o pobranie wymazu od pani Ehlers.

Kiedy skończył rozmawiać, zerknął na salę, gdzie urzędowała reszta pracowników wydziału zabójstw; Anna Wolff i Maria Klee siedziały przy swoich biurkach. Zadzwoił do Anny i poprosił ją do siebie. Gdy weszła, wskazał na zdjęcie martwej dziewczyny zrobione w kostnicy.

– Muszę wiedzieć, kim ona naprawdę była. Chcę mieć informację do końca dnia. Ustaliłaś już coś?

– Sprawdzam bazę danych osób zaginionych. Jest szansa, że znalazła się na liście. Ograniczyłam przeszukiwanie bazy do dziewcząt i kobiet pomiędzy dziesiątym a dwudziestym piątym rokiem życia zaginionych w promieniu dwustu kilometrów od Hamburga. Nie powinno ich być zbyt wiele.

– I to jest twoje dzisiejsze zadanie. Rzuć wszystko i skoncentruj się na ustaleniu tożsamości dziewczyny.

Kiwnęła głową.

– Szefie... – Przerwała. Widać było, że niezręcznie jej mówić dalej.

– Tak, Anno?

– To było okropne. Tam, zeszłej nocy. Nie mo-

głam po tym wszystkim zasnąć.

Fabel uśmiechnął się ponuro i wskazał Annie krzesło.

– Nie tylko ty. Chcesz, żebym przydzielił ci inną sprawę?

– Nie – odparła stanowczo. Usiadła naprzeciw Fabela. Nie. Będę się zajmować tym śledztwem. Chcę się dowiedzieć, kim była ta dziewczyna i chcę pomóc odnaleźć prawdziwą Paulę Ehlers. Trudno było patrzeć spokojnie na to, co przeżywali wczoraj ci ludzie. Poza tym, wiem, że to zabrzmi głupio, ale czuję nie tyle obecność Pauli, ile jej brak.

Fabel milczał. Wolał, żeby Anna dokończyła swoją myśl.

– Kiedyś chodziła ze mną do szkoły pewna dziewczynka, Helga Kirsch. O rok ode mnie młodsza. Wyglądała tak niepozornie, że nikt na nią nie zwracał uwagi. Szara myszka. Spotkawszy ją na ulicy, trzeba by długo się zastanawiać, skąd się ją zna. Pewnego dnia w szkole podczas apelu dowiedzieliśmy się, że Helga zaginęła. Wybrała się na przejażdżkę rowerem i zniknęła. Pamiętam, że potem zaczęłam zauważać jej brak. Okazało się, że ktoś, z kim nigdy nawet nie za-

mieniłam słowa, był w jakiś przedziwny sposób obecny w moim życiu. Po tygodniu odnaleziono jej rower, a potem ciało.

– Przypominam sobie – odparł Fabel. Zajmował się wtedy pobocznymi wątkami tej sprawy. Zapamiętał to nazwisko. Helga Kirsch, lat trzynaście, zgwałcona, uduszona i porzucona w wysokiej trawie obok ścieżki rowerowej. Równy rok zajęło odszukanie zabójcy, udało się to dopiero wtedy, gdy zabił po raz kolejny.

– Od chwili, gdy powiedziano nam o jej zaginięciu – mówiła dalej Anna – do dnia odnalezienia ciała w szkole panowała dziwna atmosfera. Tak, jakby ktoś wyjął jakąś małą część z budynku, nie wiadomo jaką, ale wiadomo, że powinna tam być. Gdy ją odnaleziono, pozostał żal. I poczucie winy. Kładłam się do łóżka wieczorem i próbowałam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek zamieniłam z nią słowo, czy się do niej uśmiechnęłam, czy w ogóle miałam z nią cokolwiek wspólnego. Oczywiście, nie. Ale żal i poczucie winy po tym, co się stało, sprawiały ulgę. – Obróciła się w stronę okna i spojrzała na zachmurzone niebo. – Pamiętam, że rozmawiałam o tym z moją babcią. Opoowiadała mi o czasach, kiedy była dzieckiem, za Hitlera,

nim ona i jej rodzice zaczęli się ukrywać. Mówiła, że przeżyła to samo – ktoś, kogo znała, nagle zniknął, zabrany w nocy przez nazistów. Czasem to były całe rodziny. I wtedy pozostawało to niewytłumaczalnie puste miejsce w otaczającym świecie.

– Potrafię to sobie wyobrazić – powiedział Fabel, choć tak naprawdę nie potrafił. Żydowskie pochodzenie Anny w żaden sposób nie wpłynęło na decyzję zatrudnienia jej w zespole. Jednak teraz, kiedy siedział naprzeciw niej, zdawał sobie sprawę z tego, że on jest niemieckim policjantem, a ona Żydówką. Sprawcami tragedii jej narodu byli Niemcy. Świadomość tego wywoływała w nim irracjonalne poczucie winy.

Anna odwróciła się od okna.

– Przepraszam. Nie wiem, po co to mówiłam. – Wydawała się nieco zmieszana. – Ustalę jej tożsamość, szefie.

Po wyjściu Anny Fabel wyjął z szuflady notatnik, położył go na biurku i otworzył. Dłuższą chwilę wpatrywał się w pustą kartkę. Niezapisana strona oznaczała nowe śledztwo. Używał takich notatników od ponad dziesięciu lat. Zapisywał w nich nazwiska, adresy, zdarzenia. Najpierw lokalizacja: plaża Blankenese i dom

Pauli w Norderstedt. Następnie nazwiska, z którymi się zetknął w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Członkowie rodziny Ehlersów. Troje: ojciec, matka i syn, to osoby, które można namierzyć, odnaleźć, z którymi można porozmawiać, których postać można sobie wyobrazić. Pozostała czwarta osoba. Córka. Dla Fabla wciąż była tylko pojęciem, nierzeczywistym zbiorem ludzkich wrażeń i wspomnień. Osobą, którą uchwycił obiektyw, kiedy zdmuchiwała świeczki na urodzinowym torcie.

Jeśli przyjąć, że Paula była pojęciem, treścią bez formy, to dziewczyna, znaleziona na plaży była z kolei formą bez treści, bezimiennym ciałem. Na środku kartki zanotował „Błękitnooka”. Mógł oczywiście posługiwać się numerem sprawy, ale wołał, żeby to było śledztwo w sprawie zabójstwa „Błękitnookiej”. Brzmiało lepiej, bardziej po ludzku, mniej kojarzyło się z martwym ciałem, któremu nadano tylko numer. Następnie połączył linią „Błękitnooką” i Paulę, robiąc pośrodku przerwę. W tym miejscu postawił dwa znaki zapytania. Był przekonany, że tu powinien znajdować się zabójca dziewczyny z plaży, a także porywacz i, być może, morderca Pauli Ehlers. Równie dobrze mo-

gło być dwóch sprawców. Może nawet stanowili większą grupę. Ale na pewno nie działali niezależnie od siebie. Nie ulegało wątpliwości, że ten, kto zabił „Błękitnooką”, porwał też Paulę.

Zadzwonił telefon.

Czwartek, 18 marca, 18.30.
Norddeich, Wschodnia Fryzja

To było miejsce, które nazywał domem. Miejsce, które stanowiło o jego tożsamości. Lecz teraz, kiedy tak stał i kontemplował widok okolicy, zrozumiał, że jego świat znajduje się gdzie indziej. To Hamburg określał, kim tak naprawdę jest Jan Fabel. Kim jest teraz. Kim stanie się w przyszłości. Wspominał ucieczkę z tego miejsca. Opuścił rodzinę i powędrował w głąb lądu, do Oldenburga. Tam studiował filologię angielską i historię na nowo utworzonym Uniwersytecie Carla von Ossietzky'ego. Po dyplomie przeniósł się na uniwersytet w Hamburgu, gdzie studiował historię Europy. W tym mieście właśnie zaczął nowe życie.

Zaparkował bmw na tyłach domu. Wysiadł, otworzył tylne drzwi i sięgnął po zapakowaną w pośpiechu torbę podróżną. Kiedy się wyprostował, znieruchomiał na moment i w zupełnej ciszy chłonął znajome z dzieciństwa widoki i dźwięki. Wszystko było tak, jak kiedyś: monotonny szum morza skrytego za pasem drzew i wydmami, prosta bryła domu rodziców, mocna i przysadzista przykryta dwuspadowym dachem z czer-

wonej cegły, jasnozielona trawa, którą targała świeża fryzyjska bryza. I jeszcze ciężkie niebo, wiszące nad płaskim krajobrazem. Paniczny strach, jaki poczuł, gdy odebrał w biurze telefon, złagodniał teraz i zamienił się nieustający niepokój, który nie opuszczał go przez całą trzyipółgodzinną podróż drogą A 28. Uspokoił się dopiero, gdy dotarł do szpitala w Nordenii i zobaczył matkę siedzącą na łóżku. Prosiła go, by się nie denerwował, a także żeby uspokoił swojego brata Leksa.

Teraz, kiedy się znalazł w krainie dzieciństwa, paniczny strach powrócił. Grzebał w kieszeniach płaszcza przerzuconego przez torbę podróżną w poszukiwaniu zapasowych kluczy od domu. W końcu otworzył ciężkie drewniane drzwi kuchenne. Na dole drzwi, mimo lakierowania, wciąż widać było ciemne rysy. To on i brat, wracając ze szkoły, zwykli otwierać sobie drzwi kopniakiem. Nawet teraz, choć zamiast teczki z książkami trzymał skórzaną torbę podróżną i elegancki płaszcz, miał ochotę otworzyć drzwi nogą.

Wszedł do kuchni. W domu było pusto i cicho. Postawił torbę na stole i rozglądał się, zatrzymując wzrok na tym, co pozostało w jego wspomnieniach: kuchenny ręcznik w kwiaty przewieszony przez chromowany

uchwyt piekarnika, stary sosnowy stół i krzesła, tablica korkowa na ścianie, a do niej przypięte notatki i pocztówki, masywny drewniany kredens pod ścianą. Widząc, jak niewiele się zmieniło, poczuł się na powrót dzieckiem. Dostrzegł jednak nowy czajnik, kuchnię mikrofalową, regał kupiony w IKEI. Poczuł się zdradzony, dom jego dzieciństwa powinien pozostać niezmieniony.

Zaparzył herbatę. Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby zrobić kawę – w końcu był we Fryzji, a tutaj picie herbaty stanowiło czynność rytualną. Jego matka, choć nie pochodziła z Fryzji, chętnie wprowadziła tutejsze zwyczaje do domu. Przed południem zawsze była przerwa na wypicie trzech filiżanek herbaty – *elfürtje*. Mówiono tutaj przedziwnym dialektem będącym mieszaniną niemieckiego, niderlandzkiego i staroangielskiego. Otworzył kredens. Wszystko w nim miało swoje miejsce: herbata, tradycyjne *kluntjes*, czyli cukier w kryształkach, biało-błękitne filiżanki. Usiadł przy stole i popijając herbatę, wsłuchiwał się w echo głosów ojca i matki, uwięzione w tych murach. Ciszę przerwał sygnał telefonu komórkowego. Dzwoniła Susanne.

– Jan... Właśnie dostałam twoją wiadomość.

Wszystko w porządku? Co z matką? – Była niespokojna.

– Czuje się dobrze. Miała lekki atak serca, ale jej stan jest stabilny.

– Nadal jesteś u niej w szpitalu?

– Nie, w domu. To znaczy, w domu matki. Zostanę tu na noc i zaczekam na brata. Powinien jutro się zjawić.

– Chcesz, żebym do ciebie przyjechała? Mogę zaraz wyruszyć. Za dwie, trzy godziny byłabym na miejscu.

Zapewnił ją, że nie ma takiej potrzeby, że sobie poradzi, a matka pewnie za kilka dni wróci do domu.

– To było tylko ostrzeżenie organizmu – wyjaśnił.

Kiedy skończył rozmowę, poczuł się nagle bardzo samotny. Po drodze kupił kilka gotowych kanapek, ale nie miał teraz na nie ochoty, więc schował do lodówki. Dopił herbatę i wszedł po schodach na piętro, do swojej dawnej sypialni – pod spadzistym dachem. Rzucił torbę i płaszcz w kąt pokoju. Położył się na łóżku, nie zapalając światła. Leżał w ciemności, usiłując przypomnieć sobie głos dawno już nieżyjącego ojca, kiedy ten stał na schodach i krzyczał, że pora już wstać. Zdał so-

bie sprawę, że pamięta tylko jedno wypowiedane przez ojca słowo: *traankoppe*. Tak właśnie wołał co rano, „śpiąca głowa”. Westchnął ciężko. Oto co się przydarza w średnim wieku: głosy, zdania słyszane codziennie, umykają z pamięci i zachowuje się tylko jedno czy dwa słowa.

Sięgnął po leżący na stoliku nocnym telefon komórkowy i poszukał numeru domowego Anny Wolff. Po kilku dzwonekach włączyła się automatyczna sekretarka. Nie zostawił żadnej wiadomości; zamiast tego wykręcił bezpośredni numer do komendy. Głos Anny zdradzał, że jest śmiertelnie zmęczona.

– Szefie... Nie spodziewałam się, że pan zadzwoni. Co z pana matką?

– Nie ma powodu do obaw. Niewielkie zaburzenia pracy serca. Całe popołudnie byłem w szpitalu. Później jeszcze tam wrócę. A co z identyfikacją dziewczyny?

– Przykro mi, szefie. Nic nie mamy. Dostałam raport z bazy danych o osobach zaginionych. Nikt nie odpowiadał kryteriom. Rozszerzyłam zakres poszukiwań, dziewczyna mogła pochodzić z innej części Niemiec albo nawet z innego kraju. Nigdy nie wiadomo, tyle teraz przyjeżdża kobiet z Europy Wschodniej.

Fabel chrząknął. Handel żywym towarem z Rosji, Bałkanów i innych terenów wschodniej Europy stał się w Hamburgu problemem. Zachęczone wizją atrakcyjnej pracy, kobiety najczęściej były sprzedawane do domów publicznych. Początek nowego wieku przyniósł stary koszmar niewolnictwa w zupełnie nowej postaci.

– Szukaj dalej, Anno. – Nie musiał jej o tym przypominać, z tych samych powodów, dla których szukał Anny o tak późnej porze w pracy. Kiedy koncentrowała się na jakimś zadaniu, nic poza tym nie istniało. – Coś jeszcze?

– Komisarz Klatt pojawił się dziś po południu. Powiedziała mi, że musiał pan jechać do chorej matki. Oprowadziłam go po komendzie i przedstawiłam wszystkim. Wyglądało na to, że jest pod wrażeniem. Aha, zapomniałam, dzwonił Holger Brauner. Mówił, że załatwił sprawę testów DNA. Jutro rano doktor Möller je przeprowadzi.

– Dziękuję, Anno. Zadzwonię jutro i powiem, co dalej zamierzam robić.

– Porozmawiam z Wernerem. Martwi się o pana. I o pańską matkę.

Fabel odłożył słuchawkę, przerywając połączenie z

teraźniejszością; zagłębił się w ciemności i ciszy swojego dawnego świata.

Kiedy Fabel przyszedł do szpitala w Norden, lekarza, z którym wcześniej rozmawiał, już nie było, skończył dyżur, zastał natomiast oddziałową, kobietę w średnim wieku o okrągłej, szczerzej i budzącej zaufanie twarzy. Zobaczywszy go, uśmiechnęła się i nim zdążył o cokolwiek zapytać, przekazała najświeższe informacje.

– Pańska matka czuje się dobrze. Zaraz po pańskim wyjściu zasnęła. Zrobiliśmy jej jeszcze jedno EKG. Zapis w granicach normy, ale powinna o siebie dbać.

– Jakie jest zagrożenie kolejnym atakiem?

– Cóż, skoro się zdarzył pierwszy, szanse na drugi są większe. Ale to nie jest reguła. Najważniejsze, żeby w miarę szybko powróciła do normalnego życia. Wydaje mi się, że będzie mogła opuścić szpital jutro po południu. Ewentualnie pojutrze.

– Bardzo dziękuję, sostro. – Ruszył w kierunku sali, na której leżała matka.

– Pewnie mnie nie pamiętasz, Janie? – usłyszał głos siostry. Odwrócił się zdziwiony. Wydawała się zakło-

potana. Hilke. Nazywam się Hilke Tietjen.

Dobrą chwilę zajęło Fablowi wydobyć z pamięci nazwiska.

– Mój Boże. Hilke. Minęło ze dwadzieścia lat! Jak się masz?

– Więcej. Ponad dwadzieścia pięć. U mnie wszystko w porządku, dziękuję. Słyszałam, że jesteś komisarzem policji w Hamburgu.

– Nadkomisarzem – sprostował z uśmiechem. Na okrągłej buzi szukał podobieństwa do dawnej, młodszej, atrakcyjniejszej dziewczyny. Było tam, w rysach twarzy, choć czas i tusza głęboko je ukryty.

– Nadal mieszkasz w Norddeich?

– Nie, zamieszkałam tutaj, w Norden. Teraz nazywam się Hilke Freericks. Pamiętasz ze szkoły Dirka Freericksa?

– Oczywiście – skłamał Fabel. – Macie dzieci?

– Czwooro. – Roześmiała się. – Sami chłopcy. A ty?

– Córkę, Gabi. – Nie chciał mówić o swoim rozwodzie.

Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Cieszę się, że cię spotkałam – powiedziała Hilke.

– Pewnie spieszysz się do matki.

– Miło było cię widzieć – odparł zdawkowo. Patrzył za nią, gdy szła korytarzem. Niewysoka kobieta w średnim wieku, z szerokimi biodrami, Hilke Freericks. Kiedyś szczupła dziewczyna, o pięknej, piegowatej twarzy otoczonej burzą rudawych włosów, Hilke Tietjen, z którą przeżył na wydmach w Norddeich niezapomniane, zapierające dech w piersiach chwile. Zmiany, jakie w niej zaszły, trudno mu było zaakceptować. Znów pojawiła się myśl, by uciec jak najszybciej i jak najdalej od Norddeich i Norden.

Kiedy wszedł do sali, matka siedziała na krześle obok łóżka i oglądała telewizję. Głos był ściszony, spiker poruszał bezgłośnie ustami. Uśmiechnęła się szeroko i wyłączyła pilotem telewizor.

– Witaj, synu. Wyglądasz na zmęczonego. – Mówiła twardym fryzyjskim dialektem, z brytyjskim akcentem, co brzmiało zabawnie. Pochylił się, żeby pocałować ją w policzek. Poklepała go po ramieniu.

– Wszystko w porządku, mamó. To nie o mnie trzeba się martwić. Ale mam dobre wiadomości. Pielęgniarka powiedziała, że twoje EKG jest w normie i może nawet jutro wyjdiesz do domu.

– Rozmawiałaś z Hilke Freericks? Pamiętam, że kiedyś byliście parą.

Fabel przysiadł na brzegu łóżka.

– To było bardzo, bardzo dawno temu, mamó. Z trudem ją poznałem. – Kiedy to mówił, wyobrażenie Hilke z lśnącymi, długimi rudymi włosami i jasną cerą rozświetloną promieniami słońca kontrastowało z wizerunkiem zaniedbanej, podstarzałej kobiety, którą przed chwilą spotkał na korytarzu. Zmieniła się. Mamó, czy ja też tak bardzo się zmieniłem?

Roześmiała się.

– Nie pytaj mnie. Ty i Lex nadal jesteście dla mnie dziećmi. Ale nie przejmuj się. Wszyscy się zmieniamy.

– To dlatego, że ilekroć tu wracam, oczekuję, że wszystko będzie takie jak dawniej.

– Bo to miejsce należy do twojej przeszłości. Wracasz tu, by odgrzebać w pamięci jakieś szczegóły z dzieciństwa. Ja zachowuję się tak samo, kiedy odwiedzam Szkocję. Ale pamiętaj, rzeczy się zmieniają, miejsca się zmieniają. Świat idzie naprzód. – Uśmiechnęła się i przeciągnęła powoli dłonią po włosach na skroni. Ten gest Fabel także pamiętał z dzieciństwa. – Co u Gabi? Kiedy przywieziesz do mnie wnuczkę?

– Mam nadzieję, że niedługo. – Powinna przyjechać na weekend.

– A jak jej matka? – Od chwili rozvodu ani razu nie wypowiedziała imienia Renate, jego byłej żony. Teraz wyczuł w głosie matki lodowaty ton.

– Nie wiem, mamo. Rzadko się kontaktujemy i zwykle to nie są miłe rozmowy. Nie mówmy o Renate; tylko się niepotrzebnie zdenerwujesz.

– A ta twoja nowa przyjaciółka? No, już nie taka nowa. Widujecie się od dosyć dawna. Czy to coś poważnego?

– Pytasz o Susanne? – Milczał chwilę, nieco speszony. Zaskoczyło go nie samo pytanie, zdał sobie sprawę, że nie wie, co odpowiedzieć. Wzruszył ramionami. – Jesteśmy ze sobą. Wszystko się dobrze układa.

– Nam się też dobrze układa z panem Heermanssem, rzeźnikiem, ale to nie znaczy, że planujemy wspólną przyszłość.

Roześmiał się.

– Mamo, nie wiem. Jeszcze za wcześnie. Lepiej mi powiedz, co zalecił ci lekarz po wyjściu ze szpitala.

Przez następne dwie godziny Fabel gawędził z mat-

ką. Miał sposobność po raz pierwszy od dłuższego czasu dobrze jej się przyjrzeć. Kiedy ona tak się postarzała? Kiedy jej włosy posiwiały, i dlaczego nie zauważył tego wcześniej? Przypomniawszy sobie to, co powiedziała, że Norddeich należy do jego przeszłości. Uświadomił sobie, że ona też do niej należy, że nie powinna się zmieniać, postarzać, umrzeć...

Dotarł do domu matki po dwudziestej drugiej. Wyjął z lodówki piwo i wyszedł na zewnątrz. Minął niską palisadę i szpaler drzew na drodze do ogrodu. Wspiął się na niewysoką, porośniętą trawą skarpe i kiedy znalazł się na szczycie, usiadł, objął rękami kolana i powoli sączył ziołowe fryzyjskie piwo. Noc była rześka, powietrze przejrzyste, kopuła nieba iskrzyła się tysiącami gwiazd. Przed sobą miał pas wydm. Daleko, na horyzoncie, błyszczały światła promu. Kiedyś często siadywał w tym miejscu. Wziął głęboki wdech, próbując odegnać natrętne myśli. Twarz dawno niewidzianej i zapomnianej Hilke Tietjen nakładała się na twarz martwej dziewczyny z Blankenese. Myślał o swoim rodzinnym domu, zmieniającym się w czasie jego nieobecności i o domu Pauli Ehlers, gdzie wszystko zamarło wraz ze zniknięciem dziewczynki. Prom, ostatni

tego wieczoru, zbliżył się do wybrzeża w Norddeich. Fabel pociągnął łyk piwa. Usiłował wyobrazić sobie Hilke Tietjen tak, jak wygląda obecnie, lecz nie potrafił zwyciężyć wizja nastoletniej Hilke. Jak mogła zmienić się tak bardzo? A co z dziewczyną na plaży? Czy ona także mogła się tak bardzo zmienić w tak krótkim czasie?

– Byłem pewien, że cię tu znajdę... – Usłyszawszy te słowa, aż podskoczył. Obejrzał się i zobaczył Lexa.

– Chryste, ale mnie wystraszyłeś!

Lex się roześmiał i szturchnął go kolanem.

– Zbyt często masz do czynienia z przestępcami, Jannik – powiedział, używając fryzyjskiego zdrobnienia imienia Jan. – Jesteś przewrażliwiony. Wyluzuj się!

– Przyniósł dwie butelki piwa, jedną przycisnął do piersi brata i usiadł obok niego.

– Myślałem, że przyjedziesz jutro. – Jan uśmiechnął się ciepło.

– Zgadza się, ale namówiłem szefa kuchni, żeby wziął drugą zmianę. Razem z Hanną i resztą ekipy na pewno sobie poradzą, dopóki nie wrócę.

Skinął ze zrozumieniem głową. Lex był właścicielem restauracji i hotelu na wyspie Sylt, tuż przy grani-

cy z Danią.

– Jak mama?

– Całkiem dobrze, Lex. Jutro ją pewnie wypuszczą ze szpitala. Lekarze mówią, że to był lekki atak serca.

– Pojadę tam jutro z samego rana.

Fabel przyjrzał się Leksowi. „Starszy wiekiem, ale młodszy sercem” – tak zwykle opisywał swojego brata. Byli do siebie zupełnie niepodobni: on wyglądał jak typowy Niemiec z północy, podczas gdy u Leksa ujawniło się celtyckie pochodzenie matki. Był o wiele niższy od Fabla i miał grube, ciemne włosy. Różnice nie kończyły się na tym. Zawsze zazdrościł Leksowi pogodnego usposobienia i niespożytego poczucia humoru. Na twarzy starszego brata uśmiech pojawiał się szybciej, łatwiej i częściej, nawet jego oczy wydawały się wesołe.

– Co u Hanny i dzieciaków? – zapytał.

– Super. Wiesz, normalnie, codzienna gonitwa. Ale jesteśmy zdrowi, interes idzie dobrze. Kiedy wreszcie przywieziesz do nas seksowną panią psycholog?

– Mam nadzieję, że już wkrótce. Prowadzę teraz paskudną sprawę, a Susanne też nie brakuje roboty. Jeśli tylko będą nam sprzyjały gwiazdy, to wierzę, że

niebawem... Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebny mi urlop.

Lex pociągnął piwa z butelki. Obrócił się do brata i położył mu rękę na ramieniu.

– Wyglądasz na zmęczonego, Jan. Poza tym ta historia z mamą... Przykro mi, że nie mogłem być u niej dzisiaj.

Fabel spojrzał bratu głęboko w oczy.

– To był szok, Lex. Przypomniała mi się chwila, kiedy zadzwonili do mnie w sprawie taty. Nigdy nie dopuszczałem do siebie myśli, że świat może istnieć bez mamy.

– Rozumiem cię. Na szczęście, to nic poważnego.

– Tym razem nie.

– Nie powinniśmy się martwić na zapas. Tak nie można. Lex nagle się roześmiał. – Od małego byłeś takim poważny.

– Za to ty nigdy, Lex. Pozostałeś dzieckiem – odparł, ale bez goryczy.

– Nie chodzi tylko o mamę, prawda? – zagadnął Lex. Widzę, że jesteś zdenerwowany. Bardziej zdenerwowany niż zwykle.

Fabel wzruszył ramionami. Światła promy zniknęły

za przyłaskiem i niebo ponownie się rozgwieździło.

– Mówiłem ci już. Prowadzę paskudne śledztwo.

– Proszę cię, Jan. Chociaż raz opowiedz mi o tym. Nigdy nie mówisz o swojej pracy. Renate też nigdy nie mówiłaś. To był jeden z waszych problemów.

Fabel prychnął pogardliwie.

– Nasz problem polegał na tym, że znalazła sobie kochanka. A w rezultacie straciłem córkę – dodał ponuro. – Zresztą, może masz rację. Spróbuj zrozumieć, ja muszę poznać takie okropne rzeczy, o jakich nawet ci się nie śniło. Trudno wierzyć, do czego zdolny może być człowiek owładnięty jakąś brudną żądzą. A ja mam do czynienia z takimi ludźmi oraz ich ofiarami. Jeżeli o tym nie mówię, to nie dlatego, że kogoś lekceważę. Nie chcę wywołać szoku. Renate nigdy tego nie rozumiała. Nie mogła też pojąć, że czasem muszę poświęcić wszystko, całą moją uwagę, cały swój czas jakiemuś śledztwu. Jestem to winien ofiarom i ich rodzinom. Może właśnie dlatego tak dobrze nam się układa z Susanne. Psycholog policyjny grzebie się w takich samych brudach jak ja. Oboje wiemy, jak taka robota potrafi czasem zdołować. Renate zawsze powtarzała, że dla mnie to jest gra. Ja kontra zły człowiek. Walka o

to, kto wygra. Ale to nie tak, Lex. Nie mierzę się z przebiegłym wrogiem, ja usiłuję wyprzedzić czas, pokonać czyjś chory umysł i dopaść zbrodniarza, nim on dopadnie następną ofiarę. Złapanie przestępcy nie jest najważniejsze, najważniejsze jest uratowanie czyjegoś życia.

Lex westchnął.

– Nie wiem, jak to robisz, Jan. Rozumiem dlaczego, ale nie wiem, jak potrafisz sobie radzić z bólem i strachem.

– Czasami nie potrafię. Dam ci przykład. Dziewczyna. Piętnasto-, może szesnastoletnia, uduszona i porzucona na plaży. Taka sama, jak Gabi. Taka sama, jak twoja Karin. Jakby tego nie było dosyć, ten popapraniec zostawił informację, że dziewczyna jest kimś innym, dziewczynką, która zaginęła trzy lata wcześniej. To chore i niewyobrażalnie okrutne. Wydaje się, że morderca rozmyślnie nęka rodzinę, która i tak ledwo się trzyma.

– I to rzeczywiście nie była ta sama dziewczyna?

– Tak uważamy. Żeby mieć stuprocentową pewność, muszę tym biednym ludziom zrobić testy DNA.

– Chryste... – wyszeptał Lex, wpatrując się w ciem-

noaksamitne fale. – Chcesz powiedzieć, że zabójca dziewczyny znalezionej na plaży zamordował także tę drugą, zaginioną?

Jan wzruszył ramionami.

– Wszystko na to wskazuje.

– A więc musisz się pospieszyć. Trzeba go dopaść, zanim zrobi krzywdę następnej dziewczynce.

– To jest właśnie moja praca.

Lex powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Robi się chłodno, poza tym napiłbym się jeszcze.

Wstał i klepnął go w ramię. – Chodźmy do środka.

Fabel jeszcze chwilę wpatrywał się w wydmy i morze, potem wstał i wszedł do rodzinnego domu.

Piątek, 19 marca, 15.30.

Norddeich, Wschodnia Fryzja

Nie spał dobrze. Śniła mu się młoda Hilke Tietjen. Biegła wzdłuż plaży w Norddeich i gestem dłoni przywoływała do siebie. W pewnej chwili zniknęła za wydumą, a kiedy ją wreszcie dogonił, okazało się, że na piasku leży nie Hilke, tylko inna dziewczyna, z innej plaży i patrzy na Fabela martwymi, błękitnymi oczami.

Rano bracia pojechali do szpitala odwiedzić matkę. Powiedziano im, że czuje się na tyle dobrze, że można ją wypisać, ale przez kilka najbliższych dni będzie do domu przychodzić lekarz. Kiedy szli do samochodu, Fabel musiał z bólem przyznać, że matka wyglądała wyjątkowo mizernie. Lex zaproponował mu, żeby wracał do Hamburga, a on zostanie z nią przez kilka dni. Wyjaśnił jej, że Jan prowadzi właśnie bardzo ważne śledztwo. Mimo poczucia winy Fabel był bratu wdzięczny.

– Nie róbcie zamieszania – powiedziała matka. – Wiecie, że tego nie lubię. Czuję się dobrze. Po prostu wpadnij na weekend.

Fabel, gdy tylko się znalazł na autostradzie A 28,

natychmiast zadzwonił do komendy do Wenera. Po krótkiej wymianie zdań na temat zdrowia matki Fabla, przeszli do spraw zawodowych.

– Mamy potwierdzenie z Instytutu Medycyny Sądowej powiedział Werner. – DNA dziewczyny z plaży nie odpowiada DNA pani Ehlers. Kimkolwiek była ta dziewczyna, na pewno nie nazywała się Paula Ehlers.

– Czy Annie udało się już coś ustalić?

– Nie. Rozszerzyła zakres przeszukiwania bazy danych i wychwyciła kilka możliwych tropów, ale kiedy przyjrzała im się z bliska, wszystkie okazały się fałszywe. Cały czas się tym zajmuje... Bóg jeden wie, o której wczoraj wyszła z pracy. Aha, tak przy okazji, kiedy Möller zadzwonił z wynikami testów DNA, chciał z tobą porozmawiać o wynikach autopsji. Nadęty drań, nie chciał mi powiedzieć ani słowa – sam wiesz, jaki on jest. Powiedział tylko, że raport będziesz miał na biurku, kiedy wrócisz. Na to ja, że byłoby dobrze, gdybym mógł przekazać najważniejsze punkty.

– No i co jest w tym raporcie?

Po tonie głosu Wenera poznał, że mówiąc przegłąda jednocześnie raport.

– Według Möllera dziewczyna ma piętnaście lub

szesnaście lat. Są ślady zaniedbań i pourazowe z dzieciństwa: zepsute zęby, kilka starych złamań i tym podobne.

– Wygląda to na długotrwałe maltretowanie – powiedział Fabel. – Może to wskazywać, że mordercą jest rodzic albo opiekun.

– Pasowałoby również do kłopotów z odnalezieniem tej dziewczyny w bazie osób zaginionych – dodał Werner. – Jeżeli to był rodzic, mógł celowo opóźnić zgłoszenie zaginięcia albo nie zgłosić wcale, żebyśmy nie wpadli na jego trop.

– Na razie wszystko układa się w logiczną całość. – Fabel przerwał na chwilę, zastanawiając się nad tym, co powiedział Werner. – Jest tylko jeden problem. Dzieci wychodzą z domu. Szkoła powinna zgłosić jej nieobecność. Miała na pewno przyjaciół i znajomych...

– Anna też o tym pomyślała, szefie. Przejrzała wszystkie zgłoszenia ze szkół. Bez rezultatu. Do listy osób, które powinny zauważyć nieobecność dziewczyny, trzeba jeszcze dodać chłopaka. Möller twierdzi, że dziewczyna prowadziła życie seksualne, brak jednak śladów jakichkolwiek kontaktów w ciągu dwóch dni przed śmiercią.

Fabel westchnął. Dopiero teraz zauważył, że minął Ammerland i znak zjazdu do Oldenburga. Miasta, w którym kiedyś studiował. Dopiero co opuścił Fryzję, a już zanurzył się w tym bagnie.

– Coś jeszcze?

– Nie, szefie. Möller wspomniał, że na czterdzieści osiem godzin przed śmiercią dziewczyna mało co jadła. Wracasz do komendy?

– Tak. Będę za kilka godzin.

Włączył radio. Stacja NDR 1 nadawała audycję literacką. Krytyk był w ostrym sporze z autorem jakiejś kontrowersyjnej książki. Nie słyszał większej części dyskusji, ale wychwytał, że autor powieści zarzucił pewnej znanej z historii postaci dokonywanie mordów na dzieciach. Z dalszej debaty wynikało, że tą postacią był jeden z Grimmów, dziewiętnastowiecznych filologów, którzy gromadzili, chcąc ocalić od zapomnienia, niemieckie baśnie, bajki, legendy i mity. Krytyk się pienieł, tymczasem autor pozostawał niewzruszenie spokojny. Fablowi udało się wyłowić nazwisko autora – Gerhard Weiss. Jego powieść nosiła tytuł, „Bajkowa ulica”. Była napisana w formie zbeletryzowanego dziennika podróży Jacoba Grimma. Gospodarz progra-

mu tłumaczył, że w tej fikcyjnej podróży Jacob Grimm towarzyszy bratu Wilhelmowi. Zbierają razem baśnie, które zostaną później opublikowane w zbiorach „Baśnie braci Grimm” i „Niemieckie legendy”. W książce Jacob występuje jako seryjny morderca. W czasie podróży po niemieckich miastach i wioskach dokonuje kolejnych zbrodni, odtwarzając w ten sposób treść zbieranych bajek. Robi to po to, aby tchnąć w bajki życie. Jacob Grimm wierzy bowiem, że mity, legendy i bajki odzwierciedlają mroczną część ludzkiej duszy.

– To jest alegoria – wyjaśniał autor Gerhard Weiss – środek literacki. Nie ma i nigdy nie było żadnych dowodów na to, że Jacob Grimm był pedofilem lub mordercą. „Bajkowa ulica” jest zupełną fikcją. Wybrałem Jacoba Grimma dlatego, że razem z bratem zbierali i analizowali niemieckie bajki. Nikt tak dobrze nie poznał potęgi mitu i folkloru jak oni. Dzisiaj staramy się nie spuszczać naszych dzieci z oczu. Wszędzie dostrzegamy zagrożenia i niebezpieczeństwa. Chodzimy do kina, aby straszyć samych siebie współczesnymi mitami, które są odzwierciedleniem naszego życia i naszego społeczeństwa. Tymczasem niebezpieczeństwo czyhało zawsze. Morderca dzieci, gwałciciel, okrutny

zabójca – takie postacie są stałym składnikiem ludzkiego doświadczenia. Różnica polega na tym, że niegdyś straszylśmy się opowieściami o złym wilku, okrutnej czarownicy, o złu czającym się pomiędzy drzewami w ciemności, a teraz przerażają nas seryjni mordercy, złowrodzy prześladowcy, kosmici, potwory stworzone przez naukowców. Jedyne co zrobiliśmy, to zmieniliśmy wygląd złego wilka. Nasz odwieczny strach przybiera teraz inne, współczesne formy.

– I to daje panu prawo do rzucania oszczerstw pod adresem wielkiego Niemca? – zapytał krytyk. W tonie jego głosu mieszała się złość z niedowierzaniem.

Autor w dalszym ciągu odpowiadał spokojnie. Niepokojąco spokojnie, pomyślał Fabel. Zupełnie bez emocji.

– Obawiam się, że rozwścieczyłem większość niemieckich środowisk literackich, a także potomków Jacoba Grimma, ale będąc pisarzem, tylko wypełniam swoją misję. Muszę kontynuować tradycję straszenia czytelnika nierzeczywistym niebezpieczeństwem i ciemnymi stronami naszego życia.

Następne pytanie zadał gospodarz programu.

– Potomków Jacoba Grimma najbardziej rozjuszyło

to, że choć zadeklarował pan jasno, że portret Jacoba-mordercy nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, to promuje pan w swojej powieści tezę: fikcja jest prawdą. Jak to należy rozumieć? Czy to w końcu jest fikcja czy nie?

– Jak pan wspomniał – odpowiedział Weiss tym samym, pozbawionym emocji głosem – moja powieść nie jest osnuta na faktach. Ale opierając się na licznych przykładach z przeszłości, mam prawo wierzyć, że przyszłe pokolenia będą przekonane, iż w tej opowieści tkwi ziarno prawdy. Fikcja zostanie uznana za fakt. Tak się dzieje od stuleci. Weźmy za przykład postać Makbeta z dramatu Williama Szekspira. W rzeczywistości był ukochanym, szanowanym i dobrym królem. Ale Szekspir, chcąc przypodobać się brytyjskiej monarchii, zdemonizował go za pomocą fikcji literackiej. Dzisiaj Makbet to przykład człowieka, który dąży do osiągnięcia celu, nie bacząc na metody; przykład chciwości, gwałtu i żądzy krwi. Tyle tylko, że to jest opis postaci z dramatu Szekspira, a nie postaci historycznej. To nie jest proste przejście od historii do legendy czy mitu. Tworzymy to na nowo, wzbogacamy, fabrykujemy. Mit czy baśń stają się w końcu prawdą.

Krytyk, puszczać mimo uszu wypowiedź autora, powtórzył swoją tezę, że powieść podaje w wątpliwość reputację Jacoba Grimma. Dyskusja zmierzała ku końcowi, więc Fabel wyłączył radio i zastanawiał się teraz nad słowami autora. Wśród ludzi od niepamiętnych czasów krąży to samo zło. Okrutna przemoc i śmierć.

Ten chory potwór, który udusił dziewczynę i porzucił jej ciało na plaży, był ostatnim, najnowszym wcieleniem tego zła. Fabel nie miał najmniejszych wątpliwości. Czytał kiedyś o szesnastowiecznym francuskim szlachcicu, który się nazywał Giles De Rais. Władza absolutna nad lennem oznaczała dla niego prawo do bezkarnego uprowadzania, gwałcenia i mordowania młodych chłopców. Doliczono się setek ofiar, choć lista może obejmować nawet tysiące. Fabel próbował sam siebie przekonać, że seryjny morderca to zjawisko współczesne, produkt rozpadającego się porządku społecznego, molestowania seksualnego, dostępności brutalnej pornografii na ulicach i w Internecie. Pojawiała się wszakże nadzieja – skoro współczesne społeczeństwo stworzyło potwory, to będzie także potrafiło z nimi walczyć.

Włączył płytę CD. Kiedy głos Herberta Groene-

meyera wypełnił wnętrze samochodu, a kilometrów ubywało, Fabel spróbował odsunąć od siebie myśli o odwiecznym złu, czającym się pośród drzew.

Gdy dojechał do biura, zatelefonował do matki. Zapewniła go, że czuje się dobrze i że czuwa nad nią Lex, zajęty teraz przygotowaniem jakiegoś wysmienitego dania. Głos matki w słuchawce przywrócił mu zachwianą wcześniej równowagę. Charakterystyczny akcent ujmował jej lat, znowu była młodą matką, niezastąpioną podporą w trudnych chwilach. Potem zadzwonił do Susanne i powiedział, że już jest na miejscu. Uzgodnili, że po pracy wróci do siebie, by dobrze wypocząć.

Do drzwi zapukała Anna Wolff. Czarne włosy i cienie pod oczami sprawiały, że jej twarz wydała się jeszcze bledsza. Krwistoczerwona szminka kontrastowała z bladą cerą. Fabel skinął ręką, żeby weszła.

– Wyglądasz jak po nieprzespanej nocy – powiedział.

– Pan też, szefie. Co z mamą?

Uśmiechnął się.

– Coraz lepiej, dziękuję. Przez kilka dni będzie się

nią opiekował mój brat. Domyślam się, że toczyłaś bój o identyfikację dziewczyny.

Anna przytaknęła.

– Z raportu wynika, że dziewczyna była zaniedbana i być może molestowana w młodości. Mogła pochodzić z innej części Niemiec albo nawet z zagranicy. Wciąż nad tym pracuję. – Przerwała na chwilę, niepewna, jak Fabel zareaguje na to, co przecież musiała mu powiedzieć. – Mam nadzieję, szefie, że nie będziesz mi miał tego za złe, ale zajęłam się też sprawą Pauli Ehlers. Coś mi mówi, że sprawcą jest ta sama osoba.

– Sugerujesz się pozostawioną kartką?

– Nie tylko. Uderzające podobieństwo obu dziewczyn wskazuje na to, że sprawca widział Paulę Ehlers żywą, a nie jej zdjęcie w prasie. Dlatego czekam na wyniki testów DNA. Dopiero wtedy będę pewna, że zabita dziewczyna to nie Paula.

– Podzielim twoje zdanie. A więc czym się zajmowałaś?

– Studiowałam notatki ze śledztwa, które sporządził Klatt.

– Psiakrew, zupełnie zapomniałem o komisarzu!

Już się zadomowił?

Anna wzruszyła ramionami.

– Tak. To całkiem fajny facet. I chyba jest zadowolony, że może pracować w wydziale zabójstw. – Otworzyła teczkę z dokumentacją. – Przeglądałam to razem z nim. Wróciliśmy do sprawy Fendricha. Pamiętasz, szefie? Heinrich Fendrich, nauczyciel niemieckiego Pauli.

Fabel przytaknął. Pamiętał, że Anna opowiedziała mu w skrócie o Fendrichu, kiedy zatrzymali się w kawiarni po drodze do Ehlersów.

– Klatt go podejrzewał. Zaznaczał, że ma nikłe podstawy, właściwie same przeczucia i uprzedzenia, więc z braku innych tropów...

– Uprzedzenia? – Fabel uniósł brwi.

– Fendrich to typ samotnika. Jest po trzydziestce... właściwie pod czterdziestkę, nie ma nikogo bliskiego, choć była w jego życiu kobieta, ot, taki luźny związek. Znajomość skończyła się w tym samym czasie, kiedy zaginęła Paula.

– A więc komisarz Klatt desperacko szukał podejrzanego i znalazł w końcu człowieka, z którego mógł uczynić drugiego Normana Batesa – zauważył Fabel.

Anna patrzyła na niego, nie rozumiejąc. – Norman Bates to główny bohater amerykańskiego filmu „Psychoza”.

– A tak, jasne. Do pewnego stopnia masz rację. Ale trudno Klatta za to winić. Zaginęła dziewczyna, teraz pewnie jest już martwa i był nauczyciel, z którym miała bardzo dobre relacje i który, jak się wydaje, nie wiedział, co to są normalne związki. Trzeba jeszcze do tego dodać skargi koleżanek i kolegów Pauli, że on poświęcał jej więcej czasu i uwagi niż innym. Szczerze mówiąc, moglibyśmy trochę tego Fendricha przycisnąć.

– Masz rację, choć porywaczem i prawdopodobnie mordercą Pauli może równie dobrze być człowiek z ustabilizowanym życiem rodzinnym. A swoją drogą, co teraz Klatt myśli na temat Fendricha?

– No... – Anna przeciągała słowa, dając do zrozumienia, że nie jest pewna. – Przyznaje chyba, że przeholował. Nauczyciel ma solidne alibi na czas, kiedy Paula zniknęła.

– Ale?

– Ale wciąż pozostaje to jego przeczucie, że w stosunkach Fendricha z Paulą było coś niewłaściwego.

Wspomniał nawet, że warto sprawdzić go jeszcze raz, choć ten się odgrażał, że złoży skargę o nękanie.

– Gdzie go można znaleźć? Nadal uczy w tej szkole?

– Nie. Zmienił pracę. Przeniósł się do szkoły w Hamburgu. – Anna zerknęła do notatek. – W Rahlstedt. Nie zmienił natomiast adresu, mieszka w tym samym domu, co trzy lata temu. Też w Rahlstedt.

– Okej. – Fabel spojrział na zegarek, wstając z krzesła. Pan Fendrich dawno temu już wrócił z pracy. Chcę się dowiedzieć, czy ma alibi na dzień, kiedy zamordowano dziewczynę z plaży. Złożmy mu zatem wizytę.

Dom Fendricha w Rahlstedt był dużą, solidną przedwojenną willą, usytuowaną z dala od drogi w rzędzie pięciu podobnych budynków. W swoim czasie te domy musiały aspirować do miana największych w całym Rotherbaum i Eppendorf, ale obecnie, choć przetrwały alianckie bombardowania, nie pasowały do okolicy pełnej powojennych domów komunalnych – Rahlstedt zostało zaprojektowane i wybudowane w pośpiechu tuż po wojnie i miało zapewnić lokum mieszkańcom centrum Hamburga, których domy legły w gru-

zach podczas bombardowań.

Fabel zaparkował na ulicy. Kiedy podeszli bliżej do rzędu domów, zauważył, że wszystkie wille oprócz domu Fendricha zostały przebudowane i w każdej zamieszkiwało kilka rodzin. Willa była melancholijnie ponura, a ogródek od frontu zaniedbany i pełen śmieci.

Fabel ujął Annę pod rękę i weszli na niskie schody prowadzące do drzwi frontowych. Wskazał palcem miejsce, gdzie fundament domu ginał w ziemi. Znajdowały się tam dwa małe okienka. Przez brudne szyby dostrzegł trzy grube pręty krat.

– Piwnica... – powiedziała Anna.

– Dobre miejsce do przetrzymywania kogoś „pod ziemią”...

Dotarli do drzwi i Fabel nacisnął stary, porcelanowy przycisk dzwonka. W głębi domu rozległ się wibrujący dźwięk.

– Przejmujesz prowadzenie, Anno. Ja będę się odzywał tylko w razie potrzeby.

Drzwi się otworzyły. Fendrich wydawał się mężczyzną, który dobiegał pięćdziesiątki, a nie czterdziestki. Był wysoki i szczupły, miał poszarzałą cerę, jasne, proste włosy, matowe i cienkie. Na czubku głowy

prześwitywała łysina. Spoglądał obojętnym wzrokiem to na Annę, to na Fabla. Anna pokazała swoją owalną odznakę.

– Policja kryminalna. Możemy zamienić słowo?

Twarz Fendricha stężała.

– O co chodzi?

– Jesteśmy z wydziału zabójstw. Przedwczoraj na plaży Blankenese znaleziono ciało dziewczyny...

– Paulę? – przerwał Annie. – To była Paula? – Z wyrazu jego twarzy trudno było coś wyczytać, choć Fabel dostrzegł strach.

– Panie Fendrich, czy moglibyśmy porozmawiać w środku? – zaproponował spokojnym, łagodnym tonem. Mężczyzna wydawał się początkowo zaskoczony, ale w końcu z rezygnacją wpuścił ich do środka. Kiedy zamknął za nimi drzwi, wskazał ręką pierwszy pokój po lewej stronie korytarza.

– Zapraszam do gabinetu.

Pokój był duży i zabałaganiony. Żyrandol dziwacznie zawieszony pod sufitem rzucał rażące światło. Wszystkie ściany, poza jedną z oknem, wychodzącym na ulicę, zajmowały regały z książkami. Na samym środku pomieszczenia stało duże biurko. Na nim leżały

stosy książek i kable od komputera i drukarki. Pod oknem piętrzyły się sterty czasopism i gazet oklejone taśmą. W pierwszej chwili sprawiało to wrażenie totalnego chaosu, ale kiedy Fabel rozejrzał się dokładniej, stwierdził, że Fendrich z pewnością potrafi doskonale się w tym bałaganie poruszać i znajdzie potrzebną rzecz szybciej, niż gdyby korzystał z segregatorów czy baz danych. Atmosfera panująca w tym pomieszczeniu wskazywała, że całe życie, marne i bezbarwne, Fendricha, toczyło się właśnie tutaj. Dlatego właśnie intuicja podpowiadała Fablowi, że musi dokładnie obejrzeć cały dom.

– Proszę usiąść – powiedział gospodarz, zrzucając z dwóch krzeseł książki i papiery. Nim zdążyli usiąść, powtórzył pytanie. – Czy dziewczyna, którą państwo znaleźli, to Paula?

– Nie, panie Fendrich, to nie ona – odparła Anna. Mężczyzna wyraźnie się rozluźnił. – Mamy powody przypuszczać, że śmierć tej dziewczyny ma związek z zaginięciem Pauli.

Fendrich uśmiechnął się kwaśno.

– A więc po raz kolejny próbujecie mnie nachodzić. Wasi kumple z Norderstedt już mi dali szkołę. –

Usiadł za biurkiem. – Mam nadzieję, że wy mi uwierzycie: nie mam nic wspólnego ze zniknięciem Pauli. Może wreszcie, do cholery, zostawicie mnie w spokoju?!

Anna uniosła rękę w pojedynczym geście uśmiechnęła się i tłumaczyła cierpliwie:

– Panie Fendrich. Wiem, że miał pan trzy lata temu, hmm... zatarg z policją z Norderstedt, ale my jesteśmy z policji hamburskiej, jesteśmy inspektorami wydziału zabójstw. Zajmujemy się sprawą Pauli Ehlers tylko po to, by potwierdzić lub wykluczyć jakikolwiek związek z zamordowaną dziewczyną. Rozmawiamy z panem dlatego, że stanowi to tło zupełnie innego śledztwa. Być może jest pan w posiadaniu informacji, które mogą mieć istotne znaczenie dla nowej sprawy.

– Więc nie jestem już podejrzany w żadnej z tych spraw?

– Tego nie mogę panu zagwarantować, panie Fendrich odezwał się Fabel. – Na razie nie wiemy, kogo szukamy. Ale póki co, interesuje nas pan jako świadek, a nie podejrzany.

Fendrich wzruszył ramionami i opadł na krzesło.

– Co chcecie wiedzieć?

Anna zadała kilka banalnych pytań. Kiedy zapytała, czy matka mieszka razem z nim, Fendrich zerwał się jak oparzony.

– Moja matka umarła – odpowiedział, nie patrząc Annie w oczy. – Nie żyje od sześciu miesięcy.

– Przykro mi. – Fabel spojrział na niego ze szczerym współczuciem.

– Bardzo długo chorowała. – Westchnął ciężko. – Mieszkam teraz sam.

– Zmienił pan szkołę po zniknięciu Pauli – kontynuowała Anna. – Dlaczego?

Roześmiał się z goryczą.

– Wasz kolega Klatt dał mi jasno do zrozumienia, że uważa mnie za podejrzanego. Rodzice, uczniowie, nawet koledzy z pracy... Widziałem to w ich oczach. Wątpliwości. Nawet dostałem kilka telefonów z pogroźkami. Dlatego odszedłem.

– Nie przyszło panu do głowy, że to wyda się podejrzanym? – zapytała Anna.

– Gwizdzę na to. Miałem dosyć. Nikomu nie przyszło do głowy, że mnie też martwiło zaginięcie Pauli. Bardzo ją lubiłem. Nikt tego nie brał pod uwagę. A wasz kolega Klatt nadał temu taki sens, jakbym był... –

Fendrich się skrzywił – ...zbocheńcem.

– Uczył pan Paulę języka niemieckiego i literatury, tak?

Fendrich przytaknął.

– Powiedział pan, że była wyjątkowo uzdolniona i... i dlatego tak się pan nią interesował.

Fendrich odchylił do tyłu głowę.

– Tak.

– Inni nauczyciele nie podzielają tej opinii. Dokumentacja szkolna dowodzi, że była raczej przeciętną uczennicą.

– Mówiłem już o tym Bóg jeden wie ile razy. Wiedziałem w niej potencjał. Miała naturalny talent do niemieckiego. To tak, jak z muzyką. Trzeba mieć odpowiedni słuch. Potrafiła się pięknie wysławiać. – Pochylił się do przodu, oparł łokciami o blat biurka i spojrzał Annie głęboko w oczy. – Paula w sposób oczywisty nie potrafiła w pełni wykorzystać swoich możliwości. Naprawdę mogła zostać kimś, a groziło jej, że będzie nikim, że system ją wchłonie. Zgadzam się, inni nauczyciele tego nie zauważyli, nie mówiąc już o rodzicach. Dlatego tak dużo czasu jej poświęcałem, chciałem pomóc. Dostrzegłem okazję, żeby wyrwała się z

zakłętego kręgu zbyt niskich oczekiwań, jakie wobec niej miała rodzina.

Fendrich usiadł z powrotem wygodnie na krześle i zamarł z uniesionymi rękami, jakby skończył właśnie mowę obrończą przed sądem. Potem oparł się dłońmi o biurko. Fabel patrzył na niego w milczeniu. Sposób, w jaki wypowiadał się na temat Pauli, budził jego niepokój.

Teraz Anna sprawdzała alibi Fendricha na dzień, kiedy zaginęła Paula. Jego zeznania pokrywały się idealnie z tym, co mówił trzy lata wcześniej. W trakcie odpowiedzi na pytania stawał się coraz bardziej niecierpliwy.

– Sądziłem, że chodzi o tę nową sprawę – powiedział, kiedy Anna skończyła. – A do tej pory grzebiecie się tylko w starym śledztwie. Dlaczego nie pytacie o tę drugą dziewczynę? O morderstwo?

Fabel gestem poprosił Annę o teczkę z dokumentami. Wyjął z niej dużą, błyszczącą fotografię zrobioną w miejscu, gdzie znaleziono ciało. Położył ją przed nauczycielem, obserwując uważnie jego reakcję. Była bardzo emocjonalna.

– O Chryste... – wymamrotał Fendrich i zasłonił

usta dłonią. Wpatrywał się osłupiały w fotografię. Potem pochylił się nad zdjęciem i studiował każdy szczegół. W końcu odetchnął z ulgą. Podniósł wzrok na Fabla.

– Myślałem...

– Że to Paula?

Pokiwał głową.

– Przepraszam, to był szok. – Zerknął ponownie na fotografię. – Mój Boże, jest taka podobna do Pauli. Starsza, ale mimo to bardzo podobna. Sądzicie, że te dwie sprawy coś łączy?

– Mamy nawet dowód – wyjaśniła Anna. – Morderca pozostawił coś, co miało nam utrudnić identyfikację ciała. Chciał, żebyśmy uwierzyli, że to Paula.

– Może nam pan powiedzieć, co robił od godzin popołudniowych w poniedziałek do wtorku rano?

Fendrich wyduł wargi i milczał przez chwilę.

– Niewiele jest do opowiadania. Byłem jak zwykle w pracy. W poniedziałek wróciłem prosto do domu, sprawdziłem kilka wypracowań, potem czytałem. We wtorek w drodze powrotnej zaszedłem do sklepu i zrobiłem zakupy. Do domu dotarłem około piątej, piątej trzydzieści. Cały wieczór spędziłem tutaj.

– Czy ktoś może to potwierdzić?

Fendrich spiorunował ich wzrokiem.

– Rozumiem... Nie mogliście oskarżyć mnie o porwanie Pauli, więc teraz próbujecie powiązać z tą sprawą.

– To nie tak, panie Fendrich. – Anna usiłowała go udobruchać. – Żeby wykonać właściwie swoją pracę, musimy sprawdzić wszystkie fakty.

Nie był już tak bardzo spięty, spojrzenie złagodniało, choć nie wydawał się do końca przekonany. Przyglądał się w milczeniu martwej dziewczynie na fotografii.

– To ten sam człowiek... – odezwał się w końcu.

Anna i Fabel wymienili spojrzenia.

– Co ma pan na myśli? – zapytała Anna.

– Przyznaję wam rację... Jest powiązanie. Mój Boże, ta dziewczyna jest tak podobna, że mogłaby uchodzić za siostrę Pauli. Ten, kto ją zabił, musiał znać Paulę. I to bardzo dobrze. – Na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia. – Paula nie żyje, prawda?

– Tego nie wiemy, panie Fendrich...

– Tak. – Wtrącił Fabel. – Obawiam się, że nie żyje.

Piątek, 19 marca, 21.30.

Park Hamburger Berge, na południe od Hamburga

Miasteczko Buxtehude było przedmiotem kpin. To takie miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Ludziom z małego miasteczka przyczepiano etykietę kmiota, prowincjusza. Hanna Grünns pochodziła z Buxtehude. Teraz, siedząc w swoim pięcioletnim volkswagenie golfie zaparkowanym na odrażającym leśnym parkingu, z goryczą skonstatowała, że nie udało jej się zbyt daleko uciec od rodzinnego miasteczka. Raptem na odległość dzielącą je od tej głupiej piekarni.

Kiedy miała czternaście lat, już zwracała uwagę chłopców. Wysoka, zgrabna, o długich, jasnych włosach, wyróżniała się urodą i została uznana za najpiękniejszą dziewczynę w szkole. Nie była wybitnie uzdolniona, ale wystarczająco bystra, by się zorientować, że swoje atuty może wykorzystać do osiągnięcia celów. A celem jej życia było wyrwanie się z tej dziury. Zbierała wycinki prasowe o karierze Claudii Schiffer, o tym, jak nagle zyskała rozgłos, o jej pierwszych występach na wybiegu, o zawrotnych sumach, jakie zarabiała, o eg-

zotycznych miejscach, które odwiedziła. Osiemnastoletnia Hanna opuściła Buxtehude i z niezachwianym przekonaniem, jakie daje młodość, postanowiła zrobić karierę modelki w Hamburgu. Wkrótce zauważyła, że w poczekalniach wszystkich agencji modelek aż roi się od klonów Claudii Schiffer. Podczas pierwszego castingu pokazała swoje zdjęcie zrobione w Buxtehude przez miejscowego fotografa. Wysoki, chudy gej i jakaś kobieta pod pięćdziesiątkę, na pewno była modelka, oglądali zdjęcia nieustannie chichocząc. Potem zapytali Hannę, skąd pochodzi. Kiedy powiedziała im, że z Buxtehude, parsknęli śmiechem.

Taka sytuacja powtarzała się w większości agencji. Hanna czuła, że wymarzone przez nią życie przepływa gdzieś obok. Nie było mowy o powrocie do Buxtehude, ale dotychczasowa pewność, że zostanie wziętą modelką, zaczęła się zamieniać w marzenia, by wkrótce przejść do sfery czystej fantazji. W końcu znalazła w książce telefonicznej agencję na Sankt Pauli. Nie była naiwna, zdawała sobie sprawę, dlaczego biura agencji mieszczą się nad klubem ze striptizem. Tabliczka na drzwiach informowała: „Modelki, tancerki egzotyczne i usługi towarzyskie”. Krępy, ubrany w

skórzaną kurtkę Włoch, szef agencji, przypominał bardziej gangstera niż kogoś ze świata mody. Powiedział Hannie, że jest śliczna, ma wspaniałe ciało i kamera ją polubi. „Będziesz się pieprzyć, rozumiesz?” przedstawił krótko i rzeczowo charakter pracy.

Hanna odparła, że nie jest zainteresowana, a Włoch tylko wzruszył ramionami:

– Okej – rzucił, nie próbując nakłaniać do zmiany decyzji.

Na pożegnanie dał jej wizytówkę, mówiąc, że jeśli kiedyś zmieni zdanie, to może zadzwonić.

W swoim wynajmowanym mieszkaniu, Hanna przyciskała do ust poduszkę, tłumiąc szloch. Najbardziej zdołował ją sposób, w jaki Włoch powiedział, że chodzi o filmy pornograficzne. Facet nie był paskudny ani lubieżny. On po prostu wyjaśnił, na czym rzecz polega, tak jakby mówił o stanowisku sekretarki w biurze. Najgorsze, że uznał ją za wartą tylko takiego zajęcia. Jasno dał do zrozumienia, że nie może się spodziewać nic więcej. Postanowiła zatem poszukać jakiejś normalnej pracy, lecz bez doświadczenia i bez matury szanse miała niewielkie.

W końcu udało jej się zatrudnić w piekarni, na linii

produkcyjnej. Pracowała tam z grubymi, głupimi, pozabawionymi wszelkich ambicji kobietami w średnim wieku. Dzień po dniu wykonywała nużącą pracę. Piękne, błyszczące włosy skrywał specjalny czepek, piękne ciało osłaniał biały piekarski fartuch, a ona z nieszczęśliwą miną ozdabiała kremem urodzinowe torty.

Ale to się zmieni. Wkrótce Markus zabierze ją stąd. Wkrótce będzie wiodła życie w luksusie. Skoro prześpanie się z właścicielem piekarni mogło zmienić jej życie – zamierzała to zrobić. Szczęście było już tak blisko; Markus obiecał, że rzuci wreszcie tę krowę, swoją żonę i ożeni się z nią.

Spojrzała na zegarek. Gdzie on się do cholery podziewa? Zawsze się spóźniał, zwykle z powodu żony. Rozejrzała się wokół. Parking otaczał zwarty szereg drzew, księżyc nie świecił, wszystko tonęło w mroku. Nie lubiła się z nim spotykać w tym miejscu, było odrażające. Wydało jej się, że coś się poruszyło pośród drzew. Wpatrywała się chwilę w ciemność, a potem westchnęła zniecierpliwiona.

Śledził ją już wcześniej, ale nie mógł jechać za nią aż do tego miejsca, obawiał się, że to będzie podejrze-

ne. Dlatego wrócił tu za dnia i obejrzał dokładnie okolicę. Dziś wieczorem jechał za nią dostatecznie długo, by nie mieć wątpliwości, dokąd zmierza, wyprzedził ją i dotarł na miejsce pierwszy. Wiedział, że do parkingu dochodzi jeszcze wąski leśny dukt, używany przez leśników. Wjechał motocyklem w las, zgasił światła i wyłączył silnik. Resztę drogi przebył pieszo, aby nikt na parkingu nie usłyszał warkotu motoru. Stał teraz na brzegu lasu, zupełnie niewidoczny i obserwował tę dziwkę, czekającą na kochanka. Czuł coraz większe podniecenie, czekał na zbliżającą się chwilę, gdy złość i nienawiść, które trawiły go od wewnątrz, znajdą wreszcie ujście. Powinni cierpieć. Oboje powinni doświadczyć prawdziwego bólu. Dziewczyna odwróciła się w jego stronę. Nie poruszył się. Patrzyła prosto na niego, próbując przebić wzrokiem ciemność. Głupia suka, i tak go teraz nie dostrzeże. Musi jeszcze zaczekać.

Reflektory samochodu rzuciły smugę światła na otaczające parking drzewa. To był mercedes Markusa Schillera. Ze swojej kryjówki patrzył, jak podjeżdża do zaparkowanego golfa, a Schiller przez otwarte okno czyni przepraszający gest. Hanna wysiadła z samocho-

du, zamknęła drzwi, podeszła nadąsana do mercedesa i usiadła na siedzeniu pasażera.

Nadszedł czas.

Sobota, 20 marca, 10.20.

Szpital Mariahilf, Heimfeld, Hamburg

Promienie ostrego wiosennego słońca wpadające przez okno podzieliły szpitalną salę na dwie części: rozświetloną i zacienioną. Mężczyzna podniósł rolety, pozwalając słońcu bezlitośnie oślepić twarz matki.

– Proszę, *Mutti*. I co, tak lepiej? – Podszedł do łóżka i przysunął krzesło. Pochylił się z troską nad leżącą. Gestem, który wydawał się łagodny i czuły, położył dłoń na jej czole i odgarnął włosy; ostre światło raziło bezbronną kobietę.

– Zeszłej nocy poszedłem się pobawić, *Mutti*. Tym razem dwoje. Poderżnąłem im gardła. Jemu pierwszemu. Ona błagała, żebym darował jej życie. To było takie zabawne, *Mutti*. Powtarzała w kółko: „Och, nie, och, nie...”. Ugodziłem ją nożem. W szyję. Dopiero wtedy się zamknęła. – Roześmiał się cicho. Zsunął dłoń z czoła i jego palce powędrowały wzdłuż kości policzkowych i wokół chudej, pomarszczonej szyi. Przechylił głowę na bok, już się nie uśmiechał. Nagle cofnął rękę i usiadł wygodnie na krześle.

– Pamiętasz, *Mutti*, jaką zwykle wymyślałaś mi

karę? W dzieciństwie, kiedy byłem chłopcem? Pamiętasz, jak za karę musiałem w kółko opowiadać bajki? A jeśli pomyliłem choć jedno słowo, to biłaś mnie laską? Tą samą, którą przywiozłaś z wakacji w Bawarii? Pamiętasz, jak się wystraszyłaś, kiedy pewnego razu tak mnie zbiłaś, że straciłem przytomność? Wpajałaś mi poczucie winy. Byłem „bezwartościowym grzesznikiem” – tak mnie nazywałaś, pamiętasz? – Przerwał, jakby oczekiwał odpowiedzi, która nie mogła paść, po czym mówił dalej: – I zawsze kazałaś mi opowiadać te bajki. Ile czasu spędziłem, żeby się ich nauczyć na pamięć. Czytałem je wciąż od nowa, aż w końcu litery i całe wyrazy zaczynały mi skakać przed oczami. Starałem się nie pominąć żadnego słowa, nie pomylić się. Ale zawsze się myliłem, prawda? Zawsze znalazł się powód, żeby mnie zbić. – Westchnął, wyjrzał przez okno, za którym trwał w najlepsze piękny dzień i zwrócił się ponownie do kobiety: – Niedługo, już bardzo niedługo, zabiorę cię do domu, mamó.

Wstał, pochylił się i pocałował ją w czoło.

– Mam w domu tę laskę...

Niedziela, 21 marca, 9.15.

Park Hamburger Berge, na południe od Hamburga

Maria dotarta na miejsce zbrodni nieco wcześniej; bardziej przypominało polanę niż parking. Fabel podejrzewał, że służyło dwóm celom: w dzień stanowiło punkt zborny wycieczek, a w nocy azyl dla spragnionych potajemnych schadzek. Zatrzymał swoje bmw obok jednego z zielono-białych radiowozów policyjnych i wysiadł. Był jasny, rzeński, wiosenny poranek. Z gęstwiny drzew dobiegał śpiew ptaków.

– Gdzie oni są? – zapytał Fabel.

– Tam. – Maria wskazała na niewielką przerwę w ścianie lasu. – To ścieżka dla pieszych. Jakies trzysta metrów dalej jest mała polanka, a na niej stół wykorzystywany podczas pikników. Tylko do tamtego miejsca można dojechać samochodem.

Fabel zauważył, że ta połowa parkingu, skąd odchodziła ścieżka, została odgradzona.

– Możemy? – Fabel wskazał gestem dłoni, żeby Maria prowadziła. Na nierównej piaszczystej drodze ekipa dochodzeniowa zabezpieczała ślady. Spojrzał

pytająco na Marię.

– Ślady opon – odparła. – I kilka odcisków butów do sprawdzenia.

Zatrzymał się i przyjrzał śladom na drodze.

– Rower górski?

Pokręciła głową.

– Motocykl. Może być niezwiązany ze sprawą, podobnie jak ślady butów.

Ruszyli dalej. Fabel wpatrywał się w rosnące po obu stronach drogi drzewa. Kiedy je mijali, przestrzeń między nimi stawała się mroczna, jakby słońce nie mogło tam dotrzeć. Przypomniawszy sobie audycję radiową. Ciemność lasu w świetle dnia – metafora czającego się niebezpieczeństwa. Dukt skręcał i nagle ich oczom ukazała się niewielka polana. Krążyło tam co najmniej dwunastu ludzi z ekipy dochodzeniowej. Większość z nich skupiła się przy stole i ławkach, stojących na prawo od szlaku. Dwa ciała, kobiety i mężczyzny, znajdowały się na ziemi w pozycji siedzącej, oparte o ławkę. Martwe oczy patrzyły na Fabla i Marię. Siedzieli naprzeciw siebie, z wyciągniętymi rękoma, jakby próbując się dosięgnąć. Ich dłonie się stykały. Pośród nich leżała starannie rozłożona chusteczka. Przyczyna

śmierci była widoczna gołym okiem, oboje mieli pode-
rżnięte gardła. Mężczyzna był dobrze po trzydziestce i
miał krótko przycięte ciemne włosy. W otwartych
ustach zastygła czarnoczerwona krew.

Nadkomisarz podszedł bliżej. Patrzył teraz na ubra-
nie mężczyzny. Ubranie było dla Fabla jedną z najbar-
dziej intrygujących rzeczy na miejscu zbrodni: śmierć
zaprowadza swój własny porządek, kieruje się wła-
snym planem, nie dba o subtelności, z jakich składa się
nasze życie. Szary garnitur i jasnobrązowe buty wyglą-
dały na drogie, wskazywały na status mężczyzny, jego
gust, pozycję społeczną. Teraz garnitur był pogniecio-
ny, zszargany, umazany krwią. Na koszuli widniała
ogromna plama krwi. Jeden but leżał dobre pół metra
od zwłok. Szare jedwabne skarpetki zrolowały się na
łydce, odsłaniając bladą skórę.

Spojrzał na kobietę. W porównaniu z mężczyzną
ubranie miała mniej zbryzgane krwią. Jej śmierć nastą-
piła znacznie szybciej. Spodnie na udach były jednak
trochę poplamione. Mogła mieć około dwudziestu lat;
w długich, jasnych włosach, dostrzegł pasma czerwone
od krwi. Zwrócił uwagę, że ubranie, choć gustownie
dobrane pod względem kolorystycznym, musiało po-

chodzić z niższej półki. Miała na sobie jasnozielony T-shirt i dżinsy, niemarkowe. Oni nie byli parą, a przynajmniej nie na stałe. Fabel pochylił się i obejrzał chusteczkę; leżały na niej drobne okruchy chleba. Podniósł się.

– Żadnego śladu noża? – zapytała Maria.

– Nie. I ani kropli krwi na ziemi, na stole, nigdzie wokół.

– Cześć, Jan... – Podszedł do nich Holger Brauner.

Fabel uśmiechnął się. Kiedy tylko dostrzegł plamy krwi na dżinsach kobiety, uświadomił sobie, że miejsce, gdzie znaleziono ofiary, nie jest tym miejscem, w którym popełniono zbrodnię.

– Szybko tu dotarłeś... – powiedział do Braunera.

– Zadzwonili do nas z lokalnego komisariatu. Ten sam człowiek dzwonił pewnie do ciebie. Komisarz... – Brauner usiłował przypomnieć sobie nazwisko.

– Hermann – podpowiedziała Maria. – Jest tutaj. – Wskazała na wysokiego, blisko czterdziestoletniego mężczyznę w cywilu. Stał z grupą policjantów, ale kiedy zauważył, że jest obiektem zainteresowania, uczynił wobec kolegów przeproszający gest i skierował się w stronę przedstawicieli wydziału zabójstw. W jego ru-

chach było zdecydowanie, a kiedy się zbliżył, Fabel stwierdził, że jego niepozorny wygląd, zmierzwiłone włosy koloru piasku i blada cera, pozostawał w sprzeczności z energią emanującą z jasnozielonych oczu. Przypominał niezującego Paula Lindemanna. To wrażenie minęło, gdy mężczyzna podszedł bliżej.

Policjant skinął głową Marii, potem wyciągnął dłoń do Fabla i Braunera. Na skórzanej kurtce miał jedną srebrną gwiazdkę.

– Komisarz Henk Hermann z lokalnej policji – przedstawiła go Maria.

– Dlaczego nas pan zawiadomił w tak nietypowy sposób, komisarzu? – zapytał Fabel z uśmiechem. Miejscowa policja miała jedynie zabezpieczyć miejsce zbrodni i trzymać z dala gapiów, a resztą powinna zająć się policja kryminalna.

Na wąskich ustach Hermanna pojawił się niepewny uśmiech.

– Cóż... – Spoglądał na ciała zza ramienia Fabla. – Wiem, że pański oddział specjalizuje się w tego typu sprawach.

– Jakiego rodzaju sprawach? – wtrąciła Maria.

– To na pewno nie jest samobójstwo. A morder-

stwo nie zostało dokonane tutaj...

– Dlaczego pan tak sądzi?

Hermann zawahał się. Nie było w zwyczaju, żeby zwykły policjant wygłaszał opinie na temat zbrodni, tak jak nie było w zwyczaju oficerów policji kryminalnej, a szczególnie kogoś z wydziału zabójstw, wysłuchiwanie tych opinii. Okrążył grupkę stojących osób, żeby lepiej widzieć ciała, zachowując jednak odpowiednią odległość, by nie zatrzeć śladów. Przykucnął, balansując na palcach stóp, i wskazał na podejrzięte gardło mężczyzny.

– Musiałbym dokładniej obejrzeć ciało, żeby mieć pewność, ale i tak widać, że mężczyźnie zadano dwa ciosy nożem. Pierwszy trafił w bok szyi i wywołał potężny krwotok. Drugi przeciął tchawicę. Dziewczyna zginęła od jednego pociągnięcia nożem, w poprzek gardła. Ta krew – pokazał czerwoną plamę na spodniach – nie należy do niej. Jestem pewien, że to krew zamordowanego mężczyzny. Musiała znajdować się bardzo blisko niego, kiedy zadano mu cios i krew z jego szyi trysnęła na spodnie. Nigdzie wokół nie ma śladów krwi. Stąd wniosek, że morderstwa dokonano gdzie indziej. Ciało musiał przenieść tutaj zabójca. Je-

zeli tak rzeczywiście było, to musiał mieć dużo siły. Prawie w ogóle nie ma śladów ciągnięcia ciał – mógł to zrobić, gdy układał ciało mężczyzny. Wtedy zapewne spadł mu z nogi but. Nie można tu dojechać samochodem, więc ofiary zostały przeniesione.

– Coś jeszcze? – zapytał Fabel.

– To tylko przypuszczenia, ale wydaje mi się, że mężczyzna zginął pierwszy. Może był zaatakowany z zaskoczenia. Nie stawiał oporu. Druga ofiara nie miała tyle siły i nie stanowiła dla zabójcy większego zagrożenia.

– Założenie trudne do przyjęcia – skwitowała Maria z gorzkim uśmiechem. Hermann wstał i wzruszył ramionami.

– Opisał pan sposób działania mordercy – odezwał się nadkomisarz. – Ale nadal nie wyjaśnił, skąd pomyśl, że to jest sprawa dla nas.

Hermann cofnął się o krok i przekrzywił głowę, jakby podziwiał jakieś dzieło sztuki.

– Właśnie dlatego – odparł. – Spójrzcie...

– Na co?

– Morderca nie zamierzał po prostu porzucić tu ciało. Mógł to zrobić dwadzieścia metrów stąd, w lesie,

i pewnie minęłyby tygodnie lub miesiące, zanim ktoś by je znalazł. To przesłanie. On chciał nam coś powiedzieć. Wybór miejsca, ułożenie ciał, chusteczka, okruszki chleba. Wszystko to zostało zaplanowane, upozowane specjalnie dla nas.

Fabel zerknął na Braunera, który uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Upozowane... – powtórzył Hermann, wyraźnie sfrustrowany. – Wszystko zostało przemyślane. Świadczy to, że za zabójstwami stoi jakiś maniak, seryjny morderca. Właśnie dlatego pomyślałem sobie, że powinienem zwrócić się bezpośrednio do pana, panie nadkomisarzu. – Odwrócił się teraz do Braunera. – A z panem skontaktowałem się, bo sądziłem, że pan może wywnioskować coś z pozostawionych śladów, coś, co moja ekipa mogłaby przeoczyć. Z zainteresowaniem obserwowałem pańską pracę i uczestniczyłem w wielu seminariach, które pan prowadził.

Brauner pochylił głowę z udawaną pokorą.

– Na pewno pan uważnie słuchał wykładów, panie komisarzu.

Fabel uśmiechnął się szeroko.

– Przepraszam, komisarzu Hermann, wcale nie su-

gerowałem, że traci pan czas. Wszystko, co pan powiedział o miejscu zbrodni, jest prawdą, włącznie z faktem, że morderstwa dokonano gdzie indziej. Chciałem tylko usłyszeć pańską argumentację.

Napięcie na twarzy Hermanna nieco zelżało, ale spojrzenie jasnozielonych oczu nadal było twarde.

– Musimy się dowiedzieć – ciągnął Fabel – gdzie dokonano zbrodni.

– Mam na ten temat swoją teorię, panie nadkomisarzu uprzedził Hermann, nim ktokolwiek zdążył powiedzieć choć słowo. Brauner się roześmiał.

– Byłem pewien, że pan ma.

– Jak powiedziałem, ciała zostały tu przyniesione. Na ścieżce są ślady stóp. Odciski są duże, co sugeruje, że był to wysoki mężczyzna. Ścieżka jest piaszczysta, ale nie błotnista, a ślady są głębokie. Musiał więc nieść coś ciężkiego.

– A może po prostu dużo ważył – wtrącił Brauner – i wybrał się na spacer po lesie, żeby pozbyć się nadmiaru kalorii?

– No to mu się udało – odparł Hermann. – Znaleźliśmy ślady, gdy szedł w stronę polany i ślady, gdy wracał na parking. Te drugie nie są już tak głębokie. Moż-

na więc przypuszczać, że tajemniczy ktoś przyniósł na polanę coś ciężkiego i wracał bez obciążenia.

– Chce pan przez to powiedzieć, że miejscem zbrodni był parking? – zapytał Fabel.

– Niekoniecznie. Mógł ich tam zabić, ale nie znaleźliśmy dotąd żadnych śladów. Dlatego właśnie zagroziłem parking. Podejrzewam, że ofiary zostały zamordowane gdzie indziej i przywieziono je tu samochodem. Albo zamordowano je w samochodzie stojącym na tym parkingu. Jeżeli jednak przywiózł tu skądś ofiary, to na pewno zatrzymał samochód blisko ścieżki.

Fabel skinął głową z uznaniem. Brauner się roześmiał i poklepał życzliwie Hermanna po ramieniu. Widać było wyraźnie, że Hermann nie był specjalnie zachwycony tym gestem.

– Zgadzam się z panem, kolego. Chociaż do zidentyfikowania tych śladów jako śladów mordercy jeszcze daleka droga. To była dobra robota. Niewielu fachowcom przyszłoby do głowy, żeby zabezpieczyć parking.

– Czy kiedy znaleziono ciała, parking był pusty? – zapytał Fabel.

– Tak – odparł Hermann. – Stał tylko jeden samochód, niebieski opel, należący do spacerowicza, który

znalazł ciała około siódmej trzydzieści rano. A zatem samochód, w którym dokonano zbrodni albo którym przewieziono ciała, musiał zniknąć stąd dużo wcześniej. Pewnie został gdzieś porzucony lub może nawet spalony dla zatarcia śladów. – Wskazał palcem szlak wiodący w przeciwną stronę. – Ta droga prowadzi do kolejnego parkingu, oddalonego o około trzy kilometry. Wysłałem tam ludzi, żeby na wszelki wypadek sprawdzili, ale nic tam nie znaleźli.

Fabel spostrzegł, że Maria nie odezwała się w trakcie ich rozmowy ani słowem. Podeszła bliżej do ciał i jak zaczarowana wpatrywała się w zwłoki kobiety. Fabel przeprosił zgromadzonych wokół niego ludzi i zbliżył się do niej.

– Wszystko w porządku? – zapytał. Maria uniosła głowę i patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem. Na pobludłej twarzy widoczne było napięcie.

– Co? A... tak. – I w końcu bardziej rzeczowo: – Tak. Wszystko w porządku. To nie jest posttraumatyczny stres, jeśli o to ci chodzi.

– Nie, nie o to mi chodziło. Co tam zobaczyłaś?

– Zastanawiałam się, co zabójca usiłuje nam przekazać. I wtedy spojrzałam na ich dłonie.

– No tak. Jakby mieli podać sobie ręce.

– Nie. Nie w tym rzecz – odparła Maria. – Jego prawa ręka i jej lewa. Mają zaciśnięte pięści. To wygląda nienaturalnie, stanowi jakąś część przedstawienia, które urządził.

Fabel obrócił się gwałtownie.

– Holger! Chodź, zobacz. – Brauner i Hermann podeszli, a Fabel wskazał im to, co zauważyła Maria.

– Masz rację, Mario... – powiedział Brauner. – Chyba zaciśnięto je już po śmierci, nim stężały ciała. – Nagle zrobił minę, jakby go coś poparzyło. – Chryste, Jan. Ta dziewczyna na plaży...

Brauner sięgnął do kieszeni marynarki, wydobyl sterylne zapakowane rękawiczki chirurgiczne i założył je na dłonie. Z kieszeni na piersi wyjął probówkę. W każdym jego ruchu wyczuwało się pośpiech. Podszedł bliżej i przekreślił rękę dziewczyny. Nie było to łatwe z powodu stężenia pośmiertnego, przywołał więc Hermanna, wręczając mu drugą parę rękawiczek.

– Załóż, zanim dotkniesz ciała. Przytrzymaj jej ramię.

Brauner usiłował otworzyć zaciśniętą dłoń, używając probówki jako dźwigni, ale bez powodzenia. W

końcu musiał odgiąć palce własnymi rękami. Odwrócił się do Fabla i z ponurą miną skinął głową. Chirurgiczną pęsetą wyjął z dłoni dziewczyny mały, ciasno zrolowany skrawek żółtego papieru. Włożył karteczkę do foliowego worka i rozprostował ją ostrożnie. Wstał i wrócił po własnych śladach do pozostałych. Za nim szedł Hermann.

– Co tam jest napisane?

Brauner podał torebkę Fablowi. Nadkomisarz spojrział i przeszył go dreszcz. Taki sam prostokąt takiego samego żółtego papieru, wielkości dziesięć na pięć centymetrów. Rozpoznał drobne, regularne pismo i czerwony atrament. Tym razem na kartce widniało tylko jedno słowo: „Małgosia”. Pokazał kartkę Marii.

– Cholera, to ten sam facet. – Przeniosła spojrzenie na ciała. Brauner właśnie otwierał zaciśniętą dłoń mężczyzny.

– A to pewnie będzie „Jaś” – powiedział Brauner. Podniósł się i włożył kartkę do torebki.

Fabel czuł ucisk w piersi. Popatrzył na bladoniebieskie niebo, potem w dół na ścieżkę prowadzącą na parking, na zieloną ścianę drzew i zatrzymał wzrok na tych dwojgu, siedzących z poderżniętymi gardłami;

stykające się dłonie kobiety i mężczyzny, chusteczka rozłożona na trawie, pełna okruchów chleba... Jaś i Małgosia. Ten pomylenieć myślał, że ma poczucie humoru.

– Przyznaję panu rację, komisarzu Hermann, dobrze się stało, że zostaliśmy wezwani. Dzięki temu znaleźliśmy się trochę bliżej seryjnego mordercy, który już wcześniej zabił jedną osobę, a może nawet dwie. – Hermann był rozpromieniony, choć Fabel nie zrewanżował się uśmiechem. – Chciałbym, żeby pan teraz zebrał swoją ekipę na parkingu. Powinniśmy się naradzić. Trzeba będzie zdjąć odciski palców z całej okolicy. Potem musimy znaleźć właściwe miejsce zbrodni. I dowiedzieć się, kim są ofiary.

Niedziela, 21 marca, 10.00.
Blankenese, Hamburg

Siedziała na fotelu i starzała się.

Siedziała wyprostowana, nieruchoma, wsłuchana w tykanie zegara, świadoma tego, że każda odmierzana sekunda zabiera jej młodość i niszczy urodę. Nieprzeciętną urodę. Szlachetna gracia Laury von Klosterstadt była ponadczasowa, niepodlegająca lansowanym wzorcom kobiecego piękna, w zależności od mody to na dziewczyny wychudzone, to znów na zmysłowe. Była uosobieniem prawdziwego piękna: nieprzemijającej, surowej perfekcji. Nie musiała być „odkrywana” przez fotografów, jej piękno miało swe źródło w szlachetności urodzenia, tworzyły je kolejne pokolenia. To piękno stało się też towarem rynkowym: domy mody i firmy kosmetyczne płaciły za jej urodę ogromne pieniądze.

Laura była równie piękna, jak samotna. Trudno sobie to wyobrazić, ale uroda i brzydota mogą być tak samo odpychające. Brzydota wywołuje niechęć, niezwykła uroda, jak w wypadku Laury, wywołuje strach. Ją otoczyła wysokim murem, który tylko nieliczni

mężczyźni mieli odwagę przeskoczyć.

Siedziała i myślała o swoim wieku. W tym tygodniu kończyła trzydzieści jeden lat. Heinz, jej agent, wkrótce tu będzie. Miał pomóc w przygotowaniach do urodzinowego przyjęcia. Zaangażowanie się Heinza dawało jej pewność, że wszystko się uda. Ten ekscentryczny, pełen życia gej, który łączył w sobie niewyczerpaną energię, żelazną konsekwencję i skuteczność działania, był wspaniałym agentem i, co więcej, najbliższym przyjacielem Laury. Jediną osobą, która rozumiała bezmiar smutku, jaki ją przytłaczał. Wkrótce jego hałaśliwe, ekstrawaganckie zachowanie wniesie sporo ożywienia. Na razie jednak w willi panował spokój.

Pokój, w którym siedziała, był jednym z dwóch miejsc, gdzie mogła się skryć przed światem; wielki, rozświetlony ponad miarę salon z bezlitośnie twardym fotelem, drewnianą podłogą i białymi ścianami. Drugie takie miejsce stanowił pokój z basenem, wyrastający z boku domu w kierunku tarasów. Kiedy ktoś płynął w kierunku olbrzymich panoramicznych okien, wyglądało to jakby płynął prosto w niebo.

Lubiła przebywać w tym zachęcająco jasnym poko-

ju. Sufit pokrywały kasetony ze zdobnym obramowaniem. Ścianę wychodzącą na zatokę przeszklono na całej wysokości. Idealny wprost pokój dla dziecka, pomyślała, widząc go po raz pierwszy i natychmiast postanowiła kupić tę willę.

To pomieszczenie nigdy się nie zmieniło w pokój dziecienny. Pozostało surowe i białe, a jego jasność wydawała się teraz zbyt sterylna. Siedząc tu, rozmyślała o dziesięcioletnim dziecku, które nie żyło. Które tak naprawdę nigdy nie zaistniało. Błądziła wzrokiem po białym pustym pokoju. Jak wyglądałby, pełen kolorów i zabawek?

Może lepiej, że nie przyszło na świat. Doświadczenie jej relacji z matką podpowiadało Laurze, że mając dziecko, przekazałaby następnemu pokoleniu nieszczęścia, które ją samą dotknęły. Nie znaczyło to, że matka była okrutna. Nie biła jej, nie poniżała. Margarethe von Klosterstadt po prostu nic szczególnego z córką nie wiązało. Bywało, że patrzyła na nią z niepokojem, krytycznie, oceniając, zadając bezgłośnie pytanie, kim lub czym właściwie Laura jest i jaką powinna obrać drogę w życiu. Laura zawsze żyła w przeświadczeniu, że w ocenie matki jest złą dziewczyną. Niepokorną. Marga-

rethe potrafiła bezbłędnie wyłapać wszystkie dziecięce przewinienia Laury i skwitować je lodowatym spojrzeniem dezaprobaty. Umiała jednakże dostrzec ponadprzeciętną urodę córki, i traktowała ją jako jedyną wartościową rzecz. Na początku nawet, nim pojawił się Heinz, kierowała karierą córki. Pracowała bez wytchnienia, wręcz obsesyjnie nad wypromowaniem Laury, by mogła należeć do elitarnego kręgu osób z pozycją, wśród których obracali się Klosterstadtowie. Laura nie pamięta, by w dzieciństwie matka się z nią bawiła. By się o nią troszczyła. By uśmiechała się do niej ciepło.

W tym tkwił problem.

Niemalże dokładnie dziesięć lat temu, kiedy uroda Laury zaczęła właśnie rozkwitać i nie brakowało ofert pracy w charakterze modelki, pojawił się ktoś, komu udało się pokonać mur, którym Margarethe von Klosterstadt otoczyła swoją córkę. Mur, którym otoczyła się sama Laura.

Dziewczyna nie przyznała się, że jest w ciąży, ale matka sama do tego doszła w jakiś tajemniczy sposób, który trudno było nazwać matczyną intuicją. Zajął się wszystkim. Laura nigdy więcej nie zobaczyła swojego

chłopaka, nigdy o nim nie wspomniała, nawet nigdy o nim więcej nie myślała. Wiedziała, że matka zrobiła wszystko, by już więcej nie pojawił się w jej życiu. Von Klosterstadtowie potrafili nakłonić innych do spełnienia ich woli, a tych, których nie udało się nakłonić, wystarczyło przekupić. Na tydzień przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami został zorganizowany krótki wakacyjny wyjazd do prywatnej kliniki w Londynie. Dzięki niemu dalsza kariera Laury na salonach i na wybiegu dla modelek przebiegała bez zakłóceń. Jakby nic się nie stało.

Zabawne, ale zawsze sądziła, że to będzie chłopiec. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale tak właśnie wyobrażała sobie swoje dziecko.

Usłyszała podjeżdżający samochód. To Heinz. Westchnęła, podniosła się z fotela i wyszła do holu.

Niedziela, 21 marca, 12.00

Park Hamburger Berge, na południe od Hamburga

Kolejne odkrycia następowały prawie jednocześnie.

Komisarz Hermann przekazał przez radio, że znalazł ukryte w południowej części lasu dwa samochody: sportowego mercedesa i golfa. Morderca był niesamowity. Wyjątkowo metodyczny. Po odprowadzeniu pierwszego samochodu musiał odbyć dwudziestominutowy spacer po kolejny wóz. Fabel chciał znać szczegóły, ale wolał nie mówić o nich przez radio, więc odzwonił na komórkę Hermanna.

– Czy coś rzuciło się panu w oczy?

– Wygląda na to, że zbrodni dokonano w mercedesie. Powiem tak, tapicerki raczej nie da się już doczyścić. Na tylnym siedzeniu leży teczka. Pewnie dowiedzielibyśmy się z niej czegoś o ofiarach, ale oczywiście, nie ruszaliśmy jej. Sprawdziliśmy numer rejestracyjny – samochód należy do firmy. Piekarnia Albertus w Bostelbek w dzielnicy Heimfeld. Zacząłem już sprawdzać, kto jeździ tym samochodem. Golf jest własnością Hanny Grün. Został zarejestrowany w Buxte-

hude.

– Dziwne. Nie zadał sobie fатыgi, żeby ukryć samochody. Przecież mógł je chociażby podpalić – zastanowił się policjant.

– To mnie akurat nie dziwi – odparł Fabel. – On chciał dać sobie trochę czasu. Pragnął, żebyśmy znaleźli samochody, ale wtedy, kiedy jemu będzie to na rękę.

Kolejnego odkrycia dokonał Holger Brauner. Poprowadził Fabla z powrotem na parking, ku ścianie drzew. W jednym miejscu krzaki rosły rzadziej. Mimo to mężczyźni musieli rozgarniać gałęzie, żeby dotrzeć do wąskiej ścieżki. Okazało się, że również prowadzi do polany, lecz jest tak wąska, że mogą się nią poruszać tylko piesi lub rowerzyści. Fabel zaklął, kiedy drogie brązowe buty, za które zapłacił krocie w Londynie, zatoneły w torfiastym gruncie.

– Tutaj... – Brauner wskazał miejsce, gdzie umieścił na ziemi kilka tabliczek, oznaczając znalezione ślady. – Świeże odciski butów. Sądząc z rozmiaru – męskie. – Przeszli dalej i pokazał kolejny odcisk buta. – Uważaj, Jan. Jeszcze nie zrobiłem zdjęcia.

Nadkomisarz wziął sobie do serca przestrożę i

szedł porośniętym trawą poboczem ścieżki. Brauner zatrzymał się przy szeregu wbitych w ziemię tabliczek.

– A to ślady opon. Świeże.

Fabel przykucnął i przyjrzał się uważnie śladom.

– Motorower?

– Niewykluczone. – Brauner wskazał na miejsce, gdzie ścieżka skręcała raptownie, ginąc gdzieś w ciemnym lesie. Założę się, że gdybyś kazał któremuś ze swoich ludzi iść tą ścieżką dalej, dotarłby do głównej drogi. Ktoś jechał tędy, a kiedy był jakieś sto pięćdziesiąt metrów od parkingu, wyłączył silnik i dalej pchał motorower czy motocykl. – Wskazał ponownie na odciski butów. – A te ślady zdają się potwierdzać, że stał tu dłuższą chwilę, niewidoczny dla nikogo i obserwował, co się dzieje na parkingu.

– Sądysz, że to morderca?

– Być może – na twarzy Braunera pojawił się typowy dla niego nieco ironiczny uśmiech – chyba że ślady należą do jakiegoś miłośnika przyrody, który obserwował nocne życie dzikich zwierząt akurat tu, na parkingu.

Fabel uśmiechnął się, ale w głowie zabrzmiał mu sygnał alarmowy. Wrócił, by przyjrzeć się jeszcze raz

śladom butów. Gałęzie, które musiał wcześniej odgarnąć na boki, idąc ścieżką, otoczyły go teraz zewsząd. Próbował sobie wyobrazić, że jest noc. Czekalesz tu, prawda? Wydawało ci się, że jesteś niewidoczny, że stanowisz część lasu. Czulesz się bezpiecznie, skryty tutaj. Patrzylesz i czekalesz. Widzialesz jak przyjeżdżają, najpewniej oddzielnie. Obserwowalesz jedno z nich, jego lub ją, osobę czekającą na tę drugą. Znalesz ich, albo przynajmniej wiedzialesz, co zrobią. Wiedzialesz, że trzeba poczekać, aż pojawi się druga ofiara. I wtedy zaatakowalesz.

Odwrócił się do Braunera.

– Masz rację, Holger. Ten facet to nie zwykły podglądacz. Wybrał to miejsce celowo.

Niedziela, 21 marca, 15.20.

Hausbruch, południowy Hamburg

Nim Fabel i Werner dotarli na miejsce, lokalna policja zdążyła poinformować Vere Schiller, że znaleziono ciało, najprawdopodobniej jej męża. W kieszeni był portfel z dokumentami na nazwisko Markus Schiller. Holger Brauner wraz z ekipą dochodzeniową dokonali już oględzin dwóch porzuconych samochodów i ustalili, że mężczyzna został zamordowany wewnątrz pojazdu. Na siedzeniu pasażera pozostał ślad. W miejscu gdzie znajdowała się dziewczyna, tapicerka nie była zabrudzona krwią tryskającą z przeciętej tętnicy. Ślady krwi znaleziono na masce samochodu, z czego Brauner wywnioskował, że dziewczynę wywleczono z pojazdu i podcięto jej gardło, kiedy leżała na masce.

– Jak na rzeźnickim pieńku – przedstawił obrazowo makabryczną scenę Brauner.

Ludzie z dochodzeniówki zabrali z tylnego siedzenia teczkę, w której znaleziono plik faktur za paliwo, mandat za przekroczenie prędkości i kilka broszur na temat profesjonalnego wyposażenia piekarni.

Posiadłość Schillerów znajdowała się na tyłach lasu Staatsforst. Wjazdowa aleja wysadzona była drzewami, których rozłożyste gałęzie zwieszały się nad drogą. Dopiero na końcu rozciągał się duży, zadbane trawnik. Fabel odniósł wrażenie, że znów wychodzi na leśną polanę. Sam dom okazał się dziewiętnastowiecznym dworkiem z pomalowanym jasnokremową farbą frontem i wielkimi oknami.

– Wygląda na to, że na bułkach można się dorobić fortuny – mruknął Werner, kiedy Fabel zaparkował na nieskazitelnie czystym, żwirowym podjeździe.

Drzwi otworzyła Vera Schiller. Przeszli przez hol z marmurową posadzką i kolumnami do przestronnego salonu. Na zapraszający gest pani domu obaj policjanci usiedli na zabytkowej sofie. Fabel, choć gustował w rzeczach bardziej współczesnych, zwrócił uwagę na antyczne meble o dużej wartości. Vera Schiller usiadła naprzeciw, założyła nogę na nogę, a ręce złożyła na podolku. Była atrakcyjną, ciemnowłosą kobietą po trzydziestce. Wszystko w niej – twarz, postawa, uprzejmy uśmiech na powitanie – było przesadnie spokojne.

– Pani Schiller, zdaję sobie sprawę, że to musi być

dla pani bardzo bolesne – zaczął Fabel. – Ale w tej sytuacji musimy prosić panią o formalną identyfikację ciała, choć raczej nie ma wątpliwości, że to pani mąż. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia. – Uniósł się niezgrabnie; taka sofa to niewygodny mebel.

– Czyżby? – Ton głosu Very Schiller wcale nie był uprzejmy. – Nie znaliście panowie Markusa. Nie znać mnie.

– Mimo wszystko – powiedział Fabel – jest nam naprawdę przykro.

Vera Schiller, jakby rozdrażniona tymi słowami skinęła głową. Fabel nie wiedział, czy chciała w ten sposób ukryć żal, czy rzeczywiście śmierć męża wcale jej nie poruszyła. Wyjął z kieszeni przezroczystą torebkę, w której przechowywano dowody. Wręczył jej dokument z podobizną Markusa Schillera.

– Pani Schiller, czy to jest pani mąż?

Ledwie zerknęła na fotografię, a potem utkwiała wzrok w Fablu.

– Tak. To Markus.

– Czy domyśla się pani, dlaczego pan Schiller znalazł się w lesie tamtego wieczoru? – zapytał Werner.

Roześmiała się z goryczą.

– Dla mnie to oczywiste. Sądzę, że znaleźliście także ciało kobiety.

– Tak – odparł Fabel. – Kobieta nazywała się Hanna Grönn, tak nam się przynajmniej wydaje. Czy to nazwisko coś pani mówi?

Po raz pierwszy, odkąd rozmawiali, w oczach Very Schiller dostrzegł jakby smutek i ból. Jednak szybko się opanowała.

– Wierność była dla mojego męża pojęciem równie abstrakcyjnym i trudnym do pojęcia, jak fizyka nuklearna mówiła, uśmiechając się ironicznie. – Przekraczała jego zdolność percepcji. Przewinęło się mnóstwo różnych kobiet, ale kojarzę to nazwisko. Panie nadkomisarzu, nie mierzi mnie już tak bardzo to, że Markus romansował – Bóg jeden wie, że zdążyłam do tego przywyknąć – ale że nie miał klasy, dość wyobraźni ani poczucia smaku, żeby sięgnąć po coś więcej niż szeregowie pracownice naszego zakładu.

– Ta dziewczyna pracowała u państwa?

– Tak. Hanna Grönn pracowała od około sześciu miesięcy. Pracowała na produkcji, jej szefem był pan Biedermeyer. On pewnie może powiedzieć o niej więcej niż ja. Pamiętam, jak zaczynała. Ładna dziewczyna,

choć prowincjonalna. Natychmiast pomyślałam sobie, że to jest właśnie kąsek dla Markusa. Mimo wszystko miałam nadzieję, że nie będzie się pieprzył z pomywaczką.

Fabel wytrzymał jej spojrzenie. Obsceniczność nie pasowała do stylu Very Schiller. Dlatego pewnie postanowiła z niej skorzystać.

– Rozumie pani, że muszę zapytać, co pani robiła poprzedniego wieczoru?

I znów gorzki śmiech.

– Wściekła, zdradzona żona dysząca zemstą? Nie, panie Fabel. Nie musiałam się uciekać do przemocy. Nie wiedziałam o romansie męża z panną Grün. A nawet gdybym wiedziała, nie przywiązywałabym do tego wielkiej wagi. Markus był świadom tego, że są granice, których nie może przekroczyć. Widzi pan, to ja jestem właścicielką firmy. Kiedyś należała do mojego ojca. Markus jest... – Przerwała, wzruszyła ramionami, potem potrząsnęła głową, jakby poirytowana tym, że nie potrafi się dostosować do nowej sytuacji. – Markus był tylko pracownikiem. Dom też należy do mnie. Nie miałam żadnego powodu, żeby zabijać Markusa. Jedynym ruchem mogłam uczynić go bezrobotnym i bez-

domnym. Dla kogoś, kto, jak on, lubił dostatek i wygodę, taka groźba wystarczała.

– A pani alibi na wczorajszy wieczór? – powtórzył pytanie Werner.

– Byłam na przyjęciu w Hamburgu, w firmie cateringowej, mniej więcej do pierwszej w nocy.

Fabel rozejrzał się po salonie. Wyczuł tu duże pieniądze. Jeśli miałoby się odpowiednie kontakty, można by załatwić w Hamburgu dosłownie wszystko. Na przykład zlecić zabójstwo. Podniósł się z drogiej, choć bardzo niewygodnej sofy.

– Dziękuję, że zechciała nam pani poświęcić swój czas. Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym odwiedzić także pani firmę i porozmawiać z pracownikami. Rozumiem, że zamknie pani firmę na kilka dni, lecz...

– Jutro otwieramy o zwykłej porze – przerwała mu bezceremonialnie. – Będę w swoim biurze.

– Przyjdzie pani jutro do pracy? – Werner próbował ukryć niedowierzanie, jednak zupełnie mu to nie wyszło.

Pani Schiller wstała.

– Proszę mnie umówić na oficjalną identyfikację

zwłok.

*

Kiedy dojeżdżali do głównej drogi, wydawało im się, że korony drzew zamykają się za nimi. Fabel usiłował wyobrazić sobie panią Schiller, siedzącą samotnie w wykwinnym salonie, kiedy nerwy jej puszczają i zalewa się łzami. Ale jakoś nie potrafił.

Niedziela, 21 marca, 21.00.

Pöseldorf, Hamburg

Fabel, otwierając drzwi swojego mieszkania, usłyszał płynącą z głośników muzykę klasyczną i odgłosy krzątania w kuchni. Wywołało to w nim mieszane uczucia. Miał poczucie bezpieczeństwa i zadowolenia, że nie wraca do czegoś, co jest tylko pustą przestrzenią. Że jest ktoś, kto na niego czeka. Jednak nie mógł się pozbyć wrażenia, że to najście. Był zadowolony, że nie zdecydowali jeszcze o zamieszkaniu razem, a przynajmniej wydawało mu się, że czuje zadowolenie. Pewnie wkrótce trzeba będzie coś postanowić. Ale jeszcze nie teraz. Podejrzewał, że ona miała podobne odczucia. Z drugiej strony odwlekanie tej decyzji niepokoiło Fabela: w życiu zawodowym przywykł do podejmowania decyzji, tymczasem w życiu prywatnym miał z tym duży kłopot, dlatego odwlekał w czasie tak długo, jak mógł. Był świadom tego, że brak stanowczości przynajmniej po części przyczynił się do rozpadu małżeństwa z Renate.

Zdjął marynarkę, odpiął kaburę i położył ją wraz z pistoletem na skórzanej sofie. Przeszedł do kuchni. Su-

sanne robiła omlety, sałatkę przygotowała wcześniej. W kieliszkach perliło się schłodzone pinot grigio.

– Pomyślałam, że wrócisz głodny – powiedziała, kiedy stanął za nią i objął ją w talii. Długie, ciemne włosy miała upięte w kok; pocałował ją w odsłoniętą szyję. Zmysłowy zapach wypełnił mu nozdrza. To był zapach życia. Smakował jak kieliszek dobrego wina po dniu spędzonym pośród umarłych.

– Jestem głodny – przytaknął. – Ale najpierw muszę wziąć prysznic...

– Dzwoniła Gabi – zawołała Susanne, kiedy wszedł pod prysznic. – Nic ważnego. Chciała po prostu pogadać. Rozmawiała z twoją matką, u niej wszystko w porządku.

– To dobrze. Zadzwonię do nich obu jutro. – Uśmiechnął się. Miał poważne obawy, że Gabi nie polubi Susanne. Na szczęście tak się nie stało, przypadły sobie do gustu od samego początku. Susanne szybko doceniła inteligencję Gabi i jej cięty dowcip, a Gabi była pod wrażeniem urody, klasy i ciekawej pracy Susanne.

Po kolacji Fabel i Susanne rozmawiali o wszystkim

i o niczym, unikając starannie tematu pracy. Tylko raz Fabel zrobił wyjątek i poprosił Susanne, żeby następnego popołudnia wzięła udział w naradzie dotyczącej nowego śledztwa. Poszli w końcu do łóżka i kochali się sennie, leniwie.

Obudził się zeszywniały. Czuł na plecach strużki potu.

– Wszystko w porządku? – zapytała zaniepokojona Susanne, którą niechcący zbudził. – Zły sen?

– Tak... Sam nie wiem... – Wzdrygnął się, patrząc przez drzwi sypialni i panoramiczne okno na błyszczące odbicie światła w wodach Aussenalster, jakby próbował doścignąć wzrokiem umykającą marę. – Chyba tak.

– To się zdarza zbyt często... – powiedziała kładąc mu rękę na ramieniu. – Te sny oznaczają, że nie radzisz sobie... że nie radzisz sobie z rzeczami, z którymi powinieneś sobie radzić.

– Wszystko w porządku. – Jego głos zabrzmiał zbyt zimno i zbyt twardo. Odwrócił się do niej i odezwał ciepłym, łagodnym tonem: – Wszystko w porządku, słowo daję. To pewnie przez twój omlet... – Roześmiał się i położył z powrotem. Susanne miała rację. Sny sta-

wały się coraz gorsze. Każde nowe śledztwo odciskało piętno w jego umyśle. – Nawet nie pamiętam, co mi się śniło – skłamał. Dwoje dzieci, bez twarzy, chłopiec i dziewczynka, siedziało na polanie w lesie i jadło skromny posiłek. Zza drzew wyłaniała się willa Very Schiller. Nic złego we śnie się nie zdarzyło, ale czuć było wszechogarniające zło.

Leżał w ciemnościach, jego niespokojne myśli krążyły nad samotnym, rozległym lasem na południe od miasta. Jaś i Małgosia. Dzieci zagubione w ciemnym lesie. A potem powędrowały ku czarnym wodom Łaby i jasnym piaskom Blankenese. Ku dziewczynie leżącej na brzegu. To tu wszystko się zaczęło. Tu zabrzmiały pierwsze nuty uwertury, których znaczenie Fabel prze-gapił.

Zmęczony umysł zaczął łączyć ze sobą rzeczy niepowiązane. Rozmyślał o Paulu Lindemannie, policjancie, który zginął w ostatniej dużej akcji i o dwóch nowych, tymczasowych członkach zespołu, z których jeden mógłby się stać stałym, pełnoprawnym członkiem. Tylko który? Hermann czy Klatt? Gdzieś z dala dobiegał głośny śmiech. Na Milchstrasse ludzie wychodzili z restauracji. Obok toczyło się zwykłe życie.

Fabel zamknął oczy. Jaś i Małgosia. Bajka. Przypomniał sobie audycję radiową, której słuchał wracając z Norddeich. Nie pamiętał nazwiska autora książki. Będzie musiał zapytać przyjaciela Ottona, właściciela księgarni w Alsterarkaden.

Bajka.

W końcu zasnął.

Poniedziałek, 22 marca, 10.00.
Alsterarkaden, Hamburg

Księgarnia Jensena znajdowała się w eleganckich arkadach pasażu Alster. Jasno oświetlona emanowała północnoeuropejskim chłodem; tak samo zapewne wyglądają księgarnie w Kopenhadze, Oslo czy Sztokholmie. Wnętrze cechowała nowoczesność i prostota, półki były z drewna bukowego i takie same elementy wykończenia. Wystrój sugerował, że panuje tu nieskazitelny porządek. To pierwsze wrażenie przyprawiało zawsze Fabla o uśmiech, gdyż dobrze znał właściciela, Ottona Jensena, kompletnie niezorganizowanego faceta. Przyjaźnili się od czasów uniwersyteckich. Ten wysoki jak tyczka, ekscentryczny mężczyzna wydawał się uosobieniem chaosu. Ale pod maską zagubionego bałaganiarza krył się nieprzeciętny umysł.

W środku było prawie pusto, a Otto odwrócony plecami do drzwi wykładał na półki książki z nowej dostawy. Jedna z nich wypadła mu z rąk, Fabel zdążył podbiec i złapać ją w locie.

– Widzę, że błyskawiczna reakcja jest nieodłączną cechą speców od kryminalnych zagadek. To naprawdę

budujące. Otto uśmiechnął się do przyjaciela i podał mu rękę. Wymienili uwagi na temat zdrowia, rodzin, dzieci, aż w końcu Fabel przeszedł do rzeczy i wyjawiał cel swojej wizyty.

– Uganiam się za nową książką. To jest powieść. Kryminał. Nie pamiętam tytułu ani autora, ale rzecz dotyczy tego, że jeden z braci Grimmów jest mordercą...

Otto uśmiechnął się.

– „Bajkowa ulica”. Gerhard Weiss.

Fabel pstryknął palcami.

– Właśnie! O nią mi chodzi!

– Nie myśl sobie, że tak dobrze znam całą literaturę, ten tytuł jest teraz bardzo promowany przez wydawcę. Zwracam też uwagę, że pewnie obraziłbyś literacką wrażliwość pana Weissa, nazywając jego książkę kryminałem. Założeniem jest idea, że „sztuka naśladuje życie, naśladowane sztuki”. Raptem kilku członków literackiego establishmentu zajmuje się tym tematem. – Otto zmarszczył brwi. – Dlaczego, na miłość boską, chcesz kupić kryminał z podtekstem historycznym? Czyżby Hamburg przestał ci dostarczać wystarczającej porcji realnych zdarzeń?

– Gdyby tak było, Otto... Jest dobra? Mówię o książce.

– Na pewno prowokacyjna. Weiss ma pojęcie o folklorze i dokonaniach braci Grimmów, interesuje się historią języka, ale jego styl jest pretensjonalny i napuszony. Prawdę mówiąc, mamy do czynienia ze zwykłym kryminałem, który próbuje pretendować do miana prawdziwej literatury. To jest oczywiście moja prywatna opinia... Chodź, napijemy się kawy. Otto zaprowadził przyjaciela do działu „Sztuka”. Od ostatniej wizyty Fabla w księgarni zaszły pewne zmiany. Żeby powiększyć powierzchnię sklepu, zlikwidowano korytarz. Galeria na piętrze wychodziła na miejsce, gdzie stały sofy i stoliki do kawy, zarzucone czasopismami i książkami. W rogu znajdował się niewielki kontuar, a na nim ekspres do kawy.

– Co za czasy – mówił Otto, krzywiąc się. – Zostałem księgarzem, ponieważ kocham literaturę. Chciałem sprzedawać książki, tymczasem najczęściej serwuję caffè latte czy macchiato. – Wskazał Fabelowi sofę, a sam podszedł do ekspresu. Po chwili wrócił z kawą, trzymając pod pachą książkę. Postawił filiżankę przed nadkomisarzem i jak się można było spodziewać, po-

tracił ją tak, że część płynu znalazła się na spodeczku.

– Na twoim miejscu zajmowałbym się przede wszystkim książkami. – Fabel uśmiechnął się do przyjaciela.

– Oto twoja książka. „Bajkowa ulica”.

Opasłe tomisko w twardej oprawie. Okładka ponura i ciemna, tytuł tłoczony gotykiem. Mała ilustracja pośrodku okładki, wykonana techniką dziewiętnastowiecznego miedziorytu przedstawiała dziewczynkę z czerwonym kapturem na głowie, wędrującą przez las. Za jej plecami w ciemnościach świeciły wielkie czerwone ślepie. Fabel przekartkował i zamknął książkę. Z tyłu na okładce znajdowała się fotografia Weissa: mężczyzna miał szeroką, surową twarz o grubych rysach, potężny kark i barczyste ramiona.

– Czytałeś jakieś jego książki, Otto?

– Prawdę mówiąc, nie. Przejrzałem kilka. Wszystkie jego wcześniejsze „dzieła” są podobne do siebie. To był rodzaj serii. Dziwacznej serii. Dopiero ta ostatnia jest czymś nowym.

– Dlaczego powiedziałeś „dziwaczna”?

– Poprzednie powieści były z gatunku fantasy. Nosiły wspólny tytuł – „Kroniki światów

alternatywnych”. Założenia są identyczne jak w poprzedniej książce, tyle że akcja rozgrywa się w zupełnie fikcyjnym świecie.

– Science fiction?

– Nie do końca. Świat stworzony przez Weissa przypomina nasz, tylko państwa mają inne nazwy, inną historię i tak dalej. Można powiedzieć, świat równoległy. Zaproponował czytelnikom, żeby wykupili „miejsce” w jego książkach. Za kilka tysięcy euro był gotów umieścić w powieści każdego. Im większa suma, tym sponsor odgrywa ważniejszą rolę w powieści.

– Dlaczego ktoś miałby za to płacić?

– Cóż, to taki osobliwy pomysł Weissa.

Fabel spojrział ponownie na twarz z okładki. Wyjątkowo ciemne oczy. Tak ciemne, że trudno odróżnić źrenice od tęczówki.

– Wyjaśnij mi to... Mam na myśli jego teorie.

Z miny Ottona wynikało, że zadanie jest trudne.

– Jezu, Jan, nie wiem. Mieszanka zabobonów i fizyki kwantowej. Albo raczej zabobonów ozdobionych fizyką kwantową.

– Otto... – Uśmiech Fabla zdradzał zniecierpliwienie.

– No dobrze... Niektórzy fizycy twierdzą, że we wszechświecie istnieje nieograniczona liczba wymiarów, zgadza się? A w związku z tym istnieje nieskończona liczba możliwości, nieskończona liczba kolejnych wariantów rzeczywistości.

– Zgadza się.

– Ta teoria od zawsze fascynowała pisarzy i ciągle stanowi źródło inspiracji. Wielu z nich jest przesądnych. Wielu nie kreuje swoich bohaterów, wzorując się na realnych postaciach z tego świata, w obawie, że wytwory ich wyobraźni znajdą odzwierciedlenie w rzeczywistości. Zabijasz w powieści dziecko, a ono faktycznie umiera w rzeczywistości. Taki rodzaj myślenia. Albo, co gorsza, opisujesz w powieści okrutną zbrodnię, a gdzieś, w innym wymiarze, staje się ona faktem.

– Przecież to nonsens. Więc w innym wymiarze ty i ja bylibyśmy tylko wytworem wyobraźni?

Otto wzruszył ramionami.

– Opisuję ci tylko punkt widzenia Weissa. Do tych metafizycznych bredni dodaje jeszcze, że nasze pojmowanie historii jest uwarunkowane bardziej przez literaturę, czyli, innymi słowy, przez interpretację postaci, a nie przez przekazy historyczne czy odkrycia archeolo-

giczne.

– A więc, mimo że temu zaprzecza, Weiss uważa, że skoro napisał powieść o Jacobie Grimmie jako o mordercy, to faktycznie, w jakimś innym wymiarze Jacob jest winny tych zbrodni. Albo że Grimm zostanie osądzony za morderstwa przez przyszłe pokolenia, które uwierzą w fikcję stworzoną przez Weissa, a nie w udokumentowane fakty.

– Właśnie tak. – Otto poklepał grzbiet książki. – Przyjemnej lektury. Mogę ci jeszcze jakoś pomóc?

– Prawdę mówiąc, tak. Znajdziesz u siebie zbiór bajek?

Poniedziałek, 22 marca, 15.00.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Sala konferencyjna wydziału zabójstw wyglądałaby jak biblioteczna czytelnia, gdyby nie fotografie wykonane na miejscu zbrodni, przypięte do tablic na ścianach obok powiększonych zdjęć kartek, znalezionych w zaciśniętych dłoniach trzech ofiar. Na biurku z drewna wiśniowego piętrzyły się stosy książek. Niektóre połyskiwały nowością, inne nosiły ślady czytania, wiele miało już pewnie wartość antykwaryczną. Fabel dołożył kilka książek kupionych w księgarni Jensena: trzy egzemplarze powieści Gerharda Weissa, egzemplarz „Baśni braci Grimm”, baśnie Hansa Christiana Andersena i Charlesa Perraulta. Pozostałe przyniosła Anna Wolff z hamburskiej biblioteki głównej.

Kiedy Fabel pojawił się w sali konferencyjnej, Anna Wolff, Maria Klee i Werner Meyer już tam byli. Obok siedział komisarz Klatt z policji kryminalnej landu Schleswig-Holstein. Choć członkowie zespołu z ożywieniem dyskutowali z nim, było wyraźnie widać, że traktują go jak outsidera. W momencie gdy Fabel zasiadał przy stole, do sali weszła Susanne Eckhardt.

Przeprosiła Fabla za spóźnienie w sposób tak oficjalny, jak tylko potrafią zwracać się do siebie ludzie sobie bliscy, którzy muszą współpracować na polu zawodowym.

– Dobrze – powiedział Fabel służbowym tonem. – Zaczynamy. Dwa miejsca zbrodni i trzy trupy. Biorąc pod uwagę, że pierwsza ofiara ma związek ze śledztwem komisarza Klatta w sprawie zaginięcia trzy lata temu pewnej dziewczyny, możemy przypuszczać, że pojawi się też czwarta ofiara. – Fabel zwrócił się teraz do Wenera. – Co zostało ustalone?

Werner zaczął od szczegółów, które już znali. Pierwszą ofiarę znalazła kobieta z Blankenese, przechadzająca się o świcie z psem po plaży. W drugim wypadku policja otrzymała anonimowy telefon. Ktoś zadzwonił z budki telefonicznej na stacji benzynowej przy autostradzie B 73. Fabel przypomniał sobie ślady kół motocykla na ścieżce prowadzącej do polany w lesie. Po co sprawca ukrył samochody, skoro chwilę potem zadzwonił na policję z informacją o dokonanej zbrodni? Werner wyjaśnił, że Brauner zabezpieczył dwa rodzaje odcisków buta. Te, które Hermann zauważył na ścieżce, nie pasowały do odcisków z parkingu.

– Wydaje się dziwne, że choć jest to inny rodzaj obuwia, rozmiar pozostaje ten sam. Duży, nietypowy, pięćdziesiątka – mówił Werner.

– Może z jakiegoś powodu zmienił buty? – wtrąciła Anna.

– Skupmy uwagę na motocykliście, który jechał ścieżką powiedział Fabel. – Obserwował i czekał, aż ofiary przyjadą.

– Nadal nie mamy wyników autopsji pierwszej ofiary ciągnął Werner – a także wyników oględzin samochodów porzuconych w lesie. Wiemy, że pierwsza ofiara została najprawdopodobniej uduszona, a kolejne dwie zamordowano, używając ostrego narzędzia. Sposób działania jest inny. Obie sprawy łączą kartki wciśnięte w dłonie ofiar. – Wstał i przeczytał na głos treść wszystkich kartek.

– Musimy się upewnić – odezwała się Susanne – czy ten ostatni ślad, odwołanie do „Jasia i Małgosi” jest tylko jednorazowym, okrutnym żartem, dlatego że morderca pozostawił ciała w lesie, czy rzeczywiście nawiązuje do znanych bajek.

– Ale w wypadku pierwszego morderstwa nie było żadnego odwołania do bajek. – Fabel przerzucał notat-

ki, jakby usiłował wyczytać z nich coś, co wcześniej przeoczył.

– Może nie zauważyliśmy – odpowiedziała Susanne.

– Zajmijmy się na razie Jasiem i Małgosią – kontynuował Fabel. – Załóżmy, że ten facet chce nam przekazać jakąś wiadomość. Co to może być? Kim są Jaś i Małgosia?

– Niewinne dzieci zagubione w lesie. – Susanne odchyliła się do tyłu. – Żadne z nich nie pasuje do ofiar. To stara niemiecka bajka, jedna z wielu zebranych i zapisanych przez braci Grimm. Jest także opera Humperdincka o tym samym tytule. Jaś i Małgosia są rodzeństwem – i to znowu nie pasuje do ofiar. Uosabiają niewinność w obliczu demoralizacji i zła i, co ważne, udaje im się zwyciężyć.

– Mam! – wykrzyknęła Anna Wolff, która od dłuższego czasu kartkowała księgę z bajkami.

– Co? – zapytał Fabel. – Widzisz związek z „Jasiem i Małgosią”?

– Nie. Nie, szefie. Przepraszam. Chodzi mi o pierwszą dziewczynę. Znalazłam odpowiednią bajkę. Młoda dziewczyna odnaleziona na plaży, tak? Nad

woda?

Fabel kiwnął ze zniecierpliwieniem głową.

Anna uniosła nad głową książkę tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć. Na stronie obok tekstu znajdował się rysunek piórkiem, przedstawiający smutną dziewczynkę, siedzącą na urwistej nadmorskiej skale. Postać na rysunku przypominała tę, którą Fabel widział, będąc w Kopenhadze.

– „Mała syrena”? Hans Christian Andersen? – Ton głosu Fabla wskazywał, że nie jest przekonany, choć z sali padały głosy aprobaty. Ponownie przyjrzał się ilustracji. Rysunek miał w sobie coś z symbolu. Podwinięte nogi przypominały syreni ogon. Wymarzona odpowiedź dla mordercy, zastanawiającego się, jak ułożyć ciało. Tyle że dziewczyna z plaży nie siedziała ani nie została umieszczona na skale. W pobliżu nie było nawet żadnej skały. Pozostawała jednak kartka papieru. Kartka z nieprawdziwymi danymi. I wzmianka „byłam pod ziemią”. – Nie wiem, Anno – powiedział. – Jest to pewien ślad. Ale zbyt wiele rzeczy się nie zgadza. Szukajmy dalej.

Wszyscy chwycili książki i zaczęli je wertować. Fabel wybrał „Baśnie” Andersena i w szybkim tempie

przeczytał „Małą syrenę”. Wrócił myślami do martwej dziewczyny i jej błękitnych oczu. Leżała na brzegu, czekając, aż ktoś ją odnajdzie. Anna w tym czasie przeglądała „Baśnie braci Grimm”, a Susanne „Niemieckie legendy”. Nagle poderwała się z krzesła.

– Pani komisarz, pani się pomyliła – zwróciła się do Anny. – Dla naszego mordercy literackim odniesieniem są bracia Grimm, a nie Andersen, czy Perrault. Dziewczyna z plaży nie miała być „Małą syreną”, miała być „Podmieńcem”.

Fabel poczuł, że cierpnie mu skóra.

– Mów dalej...

– Mamy tutaj opowieść spisana przez braci Grimm zatytułowaną „Podmieniec” i kolejną „Dwie kobiety pod ziemią”. – Przypis do tej baśni mówi, że istniał cały system wierzeń na temat dzieci, szczególnie tych nieochrzczonych, które uprowadzali „ludzie spod ziemi”, a w ich miejsce podkładali „podmieńców”. Posłuchajcie tego: „Ci »ludzie spod ziemi« zwykle używali wody jako źródła transportu, dlatego istnieje wiele baśni o podmieńcach porzuconych na brzegach Łaby czy Soławy.”

– A Blankenese znajduje się na brzegu Łaby –

przypomniął Fabel. – Co więcej, mamy na kartce pozostawionej w dłoni dziewczyny bezpośrednie odniesienie do „ludzi spod ziemi”. Dziewczynie przypisywano tam inną tożsamość. A więc była podmieńcem.

Werner odetchnął głęboko.

– Boże, tego właśnie szukaliśmy. Psychol-literat. Sądzicie, że ma zamiar zabijać, wskazując nam kolejne bajki Grimmów?

– Oby nie – odparła Susanne. – Ze spisu treści tej książki wynika, że zebrali ich ponad dwieście.

Poniedziałek, 22 marca, 17.10.

Instytut Medycyny Sądowej, Eppendorf, Hamburg

Möller był wysoki, wyższy i szczuplejszy od Fabela. Miał jasnopszeniczne włosy i nieregularne rysy twarzy. Należał, jak zawsze twierdził nadkomisarz, do osób, których wygląd zmienia się w zależności od ubrania. Jego twarz mogła pasować do rybaka albo arystokraty. Wszystko zależało od stroju. Doktor wydawał się świadomy tego faktu, więc zgodnie ze swoją władczą naturą pozował na angielskiego dżentelmena. Kiedy Fabel pojawił się w biurze patologa, Möller miał na sobie zieloną sztruksową marynarkę, a pod nią koszulę z Jermyn Street w Londynie. Zanim wstał zza biurka, Fabel już wiedział, że zobaczy na jego nogach zielone buty od Gucciego, takie, w jakich zwykła chadzać rodzina królewska.

– Czego sobie życzysz – odezwał się Möller bez cienia życzliwości. – Właśnie idę do domu. Fajrant. Cokolwiek by to było, może poczekać do jutra.

Nadkomisarz nie odezwał się słowem, stojąc w drzwiach. Möller westchnął, lecz nie usiadł z powro-

tem.

– No dobrze. O co chodzi?

– Przeprowadził pan sekcję dziewczyny znalezionej w Blankenese?

Möller energicznie kiwnął głową, otworzył teczkę, leżącą na biurku i wyjął z niej raport.

– Miałem dać wam to jutro. Miłej lektury. – Uśmiechnął się zniecierpliwiony i wcisnął Fablowi w rękę raport, kierując się jednocześnie do drzwi wyjściowych. Fabel nie poruszył się, na jego ustach pojawił się życzliwy uśmiech.

– Proszę, panie doktorze. Tylko kilka głównych punktów.

Möller westchnął.

– Powiedziałem już komisarzowi Meyerowi, że przyczyną śmierci było uduszenie. Znalazłem kilka uszkodzonych naczyń krwionośnych wokół nosa i ust oraz ślady duszenia na szyi. Prawdopodobnie ktoś ją dusił i dławił jednocześnie. Żadnych śladów przemocy seksualnej ani jakiegokolwiek aktywności seksualnej w ciągu czterdziestu ośmiu godzin przed śmiercią. Ale dziewczyna nie była dziewicą.

– Molestowanie seksualne?

– Wszystko wskazuje na to, że prowadziła normalne życie seksualne. Nie znalazłem żadnych śladów wewnętrznych uszkodzeń, które wskazywałyby na molestowanie w dzieciństwie. Autopsja wykazała jeszcze, że jej uzębienie było w kiepskim stanie. Tłumaczyłem to już panu Meyerowi. Chodziła do dentysty tylko wtedy, gdy bolały ją zęby. Zaawansowana próchnica, nadżerki dziąseł, usunięty lewy dolny trzonowiec. Co do kości, dwa stare złamania. Prawy nadgarstek i lewe ramię. Zrosły się same. Mogły być skutkiem nie tylko nieuwagi, ale molestowania. Złamanie nadgarstka na pewno było skutkiem wykręcenia ręki.

– Werner przekazał mi, że dwa dni przed śmiercią mało jadła.

Möller zabrał Fablowi raport i przejrzał go ponownie.

– W ciągu dwudziestu czterech godzin przed śmiercią zjadła tylko trochę pieczywa ryżowego. Na godzinę, może dwie przed śmiercią.

Nadkomisarz wyobraził sobie ciemne, ponure pomieszczenie i młodą przerażoną dziewczynę, spożywającą tam swój ostatni mizerny posiłek. Nie znał szczegółów z jej życia, wiedział już jednak, że było również

nieszczęśliwe, jak krótkie. Möller oddał mu raport, uniósł brwi i ruchem głowy wskazał drzwi.

– Przepraszam, doktorze. – Fabel usunął się z przejścia. Dziękuję. Bardzo dziękuję.

Nadkomisarz nie wrócił do wydziału zabójstw. Podjechał pod dom i zaparkował bmw w podziemnym garażu, na swoim miejscu. Cały czas miał w pamięci błękitne oczy martwej dziewczyny. Bardziej poruszyło go to osobiście żywe spojrzenie niż horror drugiego morderstwa. Podmieniec. Niechciane, fałszywe dziecko zamienione na ukochane i prawdziwe. Próbował zrekonstruować jej ostatnie chwile: lichego posiłek, podany najprawdopodobniej przez człowieka, który chwilę potem zdławił jej krzyk i udusił. Fabel pomyślał o ofiarach, składanych niegdyś na torfowiskach północnych Niemiec i Danii. Ciała złożone w czarnej, wilgotnej i ciężkiej glebie potrafiły przetrwać nienaruszone przez setki lat. Ofiarom podcinano gardła lub po prostu topiono. Nawet w ciałach, których przyrodzinek wskazywał na przynależność do wyższej klasy społecznej, odnajdywano ślady jedynie lichego ostatniego, rytualnego posiłku, składającego się zwykle z

ziarna. Jakiemu bóstwu została złożona w ofierze ta dziewczyna? Nie było śladów motywu seksualnego, dlaczego więc musiała poświęcić życie? Czy zginęła tylko dlatego, że była bardzo podobna do innej dziewczyny, też już pewnie martwej?

Wszedł do pustego mieszkania. Susanne pracowała do późna w instytucie. Przyniósł ze sobą książki, które kupił w księgarni Ottona i położył na stoliku do kawy. Nalał sobie kieliszek wytrawnego białego wina i rzucił się na skórzaną sofę. Mieszkanie Fabla znajdowało się na poddaszu dużej kamienicy w dzielnicy Rotherbaum, w jej najmodniejszej części, Pöseldorf. Wystarczyła minuta spaceru po wyjściu z domu i już był tam, gdzie mieściły się najlepsze restauracje i kawiarnie Hamburga. Wykosztował się na to mieszkanie, rezygnując jednocześnie z większej powierzchni na rzecz pięknego widoku za oknem i lokalizacji. Kupił je w momencie, kiedy koniunktura gospodarcza pogorszyła się i ceny nieruchomości na rynku spadły. Zawsze z goryczą podkreślał, że ekonomia niemiecka i jego małżeństwo zawaliły się w tym samym czasie. Gdyby nie to, nie mógłby sobie pozwolić z policyjnej pensji na takie mieszkanie. Dom był położony na tyłach Milchstrasse,

panoramiczne okno, sięgające od podłogi po sufit, wychodziło na Magdalenen Strasse, Alsterpark i olbrzymie jezioro Aussenalster. Spojrzał przez okno na miasto i bezkresną przestrzeń nieba nad nim. W dole rozciągał się Hamburg. Ciemny las, w którym mogły się zatracić miliony dusz.

Zatelefonował do matki. Przekonywała go, że czuje się dobrze, że niepotrzebnie wyolbrzymiono sprawę, martwiła się, że Lex, zostając z nią tak długo, poniesie straty w interesach i twierdziła, że powinien już wracać do domu. Słyszając jej głos w słuchawce, nieco się uspokoił. Głos osoby młodej, niepasujący do siwiejących włosów i malejącej sprawności fizycznej matki. Zaraz potem wykrecił numer do Gabi. Telefon odebrała Renate. Jej ton był, jak zwykle, mieszaniną wrogości i znudzenia. Fabel nigdy do końca nie pojął, dlaczego tak się wobec niego zachowywała. Wyglądało na to, że chce go obciążyć odpowiedzialnością za swój romans, który doprowadził do rozpadu małżeństwa. Głos Gabi był za to miły i ciepły. Pogadali chwilę o matce Fabela, o szkole i zbliżającym się weekendzie, który mieli spędzić razem.

W pewnej chwili zapytał:

– Pamiętasz, jak czytałem ci bajki na dobranoc?
– Pewnie, że pamiętam, tato. Tylko mi nie mów, że kiedy będę u ciebie, to napoisz mnie gorącym mlekiem i przeczytasz „Czerwonego Kapturka”.

Fabel się roześmiał.

– Nie. Nie zrobię tego. Pamiętasz, nigdy nie chciałaś, żebym ci czytał baśnie autorstwa braci Grimmów. Nawet „Królowy Śnieżki” ani „Śpiącej królowy”?

– Jasne. Nienawidziłam tych historyjek.

– Dlaczego?

– Sama nie wiem. Były straszne. Nie... raczej odrażające. Mówi się, że to bajki dla dzieci, a tak naprawdę są przeznaczone dla dorosłych. To tak, jak z klaunami. Mają być śmieszni i przyjaźni, a wcale tacy nie są. Są ponurzy i źli... Wyglądają jak te rzeźbione w drewnie maski karnawałowe na południu Niemiec. A dlaczego pytasz?

– Nic takiego. Tak mi przyszło do głowy. – Fabel szybko sprowadził rozmowę na temat spraw rodzinnych i przygotowań do weekendu. Po raz pierwszy zdarzyło mu się w relacje z córką wplątać wątek ze swojej pracy zawodowej. Odłożył w końcu słuchawkę, przygotował spaghetti, nalał kolejny kieliszek wina i

jedząc kolację, zaczął czytać wstęp do książki Gerharda Weissa.

Niemcy stanowią centrum Europy, a Marchenstrasse, ulica Bajkowa, stanowi duszę Niemiec. Marchenstrasse to niemiecka historia. Marchenstrasse to same Niemcy.

Nasz język, naszą kulturę, osiągnięcia i porażki, naszą sławę i niegodziwość, wszystko to możemy znaleźć na Marchenstrasse. Tak było zawsze i tak pozostanie. Jesteśmy jak dzieci zagubione w lesie; prowadzi nas nasza niewinność. Ale jesteśmy jednocześnie wilkami, które polują na swoją ofiarę. My, Niemcy, przede wszystkim aspirujemy do wielkości: do wielkiego dobra i wielkiego zła. Dlatego niemieckie bajki to bajki o czystości i zepsuciu, o niewinności i przebiegłości.

Ta bajka jest bajką o wielkim człowieku. O człowieku, który pomógł nam zrozumieć nas samych i nasz język. Ta bajka, bo to jest tylko bajka, wie dziego człowieka ulicą Bajkową, drogą, którą rzeczywiście niegdyś obrał. Pojawia się pytanie: A jeżeli zboczył ze swojej drogi i wszedł w głąb ciemnego lasu?

Fabel przerzucił kilka stron. Książka była fikcyjnym dziennikiem podróży Jacoba Grimma po Niemczech, podczas której zbierał i zapisywał bajki. Jawi się w nim jako pedant, przywiązujący równie wielką wagę do szczegółów popełnianych przez siebie morderstw, jak do szczegółów zbieranych bajek. Fabel odnalazł odpowiedni rozdział i odstawił kieliszek z winem. Rozdział nosił tytuł: „Podmieniec”.

Bajka „Podmieniec” jest utworem wyjątkowym. To jedna z najstarszych naszych bajek. Opisuje nie tylko bezmiar strachu przed utratą dziecka, lecz także dramat posiadania w domu, w rodzinie czegoś, co jest fałszywe, obce, złowrogie i podstępne. Co więcej, ostrzega rodziców, że każde uchybienie w ich obowiązkach rodzicielskich zostanie surowo ukarane. Motyw podmienca pojawiał się w niezliczonych wersjach w Niemczech, Danii, Czechach, Polsce. Nawet Martin Luter był przekonany o istnieniu podmieńców i pisał traktaty na ten temat. Mowa w nich także o tym, jak za pomocą ognia, wody i bicia wypędzić diabła.

Podobnie jak w wypadku innych bajek, musiałem

odegrać całą scenę na nowo. Z zapamiętaniem zająłem się przygotowaniami. Musiałem znaleźć dwoje dzieci: jedno miało odegrać rolę podmieńca, podczas gdy drugie byłoby prawdziwym dzieckiem, wykradzionym matce.

W trakcie wędrówki znaleźliśmy się z bratem w północnych Niemczech. Odpowiednie miejsce na nocleg znaleźliśmy w wiosce na wybrzeżu Bałtyku. Wpadła mi tam w oko młoda kobieta o rumianej cerze i lnianych włosach, typowy przykład silnej, szczerzej i nierozgarniętej północnoniemieckiej wieśniaczki. Na jednym ręku trzymała noworodka, by po chwili przenieść go na drugie ramię. Poznałem ten zwyczaj zamiany rąk z prac innych znanych badaczy folkloru, a także z własnych obserwacji. Nazywano go „noszeniem na zmianę”. Od Nadrenii i Hesji po Meklemburgię i Dolną Saksonię wierzono, że przenosząc niemowlę z ręki do ręki, zapobiega się porwaniu go przez „ludzi spod ziemi”. Podejrzewałem, że dziecko wkrótce zostanie ochrzczone, ma mniej niż sześć tygodni, więc stanowi idealną ofiarę dla porywaczy. Co więcej ani wieśniaczka, ani jej rodzina nie przestrzegą czterech podstawowych zasad, mających uchronić dziecko przed „ludźmi

spod ziemi”. Wymieniłem je w mojej książce „Deutsche Mythologie”, a brzmią one następująco: obok dziecka musi znajdować się klucz; przez pierwsze sześć tygodni życia nie zostawiać dziecka samego z kobietami, bo łatwo może zapanować nad nimi szatan; nie pozwolić matce zasnąć, póki nie znajdzie się ktoś, kto będzie czuwał nad dzieckiem, kiedy matka wychodzi z pokoju; na dziecku należy położyć jakąś część garderoby ojca, najlepiej spodnie.

Matka, która nie przestrzega tych zasad, będzie idealnym przykładem dla pozostałych mieszkańców tej okolicy, że starych zwyczajów nie wolno lekceważyć. Samo porwanie dziecka wydawało się najłatwiejszą częścią mojego planu. Uważnie obserwowałem nawyki kobiety i zapisywałem szczegółowo w notatniku. Ustaliłem, że codziennie przed południem dziecko śpi na podwórku przed domem, a w tym czasie ona pracuje w gospodarstwie. To była najodpowiedniejsza chwila na dokonanie porwania. Po porwaniu „prawdziwe” dziecko nie było mi już do niczego potrzebne, mogłem się go po prostu pozbyć. W miejsce porwanego noworodka musiałem podrzucić podmieńca, a to było już trudniejszym zadaniem. Podmieńcy, potomstwo „ludzi

spod ziemi”, było brzydsze od prawdziwych dzieci. „Ludzie spod ziemi” dlatego właśnie znaleźli sobie dom pod ziemią lub w mrocznej gęstwinie lasu, że byli szkaradni.

Przez kilka dni rozmyślałem, jak rozwiązać ten problem, aż przypadkiem usłyszałem rozmowę grupy Cyganów, którzy rozłożyli się obozem nieopodal wioski. Wiedziałem, że mieszkańcy odnoszą się do nich z niechęcią i zabraniają wstępu do wioski. Gdyby mój plan się nie powiódł i wieśniacy nadal nie przestrzegaliby dawnych reguł chronienia dzieci przed porwaniem, to nie zwracaliby też uwagi na cygańskie obozowiska. Kiedy spisywałem podania o podmieńcach, zastanawiałem się, czy ich inspiracją nie byli koczujący gdzieś w pobliżu Cyganie bądź inni obcy przybysze. Niechęć i brak zaufania wobec obcych zawsze uważałem za doskonałe narzędzie manipulacji. W tym wypadku uprzedzenia wobec Cyganów stawiały mnie poza wszelkim podejrzeniem.

Tak więc zdecydowałem, że rolę podmieńca odegra jakieś cygańskie niemowlę...

Odłożył otwartą książkę na stolik. Odniósł wraz-

nie, że temperatura w pokoju spadła o kilka stopni, jakby z otwartej książki płynęła fala chłodu. Miał przed sobą plan porwania i morderstwa, opartego na bajce spisanej przez braci Grimmów. Drobiazgowość, z jaką fikcyjny Jacob Grimm planował i przygotowywał zbrodnię, przypominała sposób działania mordercy, którego Fabel teraz tropił. Wrócił myślami do dziewczyny na plaży. Odebrał jej życie ktoś, kto chciał urzeczywistnić swoje chore fantazje.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu.

– Cześć, szefie... – powiedziała Anna. – Wiem już, kim była dziewczyna na plaży. Tym razem chyba się nie pomyliłam.

Poniedziałek, 22 marca, 21.45.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Błękitnooka miała już teraz swoje imię: Martha.

Nauczona doświadczeniem, Anna Wolff tym razem wstrzymała się z powiadomieniem rodziców. Z policji federalnej otrzymała fotografię dziewczyny zaginionej w ubiegły wtorek. Była to Martha Schmidt z Kassel w Hesji. Fabel przyglądał się fotografii, którą wręczyła mu Anna; zwykle zdjęcie zrobione w automacie. Tym razem fotografia nie uruchomiła w głowie nadkomisarza żadnych dzwonek alarmowych. Poczł tylko smutek.

Anna Wolff stała obok Fabela. W dużych brązowych oczach nie pojawiały się iskierki. Wyglądała na zmęczoną, była blada. Podejrzewał, że pracowała bez chwili wytchnienia nad ustaleniem tożsamości dziewczyny. Nawet jej głos zdradzał zmęczenie.

– Zaginięcie dziewczyny zgłoszono we wtorek, ale musiało to się stać wcześniej.

Zrobił zdziwioną minę.

– Oboje rodzice są narkomanami – wyjaśniła Anna. Martha już wcześniej znikła a potem wracała po kilku

dniach. Dlatego heska policja początkowo nie traktowała sprawy zbyt serio. Rodzice byli już notowani za zaniedbywanie córki.

Fabel wziął głęboki wdech i przeczytał notatkę przesłaną faksem przez policję w Kassel. Rodzice byli ćpunami. Żeby zdobyć pieniądze na narkotyki uciekali się do drobnych kradzieży. Kobieta okazjonalnie uprawiała prostytutkę. Margines społeczny. „Ludzie spod ziemi”. W dodatku z Kassel, z miasta braci Grimmów. Kassel, dotychczas spokojne, sensne miasteczko, stało się ostatnio sławne z powodu przypadku kanibalizmu, który zelektryzował całe Niemcy. Niejaki Armin Meiwes został oskarżony o pomoc w popełnieniu samobójstwa przez Bernda Brandesa. Brandes zaoferował się, że chce zostać zjedzony. Meiwes sfilmował całe wydarzenie, na taśmie widać, jak obcina Brandesowi penisa, którego potem razem zjadają, następnie robi mu śmiertelny zastrzyk, a już po śmierci dzieli jego ciało na porcje i wkłada do zamrażarki. Nim zdołano go aresztować, zdążył zjeść prawie dwadzieścia kilogramów mięsa swojej ofiary, o ile Brandesa można nazwać ofiarą. W zasadzie był ochotnikiem, jednym z wielu, którzy odpowiedzieli na apel Meiwesa. Trafili

na siebie na gejowskiej stronie internetowej poświęconej kanibalizmowi.

Gejowska strona o kanibalizmie. Fabel, mimo że zajmował się najohydniejszymi zbrodniami, często nie mógł pojąć, co też wyprawia się na świecie. W dzisiejszych czasach można zaspokoić najbardziej perwersyjne zachcianki. I proszę, teraz miasto Kassel ma nową ponurą historię.

– Trzeba przywieźć tu na identyfikację rodziców, a przynajmniej matkę – stwierdził.

– Skontaktowałam się już z pracownikiem opieki społecznej, który zajmował się Martha. Kobieta obiecała, że zawiadomi rodziców i przywiezie jedno z nich na oficjalną identyfikację.

– Pewnie rzadko bywała w szkole. – Fabel wpatrywał się w zdjęcie. Martha na fotografii była uśmiechnięta, choć w jej oczach czaił się smutek. Była zbyt dojrzała i zbyt doświadczona jak na swoje szesnaście lat. Miała tyle samo lat, ile jego córka, ale te jej błękitne oczy widziały zbyt dużo.

– Wiemy, gdzie i kiedy dokładnie zaginęła?

– Nie. Musiało się to stać pomiędzy dwudziestą pierwszą w niedzielę a wtorkiem, kiedy znaleziono jej

ciało. Czy mam pojechać do Kassel i zacząć rozpytywać o nią?

– Nie – odpowiedział Fabel, trąc oczy dłońmi. – Zostawmy to heskiej policji, przynajmniej na razie. Dopóki lokalna policja nie znajdzie jakiegoś świadka, nic tam po nas. Uprzedź ich tylko, żeby się rozejrzeli za kimś, z kim Martha się kontaktowała, a kto ma jakikolwiek związek z Hamburgiem. Mam przeczucie, że nasz morderca pochodzi stąd, z Hamburga lub okolic, i nic nie łączyło go wcześniej z Marthą. Niech zbiorą jak najwięcej informacji o jej ostatnich chwilach. – Uśmiechnął się do podwładnej. – Idź do domu, Anno i się wyśpij. Dokończymy rano.

Anna smętnie kiwnęła głową i wyszła. Fabel usiadł przy biurku, wziął szkicownik z planem działania, przekreślił słowo „Błękitnooka” i napisał obok Martha Schmidt. Przed wyjściem przypiął fotografię do tablicy wiszącej w sali konferencyjnej.

Wtorek, 23 marca, 11.10.

Instytut Medycyny Sądowej, Eppendorf, Hamburg

Ojciec nie przyjechał.

Ulrike Schmidt była drobną kobietą, na pierwszy rzut oka po czterdziestce, choć z raportu policji w Kassel Fabel wiedział, że niedawno przekroczyła trzydziestkę. Kiedyś zapewne była ładna, ale teraz na jej twarzy malowało się zubożenie i znużenie, typowe dla narkomanów. Niebieskie, mocno podkrążone oczy straciły blask. Blond włosy, zniszczone i matowe, związała z tyłu w koński ogon. Żakiet i spodnie wydawały się w miarę eleganckie, ale miały niemodny krój, i to co najmniej od dziesięciu lat. Fabel był pewien, że przetrzuciła całą szafę, by włożyć coś odpowiedniego na tę okazję.

A okazją była identyfikacja zwłok.

– Przyjechałam pociągiem... – powiedziała, przerywając ciszę, kiedy czekali na przywiezienie ciała. Nadkomisarz uśmiechnął się blado. Anna milczała.

Przed przyjazdem do kostnicy, jeszcze w komen-dzie, wy pytali Ulrike Schmidt o córkę. Fabel starannie

przygotował się do tej rozmowy. Wiedział, że musi wejść jak najgłębiej w życie tej obcej mu, a jednak bliskiej dziewczyny. Na kilka godzin Błękitnooka z plaży ponownie ożyła, stała się kimś, by niedługo popaść w niebyt. W pokoju przesłuchań Anna i Fabel usiłowali dodać do nazwiska Martha Schmidt jak najwięcej danych. Sekcja wykazała, że Martha miała kontakty seksualne, więc zapytali matkę o chłopców, z którymi się przyjaźniła, o to, jak spędzała wolny czas, a także, co robiła wtedy, gdy powinna być w szkole. Odpowiedzi Ulrike Schmidt były mętne, pogmatwane, tak jakby opisywała dalekiego znajomego, a nie krew z krwi, własną córkę.

Teraz siedzieli w poczekalni kostnicy, czekając, aż poproszą ich do środka. Ulrike Schmidt w kółko powtarzała relację z podróży pociągiem.

– Do pociągu wsiadłam na dworcu głównym...

Kiedy w końcu weszli do środka i białe prześciera-
dło zostało uniesione, pani Schmidt spojrzała na ciało bez cienia emocji. Fabel poczuł przez chwilę przerażenie, że oto ma do czynienia z kolejną pomyłką. I wtedy Ulrike Schmidt skinęła głową.

– Tak... To jest moja Martha. – Żadnych łez, żadne-

go szlochu. Patrzyła pustym wzrokiem na twarz dziewczyny na wózku. Jej ręka powędrowała w kierunku policzka Marthy, lecz nim go dotknęła, opuściła ramię.

– Jest pani pewna, że to pani córka? – W głosie Anny zabrzmiały ostre tony i Fabel rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

– Tak. To Martha. – Nie odrywała wzroku od jej twarzy. Była dobrą dziewczyną. Naprawdę dobrą. Troszczyła się o wszystko. I dbała o siebie.

– Czy w dniu, w którym zaginęła, wydarzyło się coś szczególnego? – pytała Anna. – A może zauważyła pani kogoś obcego kręcącego się w okolicy?

– Nie. – Patrzyła na Annę martwym, nieruchomym wzrokiem.

– Policja już mnie o to pytała. Mam na myśli policję w Kassel. – Przeniosła spojrzenie na twarz martwej dziewczyny. Dziewczyny, która musiała zginąć dlatego, że była do kogoś podobna. – Powiedziałam im. Wtedy... miałam zły dzień. Niewiele pamiętam. Martha musiała wyjść z domu.

Anna wbiła twarde spojrzenie w Ulrike Schmidt. Kobieta nie zauważyła wyrzutu, z jakim Anna się w nią wpatruje.

– Wkrótce wydamy pani ciało, pani Schmidt – odezwał się Fabel. – Zapewne będzie pani chciała urządzać pogrzeb w Kassel.

– Co za różnica? Nie żyje, to nie żyje. Jej jest już wszystko jedno. – Ulrike Schmidt odwróciła się do Fabela. Miała zaczerwienione oczy, ale nie z żalu. – Jest tu jakiś ładny cmentarz?

Skinął głową.

– Nie chce pani jej odwiedzać? – W głosie Anny brzmiało niedowierzenie i złość. – Odwiedzać jej grobu?

Kobieta kręciła głową.

– Żadna ze mnie matka. Kiedy żyła, byłam kiepską matką, teraz kiedy jej już nie ma, nie będę lepsza. Zaslugiwała na coś lepszego.

– Tak – powiedziała Anna. – Zaslugiwała na coś lepszego.

– Anno! – warknął Fabel, ale matka Marthy albo nie dostrzegła zjadliwej uwagi, albo wzięła ją za dobrą monetę. Patrzyła jeszcze chwilę na ciało córki, a potem odwróciła się do nadkomisarza.

– Mam coś podpisać?

Ulrike Schmidt powędrowała na stację metra. Jaskrawe promienie słońca bez trudu przebijały się przez mlecznobiałe chmury. Fabel założył okulary przeciw-słoneczne. Oparł dłonie na biodrach i spojrział w niebo.

– Pani komisarz Wolff, proszę panować nad emocjami. Niezależnie od tego, co pani myśli o ludziach pokroju pani Schmidt, nie wolno głośno wyrażać swojej opinii. Każdy na swój sposób przeżywa żal.

Anna prychnęła.

– W niej nie było żadnego żalu. Myślała tylko o tym, kiedy będzie mogła wziąć następną działkę. Nie obeszło jej, co się stanie z ciałem córki.

– Nie jesteśmy tu od osądzania ludzi, Anno. Niestety, tak wygląda praca w wydziale zabójstw. Mamy na co dzień do czynienia nie tylko ze śmiercią, ale i z jej następstwami. Z konsekwencjami, które za sobą niesie. Bywa, że trzeba się zachowywać bardzo dyplomatycznie. Czasami ugryźć się w język. Jeżeli nie potrafisz nad sobą zapanować, to nie ma dla ciebie miejsca w policji kryminalnej. Czy wyraziłem się jasno?

– Tak jest, szefie. – Była trochę zmieszana, ale nie dała za wygraną. – To... To dlatego, że ona, na miłość boską, była matką tej dziewczyny. Powinna coś czuć...

nie wiem... powinien się odezwać jakiś instykt. Dziećmi trzeba się opiekować. Dbać o nie.

– Nie zawsze jest to proste.

– Pozwoliła, żeby córkę spotkało coś takiego. – Ton głosu Anny brzmiał wyzywająco. – Na pewno biła ją w dzieciństwie... Kiedy Martha miała pięć lat, ktoś wykręcił jej rękę tak, że ślad pozostał do tej pory. Bóg jeden wie, co jeszcze ją spotkało. Ale najgorsze jest to, że musiała sama sobie radzić w tym cholernym, niebezpiecznym świecie. W rezultacie została porwana przez maniaka, spędziła Bóg wie ile czasu gdzieś zamknięta, a w końcu zginęła. A ta krowa nawet nie pomyślała o wyprawieniu jej przyzwoitego pogrzebu albo odwiedzeniu grobu. – Pokręciła głową z niedowierzaniem. Kiedy pomyśle sobie o Ehlersach, o rodzinie, która od trzech lat cierpi, bo nie ma ciała, które mogłoby pochować, nie ma grobu, który mogliby odwiedzić... a potem o tej suce, której nawet nie interesuje, co zrobimy z ciałem jej córki...

– Anno, możemy sobie o niej myśleć, co chcemy, ale ona jest matką zamordowanego dziecka. Nie zabiła Marthy, a my nie możemy nawet dowieść, że używała przemocy wobec niej. Dlatego musimy traktować ją

jak każdego innego zrozpaczonego rodzica. Czy wyrażam się jasno?

– Tak jest, panie nadkomisarzu. – Anna się zamyśliła. Raport policji z Kassel zawiera informację, że matce zdarzało się prostytuować. Nie bierze pan pod uwagę, że mogła posyłać córkę na ulicę? Przecież wiemy, że Martha miała partnerów seksualnych.

– Wątpię. Z tego, co odnotowano, wynika raczej, że były to sporadyczne kontakty. Zresztą pani Schmidt nie wygląda na osobę, która potrafiłaby zorganizować pracę córce. Poza tym słyszałaś, w jaki sposób wyrażała się o Marcie. Nie łączyło ich zbyt wiele, wygląda na to, że matka i córka chodziły własnymi ścieżkami.

– A może Martha potrafiła sama sobie zorganizować robotę? – powiedziała Anna. – Może robiła to na własną rękę?

– Nie sądzę. Nie ma na ten temat żadnego śladu w raportach policyjnych ani w sprawozdaniach pracowników opieki socjalnej. Nie. Wydaje mi się, że starała się być normalną nastolatką, na tyle, na ile pozwalało jej to, co wyniosła z domu rodzinnego. – Fabel zamilkł na chwilę, bo pomyślał o swojej córce Gabi. To właśnie Martha przywołała wspomnienie córki. Trzy dziewczyny-

ny prawie w tym samym wieku, podobne do siebie: Martha Schmidt, Paula Ehlers i Gabi. Wzdrygnął się na samą myśl. Tak wiele różnych dróg do wyboru. – Wracajmy do komendy... Muszę jeszcze wstąpić do piekarni.

Wtorek, 23 marca, 14.10.

Bostelbek, Heimfeld, na południe od Hamburga

Pogoda się popsowała. Mimo zapowiedzi wiosny, jaka się pojawiła w ubiegłym tygodniu, ciepłym i słonecznym, nie nastąpił jej rozkwit. Zrobiło się zimno, ponuro i wietrznie na całym terytorium północnych Niemiec. Fabel wiedział, że Schillerowie prowadzą rodzinny biznes, a w ogóle piekarstwo kojarzył sobie z tradycyjnym rzemiosłem; zaskoczył go fakt, że piekarnia Albertus to spora fabryka położona przy autostradzie A7.

– To ułatwia dystrybucję – wyjaśniła Vera Schiller, prowadząc Fabla i Wenera do swojego biura. – Dostarczamy nasze produkty do cukierni, kawiarni i restauracji w północnych i środkowych Niemczech. Jesteśmy w bardzo dobrych stosunkach z naszymi odbiorcami. Trzy terenowe ciężarówki są prawie cały czas w drodze. – Fabel miał wrażenie, że właścicielka piekarni posługuje się niejako szablonem, udzielając takich samych informacji wszystkim, którzy odwiedzają jej przedsiębiorstwo. Tego rodzaju wiadomości mogły być przydatne raczej dla potencjalnych klientów,

niż detektywów z wydziału zabójstw.

Biuro było obszerne, ale nie tak luksusowe, jak pomieszczenia w prywatnej rezydencji. Pani Schiller zajęła swoje miejsce, zapraszając ich gestem, żeby usiedli. Werner trącił łokciem Fabela i wskazał wzrokiem na drugie biurko, w głębi gabinetu. Zalegały tam stosy papierów i broszur, nikt przy nim nie siedział. Na ścianie za biurkiem wisiał diagram pełen dat i adresów. Fabel odrobinę za późno przeniósł wzrok z powrotem na Vere Schiller.

– Tak, panie nadkomisarzu – powiedziała – to biurko Markusa. Jeżeli pan sobie życzy... – ważyła przez chwilę słowa – sprawdzić cokolwiek... zaprowadzę panów do naszego szefa piekarzy, pana Biedermeyera. On będzie mógł powiedzieć więcej o drugiej ofercie.

– Dziękuję, pani Schiller. Doceniamy pani gotowość do współpracy. – Fabel zamierzał powiedzieć, że to musi być dla niej bardzo przygnębiające, ale w ostatnim momencie uznał, że to zbędne. Nie, nawet nie zbędne, raczej niewłaściwe. Cała sytuacja była dla niej nie tyle przygnębiająca, ile niestosowna. Przyjrzał się jej twarzy. Nie znalazł oznak napięcia ukrytego pod powierzchownym spokojem. Żadnego śladu ociera-

nych ukradkiem łez czy nieprzespanych nocy. Kiedy wyraziła się Hannie Grönn jako „drugiej ofierze”, powiedziała tak bez złośliwości. Użyła zwyczajnego, pasującego do sytuacji określenia. Jej chłód nie był powierzchniowy, to była wszechogarniająca sterylność, która zmroziła serce. Fabel rozmawiał z nią dwukrotnie: po raz pierwszy w domu, który dzieliła z mężem, teraz w biurze, które również dzieliła z mężem. Nie minęło nawet czterdzieści osiem godzin od chwili, gdy Vera Schiller dowiedziała się o śmierci małżonka, a nie widać było po niej, by doświadczyła tego uczucia pustki, o którym tyle opowiadała Anna Wolff, opisując wizyty w domach wdów.

Fabel zawsze panował nad sobą i nie tracił równowagi, ale Vera Schiller była chyba najbardziej irytującą osobą, z jaką kiedykolwiek miał do czynienia.

– Czy przychodzi pani do głowy ktokolwiek, kto mógłby życzyć sobie śmierci pani męża?

Jej nienagannie pomalowane usta ułożyły się w coś, co z trudnością można by nazwać uśmiechem.

– Nikt konkretny, panie nadkomisarzu. Nikt, kogo mogłabym wskazać z nazwiska, ale teoretycznie rzecz biorąc, tak. Na świecie są dziesiątki mężów i narzeczonych.

nym, którym przyprawił rogi, i którzy z pewnością życzyliby mu wszystkiego najgorszego.

– Czy Hanna Grün miała chłopaka? – zapytał Werner. Pani Schiller odwróciła się w jego stronę. Osobliwy nibyuśmiech zniknął.

– Nie znam życia osobistego moich pracowników, panie komisarzu Meyer. – Podniosła się gwałtownie z fotela. – Zaprowadzę panów na dół, do piekarni. Pan Biedermeyer będzie mógł powiedzieć panom więcej o tej zamordowanej dziewczynie.

Główna hala była podzielona na sekcje, w każdej z nich znajdowała się linia produkcyjna, gdzie powstawały różne wyroby. W powietrzu przenikniętym wonią wypieków unosił się mączny pył. Pod dwiema ścianami stały olbrzymie stalowe piece. Personel miał na sobie białe kitle, czapki i siatki na włosach. Gdyby nie te zapachy, hala przypominałaby fabrykę półprzewodników albo scenę z filmu science fiction z lat sześćdziesiątych. Dotychczasowe wyobrażenie Fabla o tym, jak powinna wyglądać tradycyjna niemiecka piekarnia, rozminęło się z rzeczywistością.

Vera Schiller zaprowadziła ich do potężnie zbud-

wanego mężczyzny, którego przedstawiła jako Franza Biedermeyera, kierownika piekarni. Nim Fabel zdążył jej podziękować, obróciła się na pięcie i odeszła. Po chwili kłopotliwej ciszy Biedermeyer, uśmiechając się przyjaźnie, powiedział:

– Proszę wybaczyć pani Schiller. To wszystko nie jest dla niej łatwe.

– Wygląda na to, że radzi sobie całkiem dobrze – odparł Fabel, starając się ukryć sarkazm.

– Taką ma naturę, panie Fabel. Jest doskonałą szefową i dobrze traktuje personel. Nie wyobrażam sobie, żeby nie odczuwała boleśnie straty, którą poniosła. Państwo Schillerowie tworzyli bardzo dobry, efektywny związek. Przynajmniej w interesach.

– A w sprawach osobistych? – zapytał Werner.

Kierownik, wciąż uśmiechając się uprzejmie, wzruszył ramionami. Zmarszczki wokół oczu wskazywały, że musiał się często uśmiechać. Podobnie, jak Lex, brat Fabla. Jemu też robiły się takie „śmieszne” kreseczki.

– Naprawdę nic nie wiem o ich sprawach osobistych. Tworzyli zgrany zespół w pracy. Pani Schiller jest doskonałą biznesmenką i wie wszystko o strategiach marketingowych. Nawet w czasach, gdy gospo-

darka niemiecka przeżywała załamanie, ta piekarnia była dochodowa. Z kolei pan Schiller był świetnym handlowcem. Potrafił łatwo nawiązywać kontakt z klientami.

– Podobnie jak z kobietami – dodał Fabel.

– Krążyły plotki, nie przeczę. Nie chciałbym spekulować na ten temat. Sami się panowie domyślcie, czy pani Schiller była świadoma pewnych rzeczy i jaki to miało wpływ na jej małżeństwo.

Kierownik przeprosił ich na chwilę. Kiedy do niego podchodzili, zajmował się akurat dekorowaniem ciasta i trzymał cały czas w swojej potężnej dłoni, pomiędzy palcem wskazującym a kciukiem, jakiś mały, zdobny lukrowy element. Teraz odwrócił się i położył go delikatnie na stalowym blacie. Fabel zauważył, że zgodnie z przepisami sanitarnymi, Biedermeyer używał lateksowych rękawiczek; pokrywała je cienka warstwa mącznego pyłu. Ręce mężczyzny wydawały się zbyt duże, a palce zbyt niezdarne, by mogły przenosić tak małe i kruche rzeczy.

– A jego związek z Hanną Grün? – zapytał Werner. Wiedział pan o tym?

– Nie. Choć nie jestem zaskoczony. Wiedziałem, że

Hanna była... powiedzmy, dość nierozważna, jeśli chodzi o wybór narzeczonych. Krążyły na ten temat plotki. Wiele było złośliwych. Ale nie przypominam sobie, by ktokolwiek wspomniał, że coś jest pomiędzy Hanną a panem Schillerem.

– Powiedział pan, że plotkowano złośliwie.

– Hanna była bardzo atrakcyjną młodą dziewczyną. Wicie panowie, jak okrutne w takich sytuacjach potrafią być kobiety. A ona nie umiała zyskać sobie ich przychylności. Wywyższała się, traktowała pogardliwie tę pracę i kobiety zatrudnione w piekarni.

– Czy miała jakichś szczególnych wrogów? – Nadkomisarz wskazał ruchem głowy halę produkcyjną.

– Kto mógłby ją tak nienawidzić, żeby posunąć się do morderstwa? – Biedermeyer roześmiał się. – Nikt sobie nie zaprzętał nią głowy. Była nielubiana, ale nie znienawidzona.

– A co pan o niej myślał?

Nieodłączny uśmiech znikł z twarzy kierownika.

– Byłem jej szefem. Praca nie wychodziła Hannie najlepiej, więc musiałem od czasu do czasu ostro z nią porozmawiać. Z drugiej strony współczułem dziewczynie.

– Dlaczego?

– Wydawała się zagubiona. To chyba najlepsze określenie. Nienawidziła pracy w piekarni. Nienawidziła tego miejsca. Miała ambicję, chciała osiągnąć coś więcej, tyle że nie wiedziała jak.

– A jej chłopcy? – Kiedy Werner zadawał pytanie, obok przeszedł młody praktykant, pchający dwumetrowej wysokości wózek załadowany tacami z surowym ciastem. Ustąpili mu z drogi, a kiedy był już daleko, Biedermeyer zaczął mówić.

– Chyba był jakiś facet. Wiem o nim tylko tyle, że czasami podwoził ją motocyklem. Wyglądał na łobuza.

– Milczał chwilę. – Czy to prawda, że znaleziono ich razem? Pana Schillera i pannę Grünna?

Fabel uśmiechnął się.

– Dziękuję, że poświęcił nam pan swój czas, panie Biedermeyer.

Dopiero kiedy Fabel i Werner znaleźli się na parkingu, wymienili się uwagami na temat tego, co przykuło ich uwagę: motocykl. Trzeba popędzić laboratorium, niech szybko go sprawdzą.

Wtorek, 23 marca, 18.30.

Stacja metra Hauptbahnhof-Nord, Hamburg

Ingrid Wallenstein nienawidziła metra. Świat zmienił się nie do poznania, wokół było mnóstwo nieobliczalnych ludzi. Zwłaszcza tych młodych. Niebezpiecznych. Szalonych. Wszyscy słyszeli o maniaku, który wpychał ludzi pod pociąg szybkiej kolejki miejskiej. Policja szukała go miesiącami. Któż mógłby być zdolny do czegoś takiego? W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat wiele się zmieniło. Tylko Pan Bóg wie, ile Ingrid i jej pokolenie przeszło w życiu. Ludzie urodzeni po wojnie zawsze mieli to, czego pragnęli. Pewnie dlatego nie rozumiała młodego pokolenia. Nie przeszli tego, co ona i jej rówieśnicy, a i tak byli wiecznie niezadowoleni. Na dodatek niegrzeczni, pozbawieni wrażliwości i zasad moralnych. A gdyby musieli wycierpieć tyle, ile ona jako dziecko czy młoda kobieta? Wojna, terror, zniszczenie. Potem głód. I wspólna praca – żeby odbudować, naprawić, przywrócić dawny porządek. Nie to, co dzisiaj. Młodzi ludzie wszystko odrzucają. Nic nie ma dla nich wartości.

Odkąd pani Wallenstein usłyszała o tym maniaku,

siadywała na ławce albo opierała się plecami o ścianę peronu w oczekiwaniu na pociąg.

Bolały ją kolana, dlatego używała kuli. Oparła się o nią całym ciężarem ciała i przypatrywała towarzyszom podróży. Wśród spacerujących po peronie ludzi dostrzegła tych, którzy mieli w uszach małe słuchaweczki. Pani Wallenstein nie znosiła tych rzeczy. Kiedy siedziała koło takiego osobnika w autobusie czy pociągu i dochodziły dźwięki tej strasznej muzyki, miała wrażenie, że w pobliżu krąży chmara rozwścieczonych os. Dlaczego oni to robią? Cóż złego w słuchaniu odgłosów otaczającego świata albo rozmowie z drugą osobą?

Przyjrzała się uważniej temu, co się dzieje na peronie. Na ławce siedziała młoda kobieta. Była całkiem przyzwoicie ubrana. Ból w kolanie Ingrid zawsze narastał, kiedy zbyt długo stała, więc przeklinając w duchu artretyzm, usiadła obok niej, uprzejmie się uśmiechnąwszy. Młoda kobieta odpowiedziała również uśmiechem. Smutnym uśmiechem. Dopiero teraz pani Wallenstein zauważyła, że ubranie nieznanym jest tak czyste, jak początkowo sądziła, a na bladej twarzy rysują się wyraźnie cienie pod oczami. Pomyślała nawet,

że nie powinna się do niej przysiąść.

– Dobrze się czujesz, skarbie? – zapytała. – Nie wyglądasz najlepiej.

– Tak, dziękuję – odparła dziewczyna. – Długo chorowałam, ale teraz już wszystko w porządku.

– Och... – Ingrid nie wiedziała, jak się teraz zachować. Nawet żałowała, że nawiązała rozmowę. Dziewczyna wydawała się dziwna. Może to narkotyki. Pani Wallenstein nie opuściła ani jednego odcinka „Adelheid und ihre Mörder” ani „Grossstadtrevier”. Tam zawsze pokazywano narkomanów właśnie w taki sposób. Choć może ta młoda osoba rzeczywiście była chora.

– Przyjechałam, żeby zobaczyć moją córkę. – Uśmiechnęła się niepewnie. – Przyjechałam zobaczyć moje dziecko.

– To cudownie. A ile ma lat?

– Szesnaście. Tak, szesnaście. – Kiedy kobieta grzebała po kieszeniach, Ingrid zauważyła, że bluzka pod zakietem jest mocno zniszczona. Poza tym nie miała żadnego bagażu. W końcu wyjęła pomietą fotografię. Zdjęcie przedstawiało raczkującego szkraba z włosami równie pozbawionymi blasku, jak włosy matki.

– To moja mała Martha. Moje dziecko. Zawsze

była pełna energii. Prawdziwy nicpoń. Tak do niej mówiłam, kiedy była mała: mój mały nicponiu...

Pani Wallenstein zrobiło się żal kobiety, w której głosie było tyle smutku. Chciała ją pocieszyć, ale z od dali dał się słyszeć głośny szum nadjeżdżającego pociągu. Nieznajoma wstała i wychyliła się nieco, by dostrzec światła wagonu metra. Wydała się nagle bardzo pobudzona. Pani Wallenstein również wstała, tyle że dużo wolniej, wspierając się na kuli.

– A gdzie jest teraz pani dziecko? – zapytała właściwie tylko po to, by wypełnić tę ostatnią chwilę oczekiwania na pociąg. Kobieta odwróciła się do niej.

– Tam, gdzie za chwilę będę ja sama... tam, gdzie ją spotkam... moją małą Marthę. Teraz już będę dobrą matką... Wyraz jej twarzy zmienił się nagle, wyglądała na szczęśliwą. Z dużą prędkością z tunelu wychynał pierwszy wagon metra. Kobieta uśmiechnęła się do pani Wallenstein.

– Do widzenia, miło się z panią rozmawiało.

– Do widzenia, skarbie. – Ingrid chciała coś dodać, ale jej rozmówczyni zrobiła krok w stronę krawędzi peronu. A potem następny...

Pani Wallenstein wpatrywała się w miejsce, gdzie

powinna stać ta kobieta. Nikogo tam nie było.

Echem odbił się tylko od ścian odgłos ciała miażdżonego przez pociąg. A potem słyhać już było tylko krzyki przerażonych pasażerów.

I tylko Ingrid stała nieruchomo, wsparta na kuli, ze wzrokiem utkwionym w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą była kobieta, z którą rozmawiała.

Dlaczego, na miłość boską, to zrobiła? Co się stało z tym światem?

Środa, 24 marca, 13.10.

Buxtehude, Dolna Saksonia

Fablowi i Wernerowi podróż do Buxtehude zajęła niewiele ponad pół godziny. Niebo przejaśniało i miasteczko było teraz skąpane w jaskrawym świetle słońca. Ostry wiatr rozchyłał połę płaszcza Fabla, kiedy szli z parkingu w kierunku niewielkiej restauracji na Westfleth, na starówce. Buxtehude wyglądało jak typowe, małe, holenderskie miasteczko, które jakimś cudem zostało przeniesione na wschód i znalazło się tuż pod Hamburgiem. Rzeka Este, przepływając przez stare miasto kanałami, których brzegi spinały liczne mosty, rozdzielała się na odnogę wschodnią i zachodnią. Zabudowa tu była gęsta, kamienice przyklejone do siebie.

Kiedy wjechali do miasteczka, Fabla poruszyło coś jeszcze – nawet nazwy ulic przypominały mu o śledztwie, które teraz prowadził. Ulica Braci Grimm, ulica Czerwonego Kapturka, ulica Śpiącej Królowny. Ilekroć słyszał cokolwiek o braciach Grimm, wyobrażał sobie Jacoba Grimma z powieści Weissa – nie jako ogólnie szanowaną i wpływową postać, lecz metodycznie dzia-

łające monstrum.

Usiedli przy oknie z widokiem na kanał Fleth Haven przysłonięty rzędem drzew i białych płotów. U brzegu była przycumowana niewielka dziewiętnastowieczna barka. Jej różnokolorowe proporczyki odbijały się w spokojnych wodach kanału. Fabel ledwie zerknął na menu; zamówił sałatkę z tuńczyka i wodę mineralną. Werner długo studiował kartę dań i w końcu zdecydował się na sznycel wieprzowy i filiżankę kawy. Fabel uśmiechnął się na myśl, jak bardzo się od siebie różnią.

– Przeczytałem książkę – odezwał się Fabel, nie odrywając wzroku od okna, wpatrzony w kołysane wiatrem krypy pamiętające czasy floty jednomasztowców wyładowanych herbacą, mąką i drewnem. – Autorstwa Gerharda Weissa. Nosi tytuł „Bajkowa ulica”. Głównym bohaterem jest Jacob Grimm, który popełnia morderstwa, a źródłem makabrycznych pomysłów są zebrane przez niego baśnie.

– O, psiakrew. Jest jakiś związek?

Odwrócił się od okna.

– Nie wiem. To byłoby zbyt proste, prawda?

– Chyba tak. – Werner odstawił filiżankę z kawą i

zmarszczył brwi. – Dlaczego nie wspomniałeś o tym wcześniej?

– Zacząłem ją czytać wczoraj wieczorem. Trafiłem na nią przypadkowo i wydawało mi się, że nie ma ona żadnego związku z naszym śledztwem, ale kiedy zacząłem czytać...

Z twarzy Wenera można było wyczytać, że podszedł do sprawy bardzo poważnie.

– Uważam, że trzeba się temu dokładnie przyjrzeć. Z tego, co wiemy, morderca może działać zgodnie z treścią tej właśnie książki, a nie „Baśni braci Grimm” czy jakiegokolwiek innej.

– Seryjny morderca, który inspirację czerpie z książki? Śmiech Fabla zabarwiony był goryczą. – Całkiem możliwe.

– Jan, musimy sprawdzić autora tej książki...

– Weissa. – Odwrócił się i znów wpatrywał w krypy za oknem. Z tych łodzi handlowano na długo przed tym, nim Jacob i Wilhelm Grimm wyruszyli w podróż po Niemczech, by zbierać bajki, legendy i mity. Ta ziemia ma swoją historię, jest duszą Europy – tak tłumaczył mu w dzieciństwie ojciec.

*

W oczy rzucał się przede wszystkim kontrast z elegancką willą Schillerów. Grünnowie mieszkali na przedmieściach Buxtehude w wynajętym lokalu w bloku. Budynek, teren wokół niego i mieszkanie Grünnow były jednak dobrze utrzymane. Gdy Fabel, Werner, rodzice Hanny i jej osiemnastoletnia siostra Lena weszli do salonu, zrobiło się ciasno.

Inaczej niż u Very Schiller, wyraźnie wyczuwało się tu poczucie straty kogoś bliskiego. Fabel nie mógł się powstrzymać przed jeszcze jednym porównaniem – z Ehlersami, którzy początkowo myśleli, że odnaleźli zaginioną córkę, a stali się ofiarami okrutnego żartu. W przeciwieństwie do Ehlersów, Grünnowie mogli już pochować córkę i odbyć żałobę.

Erik Grünm był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną z gęstą jasną czupryną. Mimo pięćdziesięciu dwóch lat nie dało się zauważyć żadnych oznak łysienia. Żona Anja i druga córka były podobne do Hanny, choć nie tak piękne. Cała trójka, pogrążona w smutku, odpowiadała na pytania detektywów. Chcieli pomóc, ale ich zeznania niewiele wniosły. Hanna nie

wtajemniczała ich w szczegóły swojego życia w Hamburgu. Powtarzała tylko, iż ma nadzieję na znalezienie pracy w charakterze modelki. Napomknęła, że na razie pracuje w piekarni Albertus i wkrótce spodziewa się awansu. Kłóciło się to z opinią jej bezpośredniego przełożonego. Widać było, że Hanna utrzymywała raczej luźne kontakty z rodziną. Nie mówiła o sprawach osobistych. Z trudem, wręcz z poczuciem winy Fabel opisał okoliczności śmierci dziewczyny. Musiał powiedzieć o jej romansie z szefem, który stał się drugą ofiarą zabójcy. Obserwował przy tym reakcje rodziny. Pani Grönn była wstrząśnięta, pan Grönn wyraźnie zażenowany. Lena wbiła wzrok w podłogę.

– Czy Hanna miała jakiegoś chłopaka? – Nadkomisarz zauważył, że pytanie wywołało u całej trójki napięcie.

– Nie na stałe. – Odpowiedź ojca nastąpiła zbyt szybko. Mogła przebierać w chłopcach. Z nikim nie łączyło jej nic poważnego.

– A pan Schiller? Czy Hanna kiedykolwiek wspominała o ich związku?

Na to pytanie odpowiedziała pani Grönn.

– Panie Fabel, chciałabym, żeby pan wiedział, że

nie wychowywaliśmy córki po to... po to, żeby wiązała się z żonatym mężczyzną.

– Więc Hanna nie rozmawiała o tym z panią.

– Nie ośmieliłaby się – wtrącił pan Grönn. Fabel dostrzegł, że nawet po śmierci Hanna potrafi ściągnąć na siebie gniew ojca. Ciekawe, jak karmił córkę, kiedy była dzieckiem i do jakiego stopnia wpłynęło to na jej późniejsze kontakty z rodziną.

Wychodząc, Fabel i Werner ponownie złożyli kondolencje. Lena powiedziała rodzicom, że odprowadzi policjantów. Nie pożegnała się w drzwiach, lecz ruszyła z nimi po schodach. Zatrzymała się dopiero przy drzwiach wejściowych do budynku i zaczęła mówić szeptem:

– Mama i tata nic nie wiedzą, ale Hanna miała kogoś. Nie mówię o jej szefie, tylko o kimś wcześniej...

– Czy on jeździł motocyklem? – zapytał Fabel. Lena wydała się lekko zaskoczona.

– Tak... tak, rzeczywiście miał motor. A więc wiecie o nim?

– Jak on się nazywa?

– Olsen. Peter Olsen. Mieszka w Wilhelmsburgu. Jest mechanikiem samochodowym. Właścicielem

warsztatu. Spochmurniała. – Hanna lubiła facetów z forszą. Przypuszczałam, że to będzie krótkotrwały związek. Dla Hanny liczyły się pieniądze, pozycja, a ten miał ręce ubrudzone smarem.

– Poznałaś go?

Pokręciła głową.

– Opowiadała mi o nim przez telefon. W piątki wieczorem mama i tata zwykle wychodzą z domu. Wtedy właśnie Hanna dzwoniła i mówiła, co u niej sły-chać.

– Czy wspomniała kiedykolwiek o Markusie Schillerze? odezwał się Werner. – Albo o jego żonie, Verze Schiller?

Z klatki schodowej dobiegł odgłos otwieranych drzwi i Lena rzuciła w górę wystraszone spojrzenie.

– Nie, nie. Nie bezpośrednio. Powiedziała mi tylko, że ma nowego faceta. Nie przyszło mi do głowy, że to może być jej szef. Hanna bała się, że Peter o wszystkim się dowie. Przykro mi, ale to wszystko, co wiem. Pomyślałam, iż powinniście wiedzieć o Peterze.

– Dziękuję ci, Leno. – Fabel uśmiechnął się. Była ładną osiemnastolatką, która do końca życia będzie obciążona brzemieniem trudnego doświadczenia, które na

nią spadło. Zadra w sercu pozostanie. – Bardzo nam pomogłaś.

Lena zbliżała się już do schodów, nagle przystanęła i powiedziała do Fabla:

– Jeszcze jedno, panie nadkomisarzu. Wydaje mi się, że Peter był agresywny. To dlatego Hanna bała się jego reakcji.

Czwartek, 25 marca, 10.10.

Wilhelmsburg, Hamburg

Odnalezienie Olsena nie nastęczyło trudności. Kartotekę miał niezbyt bogatą, ale i tak wynikało z niej, że lubi szybko rozwiązywać problemy przy użyciu pięści. Był trzykrotnie karany za rozbój, raz dostał upomnienie za sprzedanie części zamiennych, pochodzących ze skradzionego motocykla.

Wilhelmsburg to największa dzielnica Hamburga. W rzeczywistości jest olbrzymią wyspą na Łabie, największą w Europie. Z resztą miasta łączą ją liczne mosty, w tym Köhlbrandbrücke, który biegnie na północ do centrum Hamburga a na południe do Harburga. Wilhelmsburg wygląda nieco dziwnie, jest swoistym połączeniem skromności prowincji i wielkomiejskiego rozmachu. Obok olbrzymich hal fabrycznych na łące pasą się owce. Poza tym Wilhelmsburg jest żartobliwie nazywany hamburskim Bronksem, jako że jedna trzecia mieszkańców to imigranci.

Peter Olsen sprzedawał i naprawiał motocykle w opustoszałym budynku dawnej fabryki, nad brzegiem Łaby, nie opodal wielkiej rafinerii. Fabel zabrał na roz-

mowę z Olsenem Wenera i Annę; poprosił też o obecność policjanta w mundurze. Nie mieli dowodów, żeby Olsena aresztować, ale nadkomisarz uzyskał nakaz prokuratorski upoważniający do zabrania motocykla właściciela warsztatu i sprawdzenia pojazdu w laboratorium.

Fabel, wjechawszy na wysoki krawężnik, zatrzymał samochód tuż przy dwumetrowej siatce otaczającej warsztat. Czekali na przybycie umundurowanego policjanta, lustrując otoczenie. Na podwórku wałały się pordzewiałe wraki motocykli. Obejścia pilnował zwalisty rottweiler, który leżał spokojnie na boku, tylko od czasu do czasu unosił łeb, strzegąc bezpieczeństwa swojego terytorium. Nie było widać, czy pies jest uwiązany, czy nie.

– Werner, zadzwoń na tutejszy komisariat i zapytaj, czy nie mają tresera psów – powiedział Fabel. – Nie podoba mi się spojrzenie tego „stróża”.

Za nimi zatrzymał się zielono-biały radiowóz policyjny. Można by przypuszczać, że pies Olsena był szkolony w rozpoznawaniu policyjnych samochodów. Kiedy nadjechał radiowóz, pies zaczął głośno ujadać. Z warsztatu wyszedł wysoki mężczyzna, wycierając ręce

o kombinezon. Miał postawę atlety, szerokie bary, brakowało mu za to szyi. Wyglądał jak ludzki odpowiednik rottweilera pilnującego podwórka. Zgromił wzrokiem psa, coś do niego mruknął, spojrzął na policyjne samochody i wrócił do warsztatu.

Kiedy się zbliżyli do bramy, wiadomo było, że pies nie jest uwiązany; rzucał się wściekle w stronę policjantów. Nadkomisarz zauważył z niepokojem, że brama jest zamknięta na łańcuch i kłódkę. Rottweiler ujadł i warczał. W drzwiach warsztatu pojawił się Olsen.

– Czego chcecie? – Z tej odległości ledwie było go słyhać, na dodatek musiał przekrzykiwać szczekanie psa.

– Mamy nakaz, panie Olsen – poinformował Fabel, unosząc rękę, w której trzymał dokument. – Chcemy zadać panu kilka pytań. – Pies rzucał się teraz na zamkniętą bramę, która zgrzytała złowieszczo pod naporem jego cielska. – Proszę uspokoić psa, panie Olsen. Musimy porozmawiać.

Olsen wykonał lekceważący gest i chciał wrócić do warsztatu. Fabel skinął do Wenera, który wyjął pistolet, odbezpieczył i wycelował wprost w głowę psa.

– Adolf! – krzyknął głośno Olsen. Pies potulnie

wrócił na miejsce, ale nie położył się, gotowy w każdej chwili do skoku.

Anna i Fabel wymienili spojrzenia.

Na nieme polecenie Fabla Werner schował pistolet do kabury. Olsen podszedł z pękiem kluczy do bramy i otworzył ją na oścież, a sam stanął z ponurą miną z boku.

– Może pan przywiązać psa? Chcemy zobaczyć pański motocykl. Numer rejestracyjny jest na nakazie.
– Nadkomisarz wręczył Olsenowi nakaz.

Olsen ruchem głowy wskazał warsztat.

– Tam stoi. A psem się nie przejmujcie. Nikogo nie zaatakuje, chyba że na mój rozkaz.

Przeszli przez podwórko w stronę budynku. Adolf obserwował ich ze swojego stanowiska; został uwiązany. Popatrywał złymi ślepiami to na Olsena, to na policjantów. Napięte mięśnie świadczyły, że czeka na znak do ataku.

Wnętrze warsztatu było zaskakująco czyste i jasne. Głośno grała muzyka. Olsen ściszył ją trochę, jakby dawał do zrozumienia, że to tylko chwilowa przerwa w jego planie dnia. Fabel się spodziewał, że zobaczy na ścianach fotki roznegliżowanych dziewczyn, tymcza-

sem na tych zdjęciach były motocykle lub rysunki techniczne maszyn. W tyle pomieszczenia stał rząd motocykli, wśród nich kilka unikatowych egzemplarzy. Czysta betonowa podłoga świadczyła, że Olsen regularnie ją zamiata. Wzdłuż jednej ściany ciągnęły się półki, z częściami zamiennymi ułożonymi w czerwonych plastikowych kuwetach opatrzonych naklejkami. Fabel spojrzał z zainteresowaniem na Olsena. Był potężnym mężczyzną przed trzydziestką. Mógłby nawet uchodzić za przystojnego, gdyby nie zbyt zwaliste ciało i zbyt grube rysy. Na dodatek jego skóra wyglądała, jakby była cętkowana. Nadkomisarz nie mógł uwierzyć, że ktoś taki potrafi dbać pedantycznie o porządek w warsztacie. Podeszedł do półek i przyjrzał się nalepkom na kuwetach.

– Szuka pan czegoś konkretnego? – odezwał się Olsen głucho. Postanowił widocznie współpracować, choć starał się zachować obojętność. – Myślałem, że chcecie obejrzeć mój motocykl.

– Owszem... – Nadkomisarz odsunął się od regału. Litera na naklejkach były staranne i małe, ale czy jest to ten sam charakter pisma, co na kartkach znalezionych przy ciałach, nie mógł stwierdzić. – Proszę nam

go pokazać.

Na środku warsztatu stał, oparty na nóżce, wielki amerykański motocykl. Z silnika wyjęto kilka części, które leżały teraz na podłodze. Uwagę Fabla ponownie zwróciła staranność, z jaką zostały ułożone. Chłopak musiał naprawiać ten motor, kiedy przyjechali.

– Nie. To nie ten. – Olsen wskazał na srebrnoszare bmw. Fabel nie znał się na motorach, ale zauważył model: R1100S. Musiał przyznać, że był piękny: elegancie, lśniące zło, które, choć uśpione, musiało być piekielnie szybkie. W jakiś osobliwy sposób motocykl przypominał psa Olsena: spętana moc czekająca na uwolnienie. Skinął na dwóch mundurowych, którzy bez zwłoki wyprowadzili motor z warsztatu.

– Po co wam ten motor? – zapytał Olsen, lecz nie doczekał się odpowiedzi. Nadkomisarz zignorował pytanie.

– Słyszał pan już o Hannie Grün? Założę się, że tak.

Mężczyzna przytaknął.

– Tak, słyszałem. – Na tyle, na ile potrafił, starał się nie okazywać emocji.

– Nie wygląda pan na specjalnie zmartwionego –

zauważyła Anna. – Przecież był pan jej chłopakiem.

Olsen wybuchnął śmiechem, nie kryjąc goryczy.

– Chłopakiem? O, nie. Byłem frajerem. Jednym z wielu frajerów. Rzuciła mnie kilka miesięcy temu.

– Ludzie, którzy z nią pracowali, mówią co innego. Podobno podwoził ją pan motocyklem do pracy. Niedawno.

– Być może. Dałem się omamić. Co więcej mogę powiedzieć?

Fabel ocenił, że chłopak musiał regularnie bywać na siłowni, miał silne ramiona i barki, mięśnie rozszalały materiał roboczego kombinezonu. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak zabija ostrym nożem dużo słabszego Schillera.

– Gdzie pan był w piątek wieczorem? – zapytała Anna. Dziewiętnastego marca, aż do soboty rano?

Olsen wzruszył ramionami.

Przesadza z tym brakiem zainteresowania. Ma coś do ukrycia, pomyślał Fabel.

– Poszedłem na drinka. Tutaj, w Wilhelmsburgu. Wróciłem do domu około północy.

– Co to za lokal?

– Pelikan. Nowo otwarty bar w Stadtmitte. Chcia-

łem zobaczyć, jak tam jest.

– Czy ktoś pana widział? Ktoś, kto mógłby potwierdzić pańską obecność?

Z wyrazu twarzy Olsena można było wyczytać, że uznał pytanie Anny za bezsensowne.

– Tam się przewijają setki ludzi. To nowy lokal, więc mnóstwo osób wpadło na taki pomysł, jak ja. Nie zauważyłem nikogo znajomego.

Fabel pokiwał głową.

– Musimy zatem prosić pana o udanie się z nami. Informacje, które nam pan przekazał, są zbyt skąpe.

Olsen westchnął z rezygnacją.

– Jasne. Tylko że nic na to nie poradzę, że nie mam alibi. Gdybym rzeczywiście coś przeszkrobał, postarałbym się o nie. Długo to potrwa? Robota czeka.

– Musimy dojść prawdy. Zapraszam, panie Olsen.

– Mogę zamknąć firmę?

– Oczywiście.

W tylnej części warsztatu znajdowały się boczne drzwi. Olsen podszedł do nich, zamknął na klucz i wyszedł z warsztatu w asyście trzech policjantów. Pies zasnął na podwórku.

– Jeżeli zamierzacie mnie trzymać przez całą noc,

to muszę nakarmić psa. – Spojrzał na warsztat. – Cholera, zapomniałem o alarmie. Nie zostawię motorów bez włączonego alarmu. Mogę wrócić i go uruchomić?

– Werner, idź z panem – polecił Fabel.

Kiedy zostali sami, Anna zapytała:

– Nie masz wrażenia, że postawiliśmy na złego konia?

– Chyba wiem, o czym myślisz. Czuję, że jedyną rzeczą, jaką Olsen przed nami ukrywa, jest jego rozpacz po śmierci Hanny...

Nagle z warsztatu rozległ się głośny, gardłowy ryk motoru. Anna i Fabel spojrzeli na siebie i już biegli w stronę otwartych drzwi budynku. Pies się poderwał, warczał wściekle, rzucając się naprzód. Fabel ominął go łukiem, miał nadzieję, że dobrze ocenił długość łańcucha, którym pies był przywiązany. Zdołali pokonać zaledwie połowę drogi do warsztatu, kiedy z drzwi wypadł Olsen na wielkim czerwonym motocyklu. Anna i Fabel zamarli na widok pędzącego wprost na nich motoru. Głowę motocyklisty zasłaniał czerwony hełm ze spuszczoną osłoną twarzy, ale Fabel rozpoznał ubrudzony smarem kombinezon. Olsen dodał gazu, przednie koło uniosło się nieco w górę.

Nagły skok adrenaliny sprawił, że dla nadkomisarza czas wyraźnie zwolnił. Motocykl pędził z zawrotną szybkością. Odskoczyli na boki w chwili, gdy Olsen ich mijał. Fabel przetoczył się kilka razy po ziemi. Chciał ustać, ale przygniótł go jakiś ciężar. Pomyślał, że Olsen wrócił, żeby go wykończyć, i wtedy zobaczył pysk rottweilera. Odrzucił głowę do tyłu w chwili, gdy pies gwałtownie kłapnął zębami. Na policzku poczuł rozbryzgującą się ślinę i śluz, ale kły bestii go nie dosięgły. Przeturlał się jeszcze raz, tym razem w odwrotną stronę, i nagle poczuł silny ból w ramieniu, za które szarpnął rottweiler. Przetoczył się dalej, aż usłyszał żallosny skowyt przechodzący we wściekłe, bezsilne ujadanie. Pies szalał, próbując zerwać łańcuch.

Fabel podniósł się. Anna też zdążyła już wstać. Rzuciła na niego okiem, czy jest cały. Stała gotowa do biegu. Wystarczyło skinienie głową Fabla i ruszyła w stronę samochodów. Policjanci stali przy motocyklu, który mieli zabrać do ekspertyzy i patrzyli oniemiałi na rozgrywającą się scenę. Anna zmieniła kierunek biegu i dopadła do motocykla.

– Jest kluczyk? – wrzasnęła do osłupiałych policjantów. Nim zdążyli odpowiedzieć, wskoczyła na sio-

dełko, odpychając ich na bok. Uruchomiła silnik i ruszyła za Olsenem.

Fabel zaciskał dłoń na ramieniu. Marynarka w tym miejscu była rozdarta, z dziury zwisały strzepy podszewki. Ręka go bolała, ale na szczęście zęby bestii nie sięgnęły ciała. Spiorunował wzrokiem psa, a ten rzucił się do ataku. Nie mógł skoczyć dalej, niż pozwalał łańcuch, więc szarpał się tylko bezradnie.

– Tutaj! – krzyknął Fabel do policjantów, wskazując na otwarte drzwi warsztatu. Meyer siedział na podłodze i próbował chusteczką zatamować krew, która ciekła z rany po prawej stronie głowy. Wyglądała paśkudnie, była głęboka i rozległa, wokół powstał obrzęk. Fabel wcisnął Wernerowi w dłoń czystą chusteczkę i przyłożył ją do rany.

– Jak się czujesz?

Meyer miał szklisty, nieobecny wzrok, ale zdołał kiwnąć głową. Weszli dwaj policjanci. Nadkomisarz wskazał na ścianę pokrytą półkami.

– Poszukaj jakiejś apteczki. – Drugiemu polecił: – Wezwij karetkę.

Fabel zlustrował pomieszczenie. Klucz francuski zaplamiony krwią leżał o metr od Wenera. Tylne

drzwi do warsztatu były otwarte na oścież. Ten bydlak dobrze wszystko zaplanował. Mówiąc, że idzie włączyć system alarmowy, otworzył drzwi. Trafnie przewidział, że pójdzie z nim tylko jeden policjant. Uderzył Wenera kluczem francuskim i uciekł tylnymi drzwiami, za którymi czekał już motocykl. Fabel był pewien, że czerwonego motoru nie widział wcześniej w środku.

Meyer jęknął i próbował się podnieść. Fabel go powstrzymał.

– Nie ruszaj się, zaraz przyjedzie karetka. – Spojrzał na policjanta.

– Już jedzie, panie nadkomisarzu.

– Nie chciałym być w skórze Olsena, kiedy go dorwiemy – odezwał się Meyer. Spojrzenie miał przytomniejsze, co bardzo ucieszyło Fabela.

– Masz rację – odparł lodowatym tonem. – Nikt nie będzie walił po głowie ludzi z mojego zespołu.

– Nie to miałem na myśli. – Werner uśmiechnął się słabo i gestem wskazał ramię Fabela. – Czy to nie była twoja ulubiona marynarka?

Ostatni zakręt Anna wzięła zbyt szybko. Miała co prawda na sobie skórzaną kurtkę, ale nogi chronił tylko

cienki materiał dżinsów, a właśnie na ostatnim zakręcie tarła kolanami o asfalt. Jeżeli Olsen wie o prowadzeniu motocykla tyle, ile o jego naprawie, ona musi wydusić z silnika całą moc, by nie stracić go z oczu. Brakowało jej kasku i okularów przeciwsłonecznych; aby cokolwiek widzieć w porywach wiatru, musiała mrużyć oczy. Pochyliła się nisko nad kierownicą, by zmniejszyć opór powietrza. Droga wiodła wzdłuż ogrodzenia rafinerii i była zupełnie pusta, więc mogła jechać z maksymalną prędkością. Wypadła na Hohe-Schaar-Strasse, zmuszając jakiegoś mercedesa do gwałtownego hamowania. Na moście nad Reiherstieg dostrzegła zarys czerwonego motocykla Olsena i ruszyła za nim.

Anna i jej brat Julius mieli kiedyś motory i często wyjeżdżali razem na weekendy: do Francji, do Bawarii, raz nawet przemierzyli całą Anglię. Potem, kiedy bardziej absorbowwała ich praca, wypraw było mniej. Po ślubie Juliusa w ogóle przestali jeździć. Ona trzymała swój motor aż do ubiegłego roku, kiedy w końcu postanowiła zamienić go na samochód. Jedynym wspomnieniem tamtych lat pozostała skórzana kurtka, w której niemal codziennie chodziła do pracy.

Wcisnęła hamulec, zwalniając nieco przed ostrym skrętem w lewo. Pochyliła się na bok, weszła w zakręt i dodała gazu. Przed nią był długi odcinek prostej drogi. W oddali dostrzegła czerwoną plamę motoru Olse-
na. Wcisnęła gaz do oporu. Spierzchły jej usta, poczuła strach. Wzdrygnęła się. Celowo nie patrzyła na prędkościomierz. Pędziła chyba dwieście na godzinę, ale wo-
łała tego nie sprawdzać. Dystans pomiędzy nią a Olse-
nem się zmniejszał; chłopakowi pewnie nie przyszło do głowy, żeby spojrzeć w lusterko wsteczne. Spodzie-
wał się raczej, że ruszą w pościg samochodem. Wtedy nie mieliby szans. Anna była coraz bliżej. Nie oglądaj się – mówiła do niego w myślach. – Nie oglądaj się, skubańcu! Stało się. Ledwie dostrzegalny ruch czerwonego kasku i motocykl gwałtownie przyspieszył. Olsen nie mógł uciec przed bmw Anny, ale na pewno mógł utrzymać dystans tak długo, póki któreś z nich nie popełni błędu.

Następny zakręt Olsen pokonał szybciej i sprawniej niż Anna, zatem zwiększył się dystans między nimi. Miejski krajobraz zniknął nagle, teraz jak okiem sięgnąć ciągnęły się połączone błotnistych pól uprawnych. Droga była pełna zakrętów; przeważały te w lewo i

Anna dziękowała Bogu, że na żadnym nie natknęła się na jadący z przeciwka pojazd.

Kolejny ostry zakręt. Tym razem Olsen źle go ocenił i musiał przyhamować, żeby nie wypaść z drogi. Odległość pomiędzy nimi zmalała do dwudziestu metrów. Cały świat zawęził się Annie do pasa drogi przed nią i maszyny, z którą stanowiła nierozdzielalną całość. Jakby jej system nerwowy był połączony z elektroniką motocykla i każda myśl, każdy impuls był niezwłocznie do niej przekazywany. Skupiła całą uwagę na czerwonym kasku, próbowała przewidzieć następny ruch Olsena.

Taka koncentracja sprawiała, że nie mogła nawet na chwilę oderwać rąk od kierownicy. Nie mogła sięgnąć po broń. Nie mogła podać przez telefon swojej pozycji. Nagle straciła orientację. Wpatrzona w Olsena i krótki odcinek drogi przed sobą, nie wiedziała, gdzie się teraz znajduje. Nigdy nie знаła zbyt dobrze Wilhelmsburga, nie zauważała nawet, jak się zmieniała podczas jazdy okolica. Płaski krajobraz i kierunek, w którym zmierzali, wskazywał, że znaleźli się gdzieś blisko Moorwerder – osobliwego krańca wyspy, zupełnie niezauważanego przez deweloperów.

Kolejny zakręt i kolejna prosta. Olsen przyspieszył gwałtownie. Annie zamarło serce, kiedy się zorientowała, że droga za chwilę będzie prowadzić przez teren zabudowany. Na poboczu pojawiła się tablica: Stillhorn. Znaczyło to, że Olsen zrobił pętlę i kierował się teraz w stronę autostrady A 1. Skoro podjął takie ryzyko, powinna zwolnić, pozwolić mu jechać, dokąd chce i nie narażać niewinnych ludzi na niebezpieczeństwo. Ale jeszcze nie w tej chwili.

Ruch na drodze się zwiększał. Olsen i Anna lawirowali pomiędzy samochodami i ciężarówkami. Niejeden pojazd musiał z ich powodu ostro hamować, co chwila rozlegał się sygnał klaksonów. Zbliżali się do centrum, mknąc przez coraz bardziej zwartą zabudowę na przedmieściu. Serce Anny waliło jak młot. Gdzieś z tyłu usłyszała ryk policyjnej syreny. Nie miała pojęcia czy nadciąga wsparcie, czy miejscowa policja zamierza rozprawić się z dwójką piratów drogowych, którzy urządzili sobie rajd po mieście. Tak czy owak, cieszyła się, że teraz, siedząc Olsenowi na ogonie, nie jest już sama. Chłopak zahamował gwałtownie i skręcił tak ostro, że o mało nie stracił panowania nad pojazdem. Chwilę potem zniknął w bocznej uliczce.

Anna przejechała skrzyżowanie i musiała zawrócić, na co wściekli kierowcy zareagowali symfonią klaksonów. Kiedy się znalazła w przecznicy, Olsen był już na drugim końcu. Przyspieszyła. Ryk silnika odbił się głośnym echem, a nieliczni przechodnie przywarli do murów, umykając przed rozpędzonym motocyklem. Wszystko to stawało się zbyt niebezpieczne. Postanowiła, że przerwie pościg, jeżeli nie uda się jej dopaść Olsena, nim ten wjedzie do miasta.

Już miała wyjechać z bocznej uliczki, kiedy się pojawił, migając światłami, policyjny radiowóz. Najwyraźniej zamierzali zablokować drogę. Rozpaczliwą gestykulacją próbowała dać im do zrozumienia, że powinni ją przepuścić. Zamiast tego samochód zatrzymał się z piskiem opon i błyskawicznie wyskoczyli policjanci z bronią skierowaną w jej stronę.

Zahamowała gwałtownie; motocykl skreślił pod ostrym kątem, straciła nad nim panowanie, upadła na asfalt i poczuła gwałtowny ból w udzie. Dżinsowy materiał podarł się na strzępy. Anna przetoczyła się kilka razy, zatrzymując w końcu przy jakimś zaparkowanym samochodzie. Przewrócony motocykl w kaskadzie iskier ślizgiem uderzył w przód radiowozu.

Drugi radiowóz zajechał od tyłu. Policjanci z bronią podeszli do leżącej na ziemi Anny; obejmowała zranione udo. Wydobyła jakoś policyjną odznakę. Pomogli dziewczynie wstać. Jeden z nich przeproszał, tłumacząc, iż nie wiedzieli, że jest policjantką, która ściga przestępcę.

Anna popatrzyła na wylot ulicy, gdzie zniknął Olsen, potem na rozbity motor, wreszcie spokojnie poprosiła funkcjonariuszy, żeby podali przez radio kierunek, w jakim uciekał podejrzany i zapytali, czy możliwe będzie prowadzenie poszukiwania z użyciem śmigłowca. Kiedy załatwiła wszystkie najpilniejsze sprawy, wzięła głęboki oddech i z całych sił wrzasnęła na otaczających ją policjantów:

– Pieprzeni idioci!

Czwartek, 25 marca, 16.30.

Szpital miejski, Wilhelmsburg, Hamburg

Maria Klee stała przy oknie. Miała na sobie ciemnoszary kostium i czarną, lnianą bluzkę. W jaskrawym świetle jarzeniówek, jej szare oczy nabrały metalicznego blasku. Zawsze sprawiała wrażenie zbyt elegancznej, jak na komisarza policji. Teraz, w szpitalnej sali, w otoczeniu poturbowanych kolegów, kontrast był jeszcze wyraźniejszy.

– A więc... – zaczęła z uśmiechem, postukując długopisem o nienagannie białe zęby – możemy uznać, że wszystko dobrze się skończyło. Jeżeli kiedyś będziecie chcieli kogoś przesłuchać, lepiej weźcie mnie ze sobą.

Fabel zachował kamienny spokój. Siedział rozparty na krześle obok Meyera. Wciąż miał na sobie ulubioną marynarkę z rozerwanym rękawem. Werner ze spuchniętą połówką twarzy, która zaczęła się mienić kolorami, wyglądał dość groteskowo. Prześwietlenie i tomografia nie wykazały żadnych złamań ani obrzęku mózgu, ale lekarze uznali, że stłuczenia mogły zaciemnić obraz i niewykluczone są innego rodzaju obrażenia. Werner znajdował się teraz gdzieś pomiędzy jawą a

snem – dostał silne środki przeciwbólowe, które okazały się skuteczniejsze niż klucz francuski Olsena. Anna w szpitalnej koszuli, z olbrzymim opatrunkiem na udzie, siedziała na wózku po drugiej stronie łóżka Meyera.

– No i karierę modelki prezentującej stroje kąpielowe diabli wzięli – powiedziała, kiedy jej wózek wtoczył się do sali. Przez szalony pościg i jego spektakularne zakończenie ucierpiała też uroda Anny – tusz i szminka rozmazały się. Jakaś życzliwa pielęgniarka poratowała ją mleczkiem do demakijażu. Nieumalowana wyglądała bardzo blado. Fabel nigdy wcześniej nie widział Anny bez makijażu. Był teraz zaskoczony. Wydawała się znacznie młodsza; nie dałby jej tych dwudziestu siedmiu lat. Pomyślał, że jest naturalnie piękna. Ta twarz nie pasowała do zawziętości, z jaką komisarz Wolff wykonywała swoje obowiązki. Zawziętości, którą nieraz musiał poskramiać.

Wstał ociężale z krzesła, podszedł do okna, gdzie stała Maria i obrócił się w stronę Anny i Wenera. Widać było, że chce coś powiedzieć, a skoro Werner był obecny raczej ciałem niż duchem, adresatkami jego przemowy pozostawały Anna i Maria.

– Nie muszę chyba tłumaczyć, że źle się stało. – Ton jego głosu nie wróżył nic dobrego. – Cała robota spadnie teraz na nas, na mnie i na ciebie, Mario. Werner wypada z gry na co najmniej miesiąc. Ty Anno, będziesz dochodzić do siebie tydzień albo dłużej.

– Nic mi nie jest, szefie. Wracam...

Fabel powstrzymał ją gestem dłoni.

– Pani komisarz Wolff, nie potrzebuję pani tak długo, jak długo nie może się pani swobodnie poruszać. Minie co najmniej tydzień, nim wrócisz do pracy. Pewnie teraz jeszcze tego nie czujesz, ale lekarze powiedzieli, że kiedy nadwerężone mięśnie zaczną wracać do normy, będzie cię bolało jak diabli. I tak miałaś szczęście, że obeszło się bez przeszczepu skóry na nodze.

– Za wszelką cenę chciałam uniemożliwić Olsenowi ucieczkę.

– Anno, przecież ja cię nie potępiam. – Uśmiechnął się. Chociaż Brauner raczej nie był zachwycony, kiedy się dowiedział, że zniszczyłaś dowód w sprawie. Kłopot w tym, że sami z Marią nie damy sobie rady.

Anna spochmurniała. Domyśliła się, w czym rzecz.

– Są jeszcze w wydziale zabójstw zespoły, skąd

można wziąć ludzi.

– Wiem, że trudno ci wyobrazić sobie kogoś innego na miejscu Paula. – Paul Lindemann był partnerem Anny. Wiele ich różniło, ale okazali się zgranym zespołem. – Muszę mieć pełny skład. Zamierzam kogoś zatrudnić.

Z twarzy Anny nie zniknęło napięcie.

– To będzie mój nowy partner?

– Tak.

Maria uniosła brwi. Obie z Anną wiedziały, że Fabel stawiał duże wymagania wszystkim nowo przyjmowanym członkom zespołu. Sam dobierał sobie współpracowników. Wyglądało na to, że ktoś zrobił na nim duże wrażenie.

– Zamierza pan przyjąć komisarza Klatta? Tego faceta z policji w Norderstedt?

Fabel mimo wyczerpania i bólu ramienia zdobył się na tajemniczy uśmiech.

– Poczekajcie, zobaczycie.

Czwartek, 25 marca, 18.00.

Wilhelmsburg, Hamburg

Jest jeden skuteczny sposób na postawienie całej policji w stan najwyższej gotowości – wystarczy zaatakować któregoś z jej ludzi. W piętnaście minut po tym, jak Werner padł ofiarą napaści, był już gotowy nakaz i oddział specjalny policji wziął pod ścisłą obserwację mieszkanie Olsena w Wilhelmsburgu, nieopodal zakładu produkującego sztuczny miód. Z wnętrza nie dochodziły żadne oznaki życia. Albo Olsen wrócił prosto do domu i zaszył się w nim, co byłoby totalną głupotą, albo zrozumiał, że musi trzymać się od tego miejsca z daleka.

Niebo pokrywały ciężkie, ołowiane chmury, kiedy Maria i Fabel zatrzymali się przed blokiem, w którym mieszkał Olsen. Nadkomisarz zdążył zmienić marynarkę i połknąć kilka tabletek kodeiny, żeby uśmierzyć ból ramienia i męczące pulsowanie w głowie. Wsiadłszy z samochodu, wskazał na nieoznaczoną ciężarówkę zaparkowaną na ulicy. Wyskoczyło z niej pięciu potężnie zbudowanych mężczyzn w dzinsach i sportowych bluzach, którzy ruszyli wzdłuż ulicy. Mieli kamizelki

kuloodporne z napisem POLIZEI. W biegu naciągali na głowy kominiarki i zakładali hełmy. Dwóch dźwiagało krótki, masywny taran. Trzech innych, podobnie ubranych, wyskoczyło z drugiego samochodu, zaparkowanego mniej więcej pięćdziesiąt metrów dalej. Dowódca oddziału zatrzymał się na chwilę koło Fabela.

– Drugie piętro, mieszkanie 2 B. Róbcie, co należy...

Jeszcze na ulicy Fabel i Maria usłyszeli łomot wyważanych taranem drzwi. Rozległy się krzyki, a potem zapanowała cisza. Po kilku minutach dowódca wyszedł z bloku. W jednej ręce trzymał hełm i kamizelkę kuloodporną, w drugiej pistolet Sig-Sauer. Uśmiechał się pod nosem.

– Nikogo nie ma w domu – powiedział.

– Dziękuję, panie nadkomisarzu – odparł Fabel. – Idziemy? – zwrócił się do Marii.

Drzwi wejściowe wisiały co prawda na zawiasach, ale z futryny niewiele pozostało. Fabel i Maria, zanim weszli do środka, założyli lateksowe rękawiczki. Całkiem spore mieszkanie składało się z przestronnego salonu, trzech sypialni, dużej kuchni połączonej z jadalnią i łazienki. Meble były stare i ciężkie. Fabel zwrócił

uwagę na porządek i czystość. Telewizor nie najnowszy, ale najwyraźniej Olsen zainwestował w sprzęt grający. Na jednej ze ścian dominował okazały, ekskluzywny zestaw firmy Bang&Olufsen. Rozmiar i moc głośników były nieproporcjonalne do wielkości pokoju. Mimo to zdaniem Fabela żaden z sąsiadów nie poskarżył się na Olsena, że ten zbyt głośno słucha muzyki. Obok zestawu znajdował się stojak na płyty CD. Właściciel oznakował kolekcję z taką samą starannością, jak części zamienne w warsztacie. Fabel przyjrzał się płytom: Rammstein, Die Toten Hosen, Marilyn Manson. To nie była muzyka, którą się puszcza podczas niedzielnych rodzinnych obiadów.

W rozpadającą się futrynę zapukał Holger Brauner.

– Impreza we dwoje? Czy jeszcze ktoś przyjdzie? – Wskazał na płyty, które Fabel trzymał w ręku. – Rammstein? Nie wiedziałem, że to twoja ulubiona muzyka.

Nadkomisarz się roześmiał i odłożył płytę na miejsce.

– Szukałem płyty Jamesa Lasta. Hansi jest niezastąpiony.

– Miałeś ciężki dzień, jak słyszałem... Czy to prawda, że poprosiłeś o przeniesienie do oddziału przewod-

ników psów?

Fabel skwitował ten cięty dowcip sarkastycznym uśmiechem.

– I jeszcze jedno, panie nadkomisarzu. Proszę porozmawiać z komisarz Wolff. Najwyraźniej opuściła szkolenie, na którym była mowa o zabezpieczaniu dowodów rzeczowych.

– Holger, przepraszam za ten motocykl. Udało się porównać ślady?

– Oczywiście. Ślady z miejsca zbrodni to były opony o rozmiarze 120/70-ZR17. Typowe dla motocykli BMW R1000S. Odciski pasują idealnie do opon motocykla Olsena. Masz więc przestępcę. A przynajmniej masz motocykl, którym morderca przyjechał do lasu. Teraz musimy porównać odciski stóp. Rozejrzę się tu trochę.

– Pewnie ma te buty na sobie – powiedział Fabel, usiłując sobie przypomnieć buty, w jakich chodził dziś Olsen.

Maria przeszukiwała łazienkę. Przyniosła stamtąd kilka buteleczek. Sądząc po zawartości, mogły to być lekarstwa.

– Panie Holger, wie pan może, co to jest?

Brauner przeczytał napisy na butelkach.

– Isotretinoina i nadtlenek benzoilu... Czy wasz podejrzany nie ma kłopotów ze skórą?

– Owszem, ma – odparł Fabel.

– To są leki na trądzik... – Głos uwiązał Braunerowi w gardle; wpatrywał się w buteleczki i usiłował zebrać myśli. – Odciski butów były duże. Rozmiar pięćdziesiąty. Czy ten człowiek jest wysoki? I silnie umięśniony?

Maria i Fabel wymienili spojrzenia.

– Tak. Jest postawny.

– To pytanie może zabrzmieć głupio, ale czy w jego wyglądzie zauważyliście jeszcze coś dziwnego, nietypowego? Kurzą klatkę piersiową albo zez w jednym oku?

– Żartujesz? Czy może myślisz, że go znasz? – Fabel się roześmiał.

Brauner wciąż wpatrywał się w lekarstwa na trądzik i z niedowierzaniem kręcił głową.

– Naprawdę nie zauważyliście takich cech?

– Nie – uciął Fabel rozdrażniony. – Nie miał zeza, klatkę piersiową miał normalną. Nie był też garbusem z dwiema głowami.

– A więc nie... – Brauner nie zauważył w głosie Fabela sarkazmu. – Cóż, nie zawsze występują wszystkie objawy...

– Holger? – rzucił zniecierpliwiony Fabel. Brauner podniósł wzrok.

– Przepraszam. Wydaje mi się, że wasz Olsen może być tym jednym na tysiąc. Raporty policyjne na jego temat dotyczą przemocy, prawda? Sytuacji, gdy traci nagle cierpliwość. To nie są zaplanowane działania.

– Z tego, co wiem – tak. Tylko raz dostał upomnienie za sprzedaż kradzionych części zamiennych. O co chodzi, Holger?

– Może o nic, ale Olsen jest wybuchowy, bardzo wysokiego wzrostu, mocno zbudowany i ma kłopoty z trądzikiem, choć w jego wieku to raczej nietypowa przypadłość. Niewykluczone, że mamy do czynienia z zespołem kariotypu XYY.

– Syndrom supermana? – Fabel się zamyślił. – Tak. To by pasowało. Teraz, kiedy o tym mówisz, wszystko się układa. O trądziku nie wiedziałem. – Nadkomisarz zetknął się już z takim przypadkiem.

Zespół kariotypu XYY zdarza się wtedy, gdy dziecko rodzi się nie z normalnym męskim chromosomem

46 XY, lecz z dodatkowym 47 XYY. Ci supermani charakteryzują się bardzo wysokim wzrostem, zdecydowaną przewagą męskich cech płciowych oraz brakiem dojrzałości emocjonalnej i społecznej. Zaburzenia te, spowodowane nadmiernym wydzielaniem testosteronu, zwykle się objawiają nadpobudliwością i gwałtownością reakcji. Opinia biegłych dotyczyła tego, czy taki rodzaj defektu genetycznego miał wpływ na zachowanie oskarżonego. W przypadku znanym Fabelowi, sprawca, podobnie jak Olsen, był bardzo dobrze zbudowany i nieprzewidywalnie agresywny. Pewne budzące duże kontrowersje badania wykazały, że w więzieniach przebywa nieproporcjonalnie dużo osobników z zespołem kariotypu XYY. Z drugiej strony, wielu mężczyzn z tym defektem genetycznym wiodło zupełnie normalne życie, pożytecznie wykorzystując swój nadmiar energii, co wyrażało się między innymi osiąganiem sukcesów zawodowych. Fabel ponownie przyjrzał się płytom CD.

– Nie wiem, Holger. Agresywna muzyka pasuje do portretu, ale w warsztacie zachowywał się spokojnie. Panował nad emocjami. Sposób, w jaki zwabił Wernera, dowodzi, że nie działał impulsywnie. Opracował

wcześniej plan ucieczki.

– Pewnie wszystko się w nim gotowało, ale wiedział, że musi zachować spokój, gdyż inaczej ucieczka się nie uda. Użył chyba całej swojej siły, by obezwładnić Meyera. Nie musiał uderzyć tak mocno. Klasyczny przykład utraty panowania nad sobą.

– Czy taka informacja nie powinna być w naszej bazie danych? – zapytała Maria.

– Tak, jeżeli został poddany badaniom na zespół kariotypu w czasie pobytu w areszcie. Równie dobrze może być zwykłym gnojkiem, który łatwo traci cierpliwość.

Rozdzielili się i każde z osobna zajęło się przeszukiwaniem domu Olsena. Zachowywali się jak odwiedzający galerię sztuki – najpierw ogólne spojrzenie na całość, a następnie przyglądanie się szczegółom. Nic nie wskazywało, że mieszkał tu psychotyczny maniak, seryjny zabójca. Fabel nie mógł pojąć, skąd takie sprzeczności w osobowości Olsena. Wszystko tu było schludne i uporządkowane. Wszedł do jednej z sypialni; bez wątplenia korzystał z niej Olsen. Plakaty zdobiące ściany pasowały raczej do pokoju nastolatka, niż prawie trzydziestoletniego mężczyzny. Na toaletce le-

żały równo poukładane rzeczy: masywny, tani zegar, grzebień, szczotka, trochę kosmetyków, kilka butelek płynu po goleniu. Fabel otworzył drzwi pokaźnej szafy. Znajdujące się w niej ubrania i buty niespotykane dużego rozmiaru sprawiły, że poczuł się, jakby zwiedzał komnatę wielkoluda. Wisiał tam garnitur, obok stała para wizytowych butów. Na półce leżało kilka równo złożonych T-shirtów z emblematami heavymetalowych zespołów. Prócz tego dwie pary dzinsów: jedne czarne, drugie granatowe, dwie pary dresów, dwie pary butów. Właśnie, buty.

– Holger! – zawołał Fabel przez ramię, wygładzając lateksowe rękawiczki. Podniósł parę butów i przyjrzał się podeszwom. Wzór miały płytki, niewyraźny. Druga para wyglądała solidniej. W każdym bucie było po dziesięć dziurek na sznurowadła i dwa paski ze sprzączkami. Typowe buty do jazdy na motorze. Obrócił je, by zobaczyć podeszwy; w tym momencie do sypialni wszedł Brauner z odblaskiem śladów znalezionych w lesie. Pasowały do podeszwy.

Brauner otworzył torebkę i chwytając buty palcem wskazującym i kciukiem, włożył je do środka.

– A teraz – powiedział Fabel – musimy odnaleźć

naszego Kopciuszka.

Piątek, 26 marca, 81.00.
Pöseldorf, Hamburg

Ten wspólny posiłek był pomysłem Fabla. Kiedy więc zobaczył swojego starego przyjaciela Ottona zajętego rozmową z Susanne, którą ten widział po raz pierwszy, był mile zaskoczony. Początkowa niezręczność towarzysząca zwykle powitaniu i przedstawianiu sobie osób zniknęła niemal natychmiast dzięki naturalnemu ciepłu bijącemu od Susanne. Widać było, że Otto i Else naprawdę ją polubili. Zaakceptowali. Sam nie wiedział dlaczego, ale ta ich akceptacja stała się dla niego bardzo ważna. Być może dlatego, że Otto i Else nieraz w przeszłości spotykali się w restauracji z nim i Renate, gdy byli małżeństwem.

Spojrzał na Susanne i uśmiechnął się. Kruczoczarne włosy związała, odsłaniając szyję i ramiona. Uroda Susanne była niepowtarzalna. Podkreślał ją jeszcze delikatny makijaż, sprawiający, że oczy stawały się bardziej wyraziste. Odwzajemniła uśmiech. Fabel zarezerwował stolik we włoskiej restauracji na Milchstrasse, o dwie minuty drogi od swojego mieszkania. Jego lokum nie nadawało się do podejmowania gości obiadem,

więc ilekroć spotykał się ze znajomymi, szli do tej właśnie restauracji. Rozmawiali niezobowiązująco o tym i o owym, aż w końcu Otto poruszył temat książek, które Fabel u niego kupił.

– Jak ci się podobała powieść Weissa? – zapytał.

– Niezła. Teraz rozumiem, co miałeś na myśli, mówiąc o napuszonym stylu. Z drugiej strony to niesamowite, jak łatwo dałem się wprowadzić w świat, który Weiss opisał. I jak szybko zacząłem utożsamiać Jacoba Grimma z postacią literacką, a nie historyczną. A przecież o to właśnie autorowi chodziło. – Przerwał na moment. – Przeczytałem też „Baśnie braci Grimm”. Wiedziałem wcześniej, że je zbierali, ale nie sądziłem, że będzie ich tak dużo. Poza tym dochodzą jeszcze różne mity i legendy.

Otto pokiwał głową.

– Bardzo zdolni zapaleńcy. Tworzyli zgrany zespół. Ich praca poświęcona historii języka niemieckiego i ogólnie lingwistyce stała się fundamentalnym dziełem. Nadal jest aktualna. Zdefiniowali mechanizmy tworzenia się języka, jego ewolucji, opisali, w jaki sposób powstają zapożyczenia. Paradoksalnie, pamięta się o nich tylko jako o autorach bajek, których przecież sami nie

wymyślili. Spisali je tylko.

– Tak. Wiem. – Susanne pociągnęła łyk wina i odstawiła kieliszek. – Dla mnie, jako psychologa, baśnie są fascynujące. Zawierają tyle głębokich treści; w wielu jest wyraźny motyw seksualny.

– To prawda. – Otto uśmiechnął się do Susanne. – Bracia Grimm nie byli pisarzami, tylko zbieraczami-filologami, którzy przemierzali rozległe terytorium Hesji oraz całych północnych i środkowych Niemiec, spisując zasłyszane baśnie i bajki. Nie zmieniali i nie upiększali tego, co usłyszeli. Większość baśni nie była tak subtelna, jak w późniejszych edycjach, ani tak przesłodzona jak w filmach Disneya. Kiedy ich dzieło stało się popularne, a szczególnie dotyczyło to bajek dla dzieci, dokonali korekty – usunęli lub stonowali drastyczne fragmenty.

– Trochę się boimy baśni – powiedziała Susanne. – Opowiadano nam je w dzieciństwie, przed snem, a przecież one są tak naprawdę ostrzeżeniem, wręcz instrukcją, jak się uchronić przed niebezpieczeństwem czy złem. Mówią także o niebezpieczeństwach czyhających tam, gdzie, wydawałoby się, nic nie powinno nam grozić – w domu. Zresztą najbardziej popularnym

motywem bajek jest zła macocha.

– Weiss twierdzi, że te ludowe podania zawierają fundamentalne prawdy, odzwierciedlają nasze lęki i uprzedzenia. Fabel przerwał, aby nabrać na widelec tagliatelle. – Twierdzi też, iż każda powieść lub film, które wzbudzają w nas niepokój i strach, są powtórzeniem takiej bajki.

Otto przytaknął z zapalem; widelcem w wysuniętej ręce wskazał na Fabla.

– Całkiem słusznie... On ma rację. Istnieją cztery podstawowe historie, czy może sześć? – Wzruszył ramionami.

– Tak czy owak – powiedział Fabel – w dziwny sposób ma to związek ze śledztwem, które właśnie prowadzę. A w takim razie zaczynamy rozmawiać o sprawach zawodowych. Zmieńmy temat.

– Okej. – Otto miał szelmowski uśmiech. – Powiem jeszcze tylko, że wiem, czemu Jana interesują bajki...

Susanne uniosła ze zdziwieniem brwi.

– Piękna... – Otto uniósł kieliszek z winem w stronę Susanne, a potem w stronę Fabla – i bestia.

Niedziela, 28 marca, 23.20.

Blankenese, Hamburg

W pokoju z basenem panowała cisza i ciemność, tafla wody była nieruchoma.

Laura rozebrała się w kabinie i stała teraz naga przed lustrem – z nieskazitelną cerą, połyskującymi włosami, idealną figurą. Iluż wyrzeczeń wymagało utrzymanie tak doskonałego ciała, tak cudownej twarzy. Przyglądała się swojemu perfekcyjnemu pięknu, za które fotografowie i projektanci mody płacili bająnskie sumy. Położyła dłoń na brzuchu. Płaski. Sprężysty. Nigdy nie był wypięty. Spojrzała na siebie z odrazą.

Weszła nago do pokoju. Główne oświetlenie było wyłączone. Ogarnął ją mrok, otuliła cisza. Wzięła głęboki wdech, spojrzała ponad lśniąca taflą wody w olbrzymie okno, za którym rozciągało się nocne niebo. Chciała popłynąć w kierunku tego nieba, zapomnieć o troskach i zmartwieniach. Włączyła tylko lampy na dnie basenu. W narożnikach rozblęzło bladoniebieskie światło. Laura weszła do zimnej wody, zadrżała, na skórze pojawiła się gęsia skórka, brodawki piersi ze-

sztwywniały. Woda lekko zafalowała.

I wtedy zobaczyła.

Kształt. Jak wielki, czarny cień. Coś leżało na dnie. Ruszyła bez namysłu w kierunku tajemniczego przedmiotu. Jak to coś tu się mogło znaleźć? I kto to zostawił? Mimo że była już blisko, nie potrafiła rozpoznać nieruchomego obiektu. Kiedy odległość między nimi zmniejszyła się do dwóch metrów, przedmiot nagle poruszył się, wyprostował i gwałtownym ruchem wynurzył z wody. Potężny, górujący nad nią, w jednej chwili był przy niej. Czas się zatrzymał. Nie mogła pojąć, co się dzieje. Czy to człowiek? Nie. Zbyt duży. Zbyt szybki. Ciemne ciało. Ciało pełne słów. Słowa pisane gotykiem. Litery pokrywały całą klatkę piersiową, spiralnie pięły się po ramionach. To nonsens. Książka zapisana na ludzkim ciele rzuciła się na nią. Jedna ręka chwyciła ją za gardło, podczas gdy druga wepchnęła głowę pod wodę. To był mężczyzna. Wielki, zwalisty, z ciałem pokrytym napisami. Uścisk był silny, ale nie miażdżący. Doskonale wiedział, jak mocno złapać za gardło, by ofiara się nie wymknęła. Te dłonie były potężne i silne. Nadal trzymał jej głowę pod wodą. Obleciał ją strach. Próbowwała krzyczeć, lecz jej usta pełne

były lekko chlorowanej wody. Instynkt samozachowawczy sprawił, że strach przemienił się w ślełą panikę. Rzuciła się rozpaczliwie, uderzała rękami napastnika, ale on ani drgnął. Usiłowała złapać oddech, lecz z każdym wdechem coraz więcej wody dostawało się do płuc. W końcu zamarła w bezruchu, strach minął. Przeszła wymachiwać rękami. Jej twarz znów była spokojna i piękna.

Kiedy umierała, jej umysł wypełniło bezmierne szczęście. Tak było dobrze. Tak musiało być. Kara i przebaczenie. Matka miała rację. Laura była zła, bezwartościowa. Niezdolna do bycia matką. Niezdolna do bycia żoną. Teraz została rozgrzeszona. Radość, która ją wypełniała, miała dwa źródła. Już się nie zestarzeje. I będzie teraz ze swoim dzieckiem.

Poniedziałek, 29 marca, 8.40.

Park miejski, Winterhude, Hamburg

Fabel zadarł głowę i spojrzął na budynek, który wyrastał ponad otaczające go drzewa i rzucał cień na rozległą połąć trawy rozciągającą się przed nim. Nieprawdopodobnie wysokie łuki frontu budynku z czerwonej cegły strzelały w górę, jakby wyciągnięte ku niebu przez jakąś niewidzialną dłoń. Nad kopulastym dachem przepływały obłoki. Ten budynek fascynował go od dawna. Gdyby nie znał jego pierwotnego przeznaczenia i gdyby nie prawie metrowej wysokości litery, które objaśniały, do czego służy obecnie, mógłby się godzinami zastanawiać, w jakim celu go zbudowano. Fabel zawsze miał wrażenie, że wygląda on jak wielka świątynia jakiejś starożytnej religii: po części egipskiej, po części greckiej.

Planetarium było pierwotnie niczym więcej jak wieżą wodną. W czasach, gdy ją budowano, narastała wiara w rychłe zjednoczenie Niemiec, zbliżał się przełom wieków, a inżynieria lądowa była traktowana niemalże z nabożeństwem. Minęło stulecie, a budowla stała, będąc świadkiem tragicznych, historycznych po-

myłek, podziału i ponownego zjednoczenia Niemiec. Monumentalna wieża wodna służyła obecnie jako planetarium i stanowiła wizytówkę dzielnicy Winterhude.

Fabel zmierzył wzrokiem rozległą przestrzeń parku przed planetarium. Dwieście metrów stąd teren był prowizorycznie ogrodzony taśmą policyjną. Po jednej jej stronie stał kordon policji, po drugiej rosnący tłum gapiów.

– Wygląda na to, że cały świat już wie, kto był ofiarą. – Do Fabla podeszła Maria Klee. – Na pewno za chwilę pojawią się tu dziennikarze i telewizja.

Fabel zszedł po schodach na trawnik. Nad miejscem zbrodni rozpięto duży, biały namiot. Fabel i Maria założyli ochraniacze na obuwie, które otrzymali wcześniej od jednego z członków ekipy dochodzeniowej i dopiero wtedy weszli do namiotu. Holger Brauner pochylał się nad ciałem. Na ich widok podniósł się. Na trawie leżała naga kobieta z wyprostowanymi, złączonymi nogami i rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Jej pszeniczne włosy były starannie uczesane i owinięte wokół głowy. Fabel spostrzegł, że niewielka ich część została obcięta. Nawet po śmierci jej twarz była piękna, podobnie jak ciało o doskonałej budowie.

Miała zamknięte oczy, w złożonych na piersiach dłoniach trzymała czerwoną różę. Sprawiała wrażenie śpiącej. Przyjrzał się jej z bliska, wiedząc, że to ciało wkrótce zamieni się w proch. Teraz jednak bladeść spowodowana przez śmierć nadała jej skórze porcelanowego blasku.

– Nie potrzebujesz chyba żadnych wyjaśnień – powiedział Holger Brauner, przyklękając ponownie nad ciałem.

Fabel roześmiał się z goryczą. Właśnie skończył batalię ustalenie tożsamości pierwszej ofiary. Z ustaleniem tożsamości tej ostatniej nie będzie problemów. Prawie każdy w Hamburgu ją znał. Gdy po raz pierwszy spojrzał na jej twarz, wiedział, że ma do czynienia z Laurą von Klosterstadt, supermodelką, którą można było podziwiać na billboardach okładkach magazynów w całym Niemczech. Jak wskazywał dodatek „von”, Laura pochodziła z arystokratycznej rodziny. Ale pozycja von Klosterstadtów nie miała swojego źródła w szlacheckości rodu, pochodziła raczej z zupełnie współczesnych wpływów w sferach polityków i finansistów. Fabel zdawał sobie sprawę, że to mogło zapowiadać kłopoty. Przed namiotem już klębił się tłum

dziennikarzy, a za chwilę zjawią się tu wszystkie grube ryby.

– Boże – odezwał się w końcu. – Jak ja nienawidzę, gdy morduje się kogoś ze świecznika.

– A jeżeli kogoś ze świecznika zabija seryjny morderca, którego akurat ścigasz? – Brauner wręczył Fabelowi torebkę, w której znajdował się żółty skrawek papieru.

– Boże, tylko nie to – odparł Fabel. – Powiedz, że to nieprawda.

– Niestety. – Brauner wstał. – Wyjeliśmy jej to z dłoni. Dlatego kazałem szybko cię wezwać. Twój przyjemniaczek znowu się odezwał.

Fabel oglądał kartkę przez plastikową torebkę. Ten sam papier. Ten sam obłądnie staranny charakter pisma. Ten sam czerwony atrament. Tym razem tylko dwa słowa: „Dzika róża”.

– Dzika Róża? – Maria podeszła bliżej i zerknęła na kartkę.

– Bajka braci Grimm. Obecnie znana dzięki Hollywood jako „Śpiąca królewna”.

– Spójrzcie na to... – Brauner wskazał na rękę martwej kobiety, trzymającej różę. W kciuk głęboko wbił

się kolec. Żadnych śladów krwi. Różę zostawiono tu specjalnie, już po śmierci.

– Tak właśnie zasnęła Śpiąca Królowna. Ukłuła się w palec.

– Myślałam, że ukłuła się wrzecionem, a nie różą – powiedziała Maria.

Fabel podniósł się. Laura von Klosterstadt leżała bez ruchu, choć wyglądała tak, że Fabel spodziewał się, iż za chwilę westchnie przez sen i przewróci się na bok.

– Pomieszały mu się metafory, albo stara się połączyć w jedno różne wątki, jeśli wolisz. Śpiąca Królowna rzeczywiście ukłuła się wrzecionem w dniu swoich piętnastych urodzin, a kiedy spała, cały zamek obrosły dzikie róże, tworząc piękne, nieprzeniknione ogrodzenie. Planetarium to zapewne symbol zamku. – Odwrócił się do Braunera. – Możesz powiedzieć coś o przyczynie śmierci?

– Nie na tym etapie. Prócz lekkiego otarcia na skórze nie widać śladów przemocy, ale to za mało, żeby mówić o uduszeniu. Möller powie wam wszystko po sekcji zwłok.

Fabel z roztargnieniem wskazał na wachlarz psze-

nicznych włosów.

– A co z włosami? Dlaczego obcięto jeden kosmyk? Nie widzę tu żadnego związku ze Śpiącą Królową.

– Wiem tyle, co ty – odparł Brauner. – Może to trofeum? Miała piękne włosy, być może w jego mniemaniu włosy najlepiej określały jej postać.

– Nie, nie... Nie sądzę. Dlaczego nagle miałyby zacząć zbierać trofea? Wcześniej tego nie robił.

– A przynajmniej nic o tym nie wiemy – powiedział Brauner. – Być może ma to inne znaczenie. Jakież przesłanie...

Kiedy w końcu Fabel i Maria wyszli z namiotu, niebo przejaśniło się nieco, a czerwone cegły planetarium, zmoczone kroplami deszczu, połyskiwały w słońcu.

– Ten bydlak jest coraz bardziej pewny siebie, Mario. Tutaj mamy dowód na to. – Fabel machnął ręką w kierunku rzędu drzew, choć jego gest sugerował, że ma na myśli coś, co znajduje się za nimi. – Prawie mogliśmy być świadkami całej sceny. Tam jest Komenda Główna Policji. Z górnych pięter widać dach planeta-

rium. Zaczyna się popisywać.

Maria opuściła ręce i przechyliła nieco głowę.

– Na razie naszym głównym podejrzanym jest Olsen, depczemy mu po piętach. Może wybór tego miejsca ma stanowić dla nas wiadomość. My depczemy jemu po piętach, a on nam.

– Kto wie. A może wybór miejsca ma związek z jego historią?

– Z historią parku?

Fabel pokręcił głową.

– Nie. Z historią Winterhude. To prastare miejsce. Jego historia sięga czasów, kiedy nie istniał jeszcze Hamburg. Już w epoce kamiennej było tu siedlisko ludzkie. Podejrzewam, że sąsiedztwo komendy policji miało dla niego raczej drugorzędne znaczenie, ale może jest coś szczególnego w historii tego miejsca. – W czasie studiów Fabel spędzał w tym parku latem sporo czasu. Nie wiadomo dokładnie, jakie jest pochodzenie słowa Winterhude, ale samo „hude” w języku dolnosaksońskim oznaczało „strzeżone miejsce”. Zawsze towarzyszyło mu dziwne wrażenie, że oto znajduje się w miejscu, gdzie ludzie żyją nieustannie od sześciu tysięcy lat. To w jakiś magiczny sposób łączyło

go z historią, którą studiował.

– A może – powiedziała Maria – to miejsce pasuje do jego wyobrażeń.

Fabel miał odpowiedzieć Marii, kiedy dostrzegł terenowego mercedesa z napędem na cztery koła, zatrzymującego się przed kordonem policyjnym. Z samochodu wysiadło dwóch mężczyzn. Fabel bez trudu ich rozpoznał.

– Cholera... – Przeklął swoją intuicję, która podpowiedziała mu odwiedziny „grubych ryb”. – Tylko tego nam potrzeba.

Obaj mężczyźni skierowali się wprost w stronę Fabela i Marii. Pierwszy dawno już przekroczył pięćdziesiąt lat. Krótko ostrzyżone włosy były niemal zupełnie białe, podobnie jak broda; prześwitywały spomiędzy nich tylko nieliczne jasnoblonde pasemka. Na sobie miał jasnoszary garnitur, który nosił tak, jakby to był mundur.

– Dzień dobry, panie komendancie. – Fabel przywitał się ze swoim szefem, Horstem van Heidenem. Drugi mężczyzna był niższy i tęższy i miał zaróżowioną cerę. Fabel rozpoznał ministra spraw wewnętrznych senatu Hamburga i skinął na powitanie głową.

– Panie ministrze Ganz...

– Dzień dobry, nadkomisarzu Fabel. – Van Heiden wskazał ruchem głowy namiot. – Czy to prawda?

– Czy co jest prawdą, panie komendancie? – Fabel doskonale wiedział, o co pyta van Heiden, ale wcale nie zamierzał dobrowolnie wyjawiać tajemnic śledztwa w obecności Ganz. Fabel miał już z nim wcześniej do czynienia. Robił karierę i jako minister odpowiedzialny za bezpieczeństwo w Hamburgu uczynił policję bezpośrednio odpowiedzialną za każdą zbrodnię, która powodowała wzrost poczucia zagrożenia u mieszkańców miasta albo wywoływała jakiegokolwiek perturbacje w senacie miasta.

Twarz van Heidena, która nigdy nie wydawała się zbyt sympatyczna, spochmurniała jeszcze bardziej.

– Czy to prawda, nadkomisarzu, że znalezione dziś rano ciało należy do modelki Laury von Klosterstadt?

– Nie dokonano jeszcze formalnej identyfikacji zwłok, panie komendancie. – Fabel znacząco spojrział na Ganz. Wcześniej nie chciałbym podawać niczego do publicznej wiadomości.

Rumiana cera Ganz przybrała kolor purpury.

– Jestem tu nie tylko z racji obowiązków zawodo-

wych, panie Fabel, ale także z powodów osobistych. Jestem długoletnim przyjacielem rodziny. W ostatnią sobotę byłem na przyjęciu urodzinowym Laury. Znam Petera von Klosterstadta od wielu lat. Jeżeli to rzeczywiście jest jego córka, chcę osobiście powiadomić o tym rodzinę. – Zamyślił się na moment. Po czym odezwał się z pewnym wahaniem: – Mogę zidentyfikować ciało, jeśli pan sobie życzy.

– Przykro mi, panie ministrze, ale to jest miejsce zbrodni. Mam nadzieję, że pan rozumie... Poza tym uważam, że pańska obecność w tym miejscu może... może zostać źle odczytana...

– Fabel! – W głosie van Heidena dało się wyczuć raczej prośbę niż nagane.

Fabel westchnął.

– Tak, wszystko wskazuje na to, że jest to ciało Laury von Klosterstadt. Nie znamy jeszcze dokładnego czasu ani przyczyny zgonu, ale na pewno dokonano zbrodni. – Przerwał na chwilę. – Jesteśmy prawie pewni, że padła ofiarą seryjnego mordercy, który wcześniej pozbawił życia trzy osoby, a może nawet cztery.

Twarz van Heidena spoważniała. Ganz potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Jak to się mogło stać? Dlaczego akurat Laura?

– Nie wiem, czy dobrze pana rozumiem, panie Ganz. Ma pan na myśli, dlaczego przydarzyło się to znanej osobie? Zamiast jakiejś anonimowej ekspedientce?

– Dosyć! – Tym razem van Heiden wpadł w gniew. Ganz uniósł rękę i powstrzymał komendanta.

– W porządku, Horst. – Na jego śliwkowoczerwonej twarzy nie było oburzenia. – To nie tak, panie Fabel. Nie o to chodzi. Jestem... byłem ojcem chrzestnym Laury. Znałem ją od dziecka.

– Przepraszam, panie Ganz. Zachowałem się niewłaściwie. Więc widział pan ją w sobotę?

– Tak. Na jej przyjęciu urodzinowym. Skończyła trzydzieści jeden lat. Przyjęcie odbywało się w jej willi w Blankenese.

– Czy było dużo gości?

– O, tak. Wydaje mi się, że ponad setka. Może sto pięćdziesiąt.

– Czy wydarzyło się coś szczególnego? Jakiś incydent?

Ganz roześmiał się krótko.

– To było wydarzenie towarzyskie, panie Fabel.

Takie spotkania są starannie przygotowywane. Każdy uczestnik takiego spotkania ma ustalony plan, kiedy i z kim powinien być widziany. A więc nie. Nie było żadnych, jak pan to określił, incydentów.

– Czy Laura miała kogoś? Partnera, chłopaka?

– Nie. Żadnych chłopców. Żadnych partnerów. A przynajmniej nikogo na tyle znaczącego, bym go zapamiętał. Choć była piękna, biedna Laura była także bardzo samotna. Wydaje mi się, że najbliższą jej osobą był Heinz. Heinz Schnauber. Jej agent.

– Czy coś ich łączyło?

Ganz roześmiał się.

– Nie. Nic takiego, o czym pan myśli. Heinz jest członkiem organizacji „Schwul ist Cool”.

– Gej?

– Zatwardziały. A przy tym najlepszy przyjaciel Laury. Będzie zdruzgotany, kiedy się dowie.

Za policyjnym kordonem pojawiły się ekipy telewizyjne. Fabel dostrzegł poza tym kilku reporterów prasowych z wycelowanymi wprost w nich obiektywami, czekającymi na właściwy moment, jak snajper czeka, aż ofiara stanie na linii strzału.

– Wydaje mi się, że zaczynamy wzbudzać zbyt

zainteresowanie. Panie Ganz, chciałbym porozmawiać z panem dłużej na temat panny von Klosterstadt, ale w jakimś bardziej ustronnym miejscu. A tymczasem będę zobowiązany, jeżeli zechce pan osobiście powiadomić rodzinę. Sugerowałbym także, panie komendancie, żeby pan również był przy tym obecny.

Van Heiden przytaknął. Fabel patrzył, jak obaj wracają do mercedesa. Zwrócił uwagę, że zwykle przychylny prasie Ganz, tym razem oganiał się od reporterów tak samo, jak van Heiden. Ostatnim razem kiedy ścieżki Fabela i Ganz'a się skrzyżowały, nastąpiło nieuniknione starcie. Wówczas Ganz uważał, że z powodu seryjnego mordercy ściganego przez Fabela, ma złą prasę. Tym razem śmierć dotknęła kogoś mu bliskiego i Ganz nie przejmował się dziennikarzami.

Fabel zapatrzył się na olbrzymi gmach planetarium. Tam kryła się jakaś wskazówka. Tyle, że nie potrafił jej odnaleźć.

Poniedziałek, 29 marca, 10.10.

Komenda Główna Policji, Hamburg

Fabel rozejrzał się dookoła. Jego uwagę zwróciła nieobecność Wenera i Anny. Z podstawowego składu byli tylko Maria i on. Tymczasowo dokooptował dwoje komisarzy: Petrę Maas i Hansa Rödgera z wydziału przestępstw na tle seksualnym, gdzie szefową była Ute Walraf. Fabel dobrze znał oboje, doceniał ich wsparcie, ale w końcu nie byli stałymi członkami jego zespołu. Olsen, jeżeli to faktycznie on stał za tymi wszystkimi morderstwami, był coraz śmielszy i mimo że deptali mu po piętach, nadal zabijał. Fabel musiał działać najszybciej i najskuteczniej jak potrafił, by nie doszło do kolejnej zbrodni.

Za stołem siedzieli także Susanne i Klatt, komisarz z Norderstedt. Fabel właśnie zdążył poprosić Marię, by rozpoczęła naradę na temat ostatniego zabójstwa, kiedy rozległo się pukanie do drzwi sali konferencyjnej i jej próg ostrożnie przekroczył wysoki, jasnowłosy oficer policji.

– Ach... komisarz Hermann. – Fabel wskazał mu gestem wolne krzesło. – Dziękuję za przybycie. Pomy-

ślałem, że chciałby pan wziąć udział w naszym spotkaniu.

Hermann uśmiechnął się promiennie, usiadł za stołem, położył na nim zielono-białą czapkę, potem wyjął notes i umieścił go przed sobą na blacie z wiśniowego drewna.

– Komisarz Hermann – wyjaśnił Fabel pozostałym – jest oficerem, który doszedł do wniosku, że podwójne zabójstwo w lesie Harburger Berge może być dziełem seryjnego mordercy i doskonale zabezpieczył miejsce, gdzie odnaleziono zwłoki.

Hermann w podzięcie skinął głową. Fabel poprosił Marię by kontynuowała. Maria streściła to, co już wiedzieli o poprzednich zabójstwach.

Kiedy skończyła, głos zabrał Fabel.

– Na wolności jest brutalny i nieprzewidywalny podejrzany, Peter Olsen. Lat dwadzieścia dziewięć. Był notowany za napaść i był związany z Hanną Grün, której zwłoki znaleźliśmy obok ciała Markusa Schillera w lesie Harburger Berge. Mamy więc związek i mamy możliwy motyw. Musimy teraz ustalić jego związek, jeżeli taki istnieje, z pozostałymi ofiarami. Przypuszczamy również, że Olsen może posiadać tak

zwany kariotyp XYY, jest to pewna wada genetyczna, która wyzwała w nim ponadprzeciętną agresję. Pani doktor Eckhardt?

– Wszyscy rodzimy się z określonymi chromosomami wyjaśniła Susanne. Mężczyźni mają chromosomy XY, kobiety XX. Czasami występują jednak mutacje. Mogą one prowadzić do zespołu Downa, zespołu Tunera, hermafrodytyzmu. Bywa też, że pojawia się dodatkowy chromosom męski lub żeński. U mężczyzn nazywamy go zespołem XYY, albo zespołem supermana. Mężczyzna z takim chromosomem będzie nieproporcjonalnie wysoki, wyjątkowo umięśniony i zwykle agresywny. Z trudem będzie panował nad emocjami. Niektórzy cierpią na ciężką postać trądziku i mają problemy z układem kostnym. Najnowsze badania wykazały, że ich poziom inteligencji mieści się w normie lub jest tylko nieco poniżej średniej. Mimo to mają problemy z nauką z powodu opóźnienia w rozwoju. Nadkomisarz Fabel opisał Olsena jako człowieka, którego gusty muzyczne są na poziomie nastolatka. – Susanne przerwała i usiadła wygodnie na krześle. – Żeby zachować kryteria naukowe, muszę podkreślić, że trwa dyskusja nad wpływem zespołu XYY na kryminogen-

ność. Debata rozpoczęła się od przypadku pewnego szaleńca w Chicago w Stanach Zjednoczonych. Nazywał się Richard Speck. W latach sześćdziesiątych zabił osiem pielęgniarek, a potem zwrócił się o nadzwyczajne złagodzenie kary z powodu genotypu XYY. Później wyszło na jaw, że mylnie zdiagnozowano u niego genotyp XYY i całą historię odłożono do lamusa. Poza tym żyje na świecie wielu mężczyzn z zespołem XYY, którzy z powodzeniem potrafią kontrolować swoje zachowanie. Znałam osobiście poważanego psychologa z genotypem XYY. Miał swoje sposoby na radzenie sobie z problemami i potrafił zapanować nad swoimi poczynaniami.

– Poza tym – dodał Fabel – nie mamy pewności, czy Olsen cierpi na zespół XYY. O ile wiem, nigdy nie poddał się testom kariotypu. Muszę jednak dodać, że z tego co wiemy, bywa wyjątkowo brutalny i nie ma żadnych zahamowań przed choćby poważnym zranieniem oficera policji. Jeżeli to on jest sprawcą, to jest zdolny jednym pociągnięciem noża poderżnąć komuś gardło.

Fabel zauważył, że Susanne zdjęła okulary i w zamyśleniu obraca je w palcach.

– Pani doktor?

– Przepraszam. Właśnie zdałam sobie sprawę, że coś mi tutaj nie pasuje. Jeżeli Olsen ma zespół XYY, powinien mieć napady szału. Typowy przedstawiciel XYY siedzi w więzieniu za bicie żony albo napaści, nad którymi stracił kontrolę. Olsen uderzył komisarza Meyera z nadzwyczajną siłą. Ale gdyby był mordercą, powinniśmy znaleźć ślady furii: wielokrotne ciosy nożem, rany pośmiertne... Zwykle uduszenie tu nie pasuje.

– Ale i nie wyklucza go z kręgu podejrzanych?

– Nie. Raczej nie.

Fabel otworzył teczkę z dokumentami. Wątpliwości Susanne i jego własne uruchomiły w jego głowie dzwonek alarmowy. Olsen, mordując Hannę Grønn i Markusa Schillera, powinien działać w afekcie, kierowany zazdrością. A to kłóci się z metodycznym ułożeniem ciał. Jest jeszcze dziewczyna z plaży Blankenese i to ostatnie morderstwo. Przy wszystkich znaleziono kartki papieru zapisane, na pierwszy rzut oka, tym samym charakterem pisma.

Maria chyba czytała w myślach Fabla.

– Nie jestem przekonana do winy Olsena. Wydaje

mi się, że starały się nie zwracać teraz na siebie uwagi, biorąc pod uwagę, że szuka go połowa hamburskiej policji.

– Nie wiem, Mario. Nadal jest naszym głównym podejrzanym, ale nie potrafię się z nim zmierzyć jako z człowiekiem. A może inaczej, wiem. Może oczekuję, że odkryję w nim coś, czego na pierwszy rzut oka nie można dostrzec. Może się również okazać, że nie znajdę w nim niczego tajemniczego. Powiązaliśmy go z morderstwem w lesie – to pewne. Czaił się tam, czekał na nich. Mamy odcisk jego buta i opony motocykla. Więc to on powinien być zabójcą. Ale mamy jeszcze dwa inne morderstwa, z którymi nie potrafię go powiązać. Ani z całym wątkiem braci Grimm. – Zwrócił się do Susanne. – Dlaczego Olsen miałby popełnić dwa morderstwa, mając wyraźny motyw, a następne dwa bez motywu?

– Nie istnieje coś takiego jak morderstwo bez motywu. Nawet najbardziej przypadkowe akty przemocy mają swoje podłoże w jakichś pragnieniach czy potrzebach. Być może jedyny związek, jaki łączy Olsena i jego ofiary, to fakt, że prowadzi jakiś rodzaj krucjaty inspirowanej dziełem braci Grimm, a do listy ofiar do-

łączył Grønn i Schillera dlatego, że pasowali mu jako cel.

– Upiekł dwie pieczenie przy jednym ogniu... – powiedział Fabel. Pozostali patrzyli na niego w milczeniu. Spojrzał na dokumenty. Na przystojną twarz Olse-
na. – Może te dwie ofiary wcale nie są przypadkowe, jak początkowo sądziliśmy. Może Olsen wybiera je z powodu tego, kim są lub co reprezentują. Ostatnia ofiara to słynna z urody modelka; upozował ją na Śpiącą Królową. Pierwsza dziewczyna pochodziła z nizin społecznych – spośród ludzi spod ziemi, którzy porzucali swoje dzieci tam, gdzie uprowadzali cudze. Pozostaje pytanie: czy Olsen faktycznie uprowadził trzy lata temu Paulę Ehlers?

– Obawiam się, że tak – odezwał się Klatt, oficer z Norderstedt. – Podobieństwo obu dziewczyn nie pozostawia chyba żadnych wątpliwości. Jestem przekonany, że ten, kto uprowadził i zabił Marthę Schmidt, uprowadził także Paulę Ehlers.

Fabel skinął głową. Dla niego też było to oczywiste i choć nie widział obu dziewczyn żywych, ich podobieństwo nie mogło być dziełem przypadku.

– A co z pozostałymi ofiarami: Jasiem i Małgosią?

Jeśli Olsen postanowił połączyć swoją zazdrość o dziewczynę z tematem z bajki, to pojawia się sprzeczność. Wiedział bardzo dobrze, że wybrane przez niego ofiary nie są bratem i siostrą.

– Może nie czuł potrzeby dosłowności... – odpowiedziała Petra Maas, pani komisarz, którą Fabel dookooptował do swojego zespołu. Była wysoką, szczupłą kobietą po trzydziestce; jasnobrązowe włosy otaczały inteligentną twarz. Choćby ta ostatnia ofiara, upozowana na Śpiącą Królową. Była piękna, ale miała dwa razy więcej lat niż bohaterka bajki. W zachowaniach psychotycznych często mamy do czynienia z pewnego rodzaju elastycznością. Podobne rzeczy widzimy w wydziale do spraw przestępstw na tle seksualnym. Seryjni gwałciciele i seryjni mordercy cierpią na podobny rodzaj psychozy. Jeżeli to faktycznie Olsen jest „bajkowym zabójcą”, to postrzega swoje ofiary jako pasujące do scenariusza w sensie ogólnym, a nie zajmuje się szczegółami.

– Albo dostrzegł w tych dwóch ofiarach coś specyficznego, coś, czego my nie widzimy – zaproponowała Susanne.

Fabel zamyślił się i ze wzrokiem utkwionym w blat

stołu przywołał wspomnienie luksusowej willi Schillerów, ich biura w piekarni, chłodu bijącego od Very Schiller.

– No dobrze. Hanna Grün była pracownicą w firmie Markusa Schillera. A właściwie w firmie jego żony. Vera Schiller była właścicielką dużego przedsiębiorstwa, odziedziczonego po ojcu. Czy coś pominęliśmy?

– Może zabójca obsadził Vere w roli złej macochy, a Hanę i Markusa w roli dzieci zagubionych w lesie? – zasugerował Hans Rodger, oficer z wydziału przestępstw na tle seksualnym.

– Nie brzmi to zbyt przekonująco – odezwał się Henk Hermann. – Ale jeżeli to prawda, to zabójca musiał co nieco wiedzieć o ofiarach. I wracamy znów do Olsena.

– A jaką wiedzę mógł mieć morderca o pozostałych ofiarach? – zapytał Fabel. – Jaki związek istniał między nimi?

Susanne obróciła się na krześle w stronę Fabia.

– To, że wiedział sporo o swoich ofiarach, nie oznacza wcale, że miał z nimi jakiś szczególny kontakt. Zapomnijmy na chwilę o Olsenie. Zabójca mógł

czekać na jakąś zakochaną parę, jakakolwiek, a potem zabić ich. Tak właśnie postępował Syn Sama w USA.

Fabel wyjrzał przez okno na park Winterhude i rozciągające się w dali miasto.

– Martwi mnie to, że staje się coraz śmielszy.

– Ale może przez to zacząć popełniać błędy. – Głos dobiegł z otwartych drzwi. Stała w nich młoda, ładna kobieta z krótkimi, czarnymi włosami, ustami pomalowanymi ostrą czerwoną szminką, ubrana w mocno podniszczoną skórzaną kurtkę. Weszła do środka z udawaną lekkością, ale Fabel dostrzegł grymas bólu, gdy siadała.

– Powinnaś dochodzić do siebie w domu... – zaczął reprimendę.

– Już się dobrze czuję, szefie – powiedziała Anna Wolff i widząc wysoko uniesione brwi Fabla, dodała: – I jestem gotowa wrócić do pracy.

Kiedy zebranie się skończyło, Fabel wezwał do siebie Annę i Marię. Wcale nie był przekonany, czy Anna wydobrzała na tyle, by wykonywać choćby najlżejsze zajęcia, choć musiał przyznać sam przed sobą, że ucieszył się na jej widok. Zespół, który udało mu się stwo-

rzyć, był doskonalszy niż każdy z jego członków z osobna. Każdy z oficerów posiadał jakieś specjalne umiejętności, które połączone w całość sprawiały, że byli niezwykle efektywni. Brak choćby jednej osoby poważnie osłabiał ich możliwości. Fabel był przekonany, że, podobnie jak Anna, Werner także wróci do pracy wcześniej, niż zalecą to lekarze. Tyle, że rana Wenera była dużo poważniejsza i rekonwalescencja zajmie mu jeszcze trochę czasu.

Zmierzył wzrokiem te dwie, jakże różne kobiety. Anna ciężko opadła na krzesło, choć nadal próbowała ukryć ból zranionego uda. Obok usiadła Maria, jak zwykle milcząca i opanowana. Rok temu odniesiona rana sprawiła, że Maria balansowała na granicy życia i śmierci. Teraz miał w zespole jedną osobę wyleczoną, jedną zdrowiejącą i jedną w szpitalu. Wcale mu się to nie podobało. Tym bardziej że w obecnym śledztwie będzie na nich z pewnością czyhać dużo niebezpieczeństw. Musiał wzmocnić swój zespół.

– Anno, powinnaś mieć znowu partnera. Ty, Mario, również, przynajmniej do czasu, aż Werner wyjdzie ze szpitala. Jak widzicie, ściągnąłem do nas Petrę Maas i Hansa Rödgera. Są w porządku. Zamierzam zwrócić

się do szefostwa, żeby zostali z nami aż do końca śledztwa. Niemniej jednak potrzebny nam będzie nowy członek zespołu na stałe. Zwlekałem z tym długo, bo chyba wszyscy potrzebowaliśmy czasu, by dojść do siebie po śmierci Paula, a także dlatego, że nie znalazłem nikogo, kto mógłby pasować do naszej paczki. Aż do dzisiaj.

– Klatt? – zapytała Anna.

Fabel wstał w milczeniu, podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał głośno:

– Zapraszam do mojego biura.

Do środka wszedł wysoki oficer w policyjnym mundurze. Maria wstała i uśmiechnęła się. Anna wciąż siedziała z posępną rezygnacją.

– Komisarzu Hermann... – powiedział Fabel. – Zna pan już komisarz Klee. A to komisarz Wolff, z którą będzie pan pracował...

Wtorek, 30 marca, 9.40.

Blankenese, Hamburg

Fabel umówił się z Marią w willi Laury von Klosterstadt w Blankenese. Jak można było się spodziewać, posiadłość była olbrzymia. Dom został zbudowany później niż pozostałe w sąsiedztwie, a architekt musiał znajdować się pod wpływem kierunku Jugendstil. Przypominał Fablowi te okazałe rezydencje kalifornijskiego art deco, tak często występujące w hollywoodzkich filmach z lat trzydziestych i czterdziestych. Kiedy zatrzymał się na podjeździe, pomyślał, że powinien wsiąść teraz z oldsmobila i unieść kołnierz płaszcza.

Wnętrze domu miało mnóstwo otwartych przestrzeni. Razem z Marią weszli do olbrzymiego holu. Przed nimi znajdowało się olbrzymie, łukowe, modernistyczne okno witrażowe. Był to jedyny kolorowy akcent w śnieżnobiałym holu.

– Jedyne, co można powiedzieć o minimalizmie, to to, że może go być za dużo... – Fabel roześmiał się, lecz zaraz spoważniał pod wpływem spojrzenia Marii świadczącego, że nie rozumie, o co mu chodzi.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że w holu czeka na nich

Hugo Ganz, minister spraw wewnętrznych. Jego twarz była jeszcze bardziej purpurowa niż zwykle. Obok stał szczupły, młody mężczyzna, dwudziestosiedmio-, dwudziestoośmioletni, ubrany w bardzo konserwatywny garnitur, tak, jakby chciał dodać sobie autorytetu. Miał podobne, delikatne rysy i jasne włosy, jak zmarła kobieta.

– Panie nadkomisarzu Fabel, to jest Hubert von Klosterstadt. Brat Laury.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia, panie von Klosterstadt – powiedział Fabel, ściskając dłoń mężczyzny. Uścisk był zdawkowy, a dłoń zimna. Skinieniem głowy podziękował za kondolencje. Spojrzenie jasnyniebieskich oczu sprawiało wrażenie szczerego. Albo ukrywał żal pod przykrywką lodowatego chłodu, albo niewiele go obeszła śmierć siostry.

– Jak posuwa się śledztwo, panie nadkomisarzu?

Nim Fabel zdążył otworzyć usta, Ganz odpowiedział za niego.

– Główny podejrzany zdołał uciec, Hubercie. Maniak o nazwisku Olsen. To tylko kwestia czasu, nim nadkomisarz Fabel i jego zespół wytropią go i aresztują.

Fabel przez chwilę milczał. Było jasne, że komendant van Heiden informuje Ganza na bieżąco o wszystkich szczegółach śledztwa, a pan minister rozgłasza to na prawo i lewo, kiedy tylko uzna za stosowne. W związku z tym Fabel przyrzekł sobie, że jego raporty o postępach w śledztwie, jakie musi składać van Heidenowi, staną się od tej chwili mniej szczegółowe.

– Rozważamy nadal kilka wątków. – Fabel rzucił Ganzowi znaczące spojrzenie. – Czy pan tu mieszka, panie von Klosterstadt?

– Nie. Boże, nie. W „lodowym pałacu”? To była pustelnia Laury. Ja mam mieszkanie na Alster. Przyjechałem, żeby pomóc.

– A pana rodzice? Czy wiedzą już o śmierci córki?

– Wracają właśnie z Nowego Jorku – odparł Hubert. Polecili tam na bal charytatywny... na rzecz niemieckich ofiar jedenastego września.

– Poprosiliśmy nowojorską policję, żeby ich powiadomili – wyjaśniła Maria.

Fabel skinął głową.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym się trochę rozejrzeć.

Hubert uśmiechnął się z chłodną uprzejmością i

wskazał ręką na jeden z pokoi.

– Będę w biurze z panem Ganzem. Muszę przejrzeć papiery Laury.

– Panie von Klosterstadt – odezwała się Maria – proszę wybaczyć, ale wolelibyśmy, żeby póki co niczego pan nie ruszał. Najpierw sami musimy to wszystko obejrzeć.

– Oczywiście. – Temperatura uśmiechu Huberta obniżyła się jeszcze o kilka stopni. Ganz ojcowskim gestem położył rękę na jego ramieniu.

– Zaczekamy u mnie w domu, Hubercie.

Fabel i Maria zaczęli wędrowkę od pokoju do pokoju, jak para potencjalnych kupców. Laura von Klosterstadt miała doskonały gust, jeśli chodzi o dobór mebli i wyposażenia. Powściągliwy styl. Zbyt powściągliwy. Najwyraźniej usiłowała połączyć przepych ze spartańską surowością. Szczególnie jeden pokój zrobił na Fablu wrażenie: wielka, przestronna sala oświetlona dzięki wychodzącemu na południe oknu. Większość ludzi wykorzystalaby takie pomieszczenie jako pokój dzienny. Tymczasem tu stała przy ścianie tylko jedna szafka, a na niej sprzęt grający. Drugim i ostat-

nim już meblem był fotel z wysokim oparciem, stojący, niczym tron, na środku pokoju i zwrócony w stronę okna. Mimo że był zupełnie pusty, czuło się, że pokój był używany. Czuło się w nim samotność i przygnębienie. Skądinąd Fabel wiedział, że Laura von Klosterstadt była osobą wiecznie zatroskaną i smutną. Z zaskoczeniem zauważył, że mieli z Laurą podobne gusty muzyczne. Na większości płyt była współczesna muzyka skandynawska: utwory Arvo Parta, Georga Pelecisa, a także „Musica Dolorosa” Peterisa Vasksa. Fabel sprawdził odtwarzacz. W środku była płyta z „Cantus Arcticus” opus 61 fińskiego kompozytora Einojuhani Rautavaara.

Fabel włączył odtwarzacz i usiadł w samotnym fotelu. Flet naśladował wzbijającego się w niebo, a potem spadającego w dół ptaka. Potem zaczął się „Cantus”. Zamiast ludzkich głosów słychać było ptaki znad Morza Arktycznego. Ptasi śpiew narastał, wmieszał się dysonansowy krzyk rybitw i mew, flet i instrumenty blaszane ustąpiły miejsca powolnemu rytmowi orkiestry i łagodnemu dźwiękowi harfy. Fabel słyszał już ten utwór, miał nawet taką samą płytę. Słuchając jej, przeniósł się w arktyczne pustkowia. Pałac lodowy. Fa-

bel przypomniał sobie, jak Hubert, brat Laury, określił jej dom. Jej lodową pustelnię.

Posłuchał jeszcze chwilę muzyki, a potem wyłączył odtwarzacz. Ruszyli z Marią dalej. Brutalnie wdzierali się w najbardziej osobiste przestrzenie drugiej osoby. Przejrzeli półki z książkami, szafy w garderobie, kosmetyki poustawiane na olbrzymiej toalecie z lat trzydziestych.

Wreszcie dotarli na tyły domu. Szerokie, podwójne drzwi wiodły do pomieszczenia, w którym znajdował się basen. Basen przylegał do jednej z bocznych ścian, podczas gdy przy drugiej znajdowała się kabina do przebierania i sauna. Ściana naprzeciw drzwi była przeszklona. Przez okno widać było tylko niebo, jakby na ścianie wisiał ogromny obraz z poruszającymi się leniwie chmurami.

– Rany... – jęknęła Maria. – To musiało kosztować majątek.

Fabel wyobraził sobie, że płynie w takim basenie, wprost ku niebu. Podobnie jak w skąpo umeblowanym pokoju na dole, także tutaj Laura von Klosterstadt pozostawiła swój ślad. Ten pokój był kolejnym miejscem, idealnym do samotnych rozmyślań. Myśl, by urządzić

tu wielkie przyjęcie, wydawała się niedorzeczna. Podszedł do okna. Teraz, patrząc w dół, widział tarasy stopniowo opadające w stronę brzegu Łaby. Dalej, za rzeką, rysowała się płaska, zielona połać Altes Land. Posiadłość Laury znajdowała się wysoko, najwyżej. Poza zasięgiem kogokolwiek.

Z zamyślenia wyrwał ich donośny dźwięk dzwonka telefonu komórkowego Fabela, dodatkowo wzmocniony przez puste ściany pomieszczenia.

– Witaj, szefie. Jest pan nadal w domu Laury? – zapytała Anna.

– Tak. Maria jest ze mną. Co się stało?

– Czy jest tam może basen?

Zaskoczony Fabel rozejrzał się wokół.

– Prawdę mówiąc, właśnie stoimy na jego brzegu.

– Należałoby zabezpieczyć to miejsce, szefie. Wysyłam tam pana Braunera z ekipą.

Fabel spojrział na łagodną powierzchnię wody. Nie musiał pytać dalej, ale zrobił to.

– Czego się dowiedziałeś, Anno?

– Doktor Möller właśnie podał oficjalnie przyczynę śmierci Laury von Klosterstadt. Utonięcie. Woda w jej płucach była chlorowana.

Wtorek, 30 marca, 14.40.

Bergedorf, Hamburg

Fabel pomylił numery domów i zaparkował zbyt daleko na Ernst-Mantius-Strasse. Podczas krótkiego spaceru minął trzy imponujące wille. Każda z nich na swój sposób subtelnie oznajmiała, że właściciele są ludźmi majątynymi. Był teraz w drugim końcu miasta, w Bergedorf, ale i tu otoczenie nieustannie przypominało mu, że Hamburg jest najbogatszym z niemieckich miast. Przypominało także o tym, jak kiepsko zarabia policjant.

Bergedorf, jedna z dzielnic Hamburga, miało swój własny klimat i często nazywano je „miastem w mieście”. Okolica, w której znajdował się obecnie Fabel, nosiła nazwę Bergedorf Villenviertel – dzielnica willowa. Tutaj dom wart był kilka milionów euro. Fabel, idąc ulicą, zerkał na tabliczki z numerami domów, aż wreszcie znalazł ten, którego szukał. Podobnie jak sąsiednie, ten dom miał również trzy kondygnacje. Ściany były pobielone na dyskretny niebieskoszary kolor, na którego tle białe tynki wydawały się świeże i czyste. Jeden z pokoi na dolnej kondygnacji wcinął się w

ogród, a jego strop stanowił balkon dla pokoju na górze. Białe i niebieskie markizy osłaniały okna przed światłem słonecznym.

Na dźwięk dzwonka w drzwiach pojawił się mocno zbudowany mężczyzna z oczami czarnymi jak węgiel. Grube czarne włosy, zaczesane do tyłu, mocno przysprószyła siwizna. Twarz o szerokim czole z mocną, nieco wystającą szczęką i mięsistymi ustami, zdobiły krzaczaste brwi. Gdyby nie wyraźne oznaki inteligencji bijące z oczu, postać przypominałaby jako żywo neandertalczyka.

– Pan nadkomisarz Fabel? – Mężczyzna w drzwiach się uśmiechnął.

Fabel odwzajemnił uśmiech.

– Dziękuję, że zechciał pan się ze mną spotkać.

Gerhard Weiss cofnął się o krok i uchylił szerzej drzwi, dając Fablowi znak, by wszedł. Fabel znał dotychczas Weissa tylko z fotografii zamieszczonej na okładce książki. Podobieństwo było znaczne, ale ze zdjęcia trudno było ocenić jego wzrost. Miał posturę podobną do Olsena. Na pierwszy rzut oka Fabel ocenił jego wzrost na co najmniej dwa metry pięć centymetrów. Poczuli się zdecydowanie lepiej, kiedy Weiss od-

wrócił się i poprowadził go do gabinetu, poprosił, by usiadł, a sam zajął miejsce za biurkiem.

Gabinet był obszerny. Fabel domyślił się, że jest to największe pomieszczenie na parterze i rzeczywiście był to ten pokój, który zagłębiał się w ogród. Wnętrze lśniło bogactwem; ciemne drewno w różnych odcieniach – biurko było tak wielkie, że do jego konstrukcji zużyto chyba połowę lasów deszczowych. Na trzech ścianach, od podłogi po sufit, piętrzyły się półki z książkami wykonane z orzechowego drewna. Tylko podłogę wykonano z jaśniejszego gatunku, najprawdopodobniej czerwonego buku. Wszystkie wiszące u sufitu lampy były zapalone, podobnie jak lampa na biurku Weissa. Światło lamp tworzyło na powierzchni ciemnego drewna jasne plamy. Nawet teraz, po południu, lampy musiały się palić. Ciemne polerowane drewno zdawało się pochłaniać promienie słońca, które wpadały przez okna wychodzące na ogród i ulicę. Na biurku Weissa panował porządek. Na środku leżał laptop, po lewej stronie wczesne wydanie baśni braci Grimm. Nad wszystkim dominowała sporej wielkości rzeźba wykonana z drewna, czarnego drewna, najprawdopodobniej hebanu. Weiss uchwycił spojrzenie Fabela.

– Niezwykła, prawda?

– Tak. Rzeczywiście...

Fabel siedział wpatrzony w rzeźbę. Przedstawiała stylizowanego wilka; jego ciało było wydłużone i lekko skrzycone, wielki łeb odwrócony do tyłu, szczęki rozwarte w warkocie. Zdawało się, że wilk usłyszał za sobą jakiś szelest, odwrócił się raptownie i został uchwycony w momencie pomiędzy zaskoczeniem a atakiem. Dzieło było doskonale dopracowane, choć Fabel nie mógł się zdecydować, czy rzeźba jest piękna czy szkaradna.

– Wyrzeźbił to dla mnie pewien bardzo utalentowany, zupełnie niezwykły człowiek – wyjaśnił Weiss. – Artysta o niepowtarzalnym talencie. W dodatku wilkołak.

Fabel roześmiał się.

– Wilkołak? Wilkołaki nie istnieją.

– Ależ tak, panie nadkomisarzu. Wilkołactwo istnieje. Oczywiście nie jako ponadnaturalne przeistaczenie się człowieka w bestię, ale jako choroba psychiczna. Cierpią na nią ludzie, którzy wierzą, że przeistaczają się w wilki. – Weiss przechylił głowę i utkwiał wzrok w rzeźbie. – Rzeźbiarz był moim bliskim przyjacielem.

Był zupełnie przy zdrowych zmysłach prócz dni, kiedy następowała pełnia księżyca. Wtedy dostawał ataku, a właściwie napadu. Skręcał się, wił, zdzierał z siebie ubranie, a potem zasypiał. I to wszystko. Wiele osób to widziało, ja też. Nic więcej, jak tylko napad wywołany subtelnymi zmianami w płynie mózgowo-rdzeniowym pod wpływem pełni księżyca. Ale co innego widzieć kogoś w takim ataku szału, a co innego samemu tego doświadczyć. Dlatego poprosiłem go, żeby spróbował uchwycić ten moment. Oczy Weissa zapłonęły, kiedy wskazał na rzeźbę. – Oto jest ta chwila.

– Rozumiem. – Fabel przyjrzał się ponownie rzeźbie. W końcu się zdecydował: była szkaradna. – Co się z nim stało? Wyleczono go?

– Niestety nie. Coraz więcej czasu spędzał w zakładach dla nerwowo chorych. W końcu nie mógł tego znieść i powiesił się.

– Przykro mi.

Szerokie ramiona Weissa uniosły się gestem wskazującym raczej na lekceważenie niż zdziwienie.

– Ma pan intrygujące nazwisko, nadkomisarzu. Fabel. Bliskie tematowi, którym się głównie zajmuję. „Fables” – baśnie.

– Nazwisko ma rodowód holenderski. Jest dosyć popularne w Hamburgu, bardziej niż w innych niemieckich miastach, choć z pochodzenia jestem Fryzyjczykiem.

– To bardzo interesujące. Jak mogę panu pomóc, panie Fabel? – Weiss położył nacisk na nazwisko Fabel, jakby wciąż się nim bawił.

Fabel opowiedział Weissowi o morderstwach, którymi się aktualnie zajmuje i o wątku dotyczącym baśni Grimmów. A także o tym, że morderca mógł zostać zainspirowany przez jego powieść „Bajkowa ulica”. Kiedy skończył, zaległa cisza i Fabel mógłby przysiąc, że w gestach, które wykonał Weiss, dostrzegł oznaki satysfakcji.

– Nie ma także żadnych wątpliwości, że mamy do czynienia z przestępcą seryjnym – zakończył Fabel.

– Albo przestępcami... – odparł Weiss. – Czy nigdy nie przyszło panu do głowy, że może pan mieć do czynienia z dwiema osobami? Jeżeli te zbrodnie mają faktycznie związek z braćmi Grimm, to muszę panu przypomnieć, że braci było dwóch.

– Wcale nie odrzucamy takiej hipotezy – odparł Fabel, choć do tej pory nie brał jej poważnie pod uwagę.

Z drugiej strony doświadczenie zdobyte podczas wcześniejszych śledztw podpowiadało, że dwóch morderców może działać zespołowo. To także tłumaczyłoby, dlaczego w przypadku morderstwa w lesie Olsen miał motyw, a w pozostałych, nie. Fabel zmienił taktykę.

– Panie Weiss, czy w ostatnim czasie otrzymał pan jakąś nietypową korespondencję? Być może nasz morderca bądź mordercy szukali z panem kontaktu.

Weiss roześmiał się.

– Nietypową korespondencję? – Wstał i podszedł, wielki i zwalisty, do sekretarzyka, stojącego przy jedynej ścianie, na której nie było półek z książkami.

Na ścianie nad sekretarzykiem wisiały oprawione w ramki, stare ryciny. Weiss wziął do ręki grubą teczkę i nim z powrotem usiadł, rzucił ją na biurko.

– To jest korespondencja z ostatnich trzech, może czterech miesięcy. Nie ma tam niczego „nietypowego”, zapewniam pana. – Gestem ręki zachęcił Fabela do przejrzenia zawartości.

Fabel otworzył teczkę. Były tam dziesiątki listów, do niektórych dołączono fotografie, do innych wycinki prasowe, które według nadawcy mogłyby się przydać Weissowi. Większość listów związana była z cyklem

powieści fantasy „Wahlwelten”. Ludzie wiodący smutne, puste życie szukali pociechy w fikcyjnym świecie, który mógł im dać Weiss, czyniąc ich bohaterami książki. Był jeden list o jednoznacznie seksualnym zabarwieniu, w którym kobieta prosiła Weissa, by został jej „wielkim, złym wilkiem”. Do listu dołączona była fotografia. Kobieta pozowała nago, na sobie miała tylko czerwoną pelerynkę z kapturem. Miała około pięćdziesięciu lat i była nieco otyła.

– To jest tylko mała częśćka w porównaniu z tym, co przychodzi drogą elektroniczną na adres mój i mojego wydawcy wyjaśnił Weiss.

– Odpowiada pan na te listy?

– Nie, teraz nie. Kiedyś odpowiadałem. Przynajmniej na te rozsądne i mile. Teraz nie mam na to czasu. Dlatego zacząłem pobierać opłaty za umieszczenie ludzi w moich powieściach.

Fabel roześmiał się.

– Ile musiałbym zapłacić, żeby stać się częścią pańskiej książki?

– Panie Fabel, bajki uczą nas przede wszystkim jednego: trzeba być bardzo ostrożnym w wypowiedaniu swoich życzeń. Mógłbym umieścić pańską osobę w

mojej powieści choćby dlatego, że uważam pana za interesującą postać, w dodatku z unikalnym nazwiskiem. W przeciwieństwie do ludzi, którzy muszą za to płacić, miałem okazję pana poznać. Wyrobiłem sobie o panu zdanie. Ale kiedy znajdzie się pan na stronicach książki, przejmę nad panem pełną kontrolę. To ja będę decydował o pańskim losie. O pańskim życiu i śmierci. – Weiss przerwał, a jego czarne, głęboko osadzone oczy zaiskrzyły się. Rzeźba wilkołaka pozostała nieruchoma. Ulicą za oknem przejechał samochód. – Zwykle biorę pięć tysięcy euro za półstronicową wzmiankę. Uśmiechnął się.

Fabel potrząsnął głową.

– Cena sławy. – Postukał palcami w okładkę teczki.

– Czy mogę ją pożyczyć?

Weiss wzruszył ramionami.

– Jeżeli uważa pan, że to w czymś pomoże.

– Dziękuję. A tak swoją drogą, czytam właśnie „Bajkową ulicę”.

– Podoba się panu?

– Powiedzmy, że jest interesująca – odparł Fabel. – Koncentruję się na możliwym związku z tymi morderstwami, trudno mi więc ocenić jej wartość literacką. Za

to wydaje mi się, że taki związek istnieje.

Weiss odchylił się do tyłu, złożył dłonie i palcami wskazującymi zaczął stukać się w podbródek. Ten przesadzony gest miał sugerować zamyślenie.

– Byłbym bardzo zasmucony, gdyby okazało się to prawdą, panie nadkomisarzu. Ale motywem przewodnim mojej książki jest to, że sztuka naśladuje życie, a życie naśladuje sztukę. Nie mogę swoim pisaniem zainspirować nikogo do popełnienia morderstwa. Taki ktoś już jest mordercą albo potencjalnym mordercą. Może, co najwyżej, próbować naśladować sposób popełnienia zbrodni, ale tak czy owak zabije, bez względu na to, czy przeczyta moją książkę, czy nie. Ja nikogo nie inspiruję. Przeciwnie, to oni inspirują mnie. Mordercy zawsze inspirowali pisarzy. – Położył dłonie na oprawionym w skórę tomie bajek, który leżał na jego biurku.

– Na przykład braci Grimm?

Weiss uśmiechnął się a w jego oczach znów pojawiły się błyski.

– Bracia Grimm byli naukowcami. Poszukiwali wiedzy: źródeł naszego języka i naszej kultury. Jak wszyscy naukowcy w tamtych czasach, czasach, gdy

nauka objawiła się w Europie Zachodniej niczym nowa religia, kładli naszą przeszłość pod mikroskopem i ją badali. Ale to nie jest cała prawda. To nie jest przeszłość. Bracia Grimm odkrywali świat, w którym żyli, ten sam świat, w którym my żyjemy. Zmieniają się tylko ramy.

– Co pan ma na myśli?

Weiss podniósł się ze swojego skórzanego krzesła i skinął na Fabia, żeby poszedł za nim. Podeszli do ściany, na której wisiały dziewiętnasto – i dwudziestowieczne ilustracje książkowe.

Bajki inspirowały nie tylko pisarzy – wyjaśnił Weiss. – Wielu znakomitych rysowników zajmowało się ich ilustrowaniem. Oto moja kolekcja: Gustave Dore, Hermann Vogel, Edmund Dulac, Arthur Rackham, Fernande Biegler, George Cruick-shank, Eugen Neureuther. Każdy z nich interpretował bajki w subtelnie odmienny sposób.

Weiss wskazał Fablowi jedną z ilustracji: kobieta wchodzi do pokoju wyłożonego kamiennymi płytami. Na widok tego, co zastała w środku, wypada jej z ręki klucz. Na podłodze stoi rzeźnicki pień z wbitym weń siekierą. Pień, siekiera i kamienna podłoga wokół są zbry-

zganę krwią. Na hakach wbitych w ściany wisiały martwe ciała kobiet w nocnych koszulach.

– Przypuszczam – mówił Weiss – że jest pan oswojony z tego rodzaju widokiem, panie Fabel. To scena mordu. Te biedne kobiety – postukał palcem w szybę chroniącą ilustrację – trafiły do domu seryjnego zabójcy.

Treść zrobiła na Fablu wrażenie. Ilustracja została wykonana w znajomym dziewiętnastowiecznym stylu, a mimo to budziła w Fablu jakieś wspomnienia.

– Skąd pochodzi ta ilustracja?

– To praca Hermanna Vogla. Rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty. To jest ilustracja do bajki Charlesa Perraulta „La Barbe bleue” – „Sinobrody”, francuskiej bajki o okrutnym szlachcicu, który w swoim zamku okaleczał i zabijał zbyt ciekawskie kobiety. To jest bajka, ale jednocześnie zawiera ona pewną uniwersalną prawdę. Kiedy Perrault pisał swoją wersję, wciąż jeszcze u Francuzów żywe były wspomnienia okrucieństw, jakich dopuszczali się szlachcice. Na przykład Gilles de Rais, marszałek Francji i towarzysz broni Joanny d’Arc, który uprawiał sodomie i wymordował setki chłopców, zaspokajając w ten sposób swoje perwersyj-

ne żądze. Albo Cunmar Przeklęty, który rządził Bretanią w szóstym wieku. Cunmar, znany też jako Conomor, jest chyba najbliższym protoplastą Sinobrodego. Ścinał głowy wszystkim swoim kolejnym żonom, w tym ostatniej, pięknej, pobożnej i ciężarnej Triphine. Ta bajka funkcjonuje także w innych krajach europejskich. Bracia Grimm zapisali ją jako „Fitchers Vogel”, Włosi jako „Naso D’Argento” a Anglicy „Mr Fox”. We wszystkich bohaterkami są kobiety, które powodowane ciekawością trafiają w końcu do krwawej komnaty. Do komnaty zbrodni.

Weiss przerwał na chwilę i zaczął ponownie podziwiać ilustrację.

– Hermann Kogel, autor tego dzieła, był Niemcem. Mimo że ilustrował francuską bajkę, nie mógł nie wprowadzić elementu swojej ojczystej kultury... Pień rzeźnicki i topór zapożyczył od braci Grimm. Skoro bajka była rozpowszechniona w całej Europie, to musiała istnieć jakaś inspiracja. Może były nią uczynki Cunmara Przeklętego, a może jakieś inne zdarzenia. Dla mnie w tych wszystkich baśniach, bajkach i legendach istotne jest jedno: gwałciciele, mordercy, ludzie molestujący dzieci nie są zjawiskiem wyłącznie wspól-

czesnym. Duży, zły wilk nie ma nic wspólnego z wilkami. – Weiss roześmiał się. – Żeby było zabawniej, Cunmar otrzymał przydomek Przeklęty, gdyż za popełnione grzechy rzucono na niego klątwę i zamienił się w wilkołaka. I tak w końcu zaciera się granica pomiędzy historią a mitem i legendą.

Weiss zdjął z półki książkę. W przeciwieństwie do pozostałych, ta była nowa: współczesna twarda okładka, błyszcząca obwoluta. Fabel dostrzegł nazwisko autora, ale nic mu ono nie mówiło. Nazwisko mogło należeć równie dobrze do Anglika, Amerykanina czy Niemca. Weiss rzucił książkę na teczkę z korespondencją.

– Dzisiaj wciąż na nowo odkrywamy te bajki. Te same historie, te same postacie. A to jest bestseller – historia tropienia seryjnego mordercy, który rytualnie ćwiartuje swoje ofiary. To są nasze współczesne bajki. Zamiast elfów i skrzatów, zamiast wilków wyjących w ciemnych ostępach leśnych mamy kanibali, porywaczy, morderców wyjących w ciemnych zaułkach naszych miast. W naszej naturze leży przydawanie złu nadzwyczajnych albo przynajmniej dziwnych kształtów. Weźmy książki albo filmy o obcych, o rekinach,

wampirach, duchach, czarownicach. A tak naprawdę, istnieje jedna bestia, która jest bardziej niebezpieczna i drapieżna niż jakakolwiek inna w historii ludzkości. Tą bestią jesteśmy my sami. Istota ludzka jest nie tylko największym drapieżnikiem na Ziemi, ale jest też jedynym stworzeniem, które zabija dla czystej przyjemności, dla satysfakcji seksualnej, albo w zorganizowanych grupach dla uczczenia jakichś abstrakcyjnych koncepcji religijnych, politycznych czy społecznych. Nie ma nic groźniejszego, stanowiącego śmiertelne zagrożenie, jak zwykły mężczyzna czy kobieta na ulicy. Ale to akurat pan wie doskonale, pańska praca zapewne już dawno panu to uświadomiła. A cała reszta? Wszystkie przerażające historie, baśnie i wierzenia – to tylko zasłona na lustrze, w którym musimy się codziennie przeglądać.

Weiss usiadł i wskazał Fablowi krzesło.

– Najbardziej powinniśmy się bać naszego sąsiada, naszych rodziców, kobiety czy mężczyzny stojących obok nas w metrze i wreszcie... samych siebie. Pogodzenie się z monstrualną banalnością tego faktu jest bardzo trudne. – Weiss obrócił rzeźbę tak, że rozwarty pysk wilka był teraz skierowany w stronę Fabla. – Oto,

co tkwi w naszym wnętrzu, panie nadkomisarzu. Jesteśmy wielkimi, złymi wilkami.

Fabel usiadł i wpatrywał się w rzeźbę, poruszony jej odrażającym pięknem. Wiedział, że Weiss ma rację. Faktycznie, w swojej pracy niejednokrotnie widział dowody potwierdzające tezę Weissa. Tę niezwykłą pomysłowość ludzkiego umysłu w wymyślaniu najokrutniejszych tortur. W planowaniu zabójstw.

– A więc twierdzi pan, że seryjny morderca nie jest produktem naszych czasów, że to zjawisko istniało zawsze, choć nie było nazwane?

– Dokładnie tak. Wszyscy rodzimy się arogancy, panie Fabel. Wszyscy wierzymy, że zbudujemy świat na nowo. A smutna prawda jest taka, że jesteśmy tylko kolejną odmianą tej samej istoty ludzkiej. Dobro i zło pojawiło się na świecie wraz z pierwszym człowiekiem. Ewoluowało wraz z nami. Dlatego towarzyszą nam te wszystkie baśnie i mity. Bracia Grimm nie tworzyli, oni tylko zapisywali. Żadna z ich baśni nie była ich dziełem, wszystkie zostały zebrane w trakcie badań lingwistycznych. Samo istnienie tych baśni i zawarte w nich ostrzeżenia typu: „nie odchodź daleko od domu” albo „wystrzegaj się obcych”, świadczą o tym, że se-

ryjny morderca nie jest produktem ubocznym naszych czasów, on znajdował się wśród nas zawsze. Powstanie baśni musiały inspirować jakieś ówczesne realne wydarzenia. Na przykład prawdziwe przypadki likantropii, czyli wilkołactwa, obrosły w legendy o wilkołakach, gdyż poprzednie pokolenia nie potrafiły rozpoznać, opisać i zrozumieć psychopatii. Wszyscy dobrze wiemy, że często tworzymy fikcję w oparciu o fakty. A ja twierdzę, że czasem tworzymy fakty w oparciu o fikcję.

Fabel obserwował mówiącego Weissa. Usiłował odgadnąć, co takiego sprawiało, że nagle zaczynały mu płonąć oczy.

– Więc kiedy opisuje pan Jacoba Grimma jako mordercę dzieci, wierzy pan, że ta fikcyjna kreacja zamieni się w jakiś rodzaj prawdy?

– A czymże jest prawda? – Weiss uśmiechnął się z nutą wyższości, dając do zrozumienia, że Fablowi brakuje erudycji, by zmierzyć się z takim pytaniem.

– Prawda – odparł Fabel – jest absolutnym i niepodważalnym faktem. Mam do czynienia z prawdą, z absolutną prawdą każdego dnia. Rozumiem, co chciał pan powiedzieć: że czasem prawda jest abstrakcyjna

lub subiektywna. Jacob Grimm nie był mordercą. Osoba, której szukam, jest – to fakt niepodważalny. To prawda. Próbuję zaś ustalić na ile, jeśli w ogóle, pana książka go zainspirowała.

Weiss uczynił swoimi wielkimi dłońmi pełen uległości gest.

– Proszę pytać, panie nadkomisarzu.

Przesłuchanie trwało kolejne dwadzieścia minut. Weiss posiadał wprost encyklopedyczną wiedzę na temat mitów i baśni. Gdy autor mówił, Fabel robił notatki. Było jednak w Weissie coś, co się Fablowi nie podobalo. Było to coś groźnego, i nie chodziło tu o wzrost, ani o jakąś tłumioną agresję, jak w przypadku Olsena. To te jego czarne jak węgiel oczy. Było w nich coś nieludzkiego.

Na koniec Fabel zapytał:

– Wszystko sprowadza się do baśni. Wierzy pan, że ich inspiracją były prawdziwe wydarzenia?

– A nie były? – odparł Weiss. – Weźmy rosyjską bajkę o chatce Baby-Jagi, gdzie wszystkie meble były wykonane z kości. Na pewno słyszał pan o człowieku nazywającym się Ed Gien – amerykańskim seryjnym mordercy. Na podstawie jego życiorysu nakręcono film

„Psychoza” i „Milczenie owiec”. Kiedy policja wtargnęła na jego farmę, znaleźli tam krzesła i stołki wykonane z ludzkich kości, a także prawie kompletny garnitur uszyty ze skóry zamordowanych kobiet. Jak już mówiłem, nikt nie jest wyjątkowy. Wcześniej były dziesiątki takich Edów. Zupełnie możliwe, że jeden z nich, akurat Rosjanin, był inspiracją dla powstania bajki o Babie-Jadze. Proszę też wziąć pod uwagę, że wiele z tych bajek ugrzecznilo. Choćby „Śpiąca królewna”. W oryginale królewny nie budzi ze snu niewinny pocałunek. To była bajka o gwałcie, kazirodztwie i kanibalizmie.

* * *

Kiedy Fabel znalazł się z powrotem na ulicy z teczką Weissa pod pachą, musiał zaczerpnąć świeżego powietrza. To było irracjonalne, ale miał wrażenie, że uciekł z jaskini lwa. Biuro Weissa wyłożone gładkim, ciemnym drewnem, go przytłaczało. Zza chmur wyjrzało słońce i skąpało luksusowe wille w ciepłym świetle. Wracając do samochodu, przyglądał im się z zainteresowaniem. Ile tajemnych komnat, mrocznych se-

kretów kryje się za tymi eleganckimi fasadami? Sięgnął po telefon komórkowy.

– Maria? Tu Fabel. Potrzebuję informacji na temat Gerharda Weissa. Wszystkiego, co uda ci się znaleźć.

Wtorek, 30 marca, 20.00.

Szpital Krankenhaus Mariahilf, Heimfeld, Hamburg

– Przepraszam, mamó, ale nie mogę dziś zostać zbyt długo. Muszę tyle rzeczy przygotować. Jestem ostatnio bardzo, ale to bardzo zajęty. – Przysunął krzesło bliżej łóżka, rozejrzał się podejrzliwie dookoła i w końcu szepnął jej do ucha. Zrobiłem to jeszcze raz. Kolejna bajka stała się prawdziwa. Ta dziewczyna była taka smutna. Dostrzegłem ten smutek na jej przepięknej buzi, kiedy zaprosiła mnie do swojej pięknej, wielkiej i pustej willi. Księżniczka w wieży z kości słoniowej. Oddałem jej przysługę, mamó. Naprawdę nie chciałem, żeby dłużej cierpiała. A teraz muszę się przygotować na twój powrót do domu. To będzie wymagało sporo wysiłku.

Przerwał i pogłaskał włosy staruszki.

– Będiesz strasznie cierpiała. Gwarantuję ci to. – Z korytarza dobiegły jakieś dźwięki. To przechodziła w drewnianych chodakach pielęgniarka dyżurna. Usiadł z powrotem na krześle i nasłuchiwał oddalających się kroków. – To, co robię, jest wspaniale, mamó. Pozwa-

lam im znowu być dziećmi. W tych cudownych chwilach, które z nimi dzielę, nim umrą, zapominają o wszystkim, czego doświadczyły... o latach dorosłości. Znowu są małymi, wystraszonymi dziećmi. Małe zagubione dusze, przerażone tym, że tak mało rozumieją z otaczającego ich świata. – Zamilkł na chwilę, w pokoju zapanowała cisza i tylko gdzieś z oddali dobiegał odgłos rozmowy, przerywanej głośniejszym śmiechem. Po chwili kontynuował. – Odwiedziła mnie policja, mamó. Nawet sobie nie wyobrażasz, jacy oni są głupi. Wydaje im się, że znają wszystkie odpowiedzi, a nie znają żadnej. Nie zdają sobie sprawy, z kim mają do czynienia. Ani z czym mają do czynienia. Nigdy mnie nie złapią. – Roześmiał się. – A przynajmniej nie złapią mnie tak długo, jak długo ty i ja dobrze się bawimy. Co cię bardziej przeraża, mamó: fakt, że musisz umrzeć, czy to, że nie umrzesz tak szybko, jak byś pragnęła? Czy boisz się bólu? Wyobrażasz go sobie? Będzie wspaniale. Mogę ci to obiecać: będziesz strasznie cierpieć. I to już wkrótce, mamó... Już wkrótce...

Niedziela, 11 kwietnia, 2.45.

Pöseldorf, Hamburg

Fabel leżał obok Susanne i oddychał głęboko. Czuł się coraz lepiej w jej towarzystwie, złe sny pojawiały się rzadziej, kiedy ona przy nim była. Sprawiała, że zapadał w krzepiący sen. Ale teraz nie mógł zasnąć, mózg pracował na wysokich obrotach. Tysiące myśli kłębiło się w głowie. Śledztwo rozrastało się jak złośliwy guz, wdzierało w te nieliczne miejsca, które Fabel zarezerwował dla życia prywatnego. Lista rzeczy „do zrobienia”, jaką sobie ułożył, zamiast się zmniejszać, wydłużała się. Jego matce wraz z wiekiem ubywało sił. Córka dorastała. Zawsze brakowało czasu, na który zasługiwały; czasu, który Fabel chciałby im poświęcić. Związek z Susanne układał się dobrze, choć nie do końca tak, jak powinien na tym etapie znajomości. Wiedział, że przywiązuje do tego za mało uwagi. Poczul nagły skurcz w piersi i ogarnęła go panika na myśl o tym, że mógłby stracić Susanne.

Ostatnio często telefonował do matki, choć wolałby znaleźć chwilę czasu, żeby pojechać do Norddeich. Lex musiał ulec prawom rządzącym rynkiem i wrócił

do Sylt, do swojej restauracji. Co prawda matka przekonywała go, że doskonale potrafi o siebie zadbać, ale Fabel wiedział, że powinien to sprawdzić.

Podniósł się i usiadł na brzegu łóżka. Miał wrażenie, że gdziekolwiek spojrzy, wszędzie ktoś potrzebuje jego obecności. Udało mu się co prawda uzupełnić braki kadrowe w zespole, ale pojawiły się problemy. Anna objaśniała Henkowi Hermannowi co i jak, ale niekonwencjonalne metody rekrutacji pracowników, które stosował Fabel, nie przypadły do gustu biurokratom w policji hamburskiej. Przeniesienie Hermanna z policji mundurowej do oddziału Fabla z pozoru wydawało się proste, jako że komisarz przeszedł wcześniej odpowiednie przeszkolenie w wyższej szkole policyjnej, mieszczącej się obok komendy głównej. Ponieważ jednak w Hamburgu zawsze brakowało oficerów w służbie mundurowej, Fabel wiedział, że będzie musiał stoczyć prawdziwą batalię o przeniesienie Hermanna na stałe do policji kryminalnej. Póki co oddelegował go do wydziału zabójstw na czas trwania tego śledztwa. Przyjęcie do zespołu nowego członka często odbija się na pracy innych. Fabel martwił się, jak Anna Wolff przyjmie nowego partnera. Zawsze miała naturę wol-

nego strzelca, o czym świadczył chociażby szalony pościg za Olsenem. Fabel nie całkiem to potępiał: intuicyjne i impulsywne podejście Anny do wykonywanej pracy zwykle dawało jej inne, szersze spojrzenie na sprawę, niż pozostałym. Potrzebowała jednak przeciwagi i to dawniej zapewniał Paul, choć między partnerami często dochodziło do tarć. Fabel liczył, że Anna stała się teraz bardziej doświadczona, dojrzała i łatwiej porozumie się z Henkiem. Ale widząc jej reakcję na wieść o zatrudnieniu Hermanna, zrozumiał, że musi przeprowadzić z dziewczyną poważną rozmowę. W końcu najważniejszy jest zespół.

Nad tyloma rzeczami w tym śledztwie Fabel nie mógł zapanować. Olsen zniknął z powierzchni ziemi, minął już ponad tydzień od jego ucieczki. Pierwsze trzy zabójstwa wzbudziły zrozumiałe zainteresowanie mediów, szczególnie podwójny mord w lesie. Ale kiedy znaleziono martwą Laurę von Klosterstadt... Zawsze budziła ciekawość, była osobą znaną, kobietą piękną i bogatą. Gdy padła ofiarą mordercy, historia jej życia nie schodziła z pierwszych stron gazet. Potem nieuchronnie zaczęła działać kurtyna milczenia, jaką Fabel spuścił na to śledztwo, w obawie przed zbytnią

gadatliwością van Heidena. Może Ganz wcale nie chciał podgrzewać atmosfery, ale na pewno niezbyt roztropnie dobierał sobie powierników. Przecieki mogły pochodzić ze stu różnych źródeł. Kilka dni wcześniej Fabel włączył wiadomości telewizyjne, z których się dowiedział, że policja hamburska tropi „bajkowego mordercę”. Następnego dnia na kanale NDR przeprowadzono wywiad z Gerhardem Weissem. W ciągu jednego dnia sprzedaż jego książki pobiła wszelkie rekordy, a teraz Weiss rozповідаł, że policja hamburska szuka u niego rady w sprawie ostatnich zabójstw.

Fabel wstał i przeszedł do salonu. Z okna jego mieszkania roztaczał się widok na połyskujące wody jeziora Aussenalster i dalej, na światła Uhlenhorst i Hohenfelde. Nawet o tej porze, po ciemku bez trudu dostrzegł małą łódź płynącą wodami rzeki Alster. Ten widok zawsze go uspokajał. Pomyślał o Laurze von Klosterstadt, płynącej w kierunku swojego widoku. Fabel lubił patrzeć przez okno, bo czuł więź z otaczającym go miastem, tymczasem Laura wydała fortunę na stworzenie pustelni, ważniejszy był dla niej widok nieba niż krajobrazu, chciała oddzielić się od ludzi. Co skłoniło tę piękną, inteligentną, młodą kobietę do takiej

izolacji?

Fabel usiłował wyobrazić sobie Laurę płynącą ku nocnemu niebu, które się rozciągało za olbrzymim oknem. Widział tylko ją. Samotną. Cały jej dom był jakby przesiąknięty poczuciem osamotnienia. Dawał schronienie przed kamerami i spojrzeniami obcych ludzi. Samotna, piękna kobieta rozgarniająca powolnymi ruchami rąk jedwabistą tafłę wody; płynie ku nieskończoności. Nikogo więcej. Ale tam musiał ktoś być. Autopsja wykazała, że utonęła w swoim basenie, ale ślady duszenia na szyi wskazują, że morderca przytrzymał pod wodą głowę ofiary. Möller stwierdził, że trzymano ją jedną ręką. Po prawej stronie szyi odnalazł ślad kciuka, po lewej pozostałych palców. Dodał jeszcze, że to była olbrzymia dłoń.

Duże dłonie. Jak u Olsena. Albo u Gerharda Weissa.

Kto to był? Kto był z tobą w basenie? Dlaczego pozwoliłaś zakłócić spokój swojej pustelni? Fabel w duchu zadawał Laurze pytania, na które jej rodzina nie potrafiła odpowiedzieć. Odwiedził rodziców Laury w ich rozległej posiadłości w Altes Land. To było niepokojące doświadczenie. Brat Laury przedstawił Fabla

swoim rodzicom. Peter von Klosterstadt i jego żona Margarethe byli uosobieniem arystokratycznej oziębłości. Dało się jednak zauważyć, że Peter ma zszargane nerwy, spowolnione reakcje, jest wyczerpany zmianą czasu, a w jego oczach kryje się smutek. Margarethe von Klosterstadt sprawiała wrażenie osoby kompletnie wyzutej z jakichkolwiek uczuć, podobnie zresztą, jak Hubert. Niewątpliwie Laura odziedziczyła urodę po matce, ale w wydaniu Margarethe była to przykuwająca uwagę posągowa uroda kobiety surowej, bezkompromisowej i okrutnej. Zapewne niedawno przekroczyła pięćdziesiątkę, ale taką figurę i tak gładką skórę mają zwykle kobiety o połowę młodsze. Początkowo Fabel sądził, że traktuje jego i Marię z wystudiowaną wyniosłością, potem jednak stwierdził, że nawet podczas odpoczynku jej rysy przypominają maskę. Nie wzbudziła jego sympatii, choć musiał przyznać, że jest wyjątkowo pociągająca seksualnie. Spotkanie nie wniosło nic istotnego do sprawy. Zostali skierowani do Heinza Schnaubera, agenta Laury, który był jej najbliższym powiernikiem, a teraz szalał z rozpacz. „Jak można się było spodziewać” – podsumowała Margarethe von Klosterstadt.

Fabel poczuł za plecami obecność Susanne. Objęła go rękoma w pasie, oparła podbródek na jego ramieniu i razem patrzyli przez okno na rzekę Alster.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Nie chciałem cię obudzić.

– To nic. Co się stało? Kolejny zły sen?

Odwrócił się i musnął wargami jej policzek.

– Nie. Po prostu natłok myśli. – Wziął Susanne w ramiona i pocałował w usta.

– Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Norddeich i poznała moją matkę.

Środa, 14 kwietnia, 10.30.
Norderstedt, Hamburg

Henk Hermann usiłował podtrzymać rozmowę, ale po całej serii monosylabicznych odpowiedzi ze strony prowadzącej samochód Anny, dał za wygraną i oglądał widoki za szybą. Kiedy zatrzymali się pod domem Ehlersów, Anna odwróciła się do Hermanna i po raz pierwszy od chwili, gdy wyjechali z komendy odezwała się pełnym zdaniem.

– To ja będę rozmawiać, dobrze? Ty masz słuchać i się uczyć, czy to jasne?

Hermann westchnął i skinął głową.

– Pan Klatt wie, że jesteśmy tutaj? Jego też interesuje nauczyciel Pauli.

Nie odpowiedziała, była już w połowie ścieżki, prowadzącej do drzwi domu, choć jej partner zdążył dopiero rozpiąć pasy bezpieczeństwa.

Anna uprzedziła telefonicznie panią Ehlers o ich wizycie. Nie chciała, by pomyśleli, że znaleźli ciało Pauli albo że nastąpił jakiś przełom w śledztwie. Miała zamiar omówić z nimi tylko kilka szczegółów. Nie ujawniła im, że największą zagadką, jaką musiała roz-

wiązać, było to, dlaczego w ręku ofiary z plaży Blankenese znalazły się personalia i adres Pauli. Postawiła sobie za cel odnalezienie dziewczyny. Zamierzała przywrócić ją rodzinie, choćby martwą.

Obecność pana Ehlersa w domu zaskoczyła nieco Annę. Miał na sobie jasnoniebieski kombinezon, pokryty warstwą ceglanego pyłu. Nie chcąc pobrudzić tapicerki sofy w salonie, przyniósł z kuchni krzesło i usiadł na nim. Anna przypuszczała, że pani Ehlers musiała go poinformować, dzwoniąc do pracy. Przykro było patrzeć, z jakim napięciem wpatrują się w Annę, choć uprzedziła ich, że nie ma żadnych nowych wiadomości. Anna przedstawiła Henka Hermanna. Pani Ehlers przyniosła z kuchni filiżanki z kawą, ciasteczka i dopiero wtedy usiadła.

Anna szybko przeszła do rzeczy. Interesował ją Heinrich Fendrich, nauczyciel Pauli.

– Rozmawialiśmy już o tym tyle razy. – Twarz pani Ehlers była blada i wymizerowana, jakby kobieta od trzech lat nie spała. – Trudno nam uwierzyć, żeby pan Fendrich miał coś wspólnego ze zniknięciem Pauli.

– Skąd ta pewność? – odezwał się Henk Hermann z narożnika pokoju. Anna rzuciła mu szybkie spojrzenie,

którego zdawał się nie zauważyć. – To znaczy, czy jest coś szczególnego, co każe państwu tak twierdzić?

Pani Ehlers wzruszyła ramionami.

– Przede wszystkim, kiedy Paula zniknęła, był nam bardzo pomocny, wspierał nas. Martwił się losem Pauli. Na pewno nie udawał. Nawet kiedy policja go przesłuchiwała, wiedzieliśmy, że to fałszywy trop.

Anna pokiwała głową w zamyśleniu.

– Wiem, że niełatwo odpowiedzieć na takie pytanie, ale czy odnieśliście państwo kiedykolwiek wrażenie, że zainteresowanie pana Fendricha Paulą było... w jakiś sposób... niewłaściwe?

Państwo Ehlers wymienili spojrzenia, których znaczenie pozostało dla Anny zagadką. Pan Ehlers pokręcił głową.

– Nie, nie. Nigdy.

– Niestety, w przeciwieństwie do innych nauczycieli, pan Fendrich potrafił znaleźć czas dla Pauli – dodała pani Ehlers. – Przyszedł do nas, to musiało być na sześć miesięcy przed jej zniknięciem. Zdziwiłam się, że nauczyciel przychodzi do domu uczennicy, ale on był... nie wiem, jak to powiedzieć... tak mocno przekonany, że nasza córka ma wyjątkowe zdolności do nie-

mieckiego; uważał, że powinniśmy się wybrać do szkoły i spotkać z dyrektorem. Żaden inny nauczyciel nie mówił nic takiego o naszej córce, a my nie chcieliśmy wbijać jej w dumę. Baliśmy się późniejszego rozczarowania.

Wsiadli do volkswagena zaparkowanego przed domem Ehlersów. Anna chwyciła kierownicę i siedziała bez ruchu wpatrzona w szybę.

– Zdaje się, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek – powiedział Hermann.

Anna zerknęła na niego i przekręciła kluczyk w stacyjce.

– Jeszcze nie. Znajdziemy jakiś objazd...

Pamiętając, że Fendrich jest przeczulony na punkcie wizyt policji, Anna zdecydowała się powiadomić go wcześniej o wizycie. Kiedy wyjechali z Norderstedt na południe wyciągnęła telefon komórkowy i zadzwoniła do szkoły, w której obecnie uczył. Fendrich niechętnie zgodził się spotkać w kawiarni przy Bahnhofsvorplatz w Rahlstedt.

Samochód zostawili na parkingu nieopodal budyn-

ku, w którym mieściła się kawiarnia. Słońce co chwila zasłaniały sunące po niebie obłoki. Nauczyciel już na nich czekał, mieszając w zamyśleniu cappuccino. Kiedy weszli do środka, podniósł wzrok i obrzucił Hermanna podejrzliwym spojrzeniem. Anna przedstawiła kolegę, po czym oboje usiedli przy okrągłym stoliku.

– Czego pani ode mnie chce, pani komisarz? – zapytał Fendrich z nutą rezygnacji w głosie.

Anna przesunęła okulary przeciwsłoneczne na czubek głowy.

– Chcę odnaleźć Paulę. Dziewczyna albo żyje i przez całe trzy lata przeżywa Bóg jeden wie jakie katusze, albo, co bardziej prawdopodobne, została zamordowana. Nie wiem, co legło u podstaw pańskiego związku z Paulą, ale wierzę, że naprawdę się pan o nią troszczył. Muszę ją odnaleźć. A od pana, panie Fendrich, oczekuję, że zdoła mnie pan naprowadzić na jej trop.

Fendrich znów mieszał kawę. Wreszcie podniósł wzrok i zapytał:

– Zna pani George’a Bernarda Shawa?

Anna wzruszyła ramionami.

– W tym lepszy jest mój szef, nadkomisarz Fabel.

Ma fioła na punkcie wszystkiego, co angielskie.

– Shaw był akurat Irlandczykiem. Kiedyś powiedział: „Kto nie potrafi się uczyć – naucza”. Uważał wszystkich nauczycieli za nieudaczników. Ale ja nie trafiłem do szkolnictwa z przypadku. Czułem powołanie. Kocham swój zawód. Każdego dnia stoję przed klasą pełną młodych, zdolnych umysłów. Umysłów, które mam ukształtować. – Odchylił się do tyłu i uśmiechnął smętnie. Ponownie ujął palcami łyżeczkę, a uwagę skierował na filiżankę z kawą. – Oczywiście, występuje mnóstwo, jakby to nazwać... zagrożeń. Zagrożeń kulturowych, płynących z telewizji, Internetu, przed którymi trudno chronić umysły młodych ludzi.

Oczy Fendricha zapłonęły.

– Wiecie państwo – ciągnął – jak się czuje ktoś, kogo policja podejrzewa o taką zbrodnię? Nie. Nie macie pojęcia. Nie wiecie też, co to oznacza, kiedy jest się nauczycielem. Człowiekiem, któremu rodzice powierzają swój najcenniejszy skarb. Wasz kolega, Klatt, o mało nie zniszczył mojej kariery. O mało nie zniszczył mnie. Uczniowie boją się zostawać ze mną sam na sam. Rodzice i koledzy z pracy zaczęli okazywać mi niechęć. – Przerwał, jakby pogubił się we własnych

myślach. Spojrzał na policjantów. – Nie jestem pedofilem. Nie pociągają mnie seksualnie ani młode dziewczyny, ani młodzi chłopcy. Interesują mnie tylko ich umysły. A umysł Pauli to był brylant. Krystalicznie czysty. Wymagał tylko wygładzenia i oszlifowania.

– Skoro tak było – powiedziała Anna – zastanawiam się, dlaczego tylko pan to zauważył. Pozostali nauczyciele nie dostrzegli w Pauli ponadprzeciętnych zdolności. Nawet jej rodzice uważali, że pan przesadza.

– Oczywiście. Nikt inny tego nie dostrzegł. Bo nie szukali. Paula była zwykle postrzegana jako leniwa i rozmarzona, a nie mało pojętna. Tak się dzieje, kiedy uzdolnione dziecko wpada w tryby maszyny edukacyjnej, która nie stawia zbyt wysokich wymagań intelektualnych. Poza tym talent Pauli dotyczył mojego przedmiotu; miała naturalne predyspozycje do języka niemieckiego. A kiedy pisała... to brzmiało jak muzyka. Jednym słowem, kto nie chciał tego dostrzec, ten nie dostrzegał.

– Jej rodzice? – zapytał Henk Hermann.

– Właśnie. Zadałem jej pracę domową. Napisała opowiadanie. To była, cóż, prawie baśń. Bawiła się ję-

zykiem. Kiedy czytałem tę prozę, czułem, jak sam mało znaczę. Zabrałem tę pracę na spotkanie z jej rodzicami. I nic. Nic to dla nich nie znaczyło. Ojciec zapytał mnie, czy opowiadania pomogą jej w znalezieniu dobrej pracy. – Fendrich wyglądał teraz, jakby cały płonący w nim żar wypalił się nagle. – Ale Paula już nie żyje. Wy o tym wiecie, i ja też.

– A skąd pan o tym wie? Dlaczego jest pan tego pewien? Skoro czuła, że nie może się w tym środowisku rozwijać intelektualnie, może po prostu uciekła? – zapytał Hermann.

– Choćby dlatego, że nie napisała do mnie. Ani do kogokolwiek innego. Gdyby postanowiła uciec z domu, zostawiłaby list, informację... cokolwiek. Już mówiłem, że Paula była stworzona do pisania. Nie podjęłaby tak ważnej w życiu decyzji bez zapisania jej na papierze. Napisałaby do mnie.

Cała trójka opuściła kawiarnię. Hermann i Anna pożegnali nauczyciela i ruszyli w stronę parkingu. Fendrich podążył w przeciwnym kierunku. Przeszli zaledwie kilka metrów, kiedy usłyszeli wołanie Fendricha:

– Pani komisarz Wolff!

Coś podpowiadało Annie, że powinna porozma-

wiać z nim sama. Podała Hermannowi kluczyki od samochodu.

– Nie pogniewasz się?

Wzruszył ramionami i oddalił się.

Fendrich podszedł do Anny.

– Pani komisarz, czy mogę coś pani wyznać? Coś poza protokołem?

– Przykro mi, nie wiem, czy mogę to panu obiecać...

Fendrich przerwał jej. Nie chciał słuchać wyjaśnień, musiał to z siebie wyrzucić.

– Jest coś, o czym nie powiedziałem policji. Pewnie dlatego, że mogłoby to źle wypaść.

Anna usiłowała zapanować nad niecierpliwością.

– W moich stosunkach z Paulą nie było nic niewłaściwego, przysięgam. Ale tuż przed zniknięciem dziewczyny dałem jej prezent. Książkę. Nie powiedziałem o tym wcześniej, bo się bałem, że detektyw Klatt może obrócić to przeciwko mnie.

– Co to było? – zapytała Anna. – Jaką książkę jej pan podarował?

– Chciałem, żeby zrozumiała podstawy niemieckiej tradycji literackiej. Dałem jej egzemplarz „Baśni braci

Grimm”.

Środa, 14 kwietnia, 15.30.

Winterhude, Hamburg

Niebo przybrało kolor błękitu i skapało Hamburg ciepłym, jasnym światłem, choć słońce co chwila znikowało za kępami białych obłoków.

W mieście tak medialnym jak Hamburg należało uważać, by nie powiedzieć czegoś publicznie, ale Fabiel miał dwa ulubione miejsca do nieoficjalnych spotkań swojego zespołu. Jednym był barek szybkiej obsługi w porcie hamburskim, prowadzony przez byłego policjanta, Fryzjczyka i przyjaciela Fabla. Drugim – kawiarnia naprzeciw Winterhuder Fährhaus. Wciśnięta za mostem, kawiarnia miała spory ogródek, z którego rozciągał się widok na wody Alsteru i wieżę katedry Świętego Jana. Po drugiej stronie pomalowanego na białą łańcucha, oddzielającego ogródek od wody, para łabędzi niespiesznie płynęła zwabiona okruchami rzuconymi przez któregoś z gości. W ogródku stały białe plastikowe stoliki i krzesła, osłonięte parasolami z reklamami papierosów. Kawiarnia znajdowała się dostatecznie blisko komendy policji, by stanowić dogodny punkt spotkań.

Było ich sześcioro, Fabel dosunął więc jeszcze dwa krzesła, żeby wszyscy mogli usiąść razem. Anna i Maria przywykły już do narad na świeżym powietrzu, które często urządzał Fabel, ale Petra Maas i Hans Rödger wydawali się kompletnie zaskoczeni wyborem miejsca. Z kolei wyraz twarzy Henka Hermanna wskazywał, że poczuł się członkiem tajemnego stowarzyszenia dla wybrańców.

Pojawił się kelner i przyjął zamówienie. Przywitał serdecznie Fabla i obaj panowie przez chwilę wymieniali uwagi o pogodzie. Nie miał pojęcia, że ta grupka ludzi pracuje w wydziale zabójstw, wziął ich raczej za biznesmenów, którzy zrobili sobie krótką przerwę w pracy. Nadkomisarz czekał, aż kelner zniknie i zwrócił się do swojego zespołu:

– Źle się do tego zabraliśmy. Wiem, że dajecie z siebie maksimum energii, ale póki co cała para idzie w gwizdek. Mamy trzech podejrzanych: nauczyciela Fendricha, autora powieści Weissa, no i naszego głównego podejrzanego, Olsena. Ale kiedy przyjrzymy się każdemu z nich z osobna, żaden nie pasuje idealnie do obrazu mordercy.

Fabel przerwał na chwilę, gdy do stolika podszedł

kelner z kawą.

– Przeoczyliśmy fakt – mówił dalej – że możemy mieć do czynienia z parą morderców. Tu pasowałaby uwaga Henka, że w lesie odnaleźliśmy dwa rodzaje śladów butów. Być może popełniliśmy błąd, uznając, że nie ma to znaczenia.

– Albo mamy mordercę i kogoś drugiego, kto się na nim wzoruje – wtrącił niepewnie Hermann.

Fabel potrząsnął głową.

– „Temat”, jeśli można tak powiedzieć, wszystkich zbrodni jest zbyt jednolity. Istnieją między nimi liczne, oczywiste związki. Żółte kartki papieru znajdowane na miejscu zbrodni są nie tylko identyczne, ale sprawiają wrażenie wyciętych z jednego dużego arkusza. Odręczne pismo też jest identyczne. Teoria, że dwóch morderców działa wspólnie, tłumaczyłaby, że mordercą w lesie był Olsen, a pozostałych dwóch zabójstw dokonał jego wspólnik. A kartki pisał zawsze tylko jeden z nich.

– Ale...? – Maria Klee uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

– Ale... Nie pasuje mi ten tandem. Moim zdaniem, wchodzi w grę tylko jedna osoba. Weźmy na początek

Olsena. Co na niego mamy?

– Pasuje do zabójstwa w lesie – powiedziała Maria. Miał motyw, żeby zabić Grünna i Schillera. Był zazdrosny. Ale co go łączy z pozostałymi, raczej przypadkowymi morderstwami?

Fabel wypił łyk kawy.

– Te morderstwa nie pasują do obrazu Olsena, który stworzyliśmy. Olsen to chodząca wściekłość. Tymczasem nasz morderca w swoich zbrodniach dostrzega poezję. Ten chłopak pozostaje głównym podejrzanym, ale nie dowiemy się nic więcej, póki nie przyprzemy go do muru. A propos, co z Fendrichem, Anno?

– To nie on. Jestem tego pewna. Nawet jeśli wziąć pod uwagę motyw seksualny, choć Fendrich zaprzecza, to nie wierzę, że mógł coś takiego zrobić. Sprawdziłam go dokładnie. Kartotekę ma czystą. Żadnych wcześniejszych podejrzeń czy pretensji jako do nauczyciela. Trzy lata temu zerwał ze swoją przyjaciółką, Roną Dorff. Od tego czasu nie jest w żadnym stałym związku. Rozmawiałam z Roną. Uczy muzyki w innej szkole. Stwierdziła, że w najlepszym okresie temperatura ich związku była raczej letnia, a po zniknięciu Pauli wszystko się po prostu rozsypało.

– Myślisz, że należy to wziąć pod uwagę? – zapytał Fabel.

– Moim zdaniem, tak. Ale słowa tej kobiety raczej usprawiedliwiają, a nie pogrążają Fendricha. Rona powiedziała mi, że Fendrich wręcz obsesyjnie starał się pomóc Ehlersom odnaleźć córkę. Później, kiedy uczeplił się go Klatt z policji w Norderstedt, wpadł w depresję.

– Był gwałtowny?

– Nie. Raczej chłodny i nieobecny. Zdaniem Rony ich związek się nie rozpadł, po prostu wygasł.

– Zachowanie Fendricha po zniknięciu Pauli mogło być tylko przykrywką – wtrącił Henk Hermann z zapalem. – Wielu morderców skrywa swoje poczucie winy, strach pod pozorami rozpacz i żalu.

Fabel dobrze o tym wiedział. Nieraz dał się nabrać na krokodyle łzy wylewane przez wyrachowanego zbrodniarza.

– Jest jeszcze kwestia odniesienia do baśni braci Grimm ciągnął Hermann zachęcony poparciem Fabla dla swojej tezy. – Wiemy, że sobowtór Pauli, Martha Schmidt, pochodziła z tak zwanych nizin społecznych i dlatego zabójca wykorzystał ją do analogii z „ludźmi

spod ziemi”. Może Fendrich postrzegał ją jako dziewczynę uwięzioną w ciasnych ramach niewielkich oczekiwań jej rodziców. Czy nie myślałby wówczas, że mordując, jednocześnie ją wyzwala?

Fabel zerknął na niego i się uśmiechnął.

– Pan też czytał książkę Weissa, prawda? – Pod piegami na twarzy Hermanna wykwitł rumieniec. Wyglądał jak uczeń przyłapany na ściąganiu podczas klasówki.

– Tak jest, panie nadkomisarzu. Sądziłem, że to może się przydać.

– Ma pan rację. I proszę zwracać się do mnie szefie, to zaoszczędzi nam czasu. Anno, co myślisz o hipotezie kolegi?

– To możliwe. Chociaż Fendrich starał się wspierać rodzinę Ehlersów, nie ukrywał rozczarowania tym, jak nisko oceniali swoją córkę. Z drugiej strony, jest on jedyną osobą powiązaną ze zniknięciem Pauli, choć ta sprawa nie stanowi przedmiotu naszego śledztwa. Nie ma żadnego alibi, mieszka sam w dużym domu, matka zmarła. Gdyby miał alibi, byłabym bardziej podejrzliwa. Reasumując, intuicja podpowiada mi, że to nie on. Niemniej jednak, ten prezent w postaci „Baśni braci

Grimm” niepokoi mnie. Niezależnie od tego, że dobrowolnie mi to wyznał.

– Okej. Nie wykluczamy Fendricha z grona podejrzanych. Pozostaje nam pisarz Weiss...

– Szeffie, to pan go wykreował na podejrzanego. Dlaczego?

– Cóż, przede wszystkim dostrzegam niepokojące podobieństwa między kolejnymi morderstwami a powieścią Weissa. I tu, i tu występuje motyw baśni braci Grimm, pojawia się seryjny morderca, który sprawia, że baśnie stają się rzeczywistością. Weiss stara się przyciągnąć uwagę mediów, bo dzięki domniemanym związkom powieści ze zbrodniami rośnie jej sprzedaż.

Anna roześmiała się.

– Czyżby pan przypuszczał, że morderstwa mają związek z pojawieniem się na rynku tej książki?

– Nie do końca. Ale może Weiss potrafi wprowadzić w życie swoje teorie. Jedno jest pewne: to samolubny, arogancki fiut. Potrafi też zrobić wokół siebie niezłe zamieszanie. I jest potężnie zbudowany. Sekcja zwłok Laury von Klosterstadt wykazała, że dusił ją człowiek o wielkich dłoniach.

– To mógł być Olsen – stwierdziła Anna. – Albo

nawet Fendrich.

Nadkomisarz zwrócił się do Marii.

– Co masz na Weissa?

– Żadnej przeszłości kryminalnej. Ma czterdzieści siedem lat, dwukrotnie żonaty, dwukrotnie rozwiedziony, bezdzietny. Urodził się w Kilonii w Szlezwiku-Holsztynie. Jego matka nie była Niemką. Pochodziła z włoskiej arystokracji, ojciec miał firmę przewozową w Kilonii. Uczył się w ekskluzywnej szkole z internatem w Hamburgu, a potem w Anglii i we Włoszech. Studiował na uniwersytecie w Hamburgu. Pierwszą powieść wydał tuż po studiach. Nie zyskała rozgłosu. Pierwszą powieść z serii „Wahlwelten” napisał w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku i odniósł wielki sukces. I to tyle. Aha, miał brata. Młodszego. Zmarł dziesięć lat temu. Fabel drgnął.

– Brat? Umarł?

– Najprawdopodobniej popełnił samobójstwo. Człowiek chory psychicznie.

– Słuchaj, Mario, czy on nie był przypadkiem rzeźbiarzem?

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Rzeczywiście. Skąd pan to wie?

– Chyba widziałem jedną jego pracę – powiedział Fabel i przed oczami stanął mu wyciosany z hebanowego drewna wilk z rozdziawioną paszczą. Spojrzał w dół na taflę wody. Łabędzie porzuciły okruchy chleba i odpłynęły dostojnie w stronę mostu. – Komisarz Hermann ma rację. Uważam, że „Bajkowa ulica” Weissa powinna dla nas stanowić lekturę obowiązkową. Zadbam o to, żebyście wszyscy jeszcze dziś dostali po egzemplarzu książki. I życzę przyjemnej lektury.

Nadkomisarz poprosił Annę, żeby chwilę poczekała, to odwiezie ją do komendy. Henk Hermann nie wiedział, co ze sobą począć, aż w końcu Fabel kazał mu wracać z Marią. Kiedy zostali sami przy stoliku, zamówił kolejną kawę i pytająco uniósł brwi. Anna pokręciła głową.

– Posłuchaj, Anno – zaczął Fabel, gdy kelner oddalił się od stolika. – Jesteś wyjątkową policjantką. Prawdziwym skarbem w naszym zespole. Ale są pewne sprawy, które wymagają wyjaśnienia...

– Na przykład?

Spojrzał jej prosto w twarz.

– Na przykład twoja agresywność. Musisz pamięć-

tać, że pracujemy zespołowo, nie indywidualnie.

Twarz Anny stężała.

– Myślałam, że właśnie dlatego pan nas zatrudnił. Dlatego, że jesteśmy indywidualnościami. Ponieważ jesteśmy tak różni.

– Zgadza się, Anno. Ale wasze indywidualne przymioty mają wartość tylko wtedy, gdy współdziałacie z innymi członkami zespołu.

– Chyba wiem, do czego pan zmierza... Chodzi o Henka Hermanna?

– On jest bardzo bystry, Anno. Pali się do roboty. To dobry policjant i uważam, że razem będzie wam się dobrze pracowało. Ale tylko wtedy, jeżeli dasz mu szansę.

Anna odezwała się po dłuższej chwili milczenia, obrzucając Fabla swoim zwykłym, aroganckim spojrzeniem.

– Czy tylko mi się wydaje, czy to zbieg okoliczności, że jest tak cholernie podobny do Paula Lindemanna? Zaczęłam się już zastanawiać, czy to nie „podmiemiec”.

Dowcip Anny zdenerwował przełożonego na tyle, że nie odpowiedział. Podeszli do samochodu. Fabel

oparł się łokciem o dach i zmierzył Annę wzrokiem.

– Nie zatrudniam pracowników, kierując się sentymentami, pani komisarz. – Przerwał na moment, po czym się roześmiał. Wiedział, co Anna ma na myśli. Hermann, chudy, tyczkowaty, jasnowłosy, rzeczywiście przypominał Paula Lindemanna. – Jest podobny. Ale to nie Paul. Zatrudniłem go ze względu na jego własne umiejętności. Chcę, żebyś z nim współpracowała. W równym stopniu od ciebie, jak i ode mnie zależy, czy potencjał, który w nim tkwi, zostanie właściwie wykorzystany. Uprzedzę jeszcze twoje pytanie: nie chcę, żebyś go niańczyła. Hermann stoi przed wielkim wyzwaniem, a ty masz mu pomóc, a nie przeszkadzać. Poza tym od niego też możesz się czegoś nauczyć.

Ruszyli w stronę Winterhude i komendy policji. Słońce co chwila kryło się za chmurami. Przez większą część drogi Anna milczała. W końcu, całkiem niespodziewanie, odezwała się:

– Okej, szefie. Postaram się. Wiem, że czasem zachowuję się jak ostatni dupek, ale to, co się wydarzyło rok temu: śmierć Paula, zranienie Marii, mocno mnie trafiło. Paul robił wszystko z podręcznikową dokładnością. Działał mi na nerwy. Ale był fajnym facetem. Z

kimś takim można konie kraść. – Przerwała na chwilę. Fabel nie patrzył na nią. Wiedział, że wolałaby nie pokazywać przygnębionej twarzy. Troszczył się o mnie... – Głos jej zadrżał. – Nie mogę spać w nocy. Wiem, że zginął, bo chciał mnie ochronić. Ja przeżyłam, on nie.

– Anno... – zaczął Fabel, ale przerwała mu, starając się nadać głosowi normalny ton.

– Zaproponuję Henkowi, żebyśmy gdzieś się wybrali na drinka i pogadali. Okej?

– Okej, Anno.

Zatrzymali się pod komendą. Anna sięgnęła ręką do klamki, ale nie wysiadła. Odwróciła się i spojrzała na Fabla.

– Dlaczego nie Klatt? – zapytała otwarcie. Fabel zmieszał się. – Byłam pewna, że to właśnie on zostanie przyjęty do zespołu. Jemu też to chyba chodziło po głowie. Dlaczego zdecydował się pan na Hermanna?

Fabel uśmiechnął się.

– Klatt jest dobrym policjantem, ale brakuje mu czegoś, co powinien mieć oficer wydziału zabójstw. Zbyt mocno skupił się na Fendrichu, który może nawet dopuścić się zbrodni, ale Klatt nie rozważał żadnej innej możliwości. Jeśli nauczyciel jest niewinny, to Klatt

w pierwszych dniach po zaginięciu Pauli mógł przeoczyć jakieś istotne ślady.

– Boże, szefie. Chyba jest pan zbyt surowy w ocenie. To nie tak. Klatt skupił się na Fendrichu, bo nie było żadnego innego podejrzanego.

– On to tak widział. Nieważne, w każdym razie jest dobrym policjantem. A dlaczego wybrałem Henka Hermanna, a nie Roberta Klatta? Chodziło mi bardziej o zalety Hermanna, niż o wady Klatta. Henk Hermann pojawił się pierwszy na miejscu zbrodni w lesie. Na małej leśnej polanie znalazł dwa ciała ofiar. I zrobił to, co powinien, szybko rozejrzał się wokół. Postąpił odwrotnie niż Klatt. Rozszerzył zakres prac. Zabezpieczył miejsce zbrodni, a jednocześnie zaczął penetrować okolicę w poszukiwaniu śladów samochodu. Zastanowiła go upozowana scena na polanie, dlatego podjął takie kroki. – Fabel przerwał na chwilę, położył ręce na kierownicy i rozparł się wygodnie w fotelu. – To jest wyścig, Anno. Wszyscy bierzemy w nim udział. Start jest tam, gdzie ktoś zabija inną istotę ludzką. Henk Hermann jest szybszy. To takie proste i takie skomplikowane zarazem. Postaraj się ułożyć sobie współpracę z nim jak najlepiej.

Anna wpatrywała się w Fabla, jakby rozważając jego słowa, wreszcie skinęła głową.

– Dobra, szefie.

Środa, 14 kwietnia, 21.30.

St Pauli, Hamburg

Max był artystą.

Sztuka zdominowała całe jego życie. Zgłębiał jej tajniki, badał korzenie, historię, rozwój. Miał świadomość, że pracuje z najdoskonalszym tworzywem: najszlachetniejszym i najstarszym. Jego płótno było takie samo jak płótna artystów od tysiącleci, od zarania dziejów. Tego tworzywa artyści używali, zanim zaczęli tworzyć prehistoryczne rysunki naskalne. Tak, to naprawdę była wspaniała i kunsztowna sztuka. Pewnie dlatego wkurzał się, że podczas pracy miał nieustanną erekcję. Robił wszystko, co mógł, żeby nie myśleć o kłopotliwej wypukłości w skórzanych spodniach. Próbował się skupić na szczegółach swojego dzieła, ale tym razem wykonywał najprostszy wzór: serce oplecione girlandą kwiatów. Taką rzecz mógłby robić z zamkniętymi oczami. Pewnie nawet by się nie zgodził, by o tej porze tatuować wygolony wzgórek łonowy prostytutki, gdyby nie to, że zadzwonił wcześniej jeden z jego najlepszych klientów i spytał, czy może wpaść do Maksa o dziesiątej. Skoro i tak musi na niego cze-

kać, to dlaczego nie zarobić paru groszy na tatuażu dla dziwki.

– Au, to boli... – Śliczna młoda dziewczyna wzdygnęła się, więc pośpiesznie wyjął igłę. Srom klientki znalazł się teraz blisko twarzy Maksa, który czuł narastające podniecenie.

– Jeszcze chwila – rzucił niecierpliwie. – Nie ruszaj się, bo źle to wyjdzie.

Dziewczyna zachichotała.

– Ale będzie super! – uciszyła się i skrzywiła z bólu, gdy Max ponownie wbił igłę. – Inne dziewczyny nie mają takich fajnych tatuaży. A o tobie mówią, że jesteś naprawdę dobry. Prawdziwy artysta.

– To dla mnie zaszczyt – mruknął bez przekonania. A teraz pozwól mi to skończyć. – Starł resztki tuszu i krwi ze skóry. Przeciągnął palcem po sromie, a dziewczyna znów zachichotała.

– Słuchaj skarbie. Może porozmawiamy o zapłacie. Założę się, że wiesz, o czym...

Max spojrzał jej w oczy. Miała nie więcej niż dziewiętnaście lat.

– Nie, dziękuję – odparł i wrócił do pracy. – Wystarczy gotówka.

– Okej – powiedziała – ale nie wiesz, co tracisz.

Kiedy dziewczyna wyszła, Max wziął głęboki oddech, próbując wyrzucić z pamięci widok jej nagiego ciała. Za chwilę miał się pojawić umówiony klient. Nie mógł się go doczekać. To był prawdziwy znawca. A tatuaż, który zrobił temu facetowi, Max uważał za dzieło swojego życia. Niestety, klient odmówił, kiedy zaproponował zrobienie zdjęcia. Nie nalegał. Facet był wielki. Potężnie zbudowany. Z takim lepiej nie dyskutować. Z drugiej strony, jego wymiary dawały pewną korzyść – więcej skóry do zagospodarowania. To było największe płótno malarskie, z jakim Max miał kiedykolwiek do czynienia.

Praca nad całym dziełem zajęła miesiąc. Musiał odczuwać niewyobrażalny ból – cała skóra pokaleczona, w stanie zapalnym. Przychodził raz w tygodniu, kazał wówczas Maksowi zamykać pracownię i zajmować się tylko nim, godzina po godzinie. Był bardzo zadowolony z tego, co robił Max. Doceniał też jego pasję, badania, przygotowania. Pracując, Max opowiadał o tym, jak szlachetny jest rodzaj sztuki, który uprawia. Opowiadał o dawnym bladym, chorowitym chłopcu,

uzdolnionym artystycznie, na którego talent nikt nie zwracał uwagi. Opowiadał, jak w wieku dwunastu lat po raz pierwszy wziął do ręki igłę, atrament i wykonał pierwszy tatuaż. Na sobie. Jak przeczytał o *moko*, maoryskiej sztuce makijażu. Maorysi leżeli godzinami bez ruchu, podczas gdy plemienny tatuażysta *tohunga*, który cieszył się takim samym poważaniem, jak szaman, nakłuwał ich skórę za pomocą igieł i małego drewnianego młoteczka. *Tohunga* byli dla Maksa niezrównanymi mistrzami tatuażu. Nie tylko malowali, ale i rzeźbili. Nie tylko zabarwiali skórę, ale zmieniali jej kształt, ich dzieła były trójwymiarowe. Każdy tatuaż był jedyny i niepowtarzalny.

Punktualnie o dwudziestej drugiej rozległ się dzwonek. Max otworzył szeroko drzwi. Wysoki, potężny mężczyzna zajrzał ponad głowę Maksa do wnętrza i dopiero potem wszedł.

– Cieszę się, że znów pana widzę – powitał go Max. – To zaszczyt pracować dla pana. Co dzisiaj zrobimy?

Środa, 14 kwietnia, 21.30.

Der Kiez, Hamburg

Henk Hermann z ochotą przyjął propozycję Anny, by pójść po pracy na drinka, choć w jego oczach czaiła się podejrzliwość.

– Nie bój się – żartowała Anna. – Nie zgwałcę cię. Zostaw samochód pod komendą.

Henk Hermann poczuł jeszcze większy niepokój, kiedy przywołała taksówkę i kazała kierowcy jechać do Kiez, do pubu Weisse Maus. Zwykle kłębił się tu tłum ludzi, ale tego wieczoru, w środku tygodnia, bez trudu znaleźli wolny stolik. Anna zamówiła dla siebie koktajl rye-and-dry i spojrzała pytająco na Henka.

– Piwo?

Hermann podniósł w górę rękę.

– Niech będzie...

– A zatem rye-and-dry i piwo. – Kelner przyjął zamówienie.

Hermann patrzył z uśmiechem na siedzącą naprzeciw niego drobną, ładną dziewczynę. Nie wyglądała na policjantkę. Miała duże ciemne oczy, podkreślone delikatnym makijażem. Pełne usta w kształcie serduszka

pomalowane wściekle czerwoną szminką. Czarne, krótko ostrzyżone włosy postawione za pomocą żelu na sztorc. Ta fizjonomia, w połączeniu z T-shirtem z nadrukiem jakiegoś zespołu punkowego, dzinsami i zbyt dużą skórzaną kurtką, miały nadać jej wygląd twardziela. Nic z tego. Wszystkie te elementy złożone razem, raczej podkreślały dziewczęcość Anny. Henk słyszał jednak, że jest ona prawdziwym twardzielem.

W oczekiwaniu na drinki Anna prowadziła zdawkową rozmowę. Zapytała, co Henk sądzi o wydziale zabójstw i czym się różni ta praca od pracy na komisariacie. Nim stanęły przed nimi szklanki, zdążyła zadać jeszcze kilka mało istotnych pytań.

– Nie musisz tego robić. – Henk pociągnął łyk piwa.

– Co masz na myśli? – Anna uniosła czarne brwi, a jej twarz była teraz uosobieniem niewinności.

– Wiem, że żywisz do mnie urazę... Może nie urazę, to za mocne słowo... Wiem, że nie akceptujesz decyzji pana Fabla o przyjęciu mnie do zespołu.

– Gówna prawda – odpowiedziała Anna. Zdjęła skórzaną kurtkę i powiesiła ją na oparciu krzesła. Spod bluzki wysunął się łańcuszek, który szybko schowała

pod T-shirtem. – On jest szefem. Wie, co robi. Jeśli mówi, że się nadajesz do tej roboty, to się nadajesz.

– Ale nie jesteś z tego zadowolona.

Anna westchnęła i pociągnęła spory łyk burbona.

– Przepraszam cię, Henk. Rzeczywiście, nie rozwinęłam przed twoim przyjściem czerwonego dywanu, ale... No dobra, było mi ciężko po śmierci Paula. Fabel pewnie ci o tym opowiadał?

Henk przytaknął.

– Wiem, że potrzebujemy kogoś, kto zająłby jego miejsce. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Oczywiście, że rozumiem. – odparł Henk. – Ale, bądźmy szczerzy, to nie mój problem. To już przeszłość, a ja nie byłem jej częścią. Trafiłem do tego zespołu, żeby robić to, co potrafię najlepiej. Nie znałem Paula Lindemanna i nie uczestniczyłem w tamtym śledztwie.

Anna wypła kolejny łyk i zmarszczyła nos.

– Nie. Nie masz racji. Jesteś częścią historii. Skoro jesteś częścią zespołu, to jesteś też częścią tego, co się zespołowi przydarzyło. A tamtej nocy, w Altes Land, wszyscy się zmieniliśmy. Ja, Maria, nawet Werner i Fabel. Straciliśmy jednego z naszych. To w nas tkwi

do tej pory.

– Okej. – Henk pochylił się i oparł łokciami o stół.

– Opowiedz mi o tym.

Środa, 14 kwietnia, 21.30.
Eppendorf, Hamburg

Fabel nie musiał szukać mieszkania Heinza Schnaubera. Znał Eppendorf bardzo dobrze. Instytut Medycyny Sądowej znajdował się na terenie kliniki uniwersyteckiej, a Schnauber mieszkał w jednej z dziewiętnastowiecznych kamienic przy eleganckiej Eppendorfer Landstrasse.

Agent Laury Kłosterstadt oczekiwał go, lecz Fabel mimo to trzymał w rękę odznakę i legitymację policyjną. Mężczyzna miał około pięćdziesięciu pięciu lat, był niewysoki, dość szczupły. Wprowadził gościa do eleganckiego salonu. Meble stylem i wiekiem odpowiadały wiekowi budynku, choć były nieporównanie wygodniejsze niż te, które zdobiły mieszkanie Very Schiller. Fabel nigdy nie wiedział, w jaki sposób zwracać się do geja. Zwykł uważać się za człowieka nowoczesnego i racjonalnego, nie miał nic przeciwko homoseksualistom, a mimo wszystko luterańskie i fryzyjskie wychowanie sprawiało, że czuł się w ich obecności niezręcznie. Był wściekły za swój prowincjonalizm, zwłaszcza że Schnauber zachowywał się i mówił jak stuprocento-

wy mężczyzna, a nie tego Fabel się spodziewał. W jego oczach dostrzegł ból, kiedy mówił o Laurze. Niezależnie od tego, czy był gejem, czy nie, na pewno kochał Laurę miłością niemalże rodzicielską.

– Moja księżniczka – powiedział Schnauber. – Tak ją nazywałem: moja mała nieszczęśliwa księżniczka. Mówię szczerze, była mi bardzo bliska, jak córka.

– Dlaczego nieszczęśliwa?

Agent uśmiechnął się z goryczą.

– Panie nadkomisarzu, przypuszczam, że miewa pan do czynienia z rodzicami patologicznymi. Mam na myśli pana pracę. Rodzice narkomani, dzieci kryminaliści, przemoc, molestowanie... Tego rodzaju historie. Ale są też rodziny, których dysfunkcjonalność jest zawalowana. Gdzie szkielety są pochowane i dobrze pozamykane w szafach. Cóż, z takim majątkiem i wpływami von Klosterstadtów stać na niejedną szafę.

Schnauber usiadł na sofie, gościowi wskazał ogromny skórzany fotel.

– Chciałbym pana zapytać o przyjęcie – zaczął Fabel. O przyjęcie urodzinowe panny von Klosterstadt. Czy wydarzyło się coś nieoczekiwanego? A może pojawił się ktoś nieproszony?

Schnauber się roześmiał.

– Panie Fabel, na przyjęciach, które ja organizuję, nie ma prawa pojawić się nikt bez zaproszenia. – Słowo „nikt” wymówił z naciskiem. – Poza tym, nie... Nie wiem o żadnym niezwykłym czy nieprzyjemnym wydarzeniu. Oczywiście, co nikogo nie zdziwiło, stosunki między matką i córką się nie ociepliły. Hubert zachowywał się jak zwykle; mały wyniosły gnojek. Ale mimo wszystko przyjęcie się udało. Gościliśmy grupkę Amerykanów z Nowej Anglii, producentów ekskluzywnej odzieży dla żeglarzy. Zależało im na podpisaniu z Laurą kontraktu. Zachwyciła ich jej arystokratyczna europejska buzia. – Schnauber posmutniał. – Biedna Laura. Kiedy była dzieckiem, listę gości na urodzinowe przyjęcia ustalała matka zgodnie ze swoimi potrzebami. Kiedy dorosła, przyjęcia służyły do promocji jej urody pośród potencjalnych klientów. Czuję się podle z tego powodu. Ale organizowanie takich imprez należało do obowiązków agenta. – Spojrzał zatroskany na Fabla. Chyba było dla niego ważne, żeby nadkomisarz mu uwierzył. – Robiłem wszystko, co w mojej mocy, by te przyjęcia jak najmniej przypominały imprezy promocyjne. Kupowałem jej jakieś

prezenty, przynosiłem tort, pan rozumie... Naprawdę chciałem, żeby sprawiały jej przyjemność.

– Wiem, panie Schnauber. Rozumiem. – Fabel uśmiechnął się. Zanim zadał następne pytanie, pozwolił mu zatopić się na chwilę we wspomnieniach. – Powiedział pan o wielu szkieletach w szafie von Klosterstadtów. Jakiego rodzaju to były szkielety? Czy coś złego działo się w rodzinie Laury?

Gospodarz podszedł do szafki z alkoholami i nalał sobie whisky, co wydało się Fablowi co najmniej niezręczne. Wyciągnął rękę z butelką w stronę Fabla.

– Nie, dziękuję. Jestem na służbie.

Schnauber powrócił na swoje miejsce i pociągnął spory łyk szkockiej.

– Widział pan jej rodziców? A Huberta?

– Owszem. Widziałem.

– Ojciec to zwykły kutas. Ogromne pieniądze, które posiada, są odwrotnie proporcjonalne do inteligencji. Poza tym jest niedyskretny. Przez piętnaście ostatnich lat przerznął chyba wszystkie sekretarki w Hamburgu. Z drugiej strony, można go zrozumieć, kiedy spojrzy się na Margarethe, jego żonę.

Fabel wydawał się zaskoczony.

– Moim zdaniem to bardzo atrakcyjna kobieta. Gdy była młodsza, musiała być równie piękna jak Laura.

Schnauber uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Czasami, a właściwie cały czas, dziękuję niebiosom, że jestem gejem. Tylko dlatego jestem odporny na czary Margarethe. Ale widzę, że panem, panie Fabel, już prawie zawładnęła. Jeśli pan sądzi, że można z nią uprawiać satysfakcjonujący seks, bo wytwarza wokół siebie tę specyficzną aurę erotycznej prowokacji, to się pan myli. Nie może jej pan pieprzyć, jeśli nie ma pan jaj, a Margarethe przez całe życie specjalizowała się w kastrowaniu mężczyzn. Pewnie dlatego ojciec Laury wpycha swojego fajfusa w każdą dziurę, jaką napotka. Choćby po to, żeby sprawdzić, czy ma go jeszcze na miejscu. – Opróżnił szklanę jednym haustem. – Ale to nie dlatego znienawidziłem Margarethe von Klosterstadt. Nie mogłem znieść sposobu, w jaki traktowała Laurę. Wyglądało to tak, jakby trzymała ją zamkniętą pod kluczem z dala od miłości, uczuć, tysiąca drobnych rzeczy, które zwykle wytwarzają więź między matką a córką.

Fabel w zadumie pokiwał głową. To, co usłyszał, nie miało zasadniczego znaczenia dla śledztwa, ale

whisky i żal wyzwoliły w Schnauberze gniewny protest przeciwko śmierci, która zakończyła nagle nieszczęśliwe życie Laury. Teraz pusty pokój w jej willi i widok z okna pokoju z basenem nabierały innego znaczenia. Schnauber wstał, podszedł do szafki i nalał sobie kolejnego drinka. Stał przez chwilę nieruchomo z butelką w jednej dłoni i szklaneczką w drugiej, wpatrzony w okno wychodzące na Eppendorfer Landstrasse.

– Czasami nienawidzę tego miasta. Czasami nienawidzę tego, że jestem cholernym Niemcem z północy ze wszystkimi typowymi zahamowaniami i poczuciem winy. Wina jest straszną rzeczą, prawda?

– Zapewne – odparł Fabel. W spojrzeniu Schnauberza dostrzegł coś, z czym wielokrotnie się spotykał w swojej pracy: rozbiegany wzrok, niezdecydowanie kogoś, kto stoi o krok od wyznania tajemnicy. Pozwolił, aby zaległa cisza, dając Schnauberowi czas do namysłu.

Wreszcie Schnauber odwrócił się do Fabla.

– Pewnie, będąc stróżem prawa, często ma pan z tym do czynienia. Założę się, że sporo jest ludzi, którzy popełniają najgorsze zbrodnie: mordują, gwałcą,

molestują dzieci i w dodatku nie mają poczucia winy.

– Niestety, tak.

– I to mnie wkurza. Bo jeśli nie ma poczucia winy, to nie ma też kary. Zupełnie tak samo było z nazistami, którzy nie widzieli nic złego w swoich uczynkach, podczas gdy następne pokolenia, urodzone już po wojnie, czują się winne. Jest jeszcze druga strona medalu.

– Schnauber usiadł ponownie na sofie. – Ludzie popełniający występki, które większość z nas uznałaby za wybacalne, wręcz trywialne grzeszki, najczęściej dźwigają brzemień poczucia winy.

Fabel pochylił się do przodu.

– Czy Laura miała poczucie winy?

– Owszem, przez jeden z licznych szkieletów ukrytych w szafach von Klosterstadtów. To była aborcja. Wiele lat temu. Nikt o tym nie wie. Przeprowadzono ją w absolutnej dyskrecji. Wszystko zorganizowała Margarethe i ona też zadbała, by dochowano tej tajemnicy. Opowiedziała mi o tym Laura, ale dopiero po kilku latach naszej znajomości.

– Kto był ojcem dziecka?

– Nikt. Jego główną wadą było to, że był nikim. Dlatego Margarethe starała się, by zniknął ze sceny. To

jest główny powód, dla którego nazywałem Laureę nie-szczęśliwą księżniczką. Zabieg, który trwa godzinę, a pozostawia poczucie winy na całe życie. – Schnauber opróżnił szklanekę. Oczy miał zaczerwienione, lecz nie z powodu alkoholu. – Wie pan, panie nadkomisarzu, co jest w tym wszystkim najsmutniejsze? Że, kiedy to by-dłę ją mordowało, ona pewnie pomyślała, że właśnie na to zasłużyła.

Środa, 14 kwietnia, 22.00.
Der Kiez, St Pauli, Hamburg

Henk Hermann odchylił się do tyłu na krześle. Anna opowiadała o akcji, w której zginął Paul Lindemann, Maria została ciężko ranna, a ona o mało nie straciła życia.

– Chryste, to musiało być straszne. Teraz cię rozumiem. Słyszałem o tym, ale nie znałem szczegółów. Wiem, co miałaś na myśli, mówiąc, że to wstrząsnęło całym wydziałem.

– Wiem, że to wstrząsnęło także Fablem. Widziałeś, jaki miał wyraz twarzy, kiedy Olsen zaatakował Wenera? Nie pozwala nam na żadne ryzykowne akcje bez obstawy antyterrorystów. Myślę, że musi... Myślę, że my musimy przywrócić sobie zaufanie.

Zapadła niezręczna cisza. Henk jakby się nad czymś zastanawiał, ale nie był pewien, czy może powiedzieć o tym głośno.

– O co chodzi? – zapytała Anna. – No, mów. O co chciałeś zapytać?

– To pytanie osobiste. Mam nadzieję, że się nie obrazisz?

Na twarzy Anny pojawił się wyraz zaciekawienia.

– Pytaj...

– Widziałem twój naszyjnik. Łańcuszek.

Anna zachowywała się nadal swobodnie, ale uśmiech zniknął z jej ust. Spod bluzki wyjęła gwiazdę Dawida.

– Mówisz o tym? Przeszkadza ci?

– Nie... Boże, nie... – Henk nagle stracił głowę. – Po prostu jestem ciekawy. Słyszałem, że byłaś jakiś czas w Izraelu. W armii. I że wróciłaś.

– Czy to takie dziwne? Jestem Niemką. Moim domem jest Hamburg. – Pochyliła się i wyszeptała konspiracyjnie. Nie mów nikomu... W Hamburgu jest nas pięć tysięcy.

Henk czuł się zakłopotany.

– Przepraszam. Nie powinienem pytać.

– Dlaczego? Wydaje ci się dziwne, że zdecydowałam się żyć tutaj?

– No, wiesz. Po tych wszystkich okropnościach. Nie dziwiłbym się, gdybyś nie chciała mieszkać w Niemczech.

– Już powiedziałam, przede wszystkim jestem Niemką, a w drugiej kolejności Żydówką. – Anna

przerwała. – Wiesz, że dopóki naziści nie przejęli władzy, Hamburg był jednym z najmniej antysemickich miast w Europie? W całej Europie Żydzi byli szykanowani, ograniczono ich prawa wyborcze. Ale nie w hanzeatyckim mieście Hamburg. Dlatego właśnie w Hamburgu było największe w Niemczech skupisko Żydów. Stanowiliśmy pięć procent mieszkańców. Nawet w mrocznych czasach nazizmu moich dziadków ukrywali w Hamburgu ich przyjaciele. To wymagało wielkiej odwagi. Większej niż mogę sobie wyobrazić i na jaką mogłabym się zdobyć. A dzisiaj, cóż, dzisiaj czuję się tu dobrze. Jak w domu. Nie jestem pustynnym kwiatem, Henk. Wymagam częstego podlewania.

– Nie wiem, czy potrafiłbym wybaczyć...

– To nie jest kwestia wybaczenia, Henk. Chodzi o pamięć. Nie było mnie na świecie w czasach nazizmu. Ani ciebie. Nikogo z naszego pokolenia. Ale nigdy nie zapomnę, co się wtedy działo. – Umilkła, obracając w dłoni okulary, a potem roześmiała się. – Zresztą, wcale tak łatwo nie wybaczam. Założę się, że słyszałeś o mojej... hmm... utarczce, jeśli można to tak nazwać.

– Słyszałem – Henk też się roześmiał – coś o skin-headach i ich posiniaczonych jądrach.

– Kiedy widzę tych smętnych łysych palantów w zielonych kusych kurteczkach, robi mi się gorąco. Jak już mówiłam, jestem pamiętliwa. Ä propos, mój brat Julius ma znaczącą pozycję w hamburskiej gminie żydowskiej. Jest prawnikiem i jednym z szefów Stowarzyszenia Niemiecko-Żydowskiego. Poza tym pracuje w szkole talmudycznej w Grindelviertel. Julius wierzy w budowę pomostów kulturowych. Ja wierzę we własne siły.

– Brzmi to tak, jakbyś uważała, że twój brat wybrał niewłaściwą drogę.

– Nie potrzebujemy pomostów kulturowych. Moja kultura to kultura niemiecka. Moich rodziców, moich dziadków i pradziadków. Niczym się nie różnimy. Jeżeli będę się czuć winna, jeżeli ty będziesz mnie traktował jak „odmienną”, to znaczy, że Hitler zwyciężył. Mam tylko kawałek dodatkowego dziedzictwa, to wszystko. Jestem z niego dumna, jako Żydówka. Ale wszystko, co mnie w jakiś sposób określa, znajduje się tutaj, w Niemczech... i jest niemieckie.

Henk zamówił następną kolejkę. Siedzieli, prowadząc swobodną pogawędkę. Anna dowiedziała się, że Henk ma dwie siostry i brata, że urodził się w Cuxha-

ven, ale rodzina przeprowadziła się do Marmstorfu, gdzie jego ojciec otworzył zakład masarski.

– Metzgerel Hermann... najlepszy rzeźnik w południowym Hamburgu – powiedział Henk z udawaną dumą, ale Anna tylko się uśmiechnęła. – Jak większość obrzeży Hamburga, Marmstorf bardziej przypominał wieś niż część aglomeracji. Nie wiem, czy wiesz, ale... w centrum pełno jest jeszcze domów z pruskiego muru. – Henk nagle posmutniał. – Nadal mam wyrzuty sumienia, że nie przejąłem po ojcu rzeźnickiego interesu. Mój brat studiuje na uniwersytecie w Hamburgu. Zamierza zostać lekarzem. Siostry też nie były zainteresowane: jedna jest księgową, a druga mieszka z rodziną pod Kolonią. Ojciec nadal prowadzi firmę, ale jest już stary. Pewnie się ludzi, że rzucę pracę w policji i przejmę interes.

– Założę się, że nie ma na to szans.

– Żadnych. Od dziecka chciałem być policjantem. To jest coś, co się po prostu wie. – Zrobił krótką przerwę. – Jak uważasz? Poddam się?

– Co masz na myśli?

– Cały czas o tym rozmawiamy, prawda? Czy potrafisz pracować ze mną?

Anna zmarszczyła brwi.

– Dasz sobie radę. Ale nie o to chodziło. Mamy działać razem, a ja, cóż, zachowałam się niezbyt uprzejmie. Przepraszam. Spróbuj mnie zrozumieć. Po tym, co się stało z Paulem... Tak, czy owak... – uniosła szklanekę – witaj w wydziale zabójstw.

Środa, 14 kwietnia, 22.15.
St Pauli, Hamburg

Max ostatnio pracował nad tatuażem swojego klienta rok temu i przywykł do jego małomówności. Uznał to za oznakę zainteresowania, może nawet fascynacji tym, co mówił o sztuce.

Ale tego wieczoru mężczyzna nie odezwał się ani słowem od chwili, gdy się pojawił w drzwiach pracowni. Stał teraz, milczący pośrodku pokoju. Dominował w tym pomieszczeniu. Wypełniał je sobą. Słyszać było tylko jego oddech. Wolny. Ciężki. Miarowy.

– Wszystko w porządku? Dobrze się pan czuje? – zapytał Max.

W dalszym ciągu trwała cisza, aż w końcu rozległ się głos mężczyzny.

– Kiedy ostatnio robiłeś mi tatuaż, powiedziałem, że nie chcę żadnej dokumentacji. I że masz zachować absolutną dyskrecję. Dostałeś za to dodatkową zapłatę. Dotrzymałeś umowy?

– Tak. Oczywiście, że tak. Jeśli ktoś mówi coś innego, to kłamie! – zaprotestował Max. Modlił się, żeby ten kolos wreszcie usiadł. Kiedy stał obok niego w cia-

snej pracowni, czuł, że boli go szyja od zadzierania głowy. Mężczyzna uniósł rękę. Zdjął płaszcz i koszulę. Max mógł zobaczyć swoje dzieło. Jego szeroki, muskularny tors pokrywały słowa, zdania, całe opowieści, wytatuowane czarnym atramentem, pismem gotyckim. Wystarczył najlżejszy ruch, drgnięcie mięśni a słowa zaczynały skręcać się, ożywały.

– Mówisz prawdę? Nikt nie wie, co mi zrobiłeś?

– Nikt. Przysięgam. To prawie jak tajemnica lekarska... Powiedział pan, że nikt ma nie wiedzieć i nikt nie wie. Chociaż żałuję, że nie mogę o tym mówić. To moje najwspanialsze dzieło. I nie mówię tego tylko dlatego, że pan jest moim klientem.

Olbrzym znów milczał. Tym razem ciszę przerywał tylko jego oddech, którego odgłos wypełniał całą pracownię. Donośny, głęboki oddech dochodzący z głębi przepastnej klatki piersiowej. Oddech przyspieszył.

– Na pewno dobrze się pan czuje? – zapytał Max głosem, którego ton wahał się gdzieś pomiędzy niepokojem a przerażeniem.

Żadnej odpowiedzi. Olbrzym sięgnął po płaszcz i wyjął coś z kieszeni. To była mała, dziecięca, gumowa maska. Maska wilka. Naciągnął ją na twarz. Wilczy

pysk rozciągnął się i uległ zniekształceniu.

– A może ma pan jakąś zabawniejszą maskę? – zapytał Max, ale zaschło mu w gardle i głos zabrzmiał obco. Słyszał, jak serce wali mu w piersiach. – Niech pan posłucha. Jestem bardzo zajęty. Czekałem tu specjalnie na pana. Jeżeli pan czegoś sobie życzy... – Usiłował mówić chłodnym, władczym tonem.

– Mądry Jaś... – Olbrzym się uśmiechnął i przekrzywił głowę w sposób typowy dla dzieci, cudacznie. Skóra na szyi pokryta pismem gotyckim pomarszczyła się i słowa stały się nieczytelne.

– Nie nazywam się Jaś! Przecież pan wie. Jestem Max...

– Mądry Jaś... – powtórzył mężczyzna, przechylając głowę w drugą stronę.

– Max. Mam na imię Max. Posłuchaj, olbrzymie, nie wiem, o co ci chodzi. Może trochę przedawkowałeś? Może przyjdiesz innym razem, kiedy...

Olbrzym zrobił krok naprzód, ujął głowę Maksa, ścisnął i zaczął potrząsać.

– Och... – szepnął. – Mądry Jaś, mądry Jaś...

– Jestem Max! Max! – krzyczał chłopak. Ogarnęło go przerażenie. – Pamięta mnie pan?! To ja, Max!

Max! Specjalista od tatuaży!

Spoza maski wilka wyzierała twarz mężczyzny, który nagle posmutniał i zawodził teraz płaczliwym, błagalnym głosem:

– Mądry Jasiu, mądry Jasiu, dlaczego nie spojrzales na nią miłym okiem?

Krzyk Maksa przerodził się w zwierzęcy skowyt, kiedy napastnik wbił kciuki pod jego górne powieki. Naciskał coraz mocniej, ból odbierał świadomość. Kciuki znalazły się głębiej, w oczodołach. Gałki wypadły, a z gardła Maksa wydobywało się już tylko chrapliwe bulgotanie.

Oślepiiony chłopak zwił bezwładnie w żelaznym uścisku napastnika. Zdawało mu się, że widzi jakieś błyski, zdawało mu się nawet, że dostrzega zarys postaci olbrzyma, wryty głęboko w pamięć, jakby mózg i wszystkie nerwy próbowały zastąpić utracony wzrok. A potem była już tylko ciemność. Ścisk imadła ustąpił. Nie dane było Maksowi paść na podłogę. Jakaś dłoń chwyciła go teraz za włosy i utrzymywała w pozycji pionowej. Ponownie zapadła cisza i słychać tylko było wyraźny, głęboki oddech kolosa. Chwilę potem kolejny dźwięk. Jakiś metalowy przedmiot wyciągany ze

skórzanej pochwy.

Max podskoczył lekko, kiedy poczuł ostrze na szyi. Dlaczego mężczyzna nie zadał silniejszego ciosu, nie zabił od razu? pomyślał. Nim zrozumiał, że ma podcięte gardło, a rytmicznie ochlapujący mu ramię ciepły płyn, to jego własna krew, skończył.

Ostatni dźwięk, który zabrzmiał mu w uszach, był dziwną mieszaniną ciężkiego oddechu i śmiesznie dziecięcego głosu napastnika.

– Mądry Jasiu, mądry Jasiu, dlaczego nie rzuciłeś na nią miłym okiem?

Piątek, 16 kwietnia, 19.40.

St Pauli, Hamburg

Co to za smród? Trudny do określenia, mdły, drażniący. Podobny zapamiętał ze swojego domu. Ale teraz czuł go tutaj, jakby za nim podążał. Jakby go osaczał.

Bernd pojechał metrem. W Kiez trudno było zaparkować, więc ilekroć wybierał się na swoje eskapady, korzystał z całkowicie anonimowego transportu miejskiego. A tak, swoją drogą, należy mu się kilka drinków. Kiedy już będzie po wszystkim.

W pociągu naprzeciw niego usiadła młoda kobieta, niewiele po dwudziestce. Blond włosy obcięte na chłopaka zdobiło różowe pasemko pośrodku głowy. Na sobie miała rozpięty, afgański płaszcz do połowy łydki. Była dość pulchna. T-shirt ciasno opinał pełne piersi. Utkwił wzrok w skrawku ciała, widocznym pomiędzy bluzką a paskiem dżinsów biodrówek. W pępku tkwił kolczyk.

Bernd patrzył na dziewczynę i czuł ogarniające go pożądanie. Znowu. Dziewczyna podniosła wzrok, ich spojrzenia się spotkały. Próbował uśmiechnąć się łobuzersko, lecz usta skrzywiły się tylko w obleśnym gry-

masie. Dziewczyna, w której najwyraźniej wzbudzał obrzydzenie, zapięła płaszcz i położyła na kolanach torbę. Wzruszył ramionami, lecz nie przestał się uśmiechać. Jeszcze kilka minut wodził wzrokiem po miłych dla oka, choć teraz osłoniętych wdziękach, aż wreszcie pociąg zatrzymał się na stacji Königstrasse. Kiedy drzwi otworzyły się automatycznie, dziewczyna wstała i zerknęła na niego.

– Spieprzaj, mendo...

Bernd dojechał do następnego przystanku. Kiedy wchodził po schodach w wieczorny mrok, poczuł zniecierpliwienie. Wziął głęboki wdech i zapach powrócił, choć tym razem był nieco inny, raczej jakby mieszanina wilgotnego powietrza i wyziewów z rur wydechowych. Wokół niego pobłyskiwała jaskrawymi światłami St Pauli.

Stacja kolejki znajdowała się na zachodnim skraju Sündige Meile – grzesznej mili, jak zwali ją mieszkańcy Hamburga. Oficjalnie ulica nazywała się Reeperbahn i ciągnęła przez samo centrum dzielnicy St Pauli, która wcześniej nosiła nazwę Hamburger Berg, a obecną wzięła od kościoła Świętego Pawła. Początkowo stanowiła ziemię niczyją pomiędzy niemieckim Ham-

burgiem i duńską Altoną. Ten podmokły, bagnisty teren dla mieszkańców obu miast stał się miejscem, gdzie wyrzucali odpadki. A także niechcianych obywateli. Tym, którym nie nadano statusu kupca ani w Altonie, ani w Hamburgu, doradzano, by handlowali właśnie tam. Dotyczyło to głównie wytwarzających powrozy – powroźników w języku dolnoniemieckim „Reep”. Stąd dzisiejsza nazwa ulicy Reeperbahn. Wszyscy ci kupcy mogli wykonywać, mimo braku licencji, swój zawód i dlatego druga główna ulica została nazwana „Grosse Freiheit”, czyli „wielka wolność”. W tych okolicach zaczęła się błyskawicznie rozwijać prostytutcja i pornografia.

Duńczyków już od dawna tu nie ma, Altona stała się częścią Hamburga. Mimo to pozostała półświatkiem, dzielnicą zmysłowych uciech i wrzaskliwej wulgarności. W ostatnich latach St Pauli próbowało zmienić swoje oblicze. Powstały modne bary, nocne kluby, dyskoteki i teatry, ale w bocznych uliczkach w dalszym ciągu głównym towarem pozostało ciało.

Tu właśnie Bernd znalazł swoją własną wielką wolność. Zaszła w nim ostatnio zadziwiająca zmiana, którą trudno było wyjaśnić. Wyzwolenie. Pozbycie się

jakichkolwiek zahamowań moralnych, które ciążyły mu od dzieciństwa. Teraz grasował nocą i realizował mroczne pragnienia.

To było jego ulubione miejsce, stąd zaczynał wędrówkę stał przed dworcem kolejki, przed nim ciągnęła się ulica Reeperbahn, zewsząd mrugała do niego zapraszająco wielka Wolność. To było niezwykle miejsce. A także czas: cudowna, jaśniejąca chwila pomiędzy oczekiwaniem a spełnieniem. Dzisiejszej nocy pragnienia Bernda były jeszcze gwałtowniejsze niż zwykle i nie miał czasu rozkoszować się chwilą. Dreszcz pożądania, który pojawił się już w kolejce, zaczynał odczuwać jako niemiły dyskomfort, ciśnienie, które musi zostać uwolnione. Jak wrzód, który należy przeciąć.

Bernd ruszył ulicą Reeperbahn, nie zwracając uwagi na wystawy pełne erotycznych gadżetów ani nabywania portierów zapraszających do „salonów wideo”. Skręcił na Hans-Albers-Platz. Napięcie w łądźwiach i bicie serca osiągnęło nowe stadium intensywności. Mógłby przysiąc, że towarzyszący mu zapach stawał się coraz ostrzejszy: W tym smrodzie był jakiś afrodyzjak. Prawie że osiągnął cel. Przeszedł przez ogrodzenie oddzielające Herbertstrasse, stume-

trową ulicę pełną burdeli, od reszty Hamburga.

Bernd przeciął Reeperbahn i ruszył w kierunku niewielkiego pubu przy Hein-Hoyer-Strasse. W knajpie z szafy grającej płynęły szlagiery muzyki pop, a ściany ozdabiały rybackie sieci, modele statków i obowiązkowa tablica ze zdjęciami mniej lub bardziej znanych gości. Z okładki kolorowego magazynu właściciel knajpy wyciął zdjęcie Jana Feddera, gwiazdy serialu kryminalnego „Grossstadtrevier”. Obok wisiała sfatygowana fotografia Hansa Albersa, najbardziej znanego mieszkańca tej dzielnicy. Bernd podszedł do baru, zamówił piwo Astra i oparł się wygodnie o kontuar. Barman był tęgi, miał jasne włosy o trudnym do określenia odcieniu i fatalną cerę. Bernd poczuł znajomy zapach. Rozejrzał się.

Obok niego przy barze pojawił się zwałisty mężczyzna.

Niedziela, 18 kwietnia, 11.80.
Norddeich, Wschodnia Fryzja

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego nie znosisz tego miejsca. – Susanne wystawiła twarz do słońca. Lekki wiaterek, który wiał nad rozległymi, ciągnącymi się po horyzont bagnami Wattenmeer, chłodził jej twarz. Szli ku miejscu, gdzie piaszczysta plaża kończyła się nagle, a za nią rozpościerała się połać lśniącego, czarnego bagna. Pomiedzy palcami bosych stóp Susanne przesypanywał się mokry, kleisty piasek. – Moim zdaniem tu jest pięknie.

– Czegóż tu nie ma – odpowiedział Fabel z udawanym entuzjazmem i uśmiechnął się. – Może po południu pójdziemy do muzeum herbaty albo na basen?

– Obie propozycje są dobre. I po co ten sarkazm? Myślę, że wcale nie nienawidzisz tego miejsca aż tak bardzo, jak usiłujesz mnie przekonać.

Minęła ich grupa spacerowiczów, z którymi wymienili fryzyjskie pozdrowienia: *Moin, Moin*. Po błotnej równinie prowadził ich lokalny przewodnik. Wszyscy byli w krótkich spodenkach, a nogi mieli czarne od mułu. Susanne wzięła Fabla pod rękę, przyciągnęła go

bliżej siebie i położyła głowę na jego ramieniu.

– Nie – odparł Fabel. – To nie jest nienawiść. To jest coś, co odczuwamy, gdy znajdziemy się w miejscu naszego dzieciństwa. Potrzeba ucieczki. Zwłaszcza, jeśli ktoś pochodzi z prowincji. Zawsze przeczuwałem, że nie ma bardziej prowincjonalnego miejsca niż Norddeich.

Susanne roześmiała się.

– Całe Niemcy są prowincjonalne. Każdy ma swoje Norddeich. Każdy ma swój *Heimat*, swoją prywatną ojczyznę.

Fabel potrząsnął głową i silny podmuch wiatru rozwał mu włosy. On także szedł bosy, miał na sobie starą dzinsową koszulę, podniszczoną niebieską wiatrówkę i drelichowe spodnie, których nogawki podwinął do kolan. Niebieskie oczy skrywały się za okularami przeciwsłonecznymi. Susanne nigdy wcześniej nie widziała Fabela w takim swobodnym stroju. Wyglądał chłopięco.

– Może dlatego w Niemczech baśnie przetrwały dłużej niż gdziekolwiek indziej – traktowaliśmy poważnie ostrzeżenia, żeby nie oddalać się od miejsc nam znanych, od naszych prywatnych ojczyzn. A swoją drogą, Norddeich nie jest moją prywatną ojczyzną. Jest

nią Hamburg. To w Hamburgu znalazłem swoje miejsce. – Uśmiechnął się i obrócił Susanne szerokim łukiem, tak że stali teraz zwrócenii twarzami do wybrzeża, gdzie piasek zmieniał kolor z lśniącego brązu na białozłoty i cienki zielony pas wałów ochronnych wyznaczał horyzont. – Wracajmy.

Przez chwilę szli zamyśleni, w milczeniu. Potem Fabel wskazał ręką na wał przed nimi.

– Kiedy byłem chłopcem, spędzałem tam całe godziny, patrząc na morze. Zdumiewające, jak szybko zmienia się tu morze i niebo.

– Mogę sobie to wyobrazić. Widzę, że byłeś bardzo poważnym chłopcem.

– Rozmawiałaś z moją matką. – Roześmiał się. Sam nie wiedział dlaczego, ale obawiał się spotkania Susanne z matką. Zwłaszcza, że ten weekend miał spędzić także z córką. Na szczęście, podobnie jak to było podczas spotkania z Ottonem i Else, uroda Susanne, jej bezpośredni sposób bycia zrobiły swoje. Nie zaszkodziła jej nawet uwaga wygłoszona pod adresem matki, że nadal ma uroczy angielski akcent. Matka zwykle uważała, że mówi po niemiecku czysto, bez obcego akcentu. Już w dzieciństwie Fabel i Lex wiedzieli, że le-

piej nie poprawiać matki, jeśli zrobi błąd. Jakimś cudem udało się Susanne sprawić, że jej uwagę potraktowała jak komplement.

Z Hamburga dotarli tu wszyscy razem. Podczas jazdy samochodem Susanne i Gabi nie oszczędzały Fabla, który stał się obiektem ich miłych żarcików. Sama podróż oraz wspólnie spędzony weekend w Norddeich, tyleż go cieszyły, co trapiły. Po raz pierwszy od chwili rozvodu z Renate doświadczał czegoś, co można nazwać życiem rodzinnym.

Tego ranka wstał pierwszy, pozwalając Susanne wyspać się. Gabi wcześniej pojechała do pobliskiego miasteczka Norden. On razem z matką przygotował śniadanie. Zwrócił uwagę, że zachowała tę samą rutynę, kręcąc się po kuchni, jak wtedy gdy był chłopcem. Tyle że poruszała się dużo wolniej i ostrożniej. I wyglądała mizerniej. Rozmawiali o zmarłym ojcu, o Leksie i jego rodzinie, w końcu o Susanne. Położyła dłoń na przedramieniu Fabla i powiedziała:

– Chcę, żebyś znów był szczęśliwy, synu. – Rozmawiała z nim po angielsku: to był zawsze ich sekretny język.

Fabel odwrócił się do Susanne i powiedział:

– Rzeczywiście, chyba byłem poważnym chłopcem. Zbyt poważnym. Kiedyś jako chłopiec, i jako mężczyzna. Gdy rozmawiałem ostatnio z bratem, też sobie to przypomniiał. Pamiętam jego słowa: „Zawsze taki poważny dzieciak?”. Siadałem na wale, za domem, wpatrywałem się w morze i wyobrażałem sobie okręty Anglów i Sasów, płynące w stronę wybrzeży celtyckiej Brytanii. Dla mnie to właśnie wspomnienie opisuje to miejsce, to wybrzeże. Stojąc tu, jestem świadomy bezkresu Europy za moimi plecami i bezkresu morza przede mną. Jakiś wpływ ma pewnie fakt, że matka jest Brytyjką. Tak wiele się tutaj zdarzyło. Tu narodziła się Anglia. Ameryka. Cały anglosaski świat, od Kanady po Nową Zelandię. Tu się wszyscy zbierali: Anglowie, Jutowie, Sasi... wszyscy Ingweoni... – Przerwał, jakby zaskoczony tym, co przed chwilą powiedział.

– Co się stało? – zapytała Susanne.

Roześmiał się z goryczą.

– Bracia Grimm. Nie mogę od tego uciec. Albo, bardziej precyzyjnie, zawsze było mi blisko do jednego lub obu.

– Mam nadzieję, że nie zaczniemy rozmawiać o

sprawach zawodowych. – Susanne celowo użyła przesadnie ostrzegawczego tonu głosu.

– Mówiłem o Ingweonach, „ludziach morza”. Teraz sobie przypominam, kiedy po raz pierwszy o nich przeczytałem... To była „Mitologia germańska” Jacoba Grimma. Ledwie tkniesz niemieckiej lingwistyki czy historii i od razu pojawiają się bracia Grimm. – Fabel miał skruszoną minę. – Wybacz. Nie zamierzam rozmawiać o sprawach zawodowych. Ciągle jednak wracam myślą do spotkania z Gerhardem Weissem. Powiedział mi, że wszyscy uważamy się za wyjątkowych, a jesteśmy tylko kolejną wersją jakiegoś tematu – właśnie dlatego bajki i baśnie nadal mają tak wielkie znaczenie i tak wielki odzew. Nic na to nie poradzę, że baśnie braci Grimm wydają mi się tak... tak bardzo niemieckie. Nawet mimo tego, że niektóre mają swoje źródło w obcej kulturze albo są w nich odniesienia do innych państw. Może to jest tak, jak z Francuzami i Włochami. Oni mają naturalne, wrodzone zdolności kulinarne. Może my mamy wrodzone zdolności do tworzenia mitów i legend. „Pieśń o Nibelungach”, bracia Grimm, Wagner i tak dalej.

Susanne wzruszyła ramionami. Zapadła cisza. Ru-

szli po białozłotym piasku w kierunku kosza plażowego, gdzie zostawili ręczniki i buty. Usiedli, osłonięci przed wiatrem i zaczęli się całować.

– Cóż – powiedziała Susanne – skoro nie zamierzasz mnie zabrać do parku wodnego ani podziwiać eksponatów w muzeum herbaty, to może powinniśmy wrócić i zabrać twoją matkę i Gabi na lunch?

Niedziela, 18 kwietnia, 22.20.

Ottensen, Hamburg

Maria Klee oparta się plecami o drzwi mieszkania, stając pomiędzy swoją prywatną przestrzenią a światem zewnętrznym. Jedzenie było wspaniałe, randka okazała się koszmarem. Poszli na kolację do restauracji Einstein, urządzonej stylowo w dawnej fabryce śrub okrętowych. To było ulubione miejsce Marii, a że mieszkała w Ottensen, lokal miała pod ręką. Umówiła się z Oskarem, prawnikiem, którego poznała przez wspólnych znajomych. Był inteligentny, troskliwy, czarujący i miał to coś. O takim chłopaku marzą dziewczyny.

Jednak kiedy poczuła, że wkracza w jej prywatną przestrzeń, zaczęła się wycofywać. Tak było za każdym razem od chwili, gdy została ugodzona nożem. Na każdej randce. Przy każdym spotkaniu z mężczyzną. Szef nie miał o tym pojęcia; nie miał prawa o tym wiedzieć. Maria czuła, że może to wpłynąć na efektywność jej pracy. Ale, choć ten drań, który chciał zabić, okaleczył ją też psychicznie, nie zamierzała zmarnować sobie kariery. Teraz, kiedy Werner przebywał na

zwolnieniu, Maria była jedynym starszym oficerem w zespole Fabla. Nie chciała zawieść swojego szefa. Nie mogła go zawieść.

Gdzieś głęboko wewnątrz czaił się strach: Co będzie, jeśli znowu stanie w obliczu zagrożenia, w obliczu niebezpiecznego przestępcy, a zdarzy się to na pewno prędzej czy później? Czy da sobie z tym radę?

Na razie musiała walczyć z pojawiającą się na widok mężczyzny paniką, tak było na każdej randce. Oskar był uprzejmy. Oboje nie chcieli kończyć wcześniej spotkania; byłoby to kłopotliwe. Odprowadził ją pod same drzwi domu. Pocałowała go na dobranoc. Nie zaproponowała, żeby wszedł na kawę, zresztą on tego nie oczekiwał.

Maria zdjęła płaszcz i wrzuciła klucze do drewnianej misy stojącej obok drzwi. Jej palce bezwiednie bawiły się przez chwilę ramiączkiem sukienki, a potem ręka zsunęła się w dół i spoczęła na piersi tuż pod mostkiem. Palcami potarła materiał sukienki. Nic nie wyczuła pod warstwą delikatnego jedwabiu, ale wiedziała, że to tam jest. Blizna. Ślad, który pozostawił nóż.

Kiedy usłyszała stukanie do drzwi, aż podskoczyła.

Westchnęła poirytowana. Oskar. Sądziła, że zrozumiał aluzję. Nim otworzyła drzwi, założyła łańcuch. To nie on. Otworzyła drzwi na oścież, wpuszczając Annę Wolff i Henka Hermanna.

– Co się stało? – zapytała, sięgając jednocześnie do szuflady komody przy drzwiach, gdzie leżał służbowy sigsauer.

– Nasz przyjaciel literat znów miał pracowity dzień. Tym razem ofiarą jest mężczyzna. Pod wieżą wodną w parku Sternschanzen.

– Fabel już wie?

– Tak. Ale jest poza miastem. Prosił, byśmy zabrali cię na miejsce zbrodni i zaczęli działać. On już wraca i spotka się z nami później w komendzie. – Anna mało nie parsknęła śmiechem, widząc Marię z pistoletem w rękę, ubraną w czarną wieczorową suknię, przy której kabura była wątpliwą ozdobą. – Ładna sukienka. Poczekamy, aż się przebierzesz.

Maria uśmiechnęła się z wdzięcznością i poszła do sypialni.

– Aha, Mario! – zawołała Anna. – On był śliczny. A ten bydlak wyłupił mu oczy.

*

Policja i ekipa śledcza odgrodziły białymi barierkami obszar w odległości pięćdziesięciu metrów od miejsca zbrodni. Drugi krąg barier otaczał ciało ofiary. Teren oświetlały reflektory; słychać było pracujący agregat prądotwórczy. Do parku Sternschanzen przychodziły zarówno całe rodziny, uznając go za modne miejsce do spacerów, jak i dilerzy narkotykowi i narkomani, którzy brali w posiadanie park po zapadnięciu zmroku. Dziś w świetle reflektorów widać było drzewa groźnie pochylające się nad miejscem zbrodni, a nieco dalej pięła się w niebo wieża wodna. Maria zwróciła uwagę, że to miejsce wyglądało niemal identycznie jak w parku Winterhude. Tam ciało porzucono w pobliżu planetarium, które niegdyś było wieżą wodną. Morderca chciał im coś przekazać. Maria przeklinała siebie w duchu za to, że nie potrafiła tak jak Fabel interpretować perwersyjnych przekazów wysyłanych przez maniaków.

Ekipą dochodzeniową dowodził zamiast Braunera jakiś młodszy mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała. Maria odgoniła od siebie myśl, że to jest noc

pracy dla zastępców. Na ręce włożyła rękawiczki, na buty ochraniacze i weszła za parawan osłaniający ciało. Szef ekipy skinął głową na powitanie i się przedstawił: Grueber. Zza szkieł okularów spoglądały duże, brązowe oczy. Wyglądał bardzo młodo, miał jasną karnację i ciemne włosy, opadające w nieładzie na czoło. Maria w duchu nazwała go Harrym Potterem.

Pośrodku leżał mężczyzna w jasnoszarym garniturze, białej koszuli i złotym krawacie. Wyglądało to tak, jakby zakład pogrzebowy przygotował zwłoki do pochówku. Ręce miał złożone na piersiach a w dłoniach trzymał duży kosmyk blond włosów. Zupełnie tak samo jak Laura von Klosterstadt różę. Pod złożonymi rękami Maria dostrzegła na białej koszuli ciemnoczerwoną plamę.

Mężczyzna nie miał oczu. Posiniaczone powieki opadły, częściowo osłaniając oczodoły. Wokół było trochę zakrzepłej krwi, znacznie mniej, niż się Maria spodziewała. Wpatrywała się w martwą twarz. Ktoś, pozbawiając tego człowieka oczu, pozbawił go tym samym człowieczeństwa.

– Zastrzelony? – zapytała Gruebera, wskazując na plamę pod złożonymi dłońmi. Nie było widać na ciele

żadnych innych ran, które wskazywałyby na walkę lub zadanie ciosu nożem.

– Jeszcze go nie zbadałem – wyjaśnił szef ekipy dochodzeniowej. Obszedł ciało wokół i przyklęknął. – Kula, albo pojedyncze pchnięcie nożem. Oczu nie wyłupiono ostrym narzędziem. Użyto pewnie kciuków. Bardzo praktyczny morderca. – Wstał i odwrócił się do Marii. – Mężczyzna ma mniej więcej trzydzieści pięć, czterdzieści lat, wzrost metr siedemdziesiąt siedem centymetrów, waga około siedemdziesięciu pięciu kilogramów. Wokół nosa i ust widoczne są popękane naczynka, a na szyi ślady duszenia, co wskazuje na przyczynę zgonu.

– A oczy? Stracił je za życia, czy po śmierci?

– Trudno w tej chwili powiedzieć, ale prawie zupełny brak krwi zdaje się świadczyć, że nastąpiło to po śmierci albo tuż przed nią. Chociaż i tak nie powinno być dużo krwi.

Pojawili się Anna Wolff i Henk Hermann. Na widok twarzy pozbawionej oczu Anna wzdrygnęła się. Hermann przyklęknął obok ciała.

– Założę się, iż analiza wykaże, że ten pukiel włosów należy do Laury von Klosterstadt. – Odwrócił się

do Gruebera. – Mogę otworzyć mu dłoń? Sądzę, że znajdziemy w niej liścik od mordercy.

– Ja to zrobię – odparł Grueber. – Jak już mówiłem, ten zbrodniarz to ktoś bardzo praktyczny. Może pod paznokciami ofiary znajdziemy komórki ze skóry mordercy. – Powoli uwolnił jedną rękę i ułożył ją z boku, pukiel włosów włożył do torebki, podniósł drugą rękę. Pod nią leżała kartka żółtego papieru.

– Jest – stwierdził Hermann. Grueber za pomocą pesety włożył kartkę do plastikowej torebki, którą podał Hermannowi. Ten przyjrzał się kartce w świetle reflektorów. Te same małe, starannie wykaligrafowane czerwonym atramentem litery.

– Roszpunko, Roszpunko, spuść mi na dół włosy – przeczytał na głos.

– Wspaniale – powiedziała Maria. – Zdobył czwarty punkt.

– Piąty – sprostowała Anna – jeśli wliczymy Paule Ehlers.

Grueber zajął się koszulą ofiary; ostrożnie rozpiął guzik i przyjrzał się ranie. Pokręcił głową.

– Dziwne... To nie pocisk. Wygląda na pojedyncze pchnięcie nożem. Dlaczego on się nie bronił?

– I co z jego oczami? – zastanawiał się Henk Hermann. Nasz przyjaciel zaczyna zbierać trofea.

– Nie – odparła Maria, wpatrując się w wieżę wodną. On nie zbiera trofeów. To – ruchem głowy wskazała na leżące ciało – ma być księżę. W baśni o Roszpunkce księżniczka jest zamknięta w wieży przez macochę czarownicę. Kiedy ta odkrywa, że Roszpunka i księżę potajemnie się spotykają, zwabia księcia do wieży. Księżę spada z niej, ciernie wbijają mu się w oczy i ślepnie.

Anna i Henk spojrzeli na Marię z uznaniem.

– Nie tylko Fabel czyta bajki... – Uśmiechnęła się smętnie.

Nim Fabel zdążył dotrzeć do komendy, znali już personalia pozbawionego oczu mężczyzny z parku Sternschanzen: Bernd Ungerer, handlowiec, dostarczał sprzęt do punktów gastronomicznych, zamieszkały w Ottensen. Mieli też fotografie ciała i okolicy, gdzie zostało znalezione. Fabel zadzwonił do Marii na komórkę i poprosił o zebranie całego zespołu, włączając także Petrę Maas, Hansa Rödgera i Klatta.

Była druga w nocy, kiedy wszyscy zebrali się w

głównej sali wydziału zabójstw. Wszyscy wyglądali podobnie: jakby byli pod wpływem koktajlu złożonego ze zmęczenia, adrenaliny i kawy. Wszyscy z wyjątkiem Henka Hermanna, o którym można by powiedzieć, że jest wypoczęty i pełen wigoru.

Maria streściła wszystko, co do tej pory udało im się ustalić na temat ofiary i śladów pozostawionych w parku. Fabel przeglądał materiały ze śledztwa. Wpatrywał się na przemian w fotografię Laury von Klosterstadt i Bernda, potem w zdjęcia z lasu i Marthy Schmidt z plaży w Blankenese. W pokoju panowała absolutna cisza. Kiedy skończył, zwrócił się do swoich ludzi:

– Morderca chce nam coś powiedzieć. Nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi, aż wreszcie podpowiedziała mi to obecność wieży wodnej. On łączy ze sobą morderstwa. Nie tylko opiera je na baśniach braci Grimm, ale daje nam wskazówkę, co zamierza uczynić dalej... – Trzasnął dłonią w leżącą na stole fotografię Marthy Schmidt. – Podejrzewaliśmy, że zabił Paulę Ehlers. Teraz jestem o tym przekonany. Po to użył baśni o podmieńcach. Wybrał Marthę dlatego, że była bardzo podobna do Pauli Ehlers i powiązał jej śmierć z

bajką „Podmieniec”. Chciał nam w ten sposób dać do zrozumienia, że jest jeszcze jeden trup, którego nie znaleźliśmy. Użył Marthy, by powiedzieć nam, że zabił Paulę. – Fabel przerwał i położył dłoń na innym zdjęciu, przedstawiającym ogólny widok plaży, na której znaleziono Marthę. – Jego wyznanie dotyczyło nie tylko przeszłości, sięgało także w przyszłość. Nadkomisarz wskazał palcem widoczne w tle tarasy Blankenese i wznoszące się ponad drzewami budynki. – To jest willa Laury von Klosterstadt. Kiedy mordował Marthę, Laura była już wybrana na następną ofiarę. Dlatego ułożył ciało dziewczyny na tle domu Laury. Laura była jego Śpiącą Królowną odseparowaną od takich ludzi, jak biedna Martha, podmieniec. Laura górowała nad nią bogactwem i pozycją społeczną. – Fabel przeszedł teraz do kolejnego morderstwa. – A tu mamy ofiarę leżącą pod wieżą. Pomieszał co prawda trochę metafory, ale w sposób kontrolowany. Planetarium w parku Winterhude jest zarówno wieżą Roszpunki, jak i zamkiem Śpiącej Królowy... – Pokazał zbliżenie głowy Laury, tam skąd wycięto pukiel włosów. – A teraz umieszcza jej włosy w rękach następnej ofiary, której wydłubuje oczy, żeby pasowała do bajki o Roszpuncie.

– A co z podwójnym zabójstwem w lesie Harburger Berge? Jakże tam były powiązania? – zapytała Anna.

Fabel z namysłem pocierał podbródek.

– Może chodzi o miejsce. Dwa morderstwa, jedno miejsce, dwoje bohaterów, jedna baśń. Tutaj baśnią jest „Jaś i Małgosia”. Długo sądziłem, że te morderstwa nie są powiązane z pozostałymi, że popełniono je pod wpływem zazdrości. Ale nie. Są powiązane, ale nie z dotychczasowymi. Są powiązane z morderstwem, które dopiero zostanie popełnione. A teraz musimy znaleźć jakiś związek z wyłupionymi oczami.

Po zebraniu Fabel usiadł samotnie w swoim gabinecie. Jedyne źródłem światła była lampa, rzucająca na blat biurka okrągły snop światła. Rozłożył notatnik, w którym do znanych faktów dodawał własne komentarze.

Wszystko inne przestało się teraz liczyć. Skoncentrował się maksymalnie. Uzupełnił zapiski o szczegóły ostatniego zabójstwa. W najbliższych dniach pojawią się nowe szczegóły, ale już teraz wiedzieli, że Bernd Ungerer miał czterdzieści dwa lata i był handlowcem w firmie z Frankfurtu, zajmującej się sprzedażą wypo-

sażenia dla gastronomii. Rejon jego działania obejmował Hamburg i północne Niemcy. Był żonaty, miał troje dzieci i mieszkał w Ottensen. Fabel analizował suche fakty, zastanawiając się, jakim cudem handlowiec w średnim wieku ginie od ciosu nożem w serce i na dodatek morderca pozbawia go oczu?

Długo przyglądał się białej kartce papieru, na której czarnym długopisem zrobił notatki, a czerwonym nakreślił linie łączące nazwiska, miejsca, komentarze. Zaczął pisać dziwaczne równania: Paula Ehlers + Martha Schmidt = „Podmieniec”; Martha Schmidt „na dole” + Laura von Klosterstadt „na górze” = „Podmieniec”/ „Śpiąca Królowna”. Hanna Grün + Markus Schiller = „Jaś i Małgosia”; Bernd Ungerer + Laura von Klosterstadt = „Roszpunka”.

Brakowało co najmniej jednego równania. Wpatrywał się intensywnie w kartkę, jakby czekał, że rozwiązanie pojawi się samo. Dopisał jeszcze jedno równanie: Grün/Schiller + Bernd Ungerer = ? Przekreślił je i zaczął na nowo: Grün/Schiller + ? – ?; Ungerer + ? = ?

Nic innego nie przychodziło mu do głowy. Poczuł, jak strach ściska mu gardło. Brakujące ogniwa tej ukła-

danki mogą się okazać kolejnymi ofiarami. Ktoś zapłaci strachem, bólem, życiem za to, że Fabel nie może rozwikłać zagadki.

Olsen. Fendrich. Weiss. Czy powinno tu być jeszcze jakieś równanie? Czy mylił się, sądząc, że zabójca działa sam? A może to Olsen z Fendrichem? Albo z Weissem? Otworzył szufladę i wyjął z niej książkę Weissa. Przeczytał ją już wcześniej całą, ale tym razem skupił się na rozdziale, który Weiss zatytułował „Roszpunka”. Narratorem był Jacob Grimm:

W „Roszpuncie”, podobnie jak w innych baśniach, mowa jest o elementarnym dobru i złu, o pojmowaniu sił stworzenia i życia, o zniszczeniu i śmierci. Wszystkie baśnie i bajki zawierają te właśnie elementarne wartości, co sugeruje, że ich źródłem nie jest tylko nasza niepiśmienna przeszłość, ale że są najwcześniejszymi próbami opowiedzenia o tychże wartościach. Część baśni musiała powstać we wczesnych zbiorowiskach ludzkich, gdy było nas na ziemi naprawdę mało. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, że baśń o Kopciuszku występuje w prawie identycznej formie nie tylko w całej Europie, ale nawet w Chinach.

Doszedłem do wniosku, że natura w swej szczodro-
bliwości i okrucieństwie przyjmuje najpopularniejszą
formę ludzką. Formę matki. Siły natury i siły macie-
rzyństwa idą w parze i dlatego w baśniach matka jest
ich ucieleśnieniem. Natura daje życie, żywi i stanowi
podporę. Bywa jednak także okrutna i szalona. Tę dy-
chotomię charakteru natury baśnie rozwiązują przez
podwójne postrzeganie macierzyństwa (a czasami po-
trójne, jeśli w baśni występuje motyw babci). Mamy
więc wyobrażenie matki, która reprezentuje serce i
dom oraz wszystko co dobre i godziwe. Jest bezpie-
czeństwem i ochroną. Karmi i przychodzi na ratunek.
Daje życie. Z kolei motyw macochy jest zwykle uży-
wany do opisania przeciwieństwa instynktu macierzyń-
skiego. To macocha przekonuje męża, by pozostawić
Jasia i Małgosię w lesie. To macocha, kierowana zawi-
ścią i próżnością, próbuje zabić Królową Śnieżkę. A
pod postacią wiedźmy macocha staje się prześladow-
czynią Roszpunkii.

W mieście Lubeka żyła piękna i bogata wdowa,
którą nazwę panią X. Nie miała własnych dzieci, ale
zaopiekowała się Imogen, córką męża z pierwszego
małżeństwa. Dziewczyna była równie piękna, jak ma-

cocha, lecz posiadała skarb, który u jej macochy każdego dnia się zmniejszał: młodość. Należy w tym miejscu wyjaśnić, że ani ja, ani ktokolwiek inny nie mieliśmy żadnych podstaw, by uważać, że pani X zazdrości pasierbicy albo ma wobec niej jakieś złe zamiary. W rzeczywistości pani X wydawała się najtroskliwszą, najserdeczniejszą osobą i traktowała Imogen jak własną córkę. Brak tu konsekwencji: wystarczyło, że znalazłem piękną macochę i córkę, jeden z najpopularniejszych bajkowych motywów. Ponieważ Imogen nie miała ciemnych włosów, nie mogłem użyć jej do odegrania roli Królowy Śnieżki. Imogen miała błyszczące, pszeniczne włosy, z których była z pewnością dumna. Znalazłem zatem moją Roszpunkę! Upewniłem się, że nie miałem żadnej styczności ani z panią X, ani z Imogen, która mogłaby w przyszłości stać się podstawą do oskarżenia. Bez zwłoki rozpocząłem przygotowania do odegrania bajkowej sceny.

W ciągu kilku poprzednich miesięcy zgromadziłem sporą ilość laudanum, które otrzymywałem w małych dawkach od odwiedzanych przeze mnie w trakcie podróży lekarzy. Każdemu z nich skarżyłem się na bezsenność. Uważnie obserwowałem poczynania moich

obiektów i wybrałem najlepszą okazję do uderzenia. Każdego dnia Imogen spacerowała po parku znajdującym się na północy miasta. Ponieważ była młodą, dobrze wychowaną damą, zawsze chodziła w towarzystwie kobiety. Nie wiedziałem, zresztą nie interesowało mnie to, kim jest przyzwoitka dziewczyny. Była typem tępej, prostej kobiety, jaką piękne damy wybierają sobie do towarzystwa po to tylko, by kontrastowały z ich urodą. Czuję odrazę do przyzwoitki za groteskowość jej nakrycia głowy: śmieszny czepek, który wybrała, sądząc zapewne, że odwróci uwagę od jej nieatrakcyjnego wyglądu.

Znajdował się w parku taki odcinek ścieżki, gdzie spacerowicze byli niewidoczni dla innych (tego dnia pogoda wydawała się niepewna i wiele osób zrezygnowało ze spaceru), zasłonięci przez drzewa. Zbliżyłem się do obu kobiet od tyłu i z lubością uderzyłem przyzwoitkę w głowę ciężkim metalowym prętem, który wcześniej ukryłem pod peleryną. Tak bardzo spieszyłem się, żeby podporządkować sobie Imogen, że tylko chwilę mogłem napawać się radością ze sposobu, w jaki wgniotłem przyzwoitce czepek w czaszkę. Dziewczyna zaczęła krzyczeć, co zmusiło mnie do uderzenia

jej pięścią w szczękę. Bardzo mnie to zmartwiło, gdyż jakiegokolwiek naruszenie jej urody nie pozwoliłoby mi w pełni cieszyć się z dokonanego dzieła. Zaniósłem ją pomiędzy drzewa, by nikt mnie nie zobaczył. Następnie zaciągnąłem w gęstwinę martwą przyzwoitkę. Wokół jej paskudnie brzydkiej głowy powstała kałuża krwi, kiedy czepek oderwał się od strzaskanej czaszki, pozwalając wypłynąć szarej substancji. Ze wstydem muszę przyznać, że ciągnąc ją po ziemi rzucałem przekleństwa. Zebrałem następnie kilka pełnych liści gałęzi i próbowałem zatrzeć ślady zbrodni na ścieżce. Efekt był taki, że tylko powiększyłem paskudną plamę. Wiedziałem, że w końcu ciało przyzwoitki zostanie odnalezione, ale mało mnie to obchodziło. Najważniejsze było, aby błyskawicznie i niepostrzeżenie zabrać Imogen z parku. Za drzewami stał mój powóz, przewiesiłem więc dziewczynę przez ramię i szedłem tak szybko, jak tylko mogłem. Gdy usadowiłem ją w powozie, zaczęła się cucić, więc, by ją uciszyć, wmusiłem jej trochę laudanum.

Ubrany byłem jak woźnica, zamknąłem więc Imogen w kabinie, a sam wdrapałem się na kozła i nieśpiesznie odjechałem. Udało mi się uprowadzić dziew-

czynę. Doprawdy, było wielkim szczęściem, że ciało przyzwoitki nie zostało natychmiast odkryte, jak się obawiałem. Znaleziono je tego samego dnia, lecz znacznie później, kiedy mieszkańcy miasta, zaniepokojeni zniknięciem kobiet, wszczęli poszukiwania.

Przewidując potrzebę znalezienia miejsca, gdzie mógłbym ukryć dziewczynę, wynająłem w Lubece osobne lokum: niewielki dom na obrzeżach miasta. Po zapadnięciu zmroku zaniósłem Imogen, którą od tej chwili nazywałem Roszpunką, do domu i umieściłem w piwnicy. Dla bezpieczeństwa związałem ją, podałem jeszcze trochę laudanum i zakneblowałem, żeby, kiedy się zbudzi pod moją nieobecność, nie podniosła alarmu, powiadamiając jakiegoś przypadkowego przechodnia o miejscu swojego uwięzienia.

Następnie dołączyłem do mojego brata i razem spożyliśmy posiłek, przygotowany z dopiero co upolowanej dziczyzny.

Po powrocie do domu stwierdziłem, że moja piękna Roszpunką właśnie budzi się ze snu. Roszpunką czy Śpiąca Królowna? Ta rozterka pojawiła się już wcześniej: te dwie baśnie to raczej wariacje na jeden temat, niż osobne historie. Obaj z bratem postanowiliśmy nie-

co ucywilizować baśń, zapisując, że Śpiącą Królową zbudził pocałunek. W oryginalnej wersji po stuletnim śnie znajduje ją nie książę, lecz żonaty król, który wykorzystując jej sen, wielokrotnie z nią obcuje. Następnie królowa rodzi bliźniaki, z których jeden, próbując ssać pierś, chwytając za jej kciuk i wysysa z niego drzazgę, dzięki czemu królowa się budzi. Z kolei, w baśni o Roszpuncie, młoda księżniczka w swojej wieży nie jest tak cnotliwa, jak we wcześniejszych zanotowanych przez nas wersjach. Pokryliśmy zasłoną milczenia pytanie, dlaczego po tajemnych schadzkach z księciem na świat przyszło dwoje dzieci. Oto moralność dawnych czasów, gdy chrześcijańskie wartości nie miały wielkiego znaczenia. W oryginalnych wersjach zarówno Śpiąca Królowa, jak i Roszpunka miały dzieci z pozamałżeńskich związków...

Fabel odłożył książkę. Przypomnił sobie, co Heinz Schnauber powiedział o ciąży i aborcji Laury von Klosterstadt. Jeżeli zabójca naśladuje oryginalne wersje baśni albo korzysta z książki Weissa, to Laura tym bardziej pasuje na ofiarę. Ale to był przecież pilnie strzeżony sekret. Jeżeli wiedział o aborcji, to znaczy, że

musi być bardzo blisko związany z rodziną von Klosterstadt. Albo był ojcem tego dziecka.

Fabel wrócił do lektury.

Aby uprawdopodobnić baśń, byłem teraz zmuszony zgwałcić moją Roszpunkę, ale tylko wtedy, gdy śpi. Patrzyła na mnie prosząco, co czyniło ją osobliwie nieatrakcyjną. Gdy wyjąłem jej z ust knebel, błagała o darrowanie życia. Ciekawe było to, że choć pochodziła z dobrego domu, nie błagała o zachowanie cnoty, której pewnie chętnie by się pozbyła, byle ocalić życie. Podałem kolejną dawkę laudanum i na jej twarzy znów za gościł spokój, a rysy stały się piękne jak dawniej. Kiedy zdejmowałem jej ubranie, wielkie wrażenie wywarło na mnie piękno jej ciała i muszę przyznać, że gdy spała, zaspokajałem się jej ciałem wielokrotnie. Następnie delikatnie położyłem na jej twarzy jedwabną poduszkę. Bez żadnego oporu wyzionęła ducha.

Fabel znów przerwał lekturę i sięgnął do raportu z autopsji Laury von Klosterstadt. Nie było żadnych śladów urazu narządów płciowych, co więcej, wszystko wskazywało na to, że Laura od pewnego czasu zach-

wywała wstrzemięźliwość seksualną. Czytał dalej:

W nocy wróciłem do parku i ułożyłem ciało mojej Roszpunki pod bogato zdobioną wieżą. Księżyc świecił jasno, rzucając blask na jej piękne ciało. Rozczesałem błyszczące włosy, które lśniły złotawo w świetle księżyca. Pozostawiłem ją tam, by ktoś ją znalazł i przypomniał sobie starą baśń.

Uznałem, że zrobiłem, co do mnie należało, i byłem zadowolony. Jakże wielką i miłą niespodzianką było dla mnie to, że kilka dni później zaczęto rozprawać o roli, którą mogła odegrać macocha, pani X, w uśmierceniu pasierbicy. Podejrzenia, choć niepoparte żadnymi dowodami, sprawiły, że jej pozycja społeczna w Lubece uległa zniszczeniu, a kiedy się pojawiała na ulicy, ludzie ją wygwizdywali.

Zamknął książkę i położył dłoń na okładce, jakby oczekując, że treść przeniknie w ten sposób do jego umysłu. Myślał o tym, jak książka powstawała. Wyobrażał sobie Weissa siedzącego z laptopem w swoim gabinecie. Przywołał w pamięci kształt rzeźby wilkołaka, stworzonej najpewniej ręką chorego brata. Widział

milczący skowyt wilczego pyska, podczas gdy Weiss przelewał na papier kolejne pomysły na zbrodnię.

Fabel wstał, założył marynarkę i zgasił lampę na biurku. Za oknem widział rozjarzony światłami Hamburg. Półtora miliona spokojnie śpiących ludzi i garstka wędrujących po mieście nocą. Już wkrótce. Był pewny, że już wkrótce zostanie popełniona kolejna zbrodnia.

Poniedziałek, 19 kwietnia, 11.00.

Altes Land, na południowy zachód od Hamburga

Fabel czekał.

Cierpiał na bezsenność i czuł się teraz tak, jakby poprzedniej nocy nadużył alkoholu. Nie musiał szybko wracać do Hamburga. Susanne zdecydowała, że pozostałe dwa dni urlopu spędzi z Gabi i jego matką. Miała wrócić w środę rano pociągiem.

Morderca zmuszał ich do pełnej mobilizacji sił. Mieli już tyle morderstw, tyle dochodzeń i przesłuchań do przeprowadzenia, że Fabel przekazał sprawę Ungerrera Marii. To nie była dla niego łatwa decyzja. Cenił Marię bardziej niż kogokolwiek innego z zespołu, może nawet więcej niż Wenera. Była kobietą o błyskotliwej inteligencji, potrafiła działać metodycznie i nie przeoczyła żadnego szczegółu. Wciąż jednak miał wątpliwości, czy jest gotowa na takie wyzwanie. Fizycznie, na pewno. Przeszła też pozytywnie wszystkie testy psychologiczne. Oficjalnie. Ale Fabel dostrzegł w jej oczach coś, czego wcześniej tam nie było. Nie potrafił powiedzieć, co to jest, ale niepokoiło go to.

Niestety, w obecnej sytuacji nie miał innego wyjścia, jak powierzyć Marii sprawę Ungerera. Musiał ostatnio pójść na wiele kompromisów: Anna wróciła do pracy, choć ból w udzie mocno jej doskwierał; w wydziale zaczął pracować Hermann, lecz nie został odpowiednio przeszkolony; jako wsparcie dostał dwie osoby z wydziału do walki z przestępczością na tle seksualnym.

Fabel wciąż czekał. Kiedy jechał do Altes Land, przewidywał dwa scenariusze: albo von Klosterstadto wie w ogóle nie otworzą mu drzwi, albo będzie musiał czekać. Kiedy był tu ostatnio, fakt śmierci Laury zapewnił mu natychmiastowe przyjęcie. Tym razem ubrany w niebieski uniform kamerdyner, który otworzył drzwi, wprowadził go do holu, gdzie od dwudziestu minut oczekiwał, aż ktoś się nim zainteresuje. Przyrzekł sobie, że poczeka pół godziny, nie dłużej. Potem sam ich odszuka.

Margarethe von Klosterstadt wyszła z salonu, w którym przyjmowano Fabla podczas poprzedniej wizyty. Zamknęła za sobą drzwi, dając do zrozumienia, że ta rozmowa zostanie przeprowadzona w holu. Wstał i uścisnął jej dłoń. Uśmiechnęła się uprzejmie i przepro-

siła, że musiał czekać. Ani w uśmiechu, ani w przeprosinach nie było nawet śladu serdeczności. Pani von Klosterstadt w ciemnogrnatowej sukni, podkreślającej jej wąską talię, wyglądała ponętnie. Drogie buty na wysokich obcasach sprawiały, że miała napięte mięśnie łydek. Fabel starał się nie myśleć o tym, jak bardzo jest pociągająca. Wskazała gestem, by usiadł, po czym zajęła miejsce obok niego.

– Co mogę dla pana zrobić, panie nadkomisarzu?

– Pani von Klosterstadt, będę z panią szczery. Pewne poszlaki wskazują na to, że pani córka padła ofiarą seryjnego mordercy. Maniaka. Kogoś o zaburzonym, perwersyjnym umyśle. Pewne szczegóły z życia ofiar, które nam wydają się nieznaczące, dla niego nabierają szczególnego znaczenia.

Margarethe von Klosterstadt uniosła z zaciekawieniem brwi, choć z jej lodowatego spojrzenia Fabel nie mógł wyczytać nic prócz uprzejmego zainteresowania. Zrobił krótką przerwę i przeszedł do rzeczy.

– Pani von Klosterstadt, muszę zadać pytanie dotyczące ciąży pani córki i aborcji.

W lodowatym spojrzeniu jasnoniebieskich oczu nie było już uprzejmego zainteresowania. Gdzieś głęboko

rozpętała się arktyczna burza, choć rozmówczyni zdołała nad sobą zapanować.

– Co pana skłoniło, jeśli wolno zapytać, panie nadkomisarzu, do zadawania mi takich pytań?

– Więc nie zaprzecza pani, że doszło do aborcji? – zapytał Fabel. Milczała, wpatrując się w niego intensywnie. – Proszę mi wierzyć, że robię wszystko, co mogę, by zachować w tym wypadku pełną dyskrecję, więc bardzo by mi pani ułatwiła zadanie, gdyby była ze mną szczerą. Jeżeli zostanę do tego zmuszony, użyję wszelkich możliwych środków, żeby dowiedzieć się prawdy, ale to będzie, cóż, niemile. I na pewno nie uda się wówczas zapewnić dyskrecji.

W oczach Margarethe von Klosterstadt rozszalała się prawdziwa nawałnica. I tak szybko, jak się pojawiła, znikła. Jej gesty, poza, głos pozostały niezmienione, choć wyraźnie się poddała. Nie było to dla niej łatwe, nie przywykła do tego.

– To stało się tuż przed jej dwudziestymi pierwszymi urodzinami. Wysłaliśmy ją do Hammond Clinic, prywatnej kliniki w Londynie.

– Na ile przed jej urodzinami?

– Może tydzień.

– A więc prawie dokładnie dziesięć lat temu? – Pytanie było retoryczne. Rocznicą. – Kto był ojcem dziecka?

Dostrzegł, jak twarz jej stężała, ale zaraz na ustach pojawił się uśmiech.

– Czy to naprawdę istotne, panie Fabel? Musimy do tego wracać?

– Obawiam się, że tak, pani von Klosterstadt. Obiecuję, że zachowam dyskrecję.

– No dobrze. Nazywał się Kranz. Fotografik. A właściwie był asystentem Pietra Moldariego, znanego fotografa, który wylansował Laurę. Wtedy był nikim, ale wydaje mi się, że później powiodło mu się w życiu.

– Leo Kranz? – Fabel natychmiast skojarzył sobie nazwisko, choć nie wiązał go ze zdjęciami modelek. Kranz był cenionym reporterem prasowym, dokumentował to, co się działo w najbardziej zapalnych punktach świata. Margarethe zauważyła jego zdziwienie.

– Rzucił świat mody dla fotografii prasowej.

– Czy Laura miała z nim później coś wspólnego?

– Nie. To nie była prawdziwa miłość. Raczej niefortunny... epizod. Oboje dawno o tym zapomnieli.

– Jest pani pewna? – indagował Fabel. Przywołał w

pamięci obraz ascetycznej, odosobnionej willi w Blankenese. Wątpił, czy Laura zapomniała o swoim smutku.

– Kto wiedział o aborcji? – zapytał.

Margarethe von Klosterstadt nie odpowiedziała od razu. Patrzyła na niego w milczeniu. W jej spojrzeniu było na tyle dużo pogardy, że Fabel poczuł się nieswojo, ale nieco za mało, by doprowadzić do utarczki. Pomyślał o patologu, doktorze Möllerze, który zawsze usiłował osiągnąć ten stopień aroganckiej wyniosłości. W porównaniu z panią von Klosterstadt był tylko nieudolnym amatorem, ona była mistrzem na skalę światową. Ciekawe, czy ćwiczyła to na swojej służbie.

– Nie mamy w zwyczaju dzielić się szczegółami naszego życia rodzinnego z osobami postronnymi, panie nadkomisarzu. Jestem także pewna, że pan Kranz nie miał żadnego interesu w tym, by upubliczniać tę sprawę. Powtarzam, to była sprawa rodzinna, i tylko rodzina o niej wiedziała.

– Więc Hubert także wie?

Kolejne lodowate spojrzenie i odpowiedź:

– Nie wydawało mi się to niezbędne. A czy Laura powiedziała mu o tym, czy nie, tego nie wiem. Nigdy

nie byli zbyt blisko ze sobą. Laura zawsze zachowywała dystans.

Fabel nie dał po sobie nic poznać. Nie miał wątpliwości, kto jest ukochanym dzieckiem w tej rodzinie. Przypomniawszy sobie, z jaką pogardą wyrażał się o Hubercie Heinz Schnauber. Dwa fakty uznał za bezsporne: po pierwsze, Heinz Schnauber był najbliższą Laurze osobą, i po drugie, ta rozmowa nie wniosła nic nowego do śledztwa. A nie wniosła, bo miał wrażenie, że zadaje pytania znajomej Laury, a nie matce. Przyjrzał się Margarethe: była elegancka, klasycznie piękna i na dodatek z wiekiem przybywało jej seksapilu. Przypomniawszy sobie Ulrike Schmidt, przedwcześnie postarzałą prostytutkę i narkomankę. Dwie kobiety tak różne, jakby należały do innych gatunków. Łączyło je tylko jedno: nic nie wiedziały o swoich córkach.

Wracając do samochodu przytłoczony smutkiem. Odwrócił się, spojrzawszy na ogromny dom i pomyślał o dorastającej w nim dziewczynie. Samotnej. Pozbawionej czegoś, co można by nazwać zwykłą rodziną. Pomyślał, że wyzwoliła się z tej złotej klatki tylko po to, by zbudować własną, wysoko, na brzegu Łaby, w Blanke-

nese.

Musiał przyznać, że morderca nie mógł znaleźć bardziej odpowiedniej osoby, która odegrałaby w jego baśni rolę księżniczki. Teraz był pewien, że zbrodniarz musiał mieć wcześniej jakiś kontakt z Laurą.

Poniedziałek, 19 kwietnia, 13.15.

Ottensen, Hamburg

Fabel polecił Marii przesłuchać żonę ostatniej ofiary, Bernda Ungerera. Kobieta, która mogła nadal być żoną, a nie wdową. Maria zdawała sobie sprawę, że musi spotkać się z kimś, kto odczuwa teraz potworny ból, z kimś, kto musi poradzić sobie z nową sytuacją, oswoić się z nią.

Ingrid Ungerer miała oczy zaczerwienione od łez. Musiała płakać, nim pojawiła się Maria. Ale było coś jeszcze. Gorycz. Zaprowadziła Marię do salonu, gdzie mogły być same. Z pokoju na piętrze dobiegały jakieś stłumione głosy.

– To moja siostra – wyjaśniła Ingrid. – Pomaga mi przy dzieciach. Proszę, niech pani usiądzie.

Jedną ze ścian zajmował wykonany z sosnowego drewna regał. Półki pełne były bezładnie porzrzuconych książek, płyt, ozdóbek i zdjęć. Większość fotografii przedstawiała Ingrid z mężczyzną, którym był zapewne jej mąż Bernd, choć tutaj jego włosy wydawały się jaśniejsze, bardziej siwe. Poza tym mężczyzna na fotografii miał oczy, patrzył wprost w obiektyw. Na

wszystkich zdjęciach byli także dwaj chłopcy, obaj podobni do matki, ciemnowłosi, ciemnoocy. Jak zwykle na fotografiach rodzinnych, wszyscy wyglądali na szczęśliwych. Uśmiech Ingrid wydawał się naturalny, choć teraz, kiedy Maria patrzyła na nią, nie było nawet śladu tego szczęścia. Nie wiedzieć czemu, Maria miała wrażenie, że tak jest już od dawna. Bernd Ungerer miał pogodną twarz, uśmiech także wydawał się szczery.

– Kiedy będę mogła go zobaczyć? – zapytała spokojnie Ingrid Ungerer.

– Pani Ungerer... – Maria pochyliła się do przodu. – Muszę panią uprzedzić, że pani mąż odniósł wiele poważnych... ran. To nie będzie przyjemny widok. Sądzę, że lepiej byłoby...

– Jakich ran? – przerwała Ingrid. – W jaki sposób został zamordowany?

– Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że zginął od ciosu nożem. – Maria zamilkła na chwilę. – Proszę posłuchać, pani Ungerer. Człowiek, który zamordował pani męża, jest osobą niezrównoważoną. Wylupił pani mężowi oczy. Bardzo mi przykro.

Ingrid Ungerer nadal była opanowana, choć Maria wyczuła w jej głosie drżenie.

– Czy to zrobił mąż jakiejś kobiety? Albo chłopak?

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Czy mój mąż został przyłapany z inną kobietą? A może to zrobił jakiś zazdrosny mąż? Wtedy byłoby jasne, dlaczego wyłupił mu oczy. On zawsze oglądał się za innymi kobietami. Zawsze.

Maria przyjrzała się uważnie kobiecie. Dość atrakcyjna, średniego wzrostu, zgrabna, miała krótkie, kasztanowe włosy. Miła twarz, choć przeciętnej urody. Był w niej jakiś smutek. Jakaś melancholia, pogłębiona teraz żalem, lecz jakby tkwiąca w niej od dawna.

– Czy w życiu pani męża były inne kobiety? – zapytała Maria.

Ingrid roześmiała się z goryczą.

– Lubi pani seks? – zapytała takim tonem, jak się pyta przypadkowego przechodnia o godzinę. Maria była zszokowana. Pytanie, które zadała pani Ungerer, dotknęło ją bardziej, niż jej rozmówczyni mogła zakładać. Na szczęście nie oczekiwała od Marii odpowiedzi. – Ja tak. Jest we mnie dużo... cielesności. Ale wie pani jak to bywa. Po ślubie emocje opadają, dzieci pochłaniają wiele czasu, popęd się zmniejsza...

– Przepraszam... Nie jestem mężatką.

– Ale ma pani przyjaciela?

– Obecnie nie. – Maria starała się zachować spokój. O tej sferze swojego życia nie zamierzała dyskutować z nikim obcym, nawet jeśli byłaby to pogrążona w żałobie kobieta.

– Oziębłość pojawiła się w naszym życiu wkrótce po ślubie. Zbyttnia oziębłość, jeśli mam być szczerą, ale Bernd miał bardzo wyczerpującą pracę i wracał do domu ledwie żywy. Ale poza tym był wspaniałym mężem, pani Klee. Godnym zaufania, troskliwym, wspierającym. I cudownym ojcem. Ingrid wstała i wyjęła z torebki pęk kluczy. – Coś pani pokażę. – Zaprowadziła Marię do holu i dalej, kilka stopni schodami w dół. Kiedy znalazły się w piwnicy, zapaliła światło. Było tam mnóstwo rzeczy, na które zwykle nie ma miejsca w mieszkaniu: rowery, kartonowe pudła, buty zimowe. Ingrid zatrzymała się przy dużej skrzyni, położyła na niej rękę, ale nawet nie spróbowała jej otworzyć.

– To zaczęło się jakieś sześć miesięcy temu. Bernd stał się bardziej... troskliwy, jeśli można to tak ująć. Bardzo mnie to ucieszyło, ale zaczęliśmy przechodzić z jednej skrajności w drugą. Kochaliśmy się co noc. Czasem nawet dwa razy w nocy. Wszystko to stawało

się coraz bardziej... pospieszne. A potem już nie miało nic wspólnego z uprawianiem miłości. Robił to ze mną, a jednocześnie jakby mnie nie dostrzegał. Pewnej nocy, kiedy powiedziałam, że nie jestem w nastroju... – Ingrid przerwała. Spojrzała na pęk kluczy i zaczęła je obracać w palcach, jakby były różańcem. – Tej nocy nie pozostawił mi żadnych złudzeń, że nie interesuje go, czy jestem w nastroju, czy nie.

Maria położyła dłoń na ramieniu Ingrid, ale ta odsunęła się nieznacznie.

– Zaczęłam się zastanawiać, czy są inne kobiety. Pracował wtedy w firmie, z którą był związany od lat i nagle zmienił pracę, odszedł do firmy, w której pracuje do dziś... – Potrząsnęła głową i poprawiła się: – Chciałam powiedzieć, w której pracował do chwili obecnej. Całkiem niedawno dowiedziałam się, że w poprzedniej firmie wiele kobiet skarżyło się na niego.

– Przykro mi, pani Ungerer. Czy dlatego pani podejrzewa, że mógł to zrobić jakiś zazdrosny mąż? Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Mamy podstawy do przypuszczeń, że pani mąż padł ofiarą człowieka, który wcześniej zamordował już kilka niepowiązanych ze sobą osób.

Ingrid Ungerer popatrzyła na nią pustym wzrokiem i mówiła dalej, jakby nie słysząc tego, co przed chwilą Maria powiedziała.

– Przez ostatnie sześć miesięcy przewinęło się pół tuzina kobiet. Jest jeszcze trudna do określenia liczba tych, które mu odmówiły. Nie miał wstydu. Nie dbał o to, że przynosi wstyd sobie, mnie i dzieciom. – Roześmiała się z goryczą. To nie znaczy, że mnie porzucił. Miał inne kobiety, a mimo wszystko stale chciał to także robić ze mną. Stał się nienasycony.

Wzięła do ręki odpowiedni klucz, otworzyła skrzynię i uniosła jej wieko. Oczom Marii ukazało się wnętrze. Skrzynia była wyładowana pornografią. Twardą pornografią: pisma, kasyety wideo, filmy DVD.

– Zabronił mi tu przychodzić. Zabronił otwierać skrzynię. – Spojrzała na Marię błagalnie. – Dlaczego to robił? Dlaczego mnie straszyl? Nigdy wcześniej to się nie zdarzało. Wskazała ruchem głowy zawartość skrzyni. – Na górze w komputerze ma tego jeszcze więcej. Czy pani jest w stanie to pojąć? Dlaczego tak się zmienił? Dlaczego czuły, kochający mężczyzna zamienił się w bestię? I to tak nagle. Wszyscy o tym wiedzieli. To mnie smuciło najbardziej. Sąsiedzi i znajomi uśmie-

chali się, rozmawiali o tym ze mną i albo mi współczuli, albo chcieli poznać więcej pikantnych szczegółów. Prawdę mówiąc, nie mieliśmy zbyt wielu przyjaciół. Każda nowo poznana para zrywała z nami znajomość, bo Bernd od razu zaczynał dobierać się do damskich majtek. Nawet ludzie w jego firmie żartowali sobie z niego. Wymyślili dla niego przezwisko. To samo było z klientami. Dlatego powtarzam, pani Klee, to morderstwo musiało mieć związek z jego zachowaniem w ostatnim czasie.

Ingrid zamknęła skrzynię na klucz i wróciły do salonu. Maria usiłowała wydobyć od kobiety jakieś szczegóły na temat tego, co robił mąż przez ostatni tydzień, ale im bardziej próbowała się skupić na pytaniach, tym wyraźniej powracał obraz skrzyni w piwnicy. Czowała coraz większy niepokój. To było trudne i niewdzięczne zadanie, bo mimo nagłego wybuchu pożądliwości Ungerer był człowiekiem skrytym. Prawie każdego wieczoru wychodził, tłumacząc, że musi się spotkać z klientem. Takiej samej wymówki użył tego wieczoru, kiedy został zamordowany. Mimo że nie wrócił na noc, Ingrid nie była zaniepokojona. Przygnębiona, ale nie zaniepokojona; nieraz już się zdarzało,

że całą noc spędził poza domem. Kiedyś Ingrid znalazła ukryte rachunki karty kredytowej, ale odłożyła je z powrotem na miejsce bez komentarza. Wszystkie były płatnościami w agencjach towarzyskich, klubach i saunach w St Pauli.

– Coś złego się z nim działo – powiedziała Ingrid. – Stał się innym człowiekiem. Zdarzały się jeszcze inne dziwne rzeczy. Czasami wracał do domu i skarżył się, że coś brzydko pachnie. To była nieprawda, ale musiałam wysprzątać dokładnie całe mieszkanie, nawet dwa razy dziennie. Żeby był szczęśliwy. A potem dostawałam swoją „nagrodę”, jak to określał. Myślałam, że przeżywa jakieś załamanie, zaproponowałam nawet, że odwiedzimy naszego lekarza rodzinnego, ale Bernd nie chciał.

– Więc nigdy żaden specjalista nie wypowiedział się na temat jego zachowania?

– Owszem. Sama poszłam do doktora Gartena. Opowiedziałam mu, co się dzieje. Stwierdził, że takie postępowanie może być objawem satyriasis, czyli chorobliwego wzmożenia popędu płciowego. To męska forma ninfomanii. Powiedział, że bardzo martwi się o Bernda, chciał, żeby mąż przyszedł do niego, ale kiedy

mu powiedziałam, że byłam u lekarza bez jego wiedzy, stał się... hmm... jeszcze bardziej niemiły.

Obie kobiety siedziały przez chwilę w milczeniu. Następnie Maria zaczęła objaśniać, na jaką pomoc Ingrid może liczyć oraz jakie procedury czekają ją w najbliższych dniach i tygodniach.

Maria, stojąc już w drzwiach wyjściowych, ponownie złożyła jej kondolencje i zapytała:

– Pani Ungerer, jeszcze tylko jedno pytanie...

Ingrid skinęła bezwiednie głową.

– Powiedziała pani, że koledzy w pracy i klienci dali mu przydomek. Jakie?

Z oczu Ingrid Ungerer popłynęły łzy.

– Sinobrody. Tak nazwali mojego męża... Sinobrody.

Poniedziałek, 19 kwietnia, 18.00.
Szpital Mariahilf, Heimfeld, Hamburg

Pielęgniarki były zachwycone. Cóż za wspaniały pomysł: przynieść wielkie pudełko najlepszych ciastek. Będą w sam raz do kawy. Poza tym skromne „dziękuję” dla siostry oddziałowej i całego personelu za troskliwą opiekę nad matką. Jakie to mile. Jakie uprzejme.

Z ordynatorem, doktorem Schellem, spędził blisko pół godziny. Doktor przypomniał jeszcze raz, w jaki sposób należy zająć się matką, kiedy będą w domu. Schell czytał raport opieki społecznej po oględzinach mieszkania, do którego syn miał zabrać chorą matkę. Odnotowano, że ma wysoki standard. Lekarz komplementował mężczyznę za jego gotowość zapewnienia matce najlepszej opieki.

Wyszedłszy z gabinetu ordynatora, potężny mężczyzna spojrzął w stronę stanowiska pielęgniarek i uśmiechnął się. Był taki zadowolony, że nareszcie może zabrać matkę do domu. Przełożona pielęgniarek znów pomyślała, że żaden z jej krewnych nawet w ćwierci nie zadba o nią tak troskliwie, kiedy będzie sta-

ra.

Przysunął krzesło do łóżka staruszki i usiadł na nim. Znowu znaleźli się razem w ich własnym, wyłącznym, toksycznym świetle.

– Wiesz, co, *Mutti*? Pod koniec tego tygodnia będziemy znowu razem. Sami. Czy to nie wspaniałe? Moim jedynym zmartwieniem będzie dziwaczna wizyta pielęgniarki środowiskowej, która zechce sprawdzić, jak sobie radzimy. Ale na pewno wszystko dobrze wypadnie. Nie, nie będzie żadnego problemu. Mam już to piękne, małe mieszkanie, w pełni dostosowane do twoich potrzeb, tyle że nigdy tam nie zamieszkaż, *Mutti*. Wiem, że wolisz wrócić do naszego starego domu, prawda?

Staruszka leżała, jak zawsze, bez ruchu, zupełnie bezbronna.

– Wiesz, co znalazłem, mamó? Twój kostium z festiwalu Speeldeel. Pamiętasz, jakie to było dla ciebie ważne? Niemiecka tradycja tańca i śpiewu? Jeszcze go wykorzystam. Chcesz, mamó, żebym ci przeczytał? Chcesz posłuchać baśni braci Grimm? Będę ci czytał w domu. Bez przerwy. Tak, jak wcześniej. Pamiętasz, że pozwoliłaś trzymać w domu tylko dwie książki? Biblię

i „Baśnie braci Grimm”? Bóg i Niemcy. Nic więcej nie potrzebujemy... – Przerwał. Potem przemówił konspiracyjnym szeptem. – Bardzo mnie skrzywdziłaś, *Mutti*. Tak bardzo, iż czasem miałem wrażenie, że umieram. Tak mocno mnie biłaś i ciągle powtarzałaś, że jestem nic niewart. Że jestem nikim. Nigdy nie przestawałaś. Kiedy byłem nastolatkiem, i później, kiedy byłem już dorosłym mężczyzną, mówiłaś mi, że jestem bezużyteczny. Niewart niczyjej miłości. Mówiłaś, że właśnie dlatego nie mogę być z nikim w stałym związku. – Szept zamienił się w syk. – Myliłaś się, stara zdiro. Myślałaś, że kiedy spuszczaś mi wpierdol, to jesteśmy sami: tylko ty i ja. Nieprawda. On zawsze tu był. Mój baśniowy brat. Niewidoczny. Tak bardzo długo milczał. Aż w końcu go usłyszałem. Tylko ja, ty nie. Ochronił mnie przed twoim laniem. Otworzył przede mną nowy świat. Wspaniały, lśniący świat. Prawdziwy świat. W końcu, z jego pomocą, zrozumiałem, na czym polega moja sztuka. Trzy lata temu, pamiętasz? Ta dziewczyna. Dziewczyna, którą pomagałaś mi zakopać, bo bałaś się skandalu, utraty honoru, tego, że twojego syna zamkną w więzieniu. Myślałaś, że zdołasz nad tym zapanować. Ale on był silniejszy... Jest silniej-

szy, niż możesz sobie wyobrazić.

Usiadł prosto na krześle i przyjrzał się jej dokładnie, od stóp do głów. Teraz jego głos stał się beznamiętny, zimny, złowrogi.

– Staniesz się moim dziełem sztuki, mamó. Moją chlubą. Właśnie dzięki tobie zostanę zapamiętany.

Wtorek, 20 kwietnia, 12.00.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Opatrunek na głowie Wenera miał już niewielkie rozmiary, opuchlizna zniknęła i tylko wokół rany wi- dać było ślady stłuczenia. Fabel zgodził się na jego po- wrót do pracy pod warunkiem, że będzie siedział przy biurku i pomagał w opracowywaniu i zestawianiu do- wodów, które zbiorą pozostali członkowie zespołu. Oraz, że będzie przestrzegał wyznaczonych godzin pracy. Stopniowy powrót Wenera do pracy zbiegł się w czasie z natłokiem korespondencji i e-maili dotyczą- cych teorii Weissa. Ktoś musiał przez nie przebrnąć. Dotychczas zajmowali się tym Hans Rödger i Petra Maas. Temat okazał się tak interesujący, że przycią- gnął całe stado świrów. Każdy sygnał należało spraw- dzić, powstało zatem mnóstwo zaległości.

Fabel był bardzo zadowolony, że Wener wrócił. Tak samo wcześniej z radością powitał Annę. Z drugiej strony wiedział, że zachowuje się nieodpowiedzialnie, pozwalając zbyt wcześnie przystąpić do pracy dwojgu rannym oficerom. W końcu postanowił, że postara się dla nich o dodatkową premię po zakończeniu śledztwa.

Pokazał Wernerowi tablicę, na której odnotowywano wszystkie ważniejsze etapy śledztwa. Chcąc nie chcąc, Fabel musiał wykorzystać zainteresowanie mediów morderstwem Laury von Klosterstadt. Dzięki temu zdjęcie Olsena, jako osoby, z którą policja hamburska chce się skontaktować w sprawie tych zabójstw, pojawiała się we wszystkich gazetach i biuletynach prasowych. Annie i Henkowi Hermannowi zlecił przesłuchanie Leo Kranza, fotografika, który dziesięć lat wcześniej miał romans z Laurą von Klosterstadt. Tymczasem Kranz towarzyszył misji w Iraku, obserwując brytyjsko-amerykańską okupację tego kraju. Jego agencja potwierdziła, że w czasie, gdy dokonano morderstw, przebywał na Bliskim Wschodzie. Fabel na prośbę Wenera opowiedział mu o swoim spotkaniu z Weissem. Wspomniał także, że Fendrich nadal jest zdenerwowany prowadzonym śledztwem.

– Najbardziej w Fendrichu niepokoi mnie to – mówił – że jego matka zmarła sześć miesięcy temu. Susanne w analizie profilu psychologicznego zabójcy stwierdziła, iż przerwa pomiędzy pierwszym a następnymi zabójstwami może wynikać z wpływu osoby dominującej nad mordercą, żony albo matki, która być

może właśnie zmarła niedawno.

– Nie wiem, Jan. – Werner obrócił krzesło frontem do tablicy i usiadł na nim. Miał zmęczoną, poszarzałą twarz. Fabel po raz pierwszy uświadomił sobie, że Werner się starzeje. Maglowaliśmy go już dwukrotnie. On tu nie pasuje. Natomiast nie podoba mi się to, co mówisz o Weissie. Uważasz, że mamy kapłana i akolitę? Weiss pociąga za sznurki, a Olsen zabija? Już to mieliśmy na tapecie.

– Być może. – Fabel wpatrywał się w tablicę, na której widniały zdjęcia i wykresy. – Uważasz, że Olsen zaatakował cię dlatego, że zainspirowały go baśnie czy pseudoteorie Weissa?

Werner wybuchnął śmiechem.

– Chyba trochę przesadzamy. Niedługo zaczniemy szukać kogoś, kto mieszka w domku z piernika.

Fabel uśmiechnął się ponuro, ale jednocześnie coś przyszło mu do głowy. Domek z piernika. Wzruszył ramionami.

– Może masz rację. Może przesadzamy, a zabójcą jest właśnie Olsen. Miejmy więc nadzieję, że wkrótce wpadnie w nasze ręce.

Było około trzeciej po południu, kiedy życzenie Fabia się spełniło. Policja poinformowała, że osoba odpowiadająca rysopisowi Olsena wchodziła do opuszczonego domu w okolicy portu. Na szczęście policjanci mieli nosa, wycofali się i wezwali na pomoc kolegów w cywilnych ubraniach, którzy zajęli się obserwacją budynku. Raport policji spowodował spore zamieszanie w wydziale zabójstw. Nadkomisarz, nim rozdzielił zadania, musiał najpierw ostudzić nadmierny zapał swoich ludzi.

– Posłuchajcie mnie uważnie. To my go zgarniamy. Ustaliłem już z dowódcą oddziału, który się zajmuje obserwacją, że my aresztujemy Olsena. Nikt inny. – Spojrzał na Marię. Jak zwykle trudno było cokolwiek wyczytać z jej twarzy, ale kiwnęła głową. – Kiedy już będziemy na miejscu, działamy zgodnie z planem. Chcę mieć Olsena żywego i zdolnego do składania zeznań. Czy to jasne? Okej, idziemy.

W ostatniej chwili Fabel zdążył powstrzymać Wenera, który już zakładał skórzaną kurtkę i zbierał się do wyjścia z pozostałymi.

– Będę tylko obserwatorem. – Miał potulną minę. – Proszę, Jan, ten bydlak rozwalił mi czaszkę. Chcę cho-

ciaż popatrzeć, jak go zgarniacie.

– Zgoda. Ale zostaniesz tam, gdzie ci każe. Teraz numerem dwa jest Maria.

Kiedyś to była dzielnica robotnicza. Tutaj wracali po pracy do domów robotnicy z Hafen, tu mieszkały ich rodziny, bawiły się dzieci. Teraz, kiedy zmienił się status społeczny klasy robotniczej, okolica się wyludniła. Nawet ukochany przez Fabla Pöseldorf, najmodniejsze obecnie miejsce Hamburga do lat sześćdziesiątych, był nazywany Arme Leute Gegend – dzielnicą biedaków.

Ale okolica zatoki dopiero czekała na zdobycie takiej atrakcyjności. Pod względem architektonicznym to miejsce, ze swoimi brukowanymi ulicami i wielkimi kamienicami czynszowymi, było zawieszona w czasie. Jedynym świadectwem najnowszej działalności człowieka były paskudne graffiti pokrywające ściany budynków i widoczne w przerwach pomiędzy kamienicami niezdarne kształty przepływających w pobliżu kontenerowców.

Policjanci stali w napięciu. Dom, w którym widziało Olsena, znajdował się na obrzeżach Hafenstrasse

Genossenschaft, osiedla, którym do 1995 roku władała komuna „Alternativen am Elbufer”. To był teren nieustannych walk politycznych i socjalnych.

Jesienią 1981 roku kolejne kamienice przy Hafenstrasse i Bernhardt-Nocht-Strasse były zajmowane przez dzikich lokatorów. Alfons Pawelczyk, ówczesny minister spraw wewnętrznych, nakazał policji usunięcie ich z domów. W rezultacie zapanował chaos i anarchia. Wojna pomiędzy dzikimi lokatorami a hamburską policją trwała całą dekadę, a w telewizji można było bez przerwy oglądać płonące barykady, walki uliczne i twarze setek rannych policjantów i opornych lokatorów. Ostatecznie ówczesny burmistrz Klaus von Donnhanyi zapłacił za to utratą stanowiska. W końcu w 1995 roku został zawarty kompromis i zamieszki się skończyły. Mimo tego w okolicy wrzało i policja, kiedy miała się tam pojawić, zachowywała największe środki ostrożności.

Oddział MEK otoczył wcześniej budynek, w którym znajdował się Olsen. Na widok Fabla dowódca się ucieszył. W takiej okolicy nie dałoby się dłużej zachować dyskrecji. Poinformował nadkomisarza, że chłopak najprawdopodobniej znajduje się w mieszkaniu na

pierwszym piętrze. Przed domem stał jego motocykl. Jeden z policjantów unieruchomił go na wypadek, gdyby Olsen próbował uciekać. Parter domu był zdemolowany, nikt tu nie mieszkał. To ułatwiało sprawę. Z kamienicy prowadziło tylko jedno wyjście.

Fabel podzielił zespół na dwie grupy. Maria dostała do pomocy Annę i Henka. Do nich należało zabezpieczenie budynku od zewnątrz. Fabel, Hans Rödger i Petra Maas mieli pójść po Olsena. Zabrali ze sobą dwóch policjantów z oddziału MEK na wypadek, gdyby jakiś inny mieszkaniec kamienicy zaczął sprawiać kłopoty. Poprosił dowódcę oddziału o pomoc w obstawieniu wszelkich możliwych dróg ucieczki.

Pod dom podjechały jednocześnie trzy samochody: furgonetka MEK, bmw Fabla i samochód Marii. Wyszli i błyskawicznie zajęli pozycje. Fabel ze swoimi ludźmi podbiegł do drzwi. Dwaj policjanci MEK uderzyli taranem w sam środek dwuskrzydłowych drzwi, które natychmiast stanęły otworem. Fabel wyciągnął z kabury pistolet i poprowadził zespół naprzód. W holu śmierdziało uryną. Był jeszcze jeden nieprzyjemny zapach, którego Fabel nie potrafił określić. Na górze rozległ się jakiś hałas. Fabel podbiegł bezgłośnie do klatki

schodowej i przywarł do jasnozielonej ściany, mierząc z pistoletu w stronę szczytu schodów. Drzwi mieszkania na górze były otwarte. Zaczekał, aż pozostali do niego dołączą i będą go osłaniać, po czym ruszył schodami w górę.

Wielki pokój wydał się zadziwiająco jasny. W środku nie było nikogo. Trzy duże okna wychodziły na ulicę. W ułamku sekundy za jednym z nich Fabel zobaczył mężczyznę, który siedział na gzymsie i szykował się do skoku. – Olsen! – wrzasnął, ale ten w ułamku sekundy zniknął.

– Wyskoczył! – krzyknął przez krótkofalówkę. – Maria! Wyskoczył przez okno!

Przypomniał sobie, że już kiedyś taka sytuacja się zdarzyła. On w środku, Maria na zewnątrz, podejrzany uciekał.

– Psia krew! – W biegu potracił Petrę Maas i policjanta, wypadł z pokoju i przeskakując po trzy stopnie, zbiegł po schodach.

Maria nie mogła uwierzyć własnym oczom. Olsen skoczył z pierwszego piętra, natychmiast się zerwał i pognął w stronę wody. Kiedy Fabel informował ją

przez radio, co się stało, już ruszyła za mężczyzną. Nadszedł jej czas. Nadeszła jej kolej. Okaże się, czy da sobie radę. Krzyknęła przez radio, że biegnie w stronę Hafen. Wiedziała, że tuż za nią są Anna i Henk, ale wiedziała też, że to ona pierwsza dopadnie Olsena. Wielkiego i złego Olsena.

Chłopak nagle skręcił i wpadł do jakiegoś budynku. Maria pobiegła za nim i znalazła się w rozległej, wspartej na filarach dawnej hali fabrycznej. Olbrzymie bloki u sufitu, z których zwisały pordzewiałe łańcuchy, wskazywały na przemysł ciężki. Olsena nigdzie nie było widać, a wielkie stoły warsztatowe, na których niegdyś stały zapewne maszyny, oferowały dziesiątki miejsc, w których można się było ukryć. Zatrzymała się, wyjęła z kabury sigsauera i trzymała go teraz w wyciągniętych rękach. Nasłuchiwała uważnie, ale słyszała tylko własny oddech i walenie serca w piersiach.

– Olsen! – krzyknęła.

Cisza.

– Olsen! Poddaj się!

Nagle poczuła gwałtowny ból, coś śmignęło przed oczami i uderzyło ją w nadgarstek, wytrącając pistolet z dłoni. Zgięła się wpół i lewą ręką chwyciła za prawy

nadgarstek. Kiedy się obejrzała, zobaczyła po swojej prawej stronie Olsena z uniesionym nad jej głową żelaznym prętem. Wyglądał jak średniowieczny kat, opuszczający topór na głowę skazańca. Przez ułamek sekundy znalazła się gdzieś indziej, z kimś innym, kimś, kto w ręku zamiast żelaznego pręta miał długi nóż. Nagle pojawiło się nowe uczucie, coś, czego jeszcze nigdy nie doświadczyła. Przeszył ją na wylot gwałtowny, paraliżujący strach. Olsen wydał z siebie dziki, zwierzęcy skowyt i zamierzył się prętem. W tej samej chwili strach ją opuścił. Rzuciła się do przodu, jak pływak skaczący do basenu i przeturlała po podłodze. Gwałtowny zamach, z jakim chciał uderzyć Marię, sprawił, że napastnik stracił równowagę. Maria poderwała się błyskawicznie i kopnęła go w głowę.

– Ty bydlaku! – wrzasnęła. Olsen usiłował się podnieść, ale Maria, ściskając cały czas zraniony nadgarstek, kopnęła go z całej siły w kark. Uderzył głową o betonową podłogę. Jęknął, a jego ruchy stały się wolniejsze. Maria rozglądała się w poszukiwaniu swojego pistoletu. Dostrzegła go i chwyciła zdrową ręką. Olsen przewrócił się na plecy, a Maria wycelowała pistolet w jego głowę. Podniósł ręce nad głowę.

Rzuciła okiem na nadgarstek. Mocno stłuczony, ale chyba nie ma pęknięcia. Ból osłabł. Spojrzała na lufę pistoletu i wycedziła:

– Posłuchaj wielkoludzie. Pieprzony popaprańcu, mutancie. Jesteś damskim bokserem, gnojku! – Zamierzyła się butem w jego głowę, gdy zobaczyła biegnącą pędem w ich kierunku Annę Wolff.

– Wszystko w porządku, Mario?!

– Tak. – Maria nie spuszczała Olsena z oczu. Jej głos zabrzmiał teraz ostro. – Lubisz robić kobietom krzywdę, co? Lubisz je ranić? – Obcas buta wbiła w policzek Olsena. Z rany zaczęła się sączyć krew.

– Maria! – Anna stała już obok i mierzyła z pistoletu w twarz Olsena. Spojrzała na Marię. – Mario... mamy go. Mamy. Już w porządku. Możesz się cofnąć. – Jak spod ziemi pojawił się kolo nich Henk Hermann, a w oddali słyhać już było biegnącego wraz z resztą ludzi Fabla. Hermann pochylił się nad Olsenem, przewrócił go na brzuch i skuł mu ręce kajdankami.

– Wszystko w porządku? – Fabel objął Marię i odsunął ją od Olsena.

Uśmiechnęła się.

– Tak, szefie. Wszystko w porządku. Nic mi nie

jest.

Uściskał jej ramię.

– Dobra robota, Mario. Naprawdę dobra robota. – Hermann odwrócił chłopaka z powrotem na plecy i wtedy Fabel dojrzał rozcięty policzek.

– Przewrócił się – powiedziała Maria swobodnie. Wreszcie na miejsce dotarł Werner i reszta oddziału MEK. Spojrzał na posiniaczoną twarz Olsena, dotknął opatrunku na swojej głowie i uśmiechnął do Marii.

– I dobrze mu tak!

Wtorek, 20 kwietnia, 18.00.
Komenda Główna Policji, Hamburg

W pracy policji pewne rzeczy są łatwe do przewidywania. Jedną z nich było to, że Olsen odmówi składania wyjaśnień do czasu pojawienia się jego adwokata. Zabrano go więc do szpitala na opatrzenie rany na policzku. Fabel zapytał, czy chce złożyć zażalenie z powodu urazu, którego doznał w trakcie aresztowania.

Olsen się zaśmiał.

– Tak jak powiedziała ta pani, upadłem.

Nieoczekiwane było to, że po dwudziestominutowej rozmowie z Olsenem, adwokat wyszedł i powiedział, że jego klient będzie współpracować z policją oraz że jest w posiadaniu wyjątkowo istotnych informacji.

Przed rozpoczęciem przesłuchania Fabel zebrał swój zespół na naradę. Anna Wolff, z nastroszonymi włosami i pomalowanymi na czerwono ustami, miała na sobie, jak zwykle, skórzaną kurtkę i dzinsy. Widać było, że poraniona noga ciągle jeszcze sprawia jej ból. Werner siedział przy biurku, głowę miał nadal owiniętą bandażem. Maria przyjęła wdzięczną pozę, opierając

się o biurko, ale jej szary kostium był podarty i pomięty, a na nadgarstku miała opaskę uciskową.

– Co jest, szefie? – zapytała Anna.

Fabel uśmiechnął się.

– Chcę, żeby jedno z was przesłuchiwało razem ze mną Olsena. Cały czas jednak zastanawiam się, które z was jest najmniej skłonne rzucić krzesłem i coś połamać.

– Ja pójdę.

– W tych okolicznościach, Mario, sądzę, że Olsen będzie lepiej współpracował z kimś, z kim nie miał tak bliskiego kontaktu fizycznego.

– Więc ja też odpadam – powiedział Werner z goryczą.

– Anno? – Fabel spojrzał na nią z namysłem.

– Z przyjemnością...

Olsen siedział z ponurą miną przy stole naprzeciw Anny i Fabla. Obok niego adwokat z urzędu: niski, o mysiej twarzy, który z jakichś niewiadomych powodów nosił nijaki szary garnitur, podkreślając jeszcze bardziej swoją bezbarwność. Przy olbrzymie, takim jak Olsen, wyglądał na przedstawiciela innego gatunku.

Twarz Olsena była posiniaczona i opuchnięta, na policzku miał założony opatrunek. Pierwszy odezwał się adwokat.

– Panie nadkomisarzu, omówiłem szczegółowo z panem Olsenem sprawę, w której zamierzacie go przesłuchać. Proszę mi pozwolić przejść od razu do rzeczy. Mój klient jest niewinny, nie zamordował Laury von Klosterstadt ani żadnej innej osoby. Przyznaje wszakże, że uciekł wtedy, gdy powinien był przekazać niezwykle ważne dla śledztwa informacje, miał bowiem podstawy sądzić, że jego wyjaśnienia nie będą przez policję poważnie potraktowane. Dalej, przyznaje się do zaatakowania komisarza Meyera i pani komisarz Klee w trakcie wykonywania przez nich obowiązków służbowych. Prosimy jednakże o wyrozumiałość i wzięcie pod uwagę faktu, że pan Olsen nie zamierza składać zażalenia na, że się tak wyrażę, nadmierny entuzjazm, z jakim zatrzymywała go pani Klee.

– I to wszystko? – prychnęła Anna. – Troje policjantów odniosło obrażenia przy próbie zatrzymania tego wielkoluda, mamy niepodważalne dowody na to, że był w miejscu, w którym popełniono podwójne morderstwo, mamy przykłady jego psychotycznego zach-

wania, a oczekuje pan od nas, że będziemy dobijać jakichś targów, bo pański klient ma zadrapania po tym, jak próbował uniknąć aresztowania?

Adwokat Olsena nie odpowiedział, tylko błagalnie patrzył na Fabela.

– Dobrze – odparł nadkomisarz. – Posłuchajmy, co pan Olsen ma do powiedzenia.

Mecenas Anwalt skinął głową. Olsen pochylił się do przodu i oparł łokciami o stół. Ręce miał skute kajdankami. Fabel zwrócił uwagę, jakie są wielkie i silne. Przypominały dłonie Weissa. Takie wielkie dłonie widział jeszcze u kogoś, ale w tej chwili nie mógł sobie przypomnieć, kto to był.

– Po pierwsze, nikogo nie zabiłem – Olsen zwrócił się do Anny Wolff. – Na mój temperament nic nie mogę poradzić. Tak się złożyło. Mam pewną wadę genetyczną. Dlatego czasami puszczają mi nerwy.

– Zespół XYY? – zapytał Fabel.

– Zawsze wpędzało mnie to w kłopoty. Wystarczy, że ktoś mnie rozzłości i dostaję świra. Nic na to nie poradzę.

– Tak się właśnie stało z Hanną Grün? – zapytała Anna. Stracił pan panowanie nad sobą, widząc ją i

Markusa Schillera? – Nim Olsen zdążył odpowiedzieć, Anna wyjęła kilka fotografii i rozłożyła je przed nim, jakby układała pasjansa. Na zdjęciach były ciała Hanny Grünn i Markusa Schillera. Razem i oddzielnie. Fabel obserwował reakcje podejrzanego, kiedy Anna rozkładała zdjęcia. Skrzywił się, a skute kajdankami ręce zaczęły mu drżeć.

– Och, nie. – Głos mu się złamał. – Och, nie. Przepraszam... Boże, tak mi przykro... – Miał w oczach łzy.

– Czy chcesz nam o tym opowiedzieć, Peter? – Nadkomisarz mówił bardzo łagodnym tonem. – Dlaczego to zrobiłeś?

Chłopak gwałtownie kręcił głową. Z kącika oka popłynęła po policzku z opatrunkiem łza. Płaczący Olsen wyglądał groteskowo.

– Nie zrobiłem tego. Nie zrobiłem.

Anna położyła przed nim kolejne dwa zdjęcia. Były na nich odciski butów i opon.

– To twoje buty. Twój motocykl. Byłeś tam. I zrobiłeś to. Nie mogłeś jej wybaczyć, co? Postanowiła zrobić interes. Zamieniła pobrudzoną smarem małą na dupka. Nie mogłeś tego znieść, prawda?

– Byłem bardzo zazdrosny. Kochałem ją, a ona

mnie tylko wykorzystywała.

Anna gwałtownie pochyliła się do przodu.

– Śledziłeś ich całymi tygodniami. Widziałeś, jak się zabawiają w tej superbryce. A ty stałeś ukryty za drzewem. Patrzyłeś, planowałeś i marzyłeś o tym, żeby ich ukarać. Mam rację?

Olsen gwałtownie opuścił ramiona. Bez słowa skinął głową. Anna nie przerywała ataku.

– A potem to zrobiłeś. Naprawdę dałeś im nauczkę. Rozumiem cię. Naprawdę cię rozumiem, Peter. Ale dlaczego zabijałeś pozostałych? Dziewczynę na plaży? Modelkę? Handlowca?

Olsen obtarł rękawem łzy.

– Nie wiem, o czym pani mówi – odparł z determinacją. – Nikogo nie zabiłem. Wszystko, co powiedziała pani o Hannie i tym kutasie Schillerze, to prawda. Chciałem ich ukarać. Zniszczyć. To wszystko.

– Ale cię poniosło, prawda? Sam mówiłeś, że nie potrafisz panować nad emocjami. To nie twoja wina. Chciałeś ich ukarać, a w końcu zabiłeś. To jest twój problem.

Nie, pomyślał Fabel. Fałszywy trop. To nie były zabójstwa dokonane pod wpływem gniewu albo przy

ograniczonej poczytalności. To były zabójstwa z premedytacją. Zerknął na Annę, która dostrzegła sygnał i wygodnie rozparła się na krześle.

– Jeżeli ich nie zabiłeś, a nawet nie miałeś okazji ich pobić – zaczął Fabel – to za co przepraszasz?

Olsen nie mógł oderwać oczu od zdjęcia Hanny Grønn z poderżniętym gardłem. Kiedy w końcu przeniósł wzrok na Fabla, spojrzenie wyrażało tylko ból i błaganie.

– Widziałem to. Wszystko widziałem. Widziałem go i nie powstrzymałem.

Nadkomisarz poczuł mrowienie w karku.

– Co widziałeś, Peter? O kim mówisz?

– Ja ich nie zabiłem. Wiem, że mi nie wierzycie. Nic nie wiem o żadnych innych morderstwach. Ale byłem tam, kiedy zamordowano Hanne i Schillera. Wszystko widziałem. Widziałem, i nic nie zrobiłem.

– Dlaczego? Chciałeś, żeby umarli?

– Nie. Chryste, nie. – Spojrzał Fablowi w oczy. – Bałem się. Byłem przerażony. Nie mogłem się poruszyć. Czuję, że jeśli mnie zobaczy, to ja też zginę.

Fabel przyjrzał się Olsenowi. Jego wielkim dłońmi. Szerokim ramionom. Trudno sobie wyobrazić

kogoś, kto odważyłby się go zaatakować. Ale Fabel rozumiał, że był przerażony. Że bał się o swoje życie. Teraz ten strach odżył.

– Kto to był, Peter? Kto ich zabił?

– Nie wiem. Jakiś wielki facet. Tak duży jak ja, może większy. – Zerknął na Annę Wolff. – Ma pani rację. To, co pani mówiła, jest prawdą. Śledziłem ich. Czekałem na okazję, żeby ich ukarać. Ale nie zamierzałem nikogo zabijać. Nie wiem, może gdybym stracił nad sobą panowanie, zabiłbym Schillera. Ale nie Hannę. Pomimo tego, co zrobiła. Miałem inny plan. Zamierzałem powiedzieć o wszystkim żonie Schillera. Już ona by go odpowiednio ustawiła, a Hanna przekonałaby się wreszcie, że wcale nie zamierzał dla niej rzucić żony. Chciałem, żeby zdała sobie sprawę, że była wykorzystywana. Chciałem, żeby poczuła to, co ja czułem.

– Dobrze, Peter, opowiedz nam, co się stało.

– Ukryłem się między drzewami i czekałem na nich. Ona pojawiła się pierwsza, po chwili przyjechał Schiller. Zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, z lasu wyszedł on. Początkowo myślałem, że to nie jest człowiek. Był naprawdę ogromny. Ubrany cały na czarno,

na twarzy miał jakąś maskę. Wyglądała jak maska na bal przebierańców. Jakieś zwierzę. Niedźwiedź, może lis. Albo wilk. Chyba miał za małą maskę. Była tak naciągnięta, że wyglądała jeszcze straszniej. Dziwnie się poruszał. Wyłonił się spomiędzy drzew jak cień. Podszedł do samochodu, w którym oboje siedzieli i zapukał w okno. Schiller otworzył. Coś powiedział, nie słyszałem dokładnie, ale był wściekły i zaczął krzyczeć. Nie spodobało mu się pewnie, że ktoś mu przeszkadza. Kiedy zobaczył tego olbrzyma z maską na twarzy, coś jeszcze mówił, ale w jego głosie brzmiało przerażenie. Olbrzym w czerni po prostu stał i słuchał. Nie powiedział ani słowa. I wtedy stało się. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Zobaczyłem w jego ręku coś błyszczącego. Przypominało to ostrze noża. Hanna zaczęła krzyczeć, a ja nie mogłem nic zrobić. Bałem się. Strach mnie obleciał. Wiedziałem, że jeśli mnie zobaczy, to koniec. – Przerwał. Z oczu znowu pociekły mu łzy. – Był zupełnie spokojny. Miał powolne ruchy. Jak to powiedzieć? Metodyczne. Był metodyczny. Nie spieszył się. Obszedł powoli samochód dookoła, otworzył drzwi i wyciągnął Hannę. Biedna Hanna, strasznie krzyczała. Ja wciąż stałem bez ruchu. Zapaściłem ko-

rzenie. Niech pan zrozumie, panie Fabel, wiedziałem, że mogę zginać.

Nadkomisarz skinął ze zrozumieniem głową. Olsen nie bał się człowieka. W tej postaci było coś nieludzkiego.

– Złapał ją za gardło. – Olsenowi podczas mówienia drżała dolna warga. – Jedną ręką. Płakała i błagała, żeby nie robił jej krzywdy. Żeby nie zabijał. A on zaczął się śmiać. To był przerażający śmiech. Zimny i pusty. Potem powiedział: „Zabiję cię”, właśnie tak: „Zabiję cię”. Powiedział to całkiem spokojnie, nie było w jego głosie złości czy nienawiści. Spokojnie, powoli położył ją na masce samochodu. A potem przeciągnął nożem po jej szyi. Powoli, uważnie, z namysłem. Stał przez chwilę i patrzył na ciała, zupełnie się nie spieszył. Potem zaciągnął ciało Schillera do lasu.

– Nie podszedłeś, żeby zobaczyć, czy Hanna żyje?
– zapytała Anna.

Olsen pokręcił głową.

– Za bardzo się bałem. Poza tym wiedziałem, że nie żyje. Kiedy ten olbrzym zniknął z ciałem Schillera między drzewami, wycofałem się i wróciłem do swojego motocykla. Pchałem go dobre sto metrów, bałem

się, że usłyszy uruchamiany silnik. Potem odjechałem tak szybko, jak mogłem. Nie wiedziałem, co dalej robić. Byłem pewien, że nie uwierzycie mi, więc udawałem, że nic się nie stało. Myślałem, że tak będzie lepiej. Wracając do domu, zatrzymałem się na stacji benzynowej i zadzwoniłem na policję. Miałem nadzieję, że szybko przyjedziecie i go złapiecie. Gdybyście go złapali na gorącym uczynku, ja byłbym czysty.

Anna włożyła kasetę i włączyła magnetofon. To było nagranie rozmowy zarejestrowanej na centrali telefonicznej komendy policji. Głos informatora, zniekształcony przez strach i szok, niewątpliwie należał do Olsena. Tłumaczył policji, gdzie znaleźć ciała.

– Potwierdzasz, że to twój głos? – zapytała.

Olsen kiwnął głową. Patrzył błagalnie na Fabla.

– Ja tego nie zrobiłem. Przysięgam. Powiedziałem prawdę. Choć pewnie i tak mi nie wierzycie.

– Może ci wierzę – odparł nadkomisarz. – Musisz jeszcze odpowiedzieć na wiele pytań, a i tak nadal masz postawione zarzuty. – Spojrzał na prawnika, który skinął głową. – Komisarz Wolff zada ci kilka pytań dotyczących pozostałych zabójstw: gdzie byłeś, czy znasz ofiary. – Fabel wstał i oparł się o stół. Wciąż ma

pan kłopoty, panie Olsen. Nadal jest pan jedyną osobą, o której wiemy, że była na miejscu zbrodni. Miał pan też motyw. Radzę szczerze odpowiadać na pytania pani Wolff.

Kiedy Fabel wychodził, Anna przeprosiła mecenasa i też wyszła.

– Wierzy mu pan? – zapytała, kiedy znaleźli się sami na korytarzu.

– Tak. Wierzę. Od samego początku Olsen mi nie pasował do tej sprawy. To nie były zabójstwa w afekcie. Ktoś je skrupulatnie przygotował. Ktoś urzeczywistnił swoje chore fantazje.

– Wierzy pan, że ktoś byłby w stanie zrobić krzywdę Olsenowi? Werner nie jest słabeuszem, a nie miał w starciu z nim żadnych szans.

– To prawda, chociaż Maria sobie z nim poradziła. – Fabel uśmiechnął się z dezaprobatą. – Mam nadzieję, że nie brała lekcji u ciebie.

Anna spojrzała na niego nierozumiejącym wzrokiem. Miała minę niewinnego dziewczątka. Fabel już dwukrotnie ostrzegwał ją przed agresywnymi zachowaniami.

– Mimo wszystko mam wątpliwości, czy opowieść Olsena o jakimś wielkoludzie jest wystarczającym powodem, żeby go wypuścić na wolność. To tylko jego relacja.

– Wierzę mu. Bał się o swoje życie. Nasz morderca ma obsesję na punkcie baśni braci Grimm... I tego właśnie bał się Olsen, nie człowieka, nie olbrzyma, z którym potrafiłby zaciekle walczyć. Olsen był sam, w ciemnym lesie, wokół ani żywego ducha. On bał się strasydeł, widm, wilkołaków. Nie wiem, dlaczego był aż tak bardzo wystraszony, ale na pewno nie był wtedy takim chojrakiem, jak dziś, lecz małym chłopcem, któremu przyśnił się koszmarne sen. O to właśnie chodzi mordercy. Zamienia swoje ofiary w przerażone, bezbronne dzieci. – Fabel przerwał i wskazał ruchem głowy drzwi do pokoju przesłuchań. – Cóż, Anno. Wkrótce się przekonamy, czy mówi prawdę. A na razie postaraj się z niego jak najwięcej wyciągnąć.

Anna wróciła do pokoju przesłuchań, a Fabel wszedł do biura. Jakaś myśl kołatała mu w głowie, czuł niepokój, nie mógł jednak uświadomić sobie, co to jest.

W swoim gabinecie stanął przy oknie z widokiem na park. Miasto ciągnęło się po horyzont. Fabel usiło-

wał oczyścić umysł ze wszystkich dotychczas poznanych w tym śledztwie szczegółów, z tysięcy usłyszanych słów, z dziesiątek fotografii. Patrzył teraz na błękitno-biały aksamit nieba nad Hamburgiem. Prawda gdzieś czekała na odkrycie. To przecież takie proste. Proste, krystaliczne, zdefiniowane.

Baśnie. Baśnie i dwaj bracia, którzy je spisywali. Zbierali materiały do swojej pracy o „prawdziwym i oryginalnym głosie niemieckojęzycznego ludu”. Kierowała nimi miłość do języka niemieckiego i żarliwe pragnienie, by przetrwała ustna tradycja. Patriotyzm, nacjonalizm mieli we krwi. Rozpoczęli studia wtedy, gdy Niemcy nie były jeszcze narodem, były tylko idea, kiedy siły napoleońskie starały się zawładnąć i wykorzenić lokalne, regionalne kultury.

Bracia Grimm poszli w innym kierunku. Kiedy ukazało się pierwsze wydanie „Baśni”, to nie niemiecka akademia zareagowała entuzjastycznie i wykupiła większość nakładu, lecz prosty lud. Bracia spisali głosy zwykłych ludzi. Najczęściej dzieci. Jacob, który był przede wszystkim filologiem, przystał na prośbę Wilhelma, by „Baśnie” w drugim wydaniu nieco ugrzecznic, ubarwić i wydłużyć. Zniknęła wtedy Hans Dumm,

który potrafił zapładniać kobiety tylko na nie patrząc. Ciężarna i naiwna Roszpunka nie pytała już więcej, dlaczego ubrania zrobiły się na nią za ciasne. Śpiąca Królowna nie była już we śnie gwałcona. A słodka Królowna Śnieżka, kiedy została królową, nie kazała już zakładać złej macosze żelaznych, rozpalonych do czerwoności butów i tańczyć w nich aż do śmierci.

Prawda. Bracia Grimm poszukiwali prawdziwego głosu ludu niemieckiego i tworzyli quasi-fikcyjne opowiadania. Czy to był rzeczywiście autentyczny głos ludu? Jak zauważył Weiss, w baśniach i bajkach, które bracia Grimm zebrali, pojawiały się echa historii znanych we Francji, Włoszech, Skandynawii i krajach słowiańskich. Czy tego poszukiwał morderca? Prawdy? Czy chciał z fikcji uczynić prawdę?

Fabel przyglądał się sunącym po niebie chmurom, rozmyślając w ciszy gabinetu. Nie rozumiał tego. Morderca nie próbował przemawiać do niego. Morderca krzyczał. A on nie mógł go usłyszeć.

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Werner z teczką pod pachą. Na dłoniach miał lateksowe rękawiczki. Fabel spojrzał pytająco.

– Przejrzałem korespondencję, którą wzięłeś od

Weissa, a dodatkowo stos mejli od czytelników, który udostępnił mi wydawca. Zająłem się listami z ostatnich sześciu miesięcy. Natknąłem się na kilku wariatów, z którymi chętnie bym porozmawiał – powiedział Werner. Otworzył teczkę i ostrożnie uchwycił palcem wskazującym i kciukiem róg kartki. – A potem znalazłem to... – Wyjął kartkę z teczki.

Fabel spojrział na nią. List, który Werner trzymał w ręku, był napisany starannym pismem, czerwonym atramentem, a kartka miała kolor żółty.

Holger Brauner potwierdził, że był to ten sam rodzaj papieru, co kartek, znalezionych przy ofiarach. Tak jak przypuszczał, papier pochodzi z partii sprzedawanej w supermarketach i sklepach papierniczych w całym kraju. Nie ma żadnych szans na wyśledzenie, gdzie został kupiony. Charakter pisma na wszystkich kartkach nie budzi wątpliwości, pisała je ta sama ręka. Analiza czerwonego atramentu nie wniosła nic nowego do sprawy. Najbardziej podekscytowało jednak Fabla to, że Werner znalazł cały list. Pochodził od wielbiciela prozy Weissa. Świadczyło to dowodnie, iż morderca nie przejmuje się zbytnio tym, że pozostawia ślady.

Niestety Brauner stwierdził, że na kartce nie ma żadnych śladów DNA, odcisków palców ani niczego, co mogłoby naprowadzić na trop autora.

Pisząc do Weissa, wiedział już, że będzie zabijał. Liczył się z tym, że list zostanie przez policję odnaleziony.

Brauner przekazał odbitki listu powiększone dwupółkrotnie. Jedna z odbitek zawisła na tablicy.

Drogi panie Weiss,

chciałem nawiązać z Panem kontakt, by powiedzieć, jak bardzo podobała mi się Pana ostatnia książka: „Bajkowa ulica”. Niecierpliwie oczekiwałem chwili, kiedy będę mógł ją przeczytać. Nie rozczarowałem się. Uważam, że jest to jedno z najwybitniejszych dzieł współczesnej literatury niemieckiej.

Gdy czytałem Pańską książkę, stało się dla mnie jasne, że przemawia Pan autentycznym głosem Jacoba Grimma, tak jak on przemawiał autentycznym głosem Niemiec: głosem naszych baśni, naszego życia, naszych lęków. Głosem tego, co w nas dobre, i tego, co złe. Czy wiedział Pan o tym, że angielski poeta, W.H. Auden, w czasach kiedy nasze narody toczyły morder-

czą wojnę, napisał, że „Baśnie braci Grimm” obok Biblii stanowią podstawę zachodniej kultury? Taka jest ich moc, Panie Weiss. Taka jest potęga szczerego, czystego głosu naszego narodu. Słyszałem ten głos wielokrotnie. Wiem, że mnie Pan rozumie. Wiem, że Pan też go słyszy.

Często mówi Pan o tym, jak ludzie stają się częścią powieści. A wierzy Pan, że powieść może się ucieleśnić? Lub że my wszyscy jesteśmy powieścią?

Ja, w pewien sposób, tworzę baśnie. Nie, przeceńnię swoją rolę. Raczej je zapisuję. Pokazuję innym, żeby je poznali i zrozumieli tkwiącą w nich prawdę. Pan i ja jesteśmy braćmi. Jesteśmy Jacobem i Wilhelmem. Ale Pan, jako Wilhelm, redagował baśnie, upiększał je i upraszczał, aby były łatwiejsze do zrozumienia przez czytelnika, podczas gdy ja, Jacob, chcę je pokazywać w czystej, surowej postaci. Niech Pan sobie wyobrazi Jacoba, czającego się pod domkiem Dorothei Viehmann i słuchającego baśni, które opowiada swoim dzieciom. Niech Pan sobie wyobrazi ten cud: magiczne bajki przekazywane od stuleci z pokolenia na pokolenie. Doświadczyłem czegoś podobnego. Pokażę to mojej widowni, niech podziwiają z trwogą.

Z braterskim pozdrowieniem.

Pański baśniowy brat

Fabel przeczytał list ponownie. Nic w nim nie było. Nie wzbudził żadnych podejrzeń ani u Weissa, ani u wydawcy. Po prostu jakiś zbzikowany fan opowiada o swojej twórczości, a nie morderca o odtwarzaniu treści baśni przy użyciu martwych ludzkich ciał.

– Kim jest Dorothea Viehmann? – Obok Fabla stał Werner i czytał list.

– To była starsza kobieta, którą bracia Grimm znaleźli, a właściwie, którą znalazł Jacob – odpowiedział Fabel. Mieszkała pod Kassel. Znana w okolicy gawędziarka. Nie chciała opowiadać Jacobowi bajek, więc ten siedział pod oknem jej chaty i podsłuchiwał, kiedy opowiadała je dzieciom ze wsi.

Werner był pod wrażeniem. Fabel odwrócił się do niego i uśmiechnął.

– Trochę się dowiedziałem...

Tymczasem wokół zebrała się reszta zespołu, by zapoznać się z nowym dowodem w śledztwie. Fabel poprosił ich o uwagę.

– Nie ma tu nic, o czym byśmy wcześniej nie wie-

dzieli. Jediną dodatkową informacją, jaką możemy uzyskać z tego listu, będzie pełniejszy portret psychologiczny, który pani doktor Eckhardt nam przygotowuje. – Co prawda Susanne miała wrócić z Norddeich dopiero nazajutrz, ale Fabel już przesłał kopię listu do Instytutu Medycyny Sądowej, a wieczorem zamierzał zadzwonić do Susanne, przeczytać list przez telefon i wysłuchać wstępnej analizy.

Henk Hermann uniósł w górę rękę niczym uczeń, prosząc o głos. Fabel uśmiechnął się i skinął głową, a Hermann nieśmiało opuścił dłonie.

– List jest podpisany „baśniowy brat”. Co to ma oznaczać?

– Autor czuje się ściśle związany z Weissem. Może tu także być jakieś inne znaczenie. I wiem, kogo należałoby o to zapytać.

– Należałoby o to zapytać samego mordercę – powiedział Werner.

– I tak właśnie zamierzam zrobić – odparł ponuro Fabel.

Weiss podniósł słuchawkę telefonu po drugim dzwonku. Nadkomisarz domyślił się, że pisarz siedzi w

swoim gabinecie i pracuje. Pokrótce wyjaśnił, w jaki sposób odkrył list przesłany autorowi przez wydawcę i zapewnił, że został on napisany ręką mordercy. Weiss nie przypominał sobie listu i w milczeniu słuchał, gdy Fabel czytał.

– Jest pan przekonany, że autor listu ma coś wspólnego z tymi zabójstwami? – zapytał, kiedy Fabel skończył.

– Owszem. To jedna i ta sama osoba. Czy dostrzega pan tu coś, co mogłoby mieć znaczenie? Na przykład wspomnienie o Dorothei Viehmann?

– Dorothea Viehmann! – wykrzyknął Weiss poirytowany. – Źródło niemieckiej mądrości ludowej, przed którą Jacob Grimm padał na kolana. Podobnie jak pański pomylenieć.

– A nie powinien?

– Co się z nami, Niemcami, dzieje? Ciągłe poszukujemy własnej tożsamości, chcemy się dowiedzieć, kim jesteśmy, i ciągle uzyskujemy niewłaściwą odpowiedź. Bracia Grimm otaczali Viehmann czią i jej wersje baśni traktowali jak ewangelię, dosłownie ją zapisując. Ale Viehmann miała jeszcze nazwisko pańskie: Pierson. To francuskie nazwisko. Rodzice Doro-

thei Viehmann zostali wydaleny z Francji, gdyż byli protestantami, hugenotami. Twierdziła, że jej opowieści mają rodowód niemiecki, a zasłyszała je od podróżnych udających się do lub z Kassel. Tak naprawdę wiele tych historii jest pochodzenia francuskiego, a zapamiętała je z dzieciństwa. To są te same baśnie, które sto lat wcześniej spisał Charles Perrault. Zresztą Dorothea nie była jedyna. Pojawiła się też tajemnicza Maria, która zyskała uznanie za bajki o Królowie Śnieżce, Czerwonym Kapturku i Śpiącej Królowie. Syn Wilhelma Grimma twierdził, że to była stara służąca. Tymczasem okazało się, że Maria to bogata, młoda dama Marie Hassenpflug, również pochodząca z francuskiej rodziny, a bajki znała z opowieści swojej francuskiej niani. Weiss się roześmiał. – Rodzi się więc pytanie: czy Śpiąca Królowa to *Dornröschen* czy *la belle au bois dorman*? A Czerwony Kapturek to *Rotkäppchen* czy *le petit chaperon rouge*? Jak już mówiłem, wciąż poszukujemy swojej tożsamości i z całą pewnością wszystko schrzanimy. Nauczyliśmy się polegać na obcych; to oni nam mówią, kim jesteśmy.

– Nie sądzę, żeby tym psycholem kierowały motywy patriotyczne. – Fabel nie zamierzał słuchać dalej

wywodów Weissa. – Chcę tylko wiedzieć, czy pana zdaniem może być coś znaczącego w tym, że wspominał w liście o Dorothei Viehmann.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Fabel wyobraził sobie ogromną postać pisarza w jego eleganckim gabinecie.

– Nie. Nie sędzę. Ofiarami mordercy były zarówno kobiety, jak i mężczyźni, prawda?

– Tak. Najwyraźniej jest zwolennikiem równouprawnienia.

– Jediną znaczącą rzeczą może być wzmianka o tym, że bracia Grimm uważali Dorotheę Viehmann za niezwykle cenne źródło starych mądrości, a kobiety w ogóle za ostoję tradycji, dzięki nim ustne przekazy się zachowały. Być może morderca skupia swoją uwagę na kobietach, szczególnie na starszych kobietach. – Po drugiej stronie słuchawki ponownie zapadła cisza. – W tym liście niepokoi mnie jedna rzecz. Naprawdę bardzo mnie niepokoi. Chodzi mi o sposób, w jaki się podpisał.

– Baśniowy brat?

– Tak... – Fabel wyczuł w głosie Weissa niepokój.

– Baśniowy brat. Jak pan zapewne wie, Jacob zmarł

cztery lata wcześniej niż brat. Wilhelm wygłosił nad jego grobem płomienną mowę. Nazwał go w niej baśniowym bratem. Cholera, Fabel, ten maniak sądzi, że tkwimy w tym obaj.

Nadkomisarz wziął głęboki wdech. A więc w te morderstwa były uwikłane dwie osoby. Tyle tylko, że jedna z nich, Weiss, nic o tym nie wiedziała.

– Tak, panie Weiss. Obawiam się, że ma pan rację. Niech pan zobaczy, pańska teoria o urzeczywistnieniu się fikcji okazała się prawdziwa.

– I co z tego?

– Cóż, udało mu się wpisać pana w jego opowieść.

Środa, 21 kwietnia, 9.48.

Instytut Medycyny Sądowej, Eppendorf, Hamburg

Fabel nie znosił prosektorium.

Nienawidził uczestniczyć w autopsji. Nie była to tylko naturalna fizyczna odraza, która sprawiała, że żołądek podchodził mu do gardła. Raczej było to zdziwienie, że w niewytłumaczalny sposób istota ludzka nagle stawała się kawałkiem mięsa. Chodziło o ten bezruch śmierci: natychmiastowe, kompletne i nieodwracalne zniszczenie osobowości. W wypadku każdego morderstwa Fabel starał się zachować w pamięci jakiś żywy obraz zamordowanego, tak jakby on wciąż żył i teraz znajdował się w innym pokoju. Ofiary pozostawały dla niego osobami skrzywdzonymi, którym należała się sprawiedliwość. Nawet oglądanie zdjęć ze śmiertelnymi ranami czy oględziny miejsca zbrodni nie mogły umniejszyć ich człowieczeństwa. Ale patrzenie na to, jak zawartość żołądka ofiary łąduje na talerzu wagi, sprawiało, że ofiara, niegdyś człowiek, stawała się tylko martwym ciałem.

Möller był w formie. Kiedy nadkomisarz wszedł do

sali prosektoryjnej, doktor zmierzył go lekceważącym spojrzeniem. Miał wciąż na sobie niebieski kombinezon, który zakładał do sekcji, a jednorazowy jasnoszary fartuch nosił ślady krwi. Stół prosektoryjny wykonany ze stali nierdzewnej był już pusty, a Möller uparcie splukiwał go wężem. Coś wisiało w powietrzu. Fabel odkrył już dawno temu, że to nie dusze zmarłych straszą, tylko zapach ich ciała. Möller dopiero co skończył swoją wyprawę w głąb czegoś, co do niedawna było istotą ludzką, Berndem Ungererem.

– To ciekawe – powiedział Möller wpatrzony w zabarwioną na różowo wodę, spływającą do rynienki ściekowej. – Bardzo interesujące.

– Co takiego? – zapytał Fabel.

– Oczy zostały wyłupione po śmierci. Zgon spowodowało pojedyncze pchnięcie nożem w klatkę piersiową. Klasyczne tuż pod mostkiem, zadane z góry, prosto w serce. Morderca przekręcił nóż w ranie o czterdzieści pięć stopni, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Ten ruch uszkodził serce i ofiara zmarła w kilka sekund. Przynajmniej nie cierpiał i nie wiedział, co później stało się z jego oczami. A propos oczu, zostały wyłupione rękami. Nie ma śladu użycia jakiegokol-

wiek narzędzia. – Möller zakręcił wodę i usiadł na brzegu stołu. Nie ma też żadnych śladów obrony. Żadnych zadraśnień czy ran na rękach i przedramionach, żadnych śladów przemocy, śladów walki.

– To znaczy, że ofiara została kompletnie zaskoczona albo знаła mordercę.

Möller wyprostował się.

– To pańska teoria, panie nadkomisarzu. Ja mówię tylko o faktach, pan wyciąga wnioski. Ale ten człowiek był interesujący także z innych powodów.

– Czyżby? – Fabel z trudem powstrzymywał się, by nie pospieszać Möllera.

– Zaczniemy od tego, że pan Ungerer miał siwe włosy, które ufarbował na czarno, czego nie zrobił nasz ukochany kanclerz. Bardziej zainteresowało mnie jednak to, co znalazłem pod czaszką. Wasz morderca niespecjalnie skrócił mu życie. No, może o kilka miesięcy.

– Ungerer był chory?

– Śmiertelnie. Pewnie nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Olbrzymi glejak mózgu. Nowotwór. Wielkość wskazuje na to, że rósł od dłuższego czasu, a umiejscowienie mogło stwarzać mylne symptomy.

– Można stwierdzić, czy był leczony?

– Z tego, co widziałem, nie był. Brak śladów typowego leczenia onkologicznego, choćby kortyzonem, który zwykle się podaje, by zmniejszyć obrzęk. Ale, co ważniejsze, nie ma śladu interwencji chirurgicznej, którą w takich wypadkach można by zaproponować. Muszę przeprowadzić pełne badanie histopatologiczne guza, ale na pierwszy rzut oka wygląda mi to na gwiaździaka, nowotwór pierwotny. Ponieważ było to ognisko pierwotne, nic nie wskazywało na rozwój choroby. Nowotwory mózgu mogą być przerzutami z innych organów, ale nie w tym wypadku. A teraz okrutna dla pana wiadomość – był w wieku, kiedy najczęściej się to przydarza. Wyjątkowo złośliwe nowotwory pierwotne dotyczą najczęściej mężczyzn w średnim wieku.

– Ale przecież musiał mieć jakieś objawy. Bóle głowy?

– Być może, choć niekoniecznie. Mózg to jedyna część ciała zupełnie otoczona kością. Gdy guz narasta, zwiększa się ciśnienie w czaszce. Może to wywoływać bardzo silne bóle głowy, ale nie zawsze. Jak już mówiłem, umiejscowienie nowotworu u pana Ungerera było takie, że pomimo szybkiego wzrostu guza, uszkodzenia

mózgu następowały stopniowo. Stąd też symptomy mogły nie być bardzo wyraziste.

– Jakie symptomy?

– Zmiany osobowościowe. Zmiany zachowania. Mógł stracić zmysł zapachu lub przeciwnie, czuć jakieś ostre zapachy tam, gdzie ich nie ma. Mógł odczuwać kłucie w jednym boku albo nagle przyływy mdłości. Innym symptomem mogą być nagle wymioty bez poprzedzającego ich uczucia mdłości.

Fabel się zastanawiał nad tym, co powiedział mu Möller. Pamiętał, co mówiła Maria po rozmowie z panią Ungerer i jak opisała zmiany osobowości Ungerera. Nienasycony apetyt na seks, wierny, kochający mąż zmienia się w lubieżnego rozpustnika i cudzołożnika, „Sinobrodego”. I ten mrozący krew w żyłach opis „zakazanej” piwnicy z tajemniczą skrzynią. Oto kolejne odniesienie do baśni. Co prawda francuskiej, spisanej przez Perraulta, ale mającej swój odpowiednik w zbiorze braci Grimm. Morderca musiał znać Ungerera. A przynajmniej wiedzieć o nim dostatecznie dużo, by wybrać go na bohatera kolejnej baśni.

– Czy mogło się to objawiać nietypowymi zachowaniami seksualnymi? – Przekazał w skrócie Möllero-

wi to, co wiedział o gwałtownej zmianie, jaka zaszła w postępowaniu Ungerera.

– Jak najbardziej – odpowiedział doktor. – Tego rodzaju zmiany w sferze seksualnej mogą być konsekwencją rozwoju nowotworu. Zwykło się uważać, że seks to czysta fizjologia. Nieprawda. Wszystko odbywa się tutaj. – Möller postukał palcem w skroń. – Wystarczy zmiana struktury lub właściwości chemicznych komórek mózgowych, a takich zmian potrafi dokonać nowotwór, i zmienia się cała osobowość człowieka. Dlatego jest całkiem możliwe, że wskutek choroby ten mężczyzna stał się lubieżnym potworem.

Kiedy wracał samochodem do komendy policji, słońce rozświetliło niebo nad Hamburgiem. Czuć było nadchodzące lato. Fabel nie zwrócił na to uwagi. Bez przerwy myślał o mrocznej obecności szaleńca, który zabijał i okaleczał w poszukiwaniu jakichś chorych wartości. Był tu gdzieś, blisko. Tak blisko, że nadkomisarz prawie czuł jego obecność.

Czwartek, 22 kwietnia, 21.30.

Altona, Hamburg

Kiedy Lina Ritter wbiła się w swój kostium, stwierdziła, że już jest za stara na uprawianie dotychczasowej profesji. Jej kariera trwała piętnaście lat i teraz mając trzydzieści cztery lata, czuła się zmęczona. Najwyższy czas powiedzieć dość. To jest zajęcie dla młodszych kobiet. Była zmuszona ciągle się specjalizować, by dogadzać coraz dziwniejszym żądaniom i gustom osobliwych klientów. Jej wiek najlepiej pasował do roli dominy. W większości wypadków nie musiała sypiać z klientami, wystarczyło przez pół godziny przywoływać do porządku jakiegoś grubego biznesmena, dać klapsa, jeśli zbyt wolno wypełniał polecenia i powtarzać mu, jaki jest niedobry i jak bardzo jesteś na niego zła, że walił konia. Zapłata była godziwa, ryzyko dla zdrowia mniejsze, a klienci, jako jej poddani, potrafili nawet posprzątać mieszkanie. Dzisiaj będzie trudniej. Od faceta, który ją sobie zamówił, dostała jako zaliczkę zwitek banknotów. Umówił się z nią na wieczór i zaznaczył, że musi być ubrana w kostium, który jej dał. Kiedy patrzyła na ten cholernie dziwny kostium, wie-

działa już, że tym razem rola dominy nie wchodzi w grę i z rezygnacją przyjęła do wiadomości, że będzie się musiała z tym wielkim facetem pieprzyć.

Przyjechał punktualnie, czekał na nią teraz w sypialni, podczas gdy ona wciskała się w kostium, który został uszyty na kogoś, kto nosił ubrania o jeden czy dwa numery mniejsze niż Lina. Czego to dziewczyna nie musi robić, żeby zapewnić sobie utrzymanie. Lina zapomniała już, jak wielki jest jej klient. Wielki, ale spokojny. Może nawet nieśmiały. Nie sprawi jej żadnego kłopotu.

Weszła do sypialni i okręciła się w kółko.

– Podoba ci się? – Spojrzała na niego i zatrzymała się w połowie obrotu. – Och, ty też masz specjalny kostium...

Stał obok łóżka. Pogasił wszystkie światła prócz małej lampki na nocnej szafce i stał w półmroku. Jego olbrzymia postura sprawiała, że wszystko w pokoju wydawało się małe. Twarz skrywała dziecięca, niepasująca wielkością, maska wilka. Zbyt ciasna, rozciągnięta na wielkiej głowie, miała zdeformowane poszczególne elementy i wyglądała raczej jak karykatura wilczego łba. Po chwili Lina zdała sobie sprawę, że to,

co wzięła za obcisły kostium, w rzeczywistości jest tatuażem. Pokrywał całe ciało mężczyzny, od stóp do głów, a nawet ramiona. To były jakieś słowa zapisane pismem gotyckim. Stał tak milczący, potężny, z tą idiotyczną maską na twarzy. Lina poczuła strach.

– Przyniosłem ci prezent, Małgosiu – odezwał się głosem zniekształconym przez gumową maskę.

– Małgosiu? – Lina spojrzała na swój kostium. – To przecież nie jest kostium Małgosi.

Powoli kiwał głową. Wyciągnął rękę, w której trzymał niebieskie pudełko przewiązane żółtą wstążką.

– Przyniosłem ci prezent, Małgosiu – powtórzył.

– Och, dziękuję. Lubię prezenty – odpowiedziała Lina z kokieterijną uprzejmością i wzięła pudełko. Starła się opanować drżenie palców, gdy rozwiązywała wstążkę. – Zaraz... co my tu mamy? – powiedziała, podnosząc wieczko i zagładając do środka.

Kiedy krzyk Liny wypełnił pokój, mężczyzna znalazł się przy niej błyskawicznie.

Czwartek, 22 kwietnia, 21.30.
Komenda Główna Policji, Hamburg

Fabel stał oparty o biurko przodem do wiszącej na ścianie tablicy. Patrzył na nią i nie wiedział, czego szuka. W pokoju był jeszcze Werner, który siedział z boku. Wydawał się przygnębiony, miał opuszczone ramiona i bladą twarz.

– No i dzień się skończy! – powiedział Fabel. – Twój pierwszy dzień w pracy, i tyle wydarzeń.

– Ze mną wszystko okej – odparł bez przekonania Werner, zbierając się do wyjścia.

– Do zobaczenia jutro. – Fabel odprowadził wzrokiem kolegę i wrócił do studiowania tablicy. Morderca odgrywał rolę Jacoba Grimma, korzystającego z wiedzy Dorothei Viehmann. A od kogo on czerpał wiedzę? Kto jemu opowiadał bajki? Stara kobieta? Matka?

Fabel przypatrywał się zdjęciom Weissa, Olsena i Fendricha. Matka Weissa była wpływową Włoszką. O rodzicach Olsena nie wiedział nic, za to Fendrich był mocno związany z matką. Zmarła na krótko przed tym, jak rozpoczęła się seria zabójstw. Weiss i Olsen znaj-

dowali się w tej chwili poza kręgiem podejrzanych, pozostawał więc Fendrich. Ale więcej przemawiało za tym, że jego też należy wykluczyć. Ponownie przyjrzał się trzem mężczyznom. Wyglądało na to, że żaden z nich nie jest tą właściwą osobą. Nagle Fabel spostrzegł, że tuż obok stoi Anna Wolff.

– Cześć, Anno. Skończyłaś z Olsenem? – zapytał. Anna niecierpliwie pokręciła głową. Wzięła do ręki fotografię ostatniej ofiary, Bernda Ungerera.

– Mamy powiązanie. – W głosie Anny wyczuł napięcie. Olsen rozpoznał Ungerera. On go zna.

Olsen wciąż siedział przy stole w pokoju przesłuchań, ale teraz jego zachowanie, cała mowa ciała, uległy zmianie. Był podekscytowany, nawet chwilami agresywny. Towarzyszący mu prawnik nie wyglądał na zadowolonego. Cokolwiek by mówić, nieustępliwa, drobna Anna Wolff maglowała ich cztery godziny.

– Zapewne zdaje pan sobie sprawę, panie nadkomisarzu, że próbując pomóc wam w śledztwie, mój klient ryzykuje tym, że bardziej się pograży.

Fabel kiwnął zniecierpliwiony głową.

– Posłuchajmy, co pan Olsen ma nam do powiedze-

nia o swoich związkach z panem Ungererem.

– Nie miałem z nim żadnych związków. – Chłopak wzruszył ramionami. – Po prostu widziałem go kilka razy. Był handlowcem. Zwykły wazeliniarz.

– Gdzie go pan widział? – zapytała Anna.

– W piekarni Albertus. Sprzedawał włoskie maszyny do wyposażenia piekarni. Cholerne dzieła sztuki. Całymi miesiącami chodził wokół Markusa Schillera i namawiał go do kupna nowych pieców. Obaj dobrze się dogadywali, jeden i drugi to lizusy. Ungerer często zabierał Schillera na lunch do drogich restauracji. Z tego, co wiem, najwięcej do powiedzenia miała żona Schillera. To były jej pieniądze i to ona rządziła.

– Dokładnie, gdzie i kiedy go pan widział?

– Kilka razy, kiedy przyjeżdżałem po Hannę do piekarni.

– Całkiem sporo pan o nim wie, jak na człowieka, który widywał go tylko przelotnie.

– Hanna mi o nim opowiadała. Próbował ją podebrać. Za każdym razem, gdy tylko się pojawił. Był żonaty, ale miał opinię kobieciarza. Kanalia – tak opisywała go Hanna.

– Nigdy pan z nim nie rozmawiał?

– Nie. Miałem się z nim rozmówić, ale Hanna prosiła, żebym dał sobie spokój. Zdążyła już się poskarżyć na Ungerera swojemu szefowi.

– Hanna nie miała z nim nic wspólnego?

– Nie. Mówiła, że przyprawiał ją o gęsią skórkę tym swoim spojrzeniem. Wybaczcie, ale nie widzę żadnej różnicy między Ungererem i Schillerem. Ośli-gzłe mendy. Ale Hanna coś w Markusie widziała.

Fabel, który do tej pory pozwolił Annie prowadzić przesłuchanie, pochylił się teraz w przód na krzesło.

– Peter, jesteś powiązany z trzema osobami spośród pięciu ofiar mordercy... – Przerzucił leżące na stole fotografie i położył przed nim zdjęcia Pauli Ehlers, Marthy Schmidt i Laury von Klosterstadt. – Czy rozpoznajesz którąś z nich?

– Modelka. Znam ją. To znaczy, słyszałem o niej. Jest sławna. Ale tych dwu nie znam.

Nadkomisarz obserwował Olsena. Albo mówił prawdę, albo musiał być doskonałym kłamcą. Nie wyglądał na takiego. Podziękował przesłuchiwanemu oraz mecenasowi i kazał odprowadzić chłopaka do celi.

W pokoju pozostali Fabel i Anna. Znaleźli wreszcie jakieś powiązanie. Pojawił się jakiś trop, mogli ruszyć

tym śladem. Niestety, brakowało dalszych powiązań, które pozwoliłyby im zbliżyć się do rozwiązania zagadki.

Fabel zadzwonił do matki. Porozmawiał z nią chwilę, a potem poprosił do telefonu Susanne. Wyjaśnił, że wysłał kopię listu do Instytutu Medycyny Sądowej, ale przeczytał jej teraz list, zwracając uwagę na wzmiankę o Dorothei Viehmann i na podpis „baśniowy brat”. Przekazał również pokrótce to, czego dowiedział się od Weissa.

– Jest to możliwe – powiedziała Susanne. – Matka albo jakaś inna starsza kobieta była postacią dominującą w otoczeniu mordercy. Z drugiej strony podpis sugeruje, że istotną rolę w jego życiu musiał odgrywać brat, a teraz jego wspomnienie przenosi na Weissa. W środę, kiedy będę w instytucie, przyjrę się listowi dokładniej, ale nie sądzę, żeby udało mi się więcej z niego wyczytać. A jak ty się czujesz? Wydaje mi się, że jesteś zmęczony.

– Znużenie podróżą i brak snu – odparł. – A ty, dobrze się bawisz?

– Twoja matka jest fantastyczna. Zdążyliśmy dobrze się poznać z Gabi. No i tęsknię do ciebie.

Fabel uśmiechnął się. To miłe, gdy ktoś tęskni.

– Ja też tęsknię, Susanne. Zobaczymy się w środę.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Annę, która uśmiechała się szeroko, a jej mina mówiła: „Och, jak słodko”. Fabel zignorował ten uśmiech.

– Anno... – zapytał z namysłem – wiesz, na co zmarła matka Fendricha?

– Mhmm.

– Skąd wiesz?

– Powiedział mi. Nie sprawdzałam tego, bo dlaczego miałby kłamać? – Anna umilkła i nad czymś się zastanawiała. Wreszcie w jej zmęczonych oczach rozbłysły iskierki. Sprawdzę, szefie.

Piątek, 23 kwietnia, 7.30.
Ohlsdorf, Hamburg

Poprzedniej nocy Fabel wrócił do domu bardzo późno. Był zmęczony aż tak, że nie mógł zasnąć. Siedział długo i robił to, co zdarzało mu się wyjątkowo rzadko: oglądał telewizję. Słuchał wiadomości, które Ludger Abeln czytał płynnie w języku dolnosaksońskim na kanale Norddeutscher Rundfunk. Głos spikera uspokajał go, przypominał dom rodzinny i język, w którym tam mówiono. Przypomnił sobie, jak tłumaczył Susanne, że jego małą ojczyzną jest Hamburg, że tam właśnie jest jego miejsce. Ale teraz, zmęczony i niewyspany, czuł, jak język dzieciństwa otula go niczym najmniejszy koc.

Po wiadomościach Fabel zaczął bez celu przeskakiwać po kanałach. Na 3-SAT leciał „Nosferatu”, klasyczny horror ekspresjonisty FW. Murnaua. Usiadł i patrzył, jak czarno-biały blask telewizora rozświetla pokój, a wampir Orlok, grany przez Maksa Schrecka zbliża się powoli w jego kierunku. Kolejna bajka. Jeszcze jedna straszna opowieść o walce dobra ze złem. Przypomnił sobie, że ta historia także została przez

Niemców zapożyczona. Murnau postąpił bezwstydnie, dokonując plagiatu powieści irlandzkiego pisarza, Brama Stokera. Książka tego autora nosiła tytuł „Dracula”. Wdowa po Stokerze wygrała proces, wytoczony Murnauowi i wszystkie, prócz jednej, kopie filmu zostały zniszczone. Kiedy patrzył na złowrogą postać Orloka, który zesłał na miasto plagę, przypomniał sobie słowa piosenki zespołu Rammstein, której słuchał w mieszkaniu Olsena. Grimm, Murnau, Rammstein: inne pokolenia, te same baśnie.

Weiss miał rację. Wszystko pozostawało takie samo. Nadal potrzebowaliśmy baśni, by się bać.

Fabel położył się do łóżka około drugiej.

Przez całą niespokojną noc coś mu się śniło. Susanne twierdziła, że nieustanne marzenia senne są objawem stresu i oznaczają, że umysł próbuje we śnie uporządkować i rozwiązać problemy zarówno osobiste, jak zawodowe. Fabla najbardziej irytowało to, że nie pamiętał, co mu się śniło. Nocne marzenia zniknęły w chwili, gdy o piątej trzydzieści rozległ się dźwięk telefonu. Dzwoniła Anna Wolff.

– Dzień dobry, szefie. Niech pan zapomni o śniada-

niu. Ten bydlak znów to zrobił. – Anna była jak zwykle bardzo bezpośrednia, co chwilami mogło wyglądać na brak szacunku. – Poza tym chyba znalazłam gałki oczne Bernda Ungerera. Aha, jest też jeszcze zapasowa para oczu...

Ponad połowę obszaru dzielnicy Ohlsdorf zajmował park. Największy zielony obszar w Hamburgu, ponad czterysta hektarów drzew, pieczołowicie zadbanych ogrodów i wspaniałych rzeźb. Miejsce, dokąd mieszkańcy Hamburga przychodzili odetchnąć świeżym powietrzem. Park ten pełni zarazem bardzo specyficzną funkcję. Jest to największy na świecie cmentarz. Piękne rzeźby zdobią mauzolea, nagrobki i mogiły zmarłych hamburczyków. Prawie pół miliona grobów oznacza, że praktycznie każda rodzina w Hamburgu ma tu kogoś bliskiego.

Kiedy nadkomisarz dojeżdżał na miejsce, na rozjaśnionym niebie nie było ani jednej chmurki. Policjant z miejscowego posterunku poprowadził go Cordesallee, główną aleją biegnącą przez cały park, tuż obok wieży wodnej i dalej ku olbrzymiej przestrzeni cmentarza. Wzdłuż alei ciągnął się szpaler drzew, na których poja-

wiły się już pierwsze wiosenne liście. Na Fabela, podążającego w kierunku miejsca, gdzie znaleziono zwłoki, niemo spoglądały z nagrobków figury z białego marmuru i czerwonego granitu. Byli już tam Anna i Holger Brauner ze swoją ekipą dochodzeniową. Przywitali się z ponurymi minami.

Kobieta leżała na plecach z rękami złożonymi na piersiach; zupełnie, jakby spała. Nad jej głową wznosiła się duża rzeźba kobiety-aniola, spoglądająca w dół, z ręką wyciągniętą w stronę martwego ciała. Fabel rozejrzał się wokół. Wszystkie rzeźby w okolicy wyobrażały kobiety, na nagrobkach też widniały tylko żeńskie imiona.

– To jest Garten der Frauen – wyjaśniła Anna. Cmentarz dla kobiet. Fabel był pewny, że zabójca chciał im znów coś powiedzieć. Spojrzał jeszcze raz na martwą kobietę. Ułożenie ciała przypominało pozycję, w jakiej znaleźli Laurę von Klosterstadt. W przeciwieństwie do niej, ta kobieta miała ciemne włosy, urodę raczej przeciętną i nie była naga.

– Co to za kostium? – zapytała Anna.

– To tradycyjny strój kobiet z północnych Niemiec. Takie kostiumy kobiety zakładały na festyny –

wyjaśnił Fabel. – Na przykład na festyn Finkwarder Speeldeel.

Annie niewiele to mówiło.

– A oto oczy. – Anna wskazała na piersi kobiety i leżące tam cztery bryłki czerwono-białej tkanki. – Mamy nadmiar bogactwa. Przede wszystkim, o jedną parę oczu za dużo.

Fabel dokładnie przyjrzał się zwłokom kobiety. Na głowie miała tradycyjny czerwony czepek, obszyty białą koronką i zawiązany pod brodą. Ubrana była w białą bluzkę z bufiastymi rękawami i czarny dopasowany gorset zdobiony złotym i czerwonym haftem. Ramiona okrywał szal w żywych kolorach. Gorset był pobrudzony przez leżące na nim gałki oczne. Czerwoną, długą do kolan spódnicę prawie w całości zakrywał biały haftowany fartuch. Na nogach miała grube białe pończochy i czarne buty na niskim obcasie. Obok ciała leżał wiklinowy koszyk, a w nim duży bochen chleba.

– Ten kostium musiał należeć do jakiegoś zespołu folklorystycznego, albo był przekazywany z matki na córkę – powiedział Fabel. – Wiemy już, kim była ta kobieta?

Anna pokręciła głową.

– A więc musimy rozpowszechnić jej zdjęcie. Może ktoś z zespołu folklorystycznego rozpozna ją albo ten strój.

– Spójrz na czepek, szefie. – Anna wręczyła Fablovi przezroczystą torebkę z kolejną żółtą kartką papieru w środku. W bladym świetle poranka przeczytał: „Czerwony Kapturek”.

– Cholera. – Oddał torebkę Annie. – Jeśli go nie dorwiemy, ten drań przerobi cały zbiór baśni. Czas pomiędzy kolejnymi zabójstwami jest coraz krótszy, ale scenki są tak samo perfekcyjnie przygotowane. Musiał to wszystko już dawno zaplanować.

– A oczy, szefie? Co z oczami? Mamy jedną parę nadprogramową. To znaczy, że jest jeszcze jedna ofiara, o której nic nie wiemy.

– Chyba że to gałki oczne Pauli Ehlers, które do tej pory trzymał zamrożone.

– Nie sądzę. – Dołączył do nich Holger Brauner. – Dwie pary oczu, obie ludzkie, obie wylupione siłą. Obie podlegały procesowi wysuszenia, ale jedna para wyschła szybciej. Musiała zatem zostać wylupiona nieco wcześniej. Nie widzę jednak żadnych śladów, które wskazywałyby na próbę zamrażania czy konserwowa-

nia.

– To dlaczego nie znaleźliśmy drugiego ciała? – zapytała Anna.

Fabel pstryknął palcami.

– Mądry Jaś... psiakrew... To jest Mądry Jaś.

Anna patrzyła na niego, nic nie rozumiejąc.

– Ślęczę nad tymi cholernymi baśniami od kilku dni. Jest ich tak dużo, że mam w czym wybierać, ale zapamiętałem „Mądrego Jasia”. Nie wiem, czy Mądry Jaś to ten sam chłopiec, co bohater „Jasia i Małgosi”, ale dziewczynka w „Mądrym Jasiu” ma na imię Małgosia. Matka wysyła Mądrego Jasia kilka razy do Małgosi; ma jej dać prezent. Ale za każdym razem dzieje się tak, że Jaś wraca do domu z prezentem, który dostał od niej. Wreszcie matka daje mu najprostsze z możliwych zadanie. „Jasiu, dlaczego nie rzucisz dobrym okiem na Małgosię?” Innymi słowy, ma na nią spojrzeć czule. Być miłym. Ale Jaś traktuje polecenie dosłownie: idzie do obory i wylupia oczy wszystkim krowom i owcom. Następnie pojawia się u Małgosi i rzuca w nią tymi oczami.

– O cholera. – Anna spojrzała na ciało. – A więc to takie powiązanie... Tak jak połączył Śpiącą Królownę z

Rozspunką poprzez Laure von Klosterstadt, tak samo połączył Rozspunkę z Mądrym Jasiem przez osobę Bernda Ungerera.

– Dokładnie tak. A teraz mamy Czerwonego Kapurka.

Fabel przyjrzał się twarzy martwej kobiety. Miała grubą warstwę makijażu, co w zestawieniu z tradycyjnym strojem wyglądało dość osobliwie. Odwrócił się do szefa ekipy dochodzeniowej, Braunera i powiedział prawie błagalnym tonem:

– Holger. Cokolwiek, proszę. Daj mi jakiegoś haka na tego faceta. – Westchnął. – Anno, wracam do komendy. Kiedy tu skończysz, przyjedź do mnie.

– Okej, szefie.

Nadkomisarz ruszył w drogę powrotną Cordasallee. Rozśpiewały się ptaki. Czytał kiedyś, że park Ohlsdorf jest siedliskiem wielu rzadkich gatunków ptaków. Były tu też ogromne kolonie nietoperzy, zamieszkujących kaplice cmentarne. Cała okolica miała status rezerwatu przyrody. Tyle było życia w miejscu przeznaczonym dla zmarłych. Z zamyślenia wyrwało go głośne wołanie Anny.

– Szefie, szefie! Niech pan tu przyjdzie! – Machała

rękami w jego stronę. Kiedy przybiegł, ciała już nie było. Kobieta-anioł wciąż spoglądała w dół, ale jej ręka nie wskazywała teraz zwłok dziewczyny w tradycyjnym niemieckim stroju ludowym. Wyciągnięty palec anioła był skierowany wprost w białą, marmurową tablicę, z wyrytym nazwiskiem:

Emelia Fendrich. 1930-2003.

Piątek, 23 kwietnia, 10.18.

Hamburg Hafen, Hamburg

Maria, Werner, Henk Hermann i dwoje oficerów z wydziału przestępstw na tle seksualnym pojawili się w małym barku niedaleko doków, mniej więcej dziesięć minut po Fablu i Annie. Berek należał do Dirka Stellamanna. Chmury na niebie i ciężkie powietrze zwiastowały nadciągającą burzę. Dookoła nietypowo umiejscowionego barku stały stoły z parasolami, a w pobliżu wyrastał las portowych dźwigów, których strzeliste ramiona niczym korony drzew wyciągały się ku niebu. Dirk, kiedyś policjant w służbie czynnej, był, podobnie jak Fabel Fryzjczykiem i dlatego obaj gawędzili w swoim ojczystym języku. Fabel zamówił kawę.

Wymienili opinie na temat mało obiecującej pogody, zastanawiając się, czy zdążą wypić kawę, nim nadejdzie burza. Wreszcie nadkomisarz przeszedł do rzeczy.

– O co tu chodzi? Znajdujemy kolejną ofiarę, zamordowaną w taki sam sposób, jak poprzednie. Tyle że jej ciało leży na grobie matki jednego z naszych podejrzanych. Proszę o komentarz.

– Zaoszczędził mi przynajmniej pracy – zaczęła Anna. Nie muszę już sprawdzać, czy matka Fendricha rzeczywiście nie żyje. Władze dzielnicy Friedhof potwierdziły, że Emelia Fendrich faktycznie została pochowana sześć miesięcy temu, a adres w jej dokumentach był taki sam, jak jej syna – Rahlstedt.

Henk kiwnął głową. Rahlstedt leży blisko Friedhofu i graniczy z Ohlsdorfem.

– Więc co robimy? – zapytał Henk. – Bierzemy Fendricha na przesłuchanie?

– Na jakiej podstawie? – Anna się skrzywiła, jakby kawa była zbyt gorąca. – Że jego matka faktycznie nie żyje, a on nie skłamał?

Henk skwitował sarkazm Anny wzruszeniem ramion.

– Załóżmy, że to zbieg okoliczności. Ale arytmetyka jest nieubłagana: dwieście osiemdziesiąt tysięcy grobów, na których można by porzucić ciało, a tymczasem ląduje ono na tym jednym, w którym jest pochowana matka jednego z trzech podejrzanych. Przecież wiemy, że ten facet za każdym razem zostawia nam jakąś informację. Nic nie dzieje się przypadkowo.

– Musimy przynajmniej porozmawiać z Fendri-

chem odezwała się Maria. – Kiedy tylko ustalimy dokładną datę zgonu, musimy sprawdzić jego alibi.

– Holger Brauner wyduślił z doktora Möllera przybliżoną godzinę zgonu – mówił Fabel. – Między dwudziestą a północą. Zgadza się, musimy wiedzieć, co w tym czasie robił nauczyciel. Ale trzeba porozmawiać z nim umiejętnie. Nie chcę, żeby znowu groził, że nas oskarży.

– Poradzę sobie z nim – oświadczyła Anna. Wszyscy obrócili wzrok w jej stronę. – No, co? Potrafię zachować się dyplomatycznie.

– Okej. – Fabel celowo nie ukrywał niedowierzania w swoim głosie. – Ale nie wyprowadzaj go z równowagi.

– Czemu nie? – zaoponował Henk. – Fendrich to teraz numer jeden na naszej liście podejrzanych; ciało znaleziono na grobie jego matki...

– Jestem innego zdania – wtrąciła Anna. – Zniknięcie Pauli Ehlers zostało dobrze nagłośnione. Dla nikogo nie było tajemnicą, że policja przesłuchuje Fendricha. Pamiętajmy, że morderca najprawdopodobniej uprowadził i zabił Paulę. Zresztą założę się, że Fendrich nie będzie miał alibi.

– Dlaczego? – spytał Fabel.

– Ponieważ nie wiedział, że będzie mu potrzebne. A poza tym jest samotnikiem.

Fabel wziął łyk kawy i spojrzał w niebo. Jednolita stalowoszara pokrywa nieba wzbogaciła się teraz o cięższe, ciemniejsze chmury. Już zaczynał odczuwać zmianę ciśnienia, jaka zawsze towarzyszyła nadchodzącej burzy; zapowiadał to narastający, tępy ból zatok.

– Naprawdę nie wierzysz, że to mógł być on? – Patrzył pytająco na Annę.

– Wydaje mi się, że jego związek z Paulą Ehlers nie był całkowicie normalny, ale to nie on.

Fabel kciukiem i palcem wskazującym masował sobie czoło w okolicy zatok.

– Chyba masz rację. Celowo odwrócono naszą uwagę. Wszystkie działania mordercy są ze sobą powiązane. Każde kolejne zabójstwo łączy jedną baśń z drugą. On z nami gra. I objął prowadzenie. To, co robi, jest usystematyzowane. Rzucił nam wyzwanie ktoś świetnie zorganizowany i bardzo pomysłowy, każdy jego ruch jest przemyślany. Mam przeczucie, że zbliżamy się do końca. Zaczął od Pauli Ehlers i użył jej toż-

samości przy drugim zabójstwie, trzy lata później. Potem, w przypadku Marthy Schmidt, dziewczyny z Blankenese, dał nam tylko fałszywą tożsamość. Dopiero po zamordowaniu Laury von Klosterstadt zauważyliśmy, że umieścił Marthę jakby „pod” Laurą. Potem dostawaliśmy coraz więcej wskazówek. Chce, żebyśmy się domyślali, jakie będzie jego następne posunięcie, ale potrzebuje czasu na przygotowania. Dlatego próbuje skierować naszą uwagę na Fendricha.

– A jeśli się mylisz, szefie? – Werner oparł się łokciami o stół. – Jeżeli Fendrich to morderca i sam chce, żebyśmy go powstrzymali? Jeżeli to on sam mówi nam, że jest zabójcą?

– Dowiemy się tego, kiedy Anna i Hermann go przesłuchają.

– Pójdę sama, szefie – stwierdziła Anna. Henk nie wydawał się tym zaskoczony ani dotknięty.

– Nie, Anno – odparł Fabel. – Fendrich jest nadal podejrzany i nie pójdziesz sama do jego domu.

– Niech się pani nie obawia, komisarz Wolff – powiedział Henk. – To pani będzie prowadzić przesłuchanie.

– Tymczasem – mówił Fabel – musimy przeanaliz-

zować wszystkie informacje, których dostarczył nam zabójca. Gdzieś na północy niebo rozświetliło się nagle. Po kilku sekundach przetoczył się nad nimi potężny grzmot. – Powinniśmy chyba wrócić do komendy.

W komendzie czekało na Fabela wezwanie do biura naczelnika Horsta van Heidena. Wcale go to nie zdziwiło. W mediach nagłówki krzyczały: „Baśniowy morderca”. Dziennikarze i fotoreporterzy starali się pominąć biuro prasowe i atakowali bezpośrednio van Heidena. Jedna z ekip telewizyjnych posunęła się nawet do tego, że nachodziła naczelnika w domu – takie praktyki jeszcze dziesięć lat wcześniej były nie do pomyslenia. Wydawało się, że Niemcy zalewa „anglosaski model” uprawiania dziennikarstwa, któremu daleko do szacunku i uprzejmości. Van Heiden denerwował się brakiem sukcesu i potrzebował kogoś, na kogo mógłby zrzucić odpowiedzialność. Fabel zebrał siły i wszedł do gabinetu przełożonego.

Jak się okazało, naczelnik nie był nawet specjalnie wściekły, za to desperacko domagał się choć strzępu dobrej wiadomości. Fabel przypomniał sobie, jak sam błagał Holgera o jakąś dobrą nowinę. Kiedy Fabel zja-

wił się w gabinecie szefa, van Heiden nie był sam. Prócz ministra Hugona Ganza siedział tam jeszcze prokurator krajowy Heiner Goetz. Wstał na powitanie, uśmiechnął się ciepło i uścisnął dłoń Fabela. Obaj niejednokrotnie ścierali się ze sobą, głównie dlatego, że Goetz był wyjątkowo nieustępliwym i metodycznym prokuratorem, który nie tolerował chodzenia na skróty. Mimo że czasem Fabela denerwowało jego postępowanie, darzyli się wzajemnym szacunkiem, a nawet czymś na podobieństwo przyjaźni.

Ganz również uścisnął dłoń nadkomisarza, ale zdecydowanie mniej serdecznie. Aha, skończył się miesiąc miodowy. Przypuszczał, że po jego ostatniej wizycie Margarethe von Klosterstadt musiała zadzwonić do Ganza ze skargą.

– Panie nadkomisarzu – zaczął minister, nie dopuszczając do głosu van Heidena. – Jak rozumiem, to był pański pomysł, by ponownie przesłuchać panią von Klosterstadt?

Fabel nie odpowiedział. Zamiast tego spojrział pytająco na van Heidena, który również wolał milczeć.

– Przyzna pan, że obecnie rodzina von Klosterstadt przeżywa wyjątkowo trudne chwile.

– Równie trudne chwile przeżywa rodzina Schmidów i Ehlersów. Ale założę, się, że nie będzie dla pana stanowiło problemu, jeżeli ponownie ich przesłucham – oświadczył lodowatym tonem nadkomisarz.

Różowa twarz Ganzka pociemniała.

– Niech pan posłucha, panie Fabel. Już panu mówiłem, że jestem przyjacielem rodziny von Klosterstadt...

Fabel wszedł mu w słowo.

– A ja muszę panu powiedzieć, że zupełnie mnie to nie interesuje. Jeżeli przyszedł pan tutaj jako minister spraw wewnętrznych i chce pan rozmawiać na temat śledztwa, podchodząc do tego obiektywnie, to czuję się zaszczycony. Ale jeśli przysłano tu pana, żeby mnie zganić, dlatego że utarłem nosa pani von Klosterstadt, zadając jej kilka osobistych pytań dotyczących jej córki, to lepiej będzie, jeśli pan wyjdzie.

Widać było, jak w Ganzu narasta furia. Była to jednak bezsilna złość, bo wiedział, że Fabel ma rację. Wstał, odwrócił się do van Heidena i wrzasnął:

– To oburzające! Nie będę tu siedział i wysłuchiwał uwag jednego z pańskich młodych oficerów!

– Starszy nadkomisarz Fabel nie jest młodszym oficerem. – Van Heiden powiedział tylko tyle. Ganz zła-

pał teczkę i wypadł wściekły z gabinetu.

– Na miłość boską, Fabel – odezwał się van Heiden, kiedy ministra już nie było. – Czy nie mógłby pan spróbować nie utrudniać mi życia? Zrobienie sobie z senatora wroga wcale nie pomoże hamburskiej policji.

– Przepraszam, panie naczelniku, ale powiedziałem prawdę. Ganz został tu przysłany, bo odkryłem, że Laura von Klosterstadt dziesięć lat temu poddała się aborcji, do której zmusiła ją, bądźmy szczerzy, bezduszna matka. Laura była w ciąży z Leo Kranzem, fotografikiem. Wtedy jeszcze nie uzyskał rozgłosu, więc dla Margarethe von Klosterstadt ktoś taki był nie do przyjęcia.

– Czy to jest według pana istotne? – zapytał Heiner Goetz.

– Nie wprost. Niemniej jednak może sugerować, że morderca znał sekrety rodzinne von Klosterstadtów. Rzecz w tym, że temat „Roszpunki” zawiera w sobie wątek dotyczący ciąży i nieślubnego dziecka. A ja zastrzegam sobie prawo do zajmowania się wszystkimi wątkami.

– To oczywiste, panie Fabel – przyznał z ponurą

miną van Heiden. – Ale może zechciałby pan nieco inaczej traktować podejrzanych, a inaczej najważniejszych polityków w Hamburgu. A propos, co mamy w sprawie ostatniego zabójstwa? Ta sprawa trafia już na czołówki gazet.

Nadkomisarz przedstawił wszystkie fakty dotyczące śledztwa, łącznie z tym, jaki grób morderca wybrał do złożenia ciała. Wytłumaczył również, dlaczego uważa to posunięcie za zasłonę dymną.

– Ma pan rację, lepiej nie przesłuchiwać Fendricha w zbyt agresywny sposób – powiedział Heiner Goetz. – Sprawdziłem w prokuraturze Szlezwika-Holsztynu. Oprócz podejrzeń oficerów policji, nic na niego nie znaleźli. Nie chcę, żeby ciągał nas po sądach za nękanie.

Van Heiden usiadł na krześle, splótł dłonie, opierając się o blat biurka z drewna wiśniowego. Patrzył na Fabla, choć myślami błądził gdzieś daleko.

– Kiedy byłem dzieckiem, uwielbiałem baśnie braci Grimm. Zawsze podobało mi się w nich to, że są bardziej mroczne niż inne bajki. Brutalne. Pewnie dlatego dzieci je lubią. – Van Heiden pochylił się do przodu. – Musi go pan złapać, Fabel. Jak najszybciej. Przy jego

tempie zabijania nie mamy tygodni czy miesięcy na wyśledzenie go. On działa coraz szybciej.

Fabel pokręcił głową.

– Nie... On nie działa coraz szybciej, panie naczelniku. Wszystkie morderstwa zaplanował dużo wcześniej, może nawet kilka lat temu. On działa ściśle według planu.

Umilkł, choć widać było, że nie powiedział wszystkiego, co wie. Van Heiden podchwycił.

– Okej, Fabel. Posłuchajmy.

– To tylko przeczucia. I jest to kolejny powód, dla którego musimy go szybko złapać. Obawiam się, że to, co wydarzyło się dotychczas, było tylko preludium. On szykuje się do czegoś znacznie większego. Do wielkiego, spektakularnego finału.

*

Kiedy Fabel znalazł się z powrotem w biurze, wyjął z szuflady swój notatnik. Przerzucił kartki, na których podsumował wszystkie wcześniejsze zdarzenia i pochylił się nad czystą stroną. Zdawała się patrzeć na niego wyczekująco, aż zapisze ją nowymi przemyślenia-

mi. U góry wypisał tytuły wszystkich bajek, których użył morderca do odegrania swoich scenek. Poniżej znalazły się słowa, które łączyły się z tymi bajkami. Jak przewidywał, im bardziej zbliżał się do ostatniej ofiary: Czerwonego Kapturka, tym więcej zapisywał słów: tematów, imion, odnośników. Babcia. Macocha. Wiedźma. Wilk. Pisał i pisał, aż odezwał się dzwonek telefonu.

– Szefie, tu Maria. Możemy się spotkać w Instytucie Medycyny Sądowej? Policja rzeczna właśnie wyciągnęła z Łaby topielca. I jeszcze jedno, radzę zrezygnować z lunchu.

W Hamburgu każdy, kto umiera nagłą śmiercią, trafia do kostnicy Instytutu Medycyny Sądowej. Znalazły się tam również zwłoki mężczyzny wyłowione z Łaby. Specjalnie obciążone, wrzucono do rzeki.

Przekraczając próg kostnicy, Fabel poczuł charakterystyczny trupi zapach, wywołujący odrazę i lęk. Tutaj wszechobecny. To nie był tylko zapach śmierci, lecz także środków dezynfekujących, płynów do mycia podłóg: przyprawiająca o mdłości mieszanina. Jeden z pracowników doprowadził Fabela, Marię i komisarza z

policji rzecznej, który znalazł ciało, przez chłodne korytarze kostnicy, pełne stalowych szaf. Fabel z niepokojem spostrzegł, że policjant z coraz większą niechęcią szedł z nimi. Zatrzymali się przed jedną z szaf. Policjant, oczywiście, widział wcześniej ciało i najwyraźniej wolałby uniknąć ponownych oględzin.

– Trochę śmierdzi – ostrzegł pracownik i odczekał chwilę, by informacja dotarła do świadomości wszystkich obecnych. Następnie przekręcił klamkę, otworzył drzwi i wysunął metalową szufladkę, na której spoczywało ciało. Owionął ich przyprawiający o mdłości odór.

– Cholera! – Maria cofnęła się o krok, a policjant stojący obok nadkomisarza stężał. Fabel z trudem opamnował odruch wymiotny, gdy żołądek zaczął mu się wywracać na widok leżących przed nimi zwłok.

Nagi mężczyzna miał mniej więcej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Trudno było cokolwiek powiedzieć o jego budowie, czy nawet rasie, bo ciało było pod wpływem działania wody rozdęte i odbarwione. Większą część torsu pokrywały tatuaże, które na naciągniętej skórze nieco zbladły. Były to jakieś misterne wzory, a nie typowe rozebrane kobiety, serca,

czaszki, sztylety czy smoki. Wokół rozdętego torsu biegło głębokie zagłębienie; w tym miejscu skóra popękała. Mężczyzna miał długie, siwiejące włosy zaczesane do tyłu i związane w kucyk.

Podcięto mu gardło. Wokół śladu po śmiertelnym pociągnięciu ostrza, w kilku miejscach skóra na brzegu rany była poszarpana.

Najgorszy widok przedstawiała twarz topielca. Ciało wokół oczodołów i ust było porozrywane i postrzępione. Spod strzępów skóry połyskiwały kości. Brak warg sprawiał, że obnażone zęby zdawały się układać w uśmiech.

– Nie do wiary... Co się stało z jego twarzą? – zapytał Fabel.

– Węgorze – odparł policjant. – Zawsze w pierwszej kolejności dobierają się do zranionych miejsc. Dlatego uważam, że wyłupiono mu oczy, zanim utonął. Reszty dzieła dokonały węgorze. Znalazły prostą drogę do wnętrza głowy i źródła protein. To samo stało się z raną na szyi.

Nadkomisarz przypomniał sobie „Błaszany bębenek” Guntera Grassa: opis rybaka, który do połowu węgorzy używał jako przynęty głowy martwego konia.

Kiedy ją wyciągał z wody, w oczodołach roilo się od ryb. Fabel wyobraził sobie teraz tego mężczyznę wyciąganego z wody i uciekające stado węgorzy. Znów poczuł mdłości. Zamknął na chwilę oczy, poczekał, aż mu przejdzie i dopiero wtedy się odezwał:

– A ta deformacja wokół torsu? Co mogło ją spowodować?

– Lina owinięta ciasno wokół ciała – wyjaśniał policjant. Mamy spory kawałek. Przypuszczamy, że do niej przywiązany był jakiś ciężar. Lina musiała pęknąć albo ciężar się w jakiś sposób uwolnił. To sprawiło, że ciało wypłynęło na powierzchnię.

– Tak go znaleźliście? Nagiego?

– Tak. Żadnego ubrania, żadnych dokumentów, nic.

Fabel skinął głową do pracownika kostnicy i szuflada ze zwłokami zniknęła w metalowej szafie. Pozostał trupi odór.

– Jeśli nie macie nic przeciwko – powiedział Fabel – myślę, że lepiej będzie, jeśli wyjdziemy na zewnątrz.

Wyprowadził Marię i policjanta na parking. Nikt nie wypowiedział ani słowa, dopóki nie znaleźli się na zewnątrz i nie zaczerpnęli świeżego powietrza.

– Boże, to było straszne – odezwał się w końcu Fa-

bel. Wziął do ręki telefon komórkowy i zadzwonił do Holgera Braunera. Powiedział mu o tym, co odkryli i poprosił go o zrobienie testów DNA, które potwierdziłyby, czy oczy znalezione w Friedhofie należały do topielca. Skończył rozmowę i podziękował policjantowi. Kiedy zostali sami, zwrócił się do Marii:

– Wiesz, co oznacza lina i ciężarek?

– Tak – odparła. – Mieliśmy go nigdy nie znaleźć.

– No właśnie. Załóżmy, że oczy będą pasowały do ciała. Oznaczałoby to, że ofiara miała być tylko dawcą i zabito ją dla jej gałek ocznych.

– To możliwe.

– Owszem. Ale czy dodatkowa para oczu była aż tak bardzo potrzebna do odegrania tej scenki? Dlaczego nie wystarczyło użyć oczu Ungerera? Albo, jeśli już chciał mieć koniecznie więcej niż jedną parę, dlaczego dodał tylko jedną, a nie pięć?

Maria zmarszczyła brwi.

– Do czego zmierzasz?

– Do niczego. Po prostu wracamy do początku, kiedy jedynym podejrzanym był Olsen. Wiedzieliśmy, że miał motyw, by zamordować Gninn i Schillera, ale nie miał motywu do zabicia pozostałych. – Ruchem głowy

wskazał na Instytut Medycyny Sądowej. – Tamten człowiek nie zginął tylko dla oczu. Istnieje jakaś inna przyczyna. Musiał coś wiedzieć i dlatego zginął. I dlatego też nigdy nie mieliśmy odnaleźć jego ciała.

– Dlaczego? – Brwi Marii pozostały uniesione. – Co mógł wiedzieć?

– Może wiedział, kto stoi za tymi morderstwami? Może posiadał jakieś ważne informacje, które zdaniem zabójcy nie powinny do nas trafić? – Fabel oparł dłonie na biodrach i spojrzał na szare niebo. Zamknął oczy i znów potarł czoło. Niech ekipa dochodzeniowa spróbuje zebrać odciski palców i zrobi zdjęcia tatuaży. Niewykluczone, że będziemy musieli odwiedzić wszystkie salony tatuażu w Hamburgu. Musimy się dowiedzieć, kim był topielec.

Kiedy wracali do komendy rozszalała się burza, na którą zanosilo się cały dzień.

Poniedziałek, 26 kwietnia, 15.00.

St Pauli, Hamburg

Tak jak Anna przewidywała, Fendrich nie miał wiarygodnego alibi na noc, kiedy popełniono ostatnią zbrodnię. Nie mógł nawet powiedzieć, że oglądał telewizję. Wieczór spędził na czytaniu; przygotowywał się do lekcji. Był zupełnie wytracony z równowagi faktem, że zbezczeszczono grób jego matki. Fabel podejrzewał również, że Anna nie poprzestała na uspokajaniu Fendricha, że grób miał jedynie odwrócić uwagę od prawdziwego mordercy.

Dowiedzieli się też, do kogo należały gałki oczne. Testy DNA potwierdziły, że jedna para pochodziła od Bernda Ungerera, a druga od mężczyzny wyłowionego z Łaby. Holger Brauner przeprowadził także testy z użyciem włosów topielca. Badanie wykazało śladową ilość narkotyków w organizmie. Möller stwierdził, że przyczyną śmierci było pojedyncze, szerokie cięcie na szyi i że nie znaleziono wody w płucach. Ofiara została wrzucona do rzeki już po śmierci.

Zdobyli nakaz rewizji dwóch lokali. Pierwszym było mieszkanie Liny Ritter, prostytutki, której zagi-

nięcie zgłosiła siostra. Z dokumentów wynikało, że to ją znaleziono na cmentarzu Ohlsdorf, ubraną w tradycyjny, niemiecki strój ludowy.

Drugim lokalem był gabinet tatuażu w obskurnej części St Pauli. Nie musieli go długo szukać. Wszystkie komisariaty w Hamburgu dostały polecenie sprawdzenia salonów tatuażu w swojej okolicy, a także rozpytania, czy ktoś nie rozpoznaje tatuażu ze zdjęcia. Pewien młody aspirant nie zlekceważył faktu, że jedno studio pozostawało zamknięte, zaczął pytać sąsiadów. Nikt nie wiedział, gdzie może się znajdować Max Bartmann, ale wszystkim wydało się dziwne, że nie otwierał swojego salonu. Ten interes był całym jego życiem, a zresztą mieszkał nad salonem.

Salon był niewielki. Pojedynczy pokój z oknem wychodzącym na ulicę, które zostało zasłonięte fotografiami dokumentującymi talent tatuażysty. Przez kołaz składający się ze zdjęć ledwo przebijało światło dnia i żeby cokolwiek zobaczyć, Fabel musiał rozjaśnić pomieszczenie żarówką zwisającą z sufitu. Podziękował policjantom i poprosił, aby poczekali na zewnątrz. Pozostali tylko Fabel i Werner. Obok małego

stolika zawalonego starymi magazynami stały dwa podniszczone skórzane fotele. Pod ścianą leżanka i obrotowy stołek. Do brzegu stołu była przykręcona przegubowa lampa. Z gniazdka elektrycznego wystawał pęk przewodów prowadzących do metalowej skrzynki z przełącznikiem i dalej, do aluminiowego urządzenia do tatuowania. Trzy inne maszynki leżały na stole. Półkę ścienną zapełniały rzędy buteleczek z kolorowymi atramentami, szablony, igły, pudełko z rękawiczkami chirurgicznymi i sterylnymi wacikami.

Fabel włożył na dłonie lateksowe rękawiczki. Podobnie jak okno, ściany były pokryte próbkami, wzorami i zdjęciami zadowolonych klientów. Całe wieki zajęłoby przejście wszystkich zdjęć i dopasowanie tatuażu ze zdjęcia do tego na skórze denata. Tylko dwie rzeczy nie odnosiły się bezpośrednio do sztuki tatuażu: duży plakat z widokiem gór i morza, opatrzony napisem „Nowa Zelandia” i kartka, na której odręcznie flamastrem napisano regulamin obowiązujący w salonie: nie palić, nie przyprowadzać dzieci, nie pić, nie zażywać narkotyków, nie okazywać braku szacunku...

Fabel przyjrzał się dokładniej fotografiom. Nie wszystkie były zbliżeniami nowo wykonanych tatuaży.

Na niektórych dwie lub więcej osób pozowały do obiektywu, uśmiechając się szeroko i pokazując ramię z tatuażem. Jedna osoba była obecna na wszystkich fotografiach: szczupły, siwiejący mężczyzna, z włosami związanymi w kucyk. Miał wychudzoną twarz, zapadnięte policzki, wyglądał na alkoholika. Szczególną uwagę Fabla zwróciło jedno zdjęcie. Zostało zrobione latem, mężczyzna z kucykiem miał na sobie czarny podkoszulek, a obok niego stała tęga kobieta i pokazywała pełną pierś z wytatuowanym motywem kwiatowym. Ciało mężczyzny pokrywały tatuaże, choć nie tak barwne, jak na zdjęciach innych osób. Składały się głównie z deseni i wzorów.

– Werner... – zawołał Fabel, nie odrywając wzroku od fotografii. – Chyba znalazłem. Nie klienta, tatuażystę.

Na jednej ze ścian było przejście. Drzwi zostały zdjęte, zapewne aby powiększyć powierzchnię salonu, a w futrynie wisiała zasłona z kolorowych plastikowych pasków. Werner przeszukiwał dalej studio, a Fabel zajął się pozostałymi pomieszczeniami. Za zasłoną znajdował się mały kwadratowy hol. Po prawej stronie było pomieszczenie wielkości sporej szafy, z toaletą i

kabiną prysznicą. Na wprost wąska klatka schodowa ze schodami ostro skręcającymi dwukrotnie w prawo, prowadzącymi na piętro. Tam znajdowały się trzy niewielkie pokoje. Jeden stanowił połączenie kuchni z salonem. Całe umeblowanie stanowiła sofa i skórzany fotel, taki sam, jak w salonie, ale w dużo lepszym stanie. Poza tym stary model telewizora i wieża hi-fi. Drugi pokój był sypialnią. Tu stało tylko łóżko, obok, na podłodze lampka nocna, a na ścianie wisiała półka z książkami.

Ciasnota tego lokum sprawiała przygnębiające wrażenie. Było obskurne, ale czyste; Bartmann lubił porządek. Typowe mieszkanie samotnego mężczyzny: funkcjonalne i bezduszne. Fabel pomyślał o swoim mieszkaniu, eleganckich meblach, bukowym parkiecie, wspaniałym widoku za oknem. To była inna liga. A jednak łączyło je jakieś podobieństwo. Fabel, przebywając w nim, podjął decyzję co do swojego dalszego życia.

Zajrzał pod łóżko i znalazł tam dużą teczkę. W środku znajdowały się rysunki wykonane piórką, szkice ołówkiem i kilka pastel. Tematy były mało inspirowane: drzewa, budynki; obrazy wyglądały raczej

na wprawki, niż dzieła sztuki. Fabel uznał, że artysta miał doskonale opanowaną technikę malarską. Wszystkie rysunki nosiły inicjały M.B.

Odłożył teczkę i zajął się przeglądaniem książek. Wszystkie dotyczyły techniki tatuażu. Były tam podręczniki opisujące historię ozdabiania ciała, półporno-graficzne albumy z przykładami sztuki makijażu oraz instrukcje obsługi sprzętu do tatuowania. Na półce stały także trzy książki, które nie pasowały do pozostałych. Tytuł jednej z nich przyprawił Fabela o dreszcz emocji. „Baśnie braci Grimm”. Dwie pozostałe dotyczyły niemieckiej kaligrafii, a konkretnie pisma gotyckiego.

Takich książek nie spodziewał się na półce tatuażysty. Kolejne morderstwo, kolejne powiązanie z baśniami i kolejne ciało, które nigdy nie miało być odnalezione.

Fabel odłożył książki na bok. Zdawał sobie sprawę, że dopiero musi odkryć ich prawdziwe znaczenie. Wiedział także, że jest teraz o krok bliżej zabójcy. Wyjął z kieszeni telefon i wybrał z pamięci numer.

– Anno, tu Fabel. Mam nietypową prośbę. Zadzwoń do Fendricha i zapytaj go, czy ma jakikolwiek

tatuaž...

Wtorek, 27 kwietnia, 14.10.

Neustadt, Hamburg

Kiedy Fabel zadzwonił do Weissa, ten był bardzo uprzejmy i skłonny do pomocy, choć ledwie potrafił ukryć zniecierpliwienie. Wyjaśnił, że ma mnóstwo pracy – podpisuje swoją książkę i gromadzi materiały do nowej, którą zamierza napisać. Wybierał się właśnie do Neustadt, i zaproponował, żeby tam się spotkali około jedenastej trzydzieści.

– O ile nie ma pan oczywiście nic przeciwko przesłuchaniu na świeżym powietrzu – powiedział Weiss.

Nadkomisarz, jak zwykle, przyjechał dziesięć minut przed czasem i usiadł na ławce przy Peterstrasse, ulicy zamienionej w deptak. Zniknęły ostatnie pasma chmur i niebo odzyskało czysty błękit. Fabel nie mógł sobie darować, że włożył ciepłą marynarkę. Jak większość mieszkańców Hamburga charakteryzującego się zmienną pogodą miał zawsze problem z wybraniem odpowiedniego stroju. Musiał pozostać w marynarce, bo przy pasku nosił kaburę z bronią, wybrał więc ławkę, na którą padał cień drzew rosnących przy brukowanej ulicy. Stały tu pięć – i sześciopiętrowe barokowe

kamienice z fasadami pełnymi okien i szczytami w stylu holenderskim.

Chwilę po jedenastej trzydzieści w drzwiach domu numer 36, położonego na rogu Peterstrasse i Hütten, pojawiła się potężna sylwetka Weissa. Nadkomisarz znał ten budynek; jako student bywał tam regularnie. Kiedy Weiss się zbliżył, Fabel wstał i uścisnęli sobie ręce. Pisarz gestem dłoni zasugerował, żeby usiedli na ławce.

– Domyślam się, że pańska nowa książka również będzie dotyczyć tradycji literackich? – zagadnął Fabel.

Weiss uniósł pytająco krzaczastą brew, a Fabel wskazał budynek, z którego przed chwilą pisarz wyszedł.

– Biblioteka. Sądziłem, że szukał pan materiałów o literaturze dolnoniemieckiej. Sam spędzałem tu niegdyś sporo czasu...

– W czym mogę pomóc, panie nadkomisarzu? – W tonie jego głosu dało się wyczuć nutę niecierplivej poślizgniętości. Fabel udał, że tego nie dostrzegł, choć poczuł się dotknięty.

– Mamy stanowczo zbyt dużo zbiegów okoliczności w tej sprawie, panie Weiss. Podejrzewam, że mor-

derca czytał pańską ostatnią książkę, i że jej treść ma wpływ na jego postępowanie.

– A może po prostu i morderca, i ja korzystamy z tych samych źródeł, tyle że w odmienny sposób? Myślę tu o oryginalnych baśniach braci Grimm.

– Niewątpliwie, ale czuję tu także... – szukał odpowiedniego słowa – pewną swobodę. Dowolność interpretacji, jeśli pan woli.

– Czyli, innymi słowy, nie trzyma się ściśle fabuły książki?

– Właśnie. – Fabel przerwał. Obok przechodziła starsza kobieta i prowadziła na smyczy psa. – Dlaczego mi pan nie powiedział, że to pański brat wyrzeźbił figurę wilka?

– Ponieważ uważałem, że to nie pański interes. Albo że nie miało to nic wspólnego z tematem naszej rozmowy. Proszę mi zatem wyjaśnić, dlaczego uważa pan, że to jest pański interes. Czy pan mnie podejrzewa, panie Fabel? Chce pan poznać moje alibi? – W zmrużonych oczach Weissa pojawiły się groźne błyski. – Przejrzałem pańskie rozumowanie. Szaleństwo może być chorobą rodzinną, prawda? – Pochylił się nad Fablem. – Może ja też wyję do księżycyca?

Mimo chęci cofnięcia się, Fabel wytrzymał spojrzenie Weissa.

– Dobrze, założmy, że mam podstawy do podejrzeń. Ukazuje się pańska książka, a zaraz po tym następuje cała seria zabójstw, które naśladują jej fabułę. Co więcej, za sprawą tych morderstw zyskuje pan rozgłos; sprzedaż pańskiej książki rośnie. Już choćby to usprawiedliwia moje zainteresowanie pańską osobą.

– Rozumiem. Czyli znalazłem się nie tylko w blasku reflektorów, ale i w świetle policyjnych latarek? – Uśmiech, który się pojawił na twarzy Weissa, trudno by nazwać miłym. – Proszę powiedzieć, na jakie dni mam mieć alibi, a dostarczę panu żądanych informacji.

– Przygotowałem taką listę. – Nadkomisarz wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki złożoną na pół kartkę papieru. – Tu są daty i godziny. Tam gdzie to możliwe proszę podać dane osób, które mogłyby potwierdzić pańskie alibi.

Weiss zabrał kartkę i nawet na nią nie spojrzawszy, włożył do kieszeni.

– Zajmę się tym. Czy coś jeszcze?

Fabel pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. Patrzył jak kobieta z psem skręca w Hütten.

– Niech pan posłucha, panie Weiss. Jest pan niewątpliwie bardzo inteligentnym człowiekiem. Powiązania pomiędzy pańską książką a tymi morderstwami nie są głównym powodem, dla którego tu jestem. Wydaje się pan ekspertem w tworzeniu portretu psychologicznego zabójcy. Próbuję go zrozumieć. Muszę zrozumieć, co myśli, co widzi w tych baśniach.

Weiss usiadł wygodnie i położył ręce na kolanach. Wpatrywał się przez chwilę w bruk ulicy, zastanawiając się nad tym, co powiedział Fabel.

– No, dobrze. Ale nie wiem, jak mogę pomóc. Nie mam zielonego pojęcia, co go motywuje. To jest jego świat, nie mój. Skoro jednak chce pan znać moje zdanie, nie ma to nic wspólnego z baśniami braci Grimm. To jest jego własne dzieło. Podobnie moja książka. Ona też nie ma nic wspólnego z Jacobem Grimmem. Ani z ich baśniami. Baśnie to, cóż, tylko podkład do tego, co sam wymyśliłem. – Weiss przerwał i wskazał ręką na barokowy budynek, stojący po drugiej stronie ulicy. – Niech pan spojrzy. Siedzimy tu i otacza nas historia. W sezonie Peterstrasse, a także Hütten i Neanderstrasse za rogiem pełne są turystów, zwłaszcza Amerykanów, podziwiających przepych tych gma-

chów. Ale, jak pan zapewne wie, to wszystko bujda. Te wspaniałe kamienice zostały zbudowane na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Nigdy wcześniej nie stały tu takie gmachy. To nie jest nawet rekonstrukcja, to wszystko jest wymyślone, sfabrykowane. Owszem, zbudowano je według oryginalnych planów takich budynków, ale one nie należą do tego miejsca ani czasu.

– Co chce pan przez to powiedzieć, panie Weiss?

– Tylko to, że i pan, i ja, i każdy, kto zna historię Hamburga, jest tego świadomy. Ale większość ludzi nie ma o tym pojęcia. Przychodzą tu, siadają na ławkach tak jak my teraz i chłoną swoją historię, historię Niemiec. Tego właśnie doświadczają. To czują. To jest ich rzeczywistość, bo w taką wierzą. Nie widzą oszustwa, bo nie mogą go zobaczyć.

Weiss z irytacją potarł wnętrzem dłoni kolana, jakby nie potrafił nadać swoim myślom odpowiedniej formy. Po chwili mówił dalej:

– Pytał pan o mojego brata. Nie powiedziałem panu o nim dlatego, że wciąż jest to dla mnie sprawa zbyt żywa. Zbyt bolesna. Uważałem nawet, iż dobrze się stało, że Daniel popełnił samobójstwo, a teraz trudno

mi się z tym pogodzić. Pod koniec był już tak umęczony, że kiedy to się wreszcie skończyło, odetchnąłem. Daniel wierzył, że jest likantropem, wilkołakiem. Naprawdę wierzył – to była jego najprawdziwsza, niekwestionowana, skrywana rzeczywistość. Kochałem go. Zawsze chciałem być taki, jak on. Kiedy miałem dwanaście lat, a on siedemnaście, zaczęły mu się przydarzać te epizody. Widziałem to, panie nadkomisarzu. Byłem świadkiem, jak mój brat trafiał w szpony jakiejś niewidzialnej siły, która rozrywała go na strzępy. To nie męczarnie duszy kazały mu krzyczeć i wyć, to była prawdziwa agonია ciała. Widzieliśmy nastolatka, który miał atak. Ale Daniel doświadczał tego w sposób jak najbardziej fizyczny, każde jego ścięgno było naciągnięte i skrzycone, kości się prawie łamały, ciało trawił niewyobrażalny ból. Jestem pewien, że on to czuł. Że to było dla niego jak najbardziej realne. Może nie dla nas, ale dla niego tak. – Spojrzenie Weissa złagodniało. To wtedy przyszedł mi do głowy pomysł z cyklem powieści „Wahlwelten”. W pierwszej napisałem o Daniele. Uczyniłem z niego wilka. Nie wilkołaka, ale wilka – przywódcę watahy, wilka – króla wszystkich wilczych watah na świecie. Uczyniłem go szczęśliwym i

wolnym – wolnym od bólu. Dałem mu nową rzeczywistość. – Przerwał, a Fabel dostrzegł w jego oczach ból. – Dlatego nie ma pan racji, twierdząc, że morderca nie trzyma się ściśle książki, nie trzyma się autentycznych baśni. Owszem... robi to, bo to jest jego powieść. To jest jego rzeczywistość.

– Czy baśnie braci Grimm, a może nawet pana powieść, mogły być dla niego inspiracją?

– Oczywiście. Inną sprawą jest to, jak on je interpretuje. Pamięta pan, pokazywałem panu moją kolekcję grafik?

Fabel przytaknął.

– Niech pan sobie spróbuje uzmysłwić, jak dużo tam było interpretacji baśni braci Grimm. A to tylko niewielka część szkiców, rysunków, ilustracji i rzeźb, które zostały przez nie zainspirowane. Weźmy operę Humperdincka. Pojawia się Piaskowy Dziadek i sypie w oczy Jasia i Małgosi magiczny pył, który ich usypia. W oryginalnej wersji baśni nic takiego nie ma. Interpretacja pańskiego zabójcy, który uważa się za artystę, jest tak samo subiektywna i osobista, jak pozostałych. Taka interpretacja może być oczywiście pokrętna, wynaturzona. Naziści przywłaszczyli sobie baśnie braci

Grimm tak samo, jak wszystko inne z naszej kultury, czego zdołali użyć do swoich celów. Istnieje pewna paszkwidna, doskonale znana ilustracja książkowa, przedstawiająca „aryjską” Małgosię wrzucającą Babę-Jagę do kotła. Stara wiedźma ma typowe żydowskie rysy. Jest to wyjątkowo odrażające dzieło i w dodatku stanowi zapowiedź nadchodzących okrutnych czasów.

– Chce pan powiedzieć, że wiemy tylko, jaki wybrał temat, a nie mamy pojęcia o planach mordercy?

Weiss wzruszył ramionami.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie wiemy, jakie będzie jego następne posunięcie ani jak ocenia swoje dotychczasowe dokonania. Ale materiał, którym dysponuje, daje mu praktycznie nieograniczone możliwości. Może wybrać dowolną baśń i dostosować ją do swoich potrzeb.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece – powiedział Fabel.

Czwartek, 29 kwietnia, 21.10.

Othmarschen, Hamburg

Po kolejnej oczyszczającej burzy niebo nad Hamburgiem znów się roz pogodziło. Było późne popołudnie. Mieszkanie Fabla tonęło w ciepłym, łagodnym świetle. Czuł się zupełnie wyczerpany. Marynarkę i kaburę z bronią rzucił na sofę i stał chwilę, lustrując swoje mieszkanie. Swoje małe królestwo. Urządził je gustownie, nawet z przepychem. Idealnie współgrało z jego osobowością. Czyste, wygodne, uporządkowane. Patrzył na meble, książki, obrazy, drogi sprzęt muzyczny. Ale czy teraz, pod koniec dnia było choć trochę mniej samotne niż obskurne lokum Maksa Bartmanna w St Pauli?

Przed wejściem pod prysznic zadzwonił do Susanne. Nic nie zaplanowali na ten wieczór i Susanne była zaskoczona, słysząc jego głos; zaskoczona i szczęśliwa.

– Susanne, muszę się z tobą zobaczyć dziś wieczorem. U ciebie, u mnie, na mieście, wszystko jedno.

– Okej – odpowiedziała. – Czy coś się stało?

– Nie... nic. Po prostu muszę z tobą porozmawiać.

– Ach, rozumiem – odparła. Była przekonana, że chodzi o śledztwo. – Przyjedź do mnie. Zostaniesz na noc.

– Będę za pół godziny.

Mieszkanie Susanne mieściło się w wielkiej kamienicy z czasów cesarza Wilhelma w części dzielnicy Othmarschen, zwanej Ovelgönne. Kamienica stała nad brzegiem Łaby przy ulicy Elbechaussee. Zdarzało się, że Fabel zostawał na noc u Susanne, choć zwykle to ona spędzała noc w jego mieszkaniu. Podejrzewał, że Susanne bardziej chroniła prywatność swojego domu niż on. Zaparkował samochód na ulicy i wszedł do budynku.

Susanne widziała, jak podjechał i czekała na niego w otwartych drzwiach mieszkania. Ubrana była w za duży podkoszulek, w którym zwykle sypiała. Błyszczące, czarne włosy opadały na ramiona, nie miała makijażu. Zdarzały się takie chwile, że jej uroda go onieśmielała, kiedy patrzył na nią właśnie tak jak teraz.

Jej mieszkanie było znacznie większe, urządzone ze smakiem i w przeciwieństwie do nordyckiego minimalizmu Fabla, przeważał w nim tradycyjny styl.

– Jesteś zmęczony – powiedziała Susanne i poklepała go po policzku. Wszedł do salonu, a ona poszła do kuchni, skąd po chwili wróciła z kieliszkiem białego wina i butelką piwa.

– Proszę, oto twój Jever. – Wręczyła mu butelkę. – Specjalnie dla ciebie zrobiłam zapasy.

– Dzięki. Tego mi właśnie potrzeba. – Pociągnął łyk zimnego fryzyjskiego piwa. Susanne usiadła obok niego na sofie z podkurczonymi nogami. Koszulka przesunęła się w górę, odsłaniając jedwabistą skórę ud.

– O czym chciałeś tak pilnie porozmawiać? – Uśmiechnęła się. – Nie myśl sobie, że nie miałam ochoty cię widzieć. Ale zabrzmiało to tak, jakbyś chciał porozmawiać o śledztwie, a wiesz, jak nie lubię rozmów o pracy w domu...

Fabel zamknął jej usta długim, gorącym pocałunkiem.

– Nie – odezwał się w końcu, patrząc jej w oczy. – Nie przyszedłem, żeby rozmawiać o pracy. Dużo ostatnio myślałem. Myślałem o nas.

– Och, to brzmi groźnie.

– Nasz związek zmierza donikąd. Pewnie dlatego, że wędrujemy swoimi własnymi ścieżkami i jest nam z

tym dobrze. A może nie potrzebujesz nic więcej. – Przerwał, czekając na jej reakcję. Ale w oczach Susanne widział tylko oczekiwanie. – Moje małżeństwo się rozleciało. Nie wiem, co robiłem źle, może za mało się starałem, żeby je utrzymać. Nie chcę, żeby to samo przydarzyło się nam. Naprawdę zależy mi na tobie, Susanne. Chcę, żeby było dobrze.

Uśmiechnęła się i pogładziła go po policzku. Dłoń miała zimną od trzymanego kieliszka z winem.

– Jan, wszystko jest w porządku. Musi być dobrze.

– Chciałbym, żebyśmy zamieszkali razem. – Ton głosu Fabla był stanowczy, nawet nieco szorstki. – Naprawdę chciałbym, żebyśmy zamieszkali razem, Susanne. Co o tym myślisz?

Uniosła brwi i wzięła głęboki oddech.

– Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Oboje mamy swoje światy. Oboje jesteśmy uparci. Teraz to nie przeszkadza, ale jeśli zamieszkamy razem... Nie wiem, Jan. Dobrze, że jesteśmy razem, nie chcę tego zepsuć.

– Myślę, że nie zepsujemy, to tylko wzmocni nasz związek.

– Byłam już kiedyś w takim związku. – Susanne zsunęła nogi na podłogę, pochyliła się do przodu, opar-

ła łokcie na kolanach, poruszając lekko kieliszkiem z winem. – Przez jakiś czas mieszkaliśmy razem. Początkowo tego nie zauważałam, ale okazało się, że ma naturę nadzorcy. – Roześmiała się gorzko. – Ja, psycholog, a nie dostrzegłam tego. To było straszne. Czułam się poniżona. Potem zupełnie bezwartościowa. Straciłam wiarę w siebie, przestałam sobie ufać. Rzuciłam go, zanim zdążył zniszczyć resztki mojego szacunku do siebie samej.

– Sądysz, że też taki jestem?

– Nie, oczywiście, że nie. – Wzięła go za rękę. – Chodzi o to, że dużo czasu zajęło mi stworzenie czegoś, co można nazwać niezależnością.

– Boże, Susanne, ja nie szukam gospodyni domowej. Szukam partnerki. Szukam kogoś, z kim mógłbym dzielić swoje życie. A wszystko to dzięki tobie. Nim cię poznałem, nie myślałem w ten sposób. Czy mogłabyś przynajmniej to przemyśleć?

– Oczywiście, Jan. Nie mówię nie. Potrzebuję tylko trochę czasu na zastanowienie. – Uśmiechnęła się szeroko. – Coś ci powiem: zabierz mnie do Sylt, tak jak obiecałeś, do hotelu swojego brata. Wtedy dam ci odpowiedź.

Fabel uśmiechnął się.

– Umowa stoi.

Potem kochali się jak szaleni. Spełnienie sprawiło, że Fabel zapadł w głęboki sen. Po raz pierwszy od wielu tygodni głęboki i mocny.

Przebudzenie było gwałtowne. Coś go wyrwało ze snu. Leżał z otwartymi oczami i patrzył na cienie przesuwające się po suficie. Susanne obok spała w najlepsze. Z jakiegoś najdalszego zakamarka umysłu coś próbowało się przebić do świadomości. Usiadł na brzegu łóżka. Co to było? Czy coś, co kiedyś usłyszał? A może coś, co zobaczył? A może jedno i drugie? Cokolwiek to było, miało związek z morderstwami. Wstał, przeszedł do salonu i wyjrzał przez okno. Widok z jej okna nie mógł się równać z jego. Okno Susanne wychodziło na park i Łabę, ale widok przysłaniały inne budynki. Ulicą przejechało kilka samochodów, kierując się w stronę Liebermann Strasse. Jakiś pies włączył się po ulicy; Fabel wodził za nim wzrokiem, póki nie zniknął mu z oczu.

Coś, co usłyszał. Coś, co zobaczył. Albo jedno i drugie. Jego zmęczony, pozbawiony snu mózg nie pod-

dawał się.

Fabel przeszedł do kuchni i zmrużył oczy, gdy zapalił światło. Zrobił sobie herbatę. Kiedy wyjmował z lodówki mleko, zauważył trzy butelki piwa Jever. Uśmiechnął się na myśl, że Susanne kupiła je specjalnie dla niego. Zawsze uważał, że zawartość lodówki jest rzeczą tak samo osobistą, jak zawartość portfela. Zawsze, kiedy znalazł się na miejscu zbrodni, zaglądał do lodówki i w ten sposób zdobywał cenne informacje o człowieku lub osobach, które tam mieszkały. A teraz jego ulubione piwo dzieliło wspólną przestrzeń z jogurtami Susanne, z jej ulubionymi serami z południa Niemiec i ciastkami, do których miała słabość.

Postawił kubek z herbatą na stole, upił trochę, ale była zbyt gorąca. Przecierając oczy, do kuchni weszła Susanne.

– Co jest? – zapytała zaspana. – Znowu koszmary?

Wstał i pocałował ją.

– Nie. Po prostu nie mogę spać. Przepraszam, jeśli cię obudziłem. Może herbaty?

– Nie, dziękuję. – Ziewnęła. – Chciałam tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Fabel zamarł. Zmęczenie opadło, był zupełnie roz-

budzony. Wszystkie zmysły pracowały, jak należy. Spojrzał na Susanne niewidzącym wzrokiem.

– Wszystko w porządku? – Zaniepokoiła się. – Jan, co się dzieje?

Przemierzył kuchnię i otworzył drzwi lodówki. Spojrzał na ciastka. Jabłka zapiekane w lekkim, chrupiącym cieście. Zamknął drzwi i obrócił się w stronę Susanne.

– Domek z piernika – powiedział bardziej do siebie niż do niej.

– Co?

– Domek z piernika. Werner powiedział, że powinniśmy szukać kogoś, kto mieszka w domu z piernika. Widok ciastek w lodówce przypomniał mi o tym.

– Jan, o czym ty, do diabła, mówisz?

Złapał ją za ramiona i pocałował w szyję.

– Muszę się ubrać. Jadę do komendy.

– Na miłość boską, po co? – Poszła za nim do sypialni, gdzie zaczął się w pośpiechu ubierać.

– Wreszcie go usłyszałem, Susanne. Cały czas próbowałem mi coś powiedzieć i wreszcie go usłyszałem.

Do Weissa zadzwonił już z samochodu.

– Chryste, Fabel, jest piąta rano. Czego pan, do diabła, chce?

– Dlaczego w baśniach braci Grimm tak często się pojawiają pieczone produkty?

– Co?! Co, do diabła...

– Niech pan posłucha, panie Weiss. Wiem, że jest późno, a raczej wcześniej, ale to jest ważne. Bardzo ważne. Dlaczego ciągle pojawiają się tam jakieś pieczone rzeczy: chleb, ciastka, domki z piernika i tym podobne?

– Boże... nie wiem... to może symbolizować tak wiele... – Weiss wydawał się zmieszany. Musiał sięgnąć do pamięci, a był zaspany. – To mogą być symbole różnych rzeczy w różnych bajkach. Na przykład „Czerwony Kapturek”. Świeżo upieczony chleb, który miała zanieść babci, symbolizuje czystość, podczas gdy wilk jest zepsuty i pazerny. On nie chce chleba, on pożąda jej dziewictwa. Podobnie Jaś i Małgosia, niewinne dzieci, zagubione w lesie, poddają się swoim żądzom i zachłanności, kiedy natykają się na domek z piernika. W tym wypadku jest to kuszenie do grzechu. Coś, co zostało upieczone, może być symbolem wielu różnych rzeczy. Prostoty i czystości. Nawet nędzy –

mizerne okruchy chleba, które Jaś sekretnie zbiera, żeby pomogły im odnaleźć bezpieczną drogę z powrotem. Dlaczego pan pyta?

– Nie mogę tego teraz wyjaśnić. Ale, dziękuję. – Odłożył słuchawkę i wybrał kolejny numer. Po dłuższej chwili ktoś odebrał.

– Werner? Tu Fabel. Tak, wiem, która jest godzina. Czy możesz zaraz przyjechać do komendy? Może uda ci się zabrać po drodze Annę i Marię. – O mało nie poprosił Wenera o telefon do Paula Lindemanna. Późna pora i dotychczasowe nawyki kazały mu na chwilę zapomnieć, że Paul już od roku nie żyje. – Poproś Annę, żeby skontaktowała się z Henkiem Hermannem.

Odłożył słuchawkę.

Śmierć. Kiedy wreszcie przestanie mieć z nią do czynienia? Jego prawdziwą pasją była historia, czuł się wprost stworzony do zajmowania się nią. Ale Fabel nie wierzył w przeznaczenie. Zamiast tego wierzył w okrutną nieprzewidywalność losu, który sprawił, że młoda studentka, jego ówczesna dziewczyna, natknęła się na okrutnego szaleńca, co zakończyło się tragicznie. Ten dramat zapoczątkował ciąg niemożliwych do przewidzenia zdarzeń i sprawił, że Fabel został poli-

cjantem, a nie historykiem, archeologiem czy nauczycielem.

Śmierć. Tyle śmierci. A teraz był na tropie kolejnego zabójcy.

Nim zebrali się w wydziale zabójstw, dochodziła szósta. Nikt nie narzekał, że został wyciągnięty z łóżka, ale wszyscy mieli podkrążone oczy. Fabel stał tyłem do nich, wpatrzony w zdjęcia rozwieszane na tablicy.

– Niejednokrotnie myślałem, że nie dopadniemy tego faceta – zaczął spokojnie, z namysłem. – Że będzie przez kilka tygodni atakował, zostawi po sobie wiele ofiar, a potem zniknie. Aż do kolejnego napadu szalu. – Przerwał i odwrócił się. – Mamy przed sobą ciężki dzień. Ale nim się skończy, morderca będzie w areszcie.

Nikt się nie odezwał, wszyscy zamarli w napięciu.

– Jest cwany. Szalony, ale sprytny – ciągnął Fabel. – To dzieło jego życia, opracował je w najdrobniejszych szczegółach. Wszystko to, co robi, ma znaczenie. Każdy szczegół jest odnośnikiem do kolejnego. Ale jedno powiązanie przeoczyliśmy. – Otwartą dłonią

uderzył w leżącą fotografię. – Paula Ehlers... To zdjęcie zrobiono na dzień przed jej zaginięciem. Co na nim widzicie?

– Szczęśliwą dziewczynkę. – Werner wbił wzrok w fotografię, jakby chciał zobaczyć coś jeszcze. – Szczęśliwą dziewczynkę na swoim przyjęciu urodzinowym...

– Nie... – Maria Klee podeszła bliżej. Wpatrywała się w cały ciąg zdjęć, tak, jak to wcześniej robił Fabel. – Nie... to nie o to chodzi... – Spojrzała na niego. – Tort. Chodzi o tort urodzinowy.

Nadkomisarz uśmiechnął się ponuro i bez słowa zachęcił gestem Marię, by kontynuowała. Wskazała kolejne zdjęcie.

– Martha Schmidt, dziewczyna znaleziona na plaży Blankenese. W jej żołądku znaleziono tylko resztki pieczywa ryżowego. – Przeszła do kolejnego zdjęcia. – Hanna Grönn i Markus Schiller... Okruchy chleba na rozłożonej serwetce... Schiller był współwłaścicielem piekarni...

Kiedy Maria mówiła, Fabel dal znak Annie.

– Połącz mnie z aresztem w Vierlande. Powiedz, że to pilne, muszę porozmawiać z Peterem Olsenem...

Maria przeszła do kolejnej fotografii.

– Laura von Klosterstadt?

– Kolejne urodzinowe przyjęcie – odpowiedział Fabel. Efekciarskie, zorganizowane przez jej agenta, Heinza Schnaubera. Był zamówiony catering. Schnauber wspomniał, że zawsze starał się, żeby Maria nie odbierała tego jako kolejnej imprezy promocyjnej. Przygotowywał zatem jakieś niespodzianki: prezenty... i tort urodzinowy. Musimy się dowiedzieć, jaka firma obsługiwała to przyjęcie.

– Bernd Ungerer – ciągnęła Maria. – Urządzenia dla firm zajmujących się cateringiem. Piece dla piekarni... Dalej... Lina Ritter, przebrana za Czerwonego Kapturka, z bochenkiem chleba w koszyku.

– Baśnie – zaczął Fabel. – Mamy do czynienia z baśniami. Ze światem, gdzie nic nie jest takie, na jakie wygląda. Wszystko ma tu swoje znaczenie, wszystko coś symbolizuje. Zły wilk nie ma nic wspólnego z wilkami, ma coś wspólnego z nami. Z ludźmi. Matka jest istotą szczodłą, a macocha drugą stroną medalu, reprezentuje to, co nikczemne, destruktywne, złe. I jeszcze wypieki: chleb – proste, zdrowe pożywienie, lubieżna zapowiedź specjałów. Ten motyw przewija się we wszystkich baśniach braci Grimm.

– Szefie. – Anna przywołała Fabla, zasłaniając ręką słuchawkę. – Oficer dyżurny nie był chyba zbyt zadowolony, ale mam na linii Olsena.

Fabel wziął do ręki słuchawkę.

– Olsen, ma pan szansę oczyścić się z zarzutu zabójstwa. Pamięta pan, jak rozmawialiśmy o Ungererze, tym handlowcu od sprzętu?

– Tak...

– Co wtedy powiedziała panu Hanna, jak on na nią patrzył?

– Co? Nie pamiętam... A chyba... że obmacywał ją wzrokiem.

No tak, pomyślał Fabel, dlatego mu je wydłubano.

– Czy jeszcze ktoś z piekarni podrywał Hanne?

Olsen się roześmiał.

– Pewnie większość facetów.

– A ktoś szczególnie? – W głosie Fabla słychać było zniecierpliwienie. – Ktoś, kto by się naprzykrzał.

W słuchawce zapadła cisza.

– Panie Olsen, proszę. To bardzo ważne.

– Nie... nie wiem. Jej szef, pan Biedermeyer, bardzo dbał o te rzeczy. Ona nawet kiedyś mu się poskarżyła na Ungerera. Powiedział wtedy, że porozmawia z

panią Schiller.

Tym razem zamilkł Fabel.

– Czy to chciał pan wiedzieć? – zapytał niepewnie Olsen. Będę oczyszczony z zarzutów?

– Może... być może... Jeszcze się odezwę. – Fabel odłożył słuchawkę.

– Dzwon na policję w Kassel – rozkazał Annie. – Musimy wiedzieć, czy Martha Schmidt nie obchodziła tuż przed śmiercią urodzin albo czy do domu nie był zamówiony catering.

– Jasne, szefie, chociaż patrząc na jej rodzinę, nie wyobrażam sobie, żeby zorganizowali jakiegokolwiek przyjęcie.

– Najsmutniejsze jest to, Anno, że Martha mogła sama o to zadbać. Zdaje się, że była jedyną odpowiedzialną osobą w tej rodzinie. – Westchnął. Wyobrażenie obdartej Marthy Schmidt pojawiającej się bez prezentów, samotnie, na własnych urodzinach było przygnębiające. – Chcę, żebyś porozumiała się także z rodziną Ehlersów i spytała, gdzie zamówili tort urodzinowy.

Tym razem zwrócił się do Marii Klee.

– Mario, skontaktuj się z Heinzem Schnauberem,

agentem Laury von Klosterstadt i ustal, jaka firma zajmowała się cateringiem. Muszę wiedzieć, skąd pochodził tort.

Piątek, 30 kwietnia, 10.00.
Piekarnia Albertus, Bostelbek,
Heimfeld, Hamburg

Fabel znalazł już odpowiedź na większość swoich pytań. Policja w Kassel nie zdołała do tej pory ustalić, czy przed uprowadzeniem Martha Schmidt obchodziła uroczyste swoje urodziny. Annie udało się za to ustalić, że matka Marthy nigdy nie wróciła do domu po identyfikacji zwłok córki. Fabel wściekł się, że o samobójstwie Ulrike Schmidt popełnionym w Hamburgu dowiedział się od policji w innym, odległym mieście. Potem, kiedy złość minęła, przypomniał sobie, jak Anna potraktowała Ulrike, zarzucając jej, że jest pozabawioną serca, egoistyczną ćpunką. A przecież była przede wszystkim matką.

Anna skontaktowała się z Ehlersami, którzy potwierdzili, że tort został dostarczony z piekarni Albertus. Z ustaleń Marii wynikało, że Heinz Schnauber zamówił dla Laury von Klosterstadt olbrzymi, bogato dekorowany tort. Nie korzystał z usług firmy cateringowej; zamówił go w piekarni, która sama dostarczała swoje wypieki. Była to piekarnia Albertus.

Dziewczyna, która siedziała w recepcji firmy Albertus, była zaskoczona nagłym pojawieniem się tak wielu oficerów policji. Kiedy Fabel pokazał odznakę policyjną i zapytał, czy pani Schiller jest obecna, zdołała tylko skinąć głową.

Nadkomisarz postawił policjantów przy głównym wejściu do piekarni, a także przy wyjściach awaryjnych i na rampie załadowniczej. Anna Wolff i Henk Hermann czekali na parterze. W powietrzu unosił się intensywny zapach ciasta i gorącego chleba. W biurze Very Schiller, kiedy Fabel, Werner i Maria do niego weszli, atmosfera była zupełnie inna, typowo biurowa. Biurko Markusa Schillera w dalszym ciągu wyglądało tak, jakby przed chwilą ktoś od niego odszedł. Vera Schiller wstała, miażdżąc ich wzrokiem.

– Co to ma znaczyć? Żądam wyjaśnień, dlaczego mnie państwo nachodzicie.

Fabel uspokoił ją gestem dłoni i odezwał się tonem łagodnym, ale stanowczym.

– Pani Schiller, musimy zadać pani i pani pracownikom kilka bardzo istotnych pytań. Wiem, że ostatnio było pani ciężko, ale potrzebujemy pomocy.

Vera Schiller, oburzona, usiadła z powrotem za biurkiem. W jej oczach wciąż płonął gniew.

– Niech pan sobie nie wyobraża, panie nadkomisarzu, że pan cokolwiek o mnie wie. Pan mnie zupełnie nie zna.

Fabel usiadł naprzeciwko niej.

– Być może. Ale wiem jedno: popełniono siedem morderstw, może nawet osiem. Każde z nich było potworną zbrodnią, dotyczy to także pani męża. I wszystkie wiążą się z piekarnią Albertus.

– W jaki sposób? – Vere Schiller jakby raził piorun.
– Co pan ma na myśli?

– Laura von Klosterstadt. Zapewne czytała pani o tym, że została zamordowana. Ale nie była pani uprzejma powiedzieć nam, że to pani dostarczyła tort na jej urodzinowe przyjęcie.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Nie dostarczaliśmy jej tortu. Pamiętałabym.

Fabel przypomniał jej datę. W rogu biurka stał komputer. Kobieta wcisnęła kilka klawiszy.

– Nie było żadnego zamówienia. Może pan sam zobaczyć. – Przekręciła monitor w jego stronę.

– O to chodzi. – Fabel wskazał palcem tabelę wi-

doczną na ekranie. – Heinz Schnauber. Był agentem Laury von Klosterstadt.

Vera Schiller spojrzała na tabelę.

– Tak, duży tort. Specjalny. Plus dostawa bułek i ciastek. Pamiętam to zamówienie, ale on nie mówił, że to dla Klosterstadtów.

– Kto nie mówił? – zapytał Fabel. W tej chwili pamięć podsunęła mu obraz olbrzymich dłoni delikatnie obchodzących się z kruchym ciastem.

– Pan Biedermeyer, oczywiście. Nasz kierownik. – Otworzyła szufladę i wyjęła z niej ciężką księgę. Przerzuciła kilka kartek, spojrzała ponownie na ekran komputera, pomalowanym na czerwono paznokciem wskazała odpowiednie miejsce w księdze. – Tak, mam... Pan Biedermeyer dostarczył tort osobiście. Jest bardzo skrupulatny.

Fabel spojrzał na Wenera i Marię.

– Mogę zerknąć na księgę dostaw? – zwrócił się do właścicielki. Chwilę mierzyli się wzrokiem. W jej spojrzeniu nie było już złości. Obróciła księgę w stronę Fabla. Wyjął z kieszeni notes i sprawdził pod datą zniknięcia Marthy Schmidt. Ta chwila ciągnęła się w nieskończoność, czuł mrowienie na skórze. – Pan Bie-

dermeyer rzuca obowiązki kierownika i zajmuje się osobiście dostawami?

– Tak, w takich wypadkach, jak ten, tak. Cukiernia Wunderlich to nasz duży odbiorca. Pan Biedermeyer dba o to, by czuli się docenieni.

– Cukiernia Wunderlich mieści się w Kassel? – Nim padła odpowiedź, Werner i Maria już byli przy drzwiach.

– Tak. Dlaczego pan pyta?

– Czy pan Biedermeyer dostarcza towar waszym firmowym furgonem?

– Czasami tak. Dlaczego wciąż pan wypytuje o pana Biedermeyera?

Fabel zignorował pytanie.

– Czy kierownik jest teraz obecny?

– Powinien być w zakładzie...

Fabel nie słuchał dalej, podniósł się z krzesła i pobiegł po schodach na dół.

Podobnie jak poprzednim razem, pan Biedermeyer stał pochylony nad tortem, na którym układał maleńkie ozdobne cacuszka. Ta delikatna operacja nie pasowała do jego ogromnych dłoni. Małe różyczki wyglądały w

jego palcach na jeszcze mniejsze i bardziej kruche. Kiedy spostrzegł zbliżających się do niego policjantów, wyprostował się, a jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech. Anna i Henk zaczęli wyprowadzać z sali pracowników. Biedermeyer nie krył zdumienia.

– Witam, panie nadkomisarzu. Przepraszam, jeszcze tylko ułożę te dwie ostatnie różyczki. – Kciukiem i palcem wskazującym przełożył z drugiej dłoni lukrowy kwiatusek i umieścił go na torcie. Po chwili to samo zrobił z drugim. Wyprostował się, zrobił krok do tyłu i spojrzał na swoje dzieło. Następnie odwrócił się do Fabela. – Przepraszam, ale musiałem to skończyć. – Na jego twarzy nadal gościł przyjazny, ciepły uśmiech. – Lubię dokładność. Perfekcję. Uważam, że szczegóły są najważniejsze. – Spojrzał na pozostałych policjantów, potem przeniósł wzrok na Fabela. – Chyba już tego dowiedziałem, prawda, panie nadkomisarzu? Podobało się panu moje dzieło? Wprawilo pana w zachwyt?

Fabel sięgnął do pasa i wyjął z kabury pistolet. Trzymał go w gotowości przy boku. Biedermeyer spojrzał na broń i pokręcił głową z niezadowoleniem.

– To niepotrzebne, panie Fabel. Zupełnie niepotrzebne. Moje dzieło zostało ukończone.

– Panie Biedermeyer... – Kierownik piekarni przerwał mu gestem dłoni. Wciąż się uśmiechał.

– Przecież pan wie, że to nie jest moje prawdziwe nazwisko.

– Więc jak się pan nazywa?

– Grimm... – Roześmiał się, że musi tłumaczyć jak dziecku tak oczywistą rzecz. – Jestem jednym z braci Grimm.

Fabel usłyszał, jak policjanci wyciągają z kabur broń.

– Franzu Biedermeyerze, aresztuję pana pod zarzutem zamordowania Pauli Ehlers, Marthy Schmidt, Hanny Grün, Markusa Schillera, Bernda Ungerera, Liny Ritter i Maksa Bartmanna. Od tej chwili wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu.

– Fabel schował pistolet do kabury, upewniwszy się wcześniej, czy Werner i Maria go ubezpieczają. Od paska spodni odczepił kajdanki, złapał Biedermeyera za nadgarstek, obrócił go i skuł. Będąc tak blisko niego, uświadomił sobie, jak potężnym mężczyzną jest Biedermeyer. Na szczęście nie stawiał żadnego oporu.

Kiedy zabierali Biedermeyera do czekającego na zewnątrz samochodu, minęli Verę Schiller. Stała, nie

spuszczając z niego wzroku, gdy szli korytarzem w stronę wyjścia. Zatrzymał się, a Fabel i Werner zdali sobie sprawę, że nie zdołają go przesunąć nawet o milimetr. Z jego twarzy zniknął uśmiech.

– Przepraszam – powiedział do niej cicho. Prychnęła z pogardą. Biedermeyer poszedł dalej. Pani Schiller położyła dłoń na ramieniu Fabla, a on dał znak Henkowi i Annie, żeby eskortowali Biedermeyera razem z Wernerem. Kiedy odwrócił się do Very Schiller, odezwała się tonem lodowatym z właściwą sobie nonszalancją.

– Kochałam swojego męża, panie Fabel. Bardzo kochałam Markusa. – Spojrzenie pozostało twarde, ale łzy popłynęły po policzkach. – Chciałam, żeby pan to wiedział.

Posadzili Biedermeyera z tyłu w samochodzie Fabla. Siedział zgarbiony, wciśnięty w ciasną przestrzeń kabiny. Obok usiadł Werner i choć też wysoki, wyglądał przy piekarzu jak liliput.

Zanim przekreślił kluczyk w stacyjce, Fabel odwrócił się do Biedermeyera.

– Powiedział pan, że pańskie dzieło jest ukończone.

Dlaczego? Przecież nie zrobił pan wszystkiego, co zaplanował. Śledziłem powiązania, baśnie... Powinno jeszcze się zdarzyć co najmniej jedno morderstwo...

Biedermeyer uśmiechnął się, wokół oczu pojawiły się zmarszczki. Fabel pomyślał, że tak samo uśmiechał się jego brat Lex.

– Cierpliwości, panie nadkomisarzu. Cierpliwości.

Piątek, 30 kwietnia, 13.30.

Komenda Główna Policji, Hamburg

Fabel, Maria i Werner czekali w sali przesłuchań. Omówili już wcześniej strategię i teraz siedzieli w ciszy. Każde z nich zastanawiało się, co powiedzieć, byleby tylko przerwać milczenie. Fabel i Werner siedzieli przy stole, na którym stał magnetofon, a Maria stała oparta o ścianę.

Czekali, aż policjant przyprowadzi potwora.

Usłyszeli zbliżające się kroki. Fabel wiedział, że z medycznego punktu widzenia jest to niemożliwe, ale mógłby się założyć, że czuje, jak rośnie mu ciśnienie. Ucisk w piersiach dawał o sobie znać przy każdym oddechu. Podniecenie, lęk i determinacja zmieszały się w jedno trudne do określenia odczucie. Kroki umilkły i po chwili drzwi otworzył umundurowany policjant. Kolejnych dwóch funkcjonariuszy wprowadziło do pokoju skutego kajdankami Biedermeyera. W towarzystwie wielkoluda wyglądali niepozornie.

Biedermeyer usiadł naprzeciw Fabla. Był sam. Nie chciał skorzystać z prawa do adwokata. Policjanci stanęli pod ścianą za jego plecami. Biedermeyer sprawiał

wrażenie rozluźnionego, pogodnego, zadowolonego. Miał twarz człowieka godnego zaufania, kogoś, z kim można pogawędzić przy barze. Wyciągnął ręce, żeby odsłonić kajdanki i przechylił głowę na bok.

– Proszę, panie Fabel. Przecież pan wie, że nie stanowię zagrożenia ani dla pana, ani dla pańskich ludzi. Nie zamierzam też uciekać.

Nadkomisarz dał znak policjantowi, który podszedł i zdjął mu kajdanki.

– Panie Biedermeyer, czy uprowadził pan i zamordował Paulę Ehlers?

– Tak.

– Czy uprowadził pan i zamordował Marthę Schmidt?

– Tak.

– Czy zamordował pan...

Biedermeyer uniósł dłoń i uśmiechnął się rozbrajająco.

– Bardzo proszę. Żeby zaoszczędzić nam wszystkim czasu, najlepiej będzie, jeśli złożę oświadczenie. Ja, Jacob Grimm, brat Wilhelma Grimma, badacz języka i duszy ludu niemieckiego, odebrałem życie Pauli Ehlers, Marcie Schmidt, Hannie Grün, Marksowi

Schillerowi, Berndowi Ungererowi, Laurze von Klosterstadt, dziwce Linie, przepraszam, nie pamiętam jej nazwiska i Maksowi Bartmannowi. Zabiłem ich wszystkich. Cieszyłem się każdą chwilą ich śmierci. Dobrowolnie przyznaję się do ich zamordowania, choć jestem niewinny. Ich życie było pełne niekonsekwencji. Jediną znaczącą chwilą w ich egzystencji była chwila śmierci. Przez swoją śmierć wyrazili uniwersalne, ponadczasowe prawdy. Żywi byli bezwartościowi. Zabijając ich, sprawiłem, że stali się coś warci.

– Panie Biedermeyer, do protokołu musimy uzyskać pańskie przyznanie się do winy pod prawdziwym nazwiskiem.

– Podąłem wam moje prawdziwe nazwisko, to, które noszę w duszy, a nie to fikcyjne, zapisane w dowodzie osobistym. – Westchnął, a potem znów się uśmiechnął, jakby tłumaczył coś dziecku. – Jeżeli to poprawi wam humor, to proszę: Ja, jeden z braci Grimm, znany wam pod nazwiskiem Franz Biedermeyer, przyznaję się do zabicia tych ludzi.

– Czy ktoś panu pomagał?

– Ależ oczywiście.

– Kto to był?

– Mój brat, któż by inny.

– Pan nie ma brata, panie Biedermeyer – powiedziała Maria. – Jest pan jedynakiem.

– Oczywiście, że mam brata. – Po raz pierwszy z jego twarzy zniknęła życzliwość, zrobił groźną, drażniącą minę. – Bez mojego brata jestem nikim. Beze mnie on jest nikim. Uzupełniamy się nawzajem.

– Kim jest pański brat?

Na twarzy Biedermeyera ponownie pojawił się poślizgnięty uśmiech.

– Znacie go, już się z nim widzieliście.

Fabel nic nie rozumiał.

– Znacie mojego brata Wilhelma Grimma pod nazwiskiem Gerhard Weiss.

– Weiss? – powtórzyła Maria. – Twierdzi pan, że pisarz Gerhard Weiss popełnił te zbrodnie razem z panem?

– Zaczniemy od tego, że to nie są zbrodnie, lecz akty tworzenia. Nie może być mowy o jakiegokolwiek destrukcji. Były ucieleśnieniem prawd znanych i przekazywanych od pokoleń. Mój brat i ja spisujemy te prawdy. On współpracował ze mną. Tak samo, jak robiliśmy to dwieście lat temu.

Fabel rozparł się na krześle i przyglądał Biedermeyerowi. Uśmiech przyklejony do jego twarzy kontrastował z groźną, potężną sylwetką. To dlatego zakładałeś maskę, pomyślał Fabel; dlatego ukrywałeś twarz. Wyobraził sobie, jak przerażające wrażenie musiał robić, będąc w masce. Jego ofiary przed śmiercią musiały się okropnie bać.

– Ale prawda jest taka, że Gerhard Weiss nic nie wiedział. Nie mieliście ze sobą żadnego kontaktu, jeżeli nie liczyć listu, który pan wysłał do jego wydawcy.

Biedermeyer znów się uśmiechnął.

– Pan nic nie rozumie, panie nadkomisarzu, prawda?

– Może nie rozumiem. Niech więc pan pomoże mi to pojąć. Muszę zadać panu ważne pytanie. Może najważniejsze, jakie panu dzisiaj zadam. Gdzie jest ciało Pauli Ehlers?

Biedermeyer oparł się łokciami o stół.

– Otrzyma pan odpowiedź, panie Fabel. Obiecuję. Powiem panu, gdzie znajdziecie ciało Pauli. Powiem to panu dzisiaj, ale... jeszcze nie teraz. Najpierw opowiem panu, jak ją znalazłem i dlaczego właśnie ją wybrałem. Pomogę też panu zrozumieć więź, jaka łączy mnie z

bratem Wilhelmem, którego znacie pod nazwiskiem Gerhard Weiss. Mogę dostać trochę wody?

Fabel skinął głową do jednego z policjantów, który napełnił plastikowy kubek wodą i postawił go przed Biedermeyerem. Wypił jednym haustem, a w panującej ciszy słychać było wyraźnie odgłos przelknięcia.

– Dzień przed jej urodzinami, a dwa dni przed porwaniem, dostarczałem do domu Ehlersów tort urodzinowy. Jej matka spieszyła się, bo chciała schować tort, nim Paula wróci ze szkoły. Odjeżdżałem już, kiedy zobaczyłem ją wychodzącą zza rogu. Pomyślałem sobie: „Jestem szczęściarzem! Dostarczyłem tort na czas, a ona o mało nie zobaczyła niespodzianki, jaką szykują jej rodzice”. I wtedy przemówił do mnie Wilhelm. Powiedział mi, że muszę porwać tę dziewczynkę i z nią skończyć.

– Wilhelm był wtedy z panem w samochodzie? – odezwał się Werner.

– Wilhelm jest zawsze ze mną. Tak bardzo, bardzo długo milczał. Odkąd byłem dzieckiem. Ale wiedziałem, że jest. Że mnie obserwuje. Planuje i spisuje moje dzieje, moje przeznaczenie. Tak bardzo się ucieszyłem, że znowu go usłyszałem.

– Co Wilhelm panu powiedział? – zapytał Fabel.

– Powiedział mi, że Paula jest czysta. Niewinna. Nieskalana brudem naszego świata. Wilhelm powiedział mi, że mogę sprawić, by pozostała taka na zawsze. Że mogę ją uchronić, układając do snu, który będzie trwał wieczność. Powiedział, że muszę zakończyć historię jej życia.

– To znaczy zabić?

Biedermeyer wzruszył ramionami, jakby słownictwo nie miało dla niego znaczenia.

– Jak pan ją zabił?

– Zwykle zaczynam pracę wcześniej rano. Tak to jest w przypadku piekarzy, panie Fabel. Przez połowę swojego życia, kiedy ja wypiekałem chleb, najstarsze i główne pożywienie, świat dopiero się budził do życia. Uwielbiam ten czas, kiedy wstaje świt, a wokół unosi się zapach świeżo upieczonego chleba. – Przerwał na moment, wspominając magiczne chwile. – Tak więc zwykle wcześniej kończę pracę i popołudnia mam dla siebie. Korzystałem z tej wolności i następnego dnia obserwowałem Paulę w tym nietypowym dla niej dniu, dniu jej urodzin. Nie udało mi się jej porwać. Następnego dnia poszła do szkoły. Śledziłem ją i traf chciał,

nadarzyła się sposobność, kiedy wracała do domu. Musiałem podjąć decyzję. Bałem się, że mnie złapią, ale Wilhelm uspokajał mnie. Powiedział: „Weź ją teraz. Wszystko będzie w porządku, nic ci nie grozi. Weź ją i zakończ historię jej życia”. Bałem się. Powiedziałem Wilhelmowi, że się boję, bo może to, co mam zrobić, jest złe i zostanę za to ukarany. Odpowiedział, że da mi znak. Coś, co udowodni mi, że mam zamiar zrobić dobry uczynek. I dał mi, panie Fabel. Naprawdę dał mi znak, że panuje nad moim przeznaczeniem, nad jej przeznaczeniem, nad przeznaczeniem nas wszystkich. Trzymała to w ręce. Trzymała pierwszy tom naszych baśni. Już nie miałem wątpliwości. To stało się tak szybko i było takie proste. Porwałem ją z ulicy, a potem skończyłem z nią. – Na jego twarzy pojawił się wyraz smutku. – Nie będę opowiadał o nieprzyjemnych szczegółach, ale Paula nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje. Mam nadzieję, że pan wie, że nie jestem zbrojcem. Zabiłem ją, bo prosił mnie o to Wilhelm. Miałem ją ocalić przed złem panującym na świecie. Zrobiłem to najszybciej jak to było możliwe, zadając jak najmniej bólu. Zresztą sami się przekonacie, gdy znajdziecie już ciało. Podtrzymuję, że powiem

wam, gdzie go szukać, ale jeszcze nie teraz.

– Głos Wilhelma. Powiedział pan, że długo go nie słyszał. Kiedy usłyszał go pan po raz pierwszy? Czy wcześniej już pan kogoś zabił? Albo zranił?

Uśmiech znikł. W jego miejsce pojawił się bolesny smutek.

– Kochałem swoją matkę, panie Fabel. Była piękna, była mądra, miała śliczne rudoblond włosy. Tyle pamiętam. I jeszcze jej głos, kiedy śpiewała mi wieczorem kołysanki. Nie pamiętam, jak mówiła, ale pamiętam jej śpiew. I te włosy, które pachniały jabłkami. Potem przestała śpiewać. Byłem za mały, żeby to zrozumieć, ona zachorowała i widywałem ją coraz rzadziej. I śpiewała mi coraz rzadziej. W końcu odeszła. Zmarła na raka w wieku trzydziestu lat. Ja miałem wtedy cztery.

Przerwał, jakby oczekiwał wyrazów współczucia i zrozumienia.

– Proszę mówić dalej – powiedział Fabel.

– Wie pan, co się działo, panie Fabel. Czytał pan przecież baśnie. Mój ojciec ożenił się powtórnie. Ze złą kobietą. Z fałszywą matką. Okrutną, złą kobietą, która kazała się zwracać do siebie *Mutti*. Ojciec ożenił

się z rozsądku, nie z miłości. Praktycznie podchodził do życia. Był pierwszym oficerem na statku handlowym i całe miesiące spędzał poza domem. Nie mógłby się mną opiekować. Tak więc straciłem piękną matkę, a dostałem złą macochę. Rozumiecie? Czy już rozumiecie? Wychowywała mnie macocha. Kiedy rosnę, rosło także jej okrucieństwo. Potem tata miał atak serca i zostałem z nią sam.

Fabel pokiwał głową, zachęcając Biedermeyera do dalszej opowieści. Szaleństwo tego człowieka przerażało. Było monumentalne. Rozległy, skomplikowany gmach misternie skonstruowanej psychozy. Siedząc w cieniu tego olbrzyma, czuł coś podobnego do trwogi.

– Zostałem z okropną, przerażającą kobietą, panie Fabel. – Na jego twarzy też pojawił się lęk. – Bóg i Niemcy: jedynie te dwa słowa się dla niej liczyły. W domu pozwoliła trzymać tylko Biblię i „Baśnie braci Grimm”. O innych książkach mówiła, że to brud. Pornografia. Wyrzuciła wszystkie moje zabawki. Bo marnowały mój czas. Jedną udało mi się ukryć prezent od ojca, który mi dał tuż przed śmiercią – maskę wilka. Ta mała maska to był mój jedyny przejaw buntu. Pewnego dnia, kiedy miałem dziesięć lat, koledzy pożyczycy mi

jakaś śmieszna książkę. Przyniosłem ją do domu i dobrze schowałem, ale ona i tak ją znalazła. Na szczęście maskę ukryłem w innym miejscu. I wtedy się zaczęło. Powiedziała, że skoro chcę czytać, to będę czytał. Będę czytał dzieła czyste, szlachetne i prawdziwe. Podarowała mi tom baśni braci Grimm, który miała od dzieciństwa. Na początek kazała mi nauczyć się na pamięć „Jasia i Małgosi”. Potem musiałem stać i recytować bajki. – Biedermeyer spojrzał błagalnie na Fabia. W jego twarzy pojawiło się coś dziecinnego. – Byłem tylko dzieckiem, panie Fabel. Tylko dzieckiem. Zdarzały się pomyłki. To przecież była długa bajka. Za karę mnie biła kijem. Do krwi. Co tydzień dostawałem do nauczenia się nową bajkę. Nie protestowałem. Biła i mówiła do mnie. Nigdy nie krzyczała, zawsze mówiła spokojnie: że jestem niedobry, że jestem wybrykiem natury. Że jestem taki wielki i brzydki, bo mam w sobie dużo zła. Nauczyłem się nienawiści. Znienawidziłem ją. Ale przede wszystkim nienawidziłem siebie. – Biedermeyer przerwał, wziął do ręki pusty kubek i spojrzał błagalnie. Policjant nalał mu wody. Wypił duszkiem i mówił dalej.

– Baśnie stały się moim podręcznikiem. Recytując

je z pamięci, zacząłem rozumieć ich treść. Nauczyłem się, jak łatwiej je zapamiętać. Czytałem między wierszami. Usiłowałem zrozumieć przesłanie, które niosły i wyobrazić sobie, że bohaterami nie są rzeczywiste osoby, tylko symbole. Siły dobra i zła. Zrozumiałem, że Królewna Śnieżka czy Jaś i Małgosia są tacy jak ja, złapani w sidła zła, które uosabiała moja macocha. To pomagało zapamiętać baśń. Pomyłki zdarzały mi się coraz rzadziej. Macocha miała coraz mniej powodów, żeby mnie bić. Nadrabiała to, bijąc coraz mocniej.

Pewnego dnia pomyliłem się. Opuściłem jedno słowo. Do tej pory nie wiem, o co chodziło, ale biła mnie za to i biła bez końca. Zawalił się cały mój świat. To było jak trzęsienie ziemi, cały drżałem. Myślałem wtedy, że to koniec, że umieram. I byłem z tego zadowolony. Wyobraża pan to sobie, panie Fabel? Jedenastoletni chłopiec cieszy się, że umiera? Upadłem na podłogę, wtedy przestała mnie bić. Kazała mi wstać. Bała się, że tym razem przesadziła. Starąłem się być dobrym dzieckiem. Naprawdę się starałem. Próbowałem wykonać polecenie i wstać, ale nie mogłem. Czuję w ustach smak krwi. Krew płynęła mi z ust, nosa, miałem rozpalone uszy. Już, pomyślałem. Już umieram. I wtedy go

usłyszałem po raz pierwszy. Początkowo byłem przerażony. Chyba może pan to sobie wyobrazić. Jego głos był silny i łagodny. Powiedział mi, że nazywa się Wilhelm Grimm i razem z bratem pisał bajki. Powiedział, że już nie jestem sam. Że jest ze mną, że mi pomoże. I rzeczywiście pomagał mi. Pomagał, kiedy musiałem za karę recytować kolejne bajki. Od chwili, kiedy po raz pierwszy do mnie przemówił, nigdy już się nie pomyliłem.

Biedermeyer się roześmiał, jakby znał dowcip, którego nikt z obecnych nie był w stanie zrozumieć.

– W końcu stałem się zbyt duży, żeby mogła mnie bić. Chyba zaczęła się mnie nawet trochę bać. Wciąż była okrutna, ale teraz znajdowało to ujście tylko w słowach. Codziennie powtarzała, że jestem bezwartościowy. Że nie zechce mnie żadna kobieta, bo jestem wielkim, brzydkim dziwolągiem. I jestem zły. Wtedy z pomocą przychodził mi kojący głos Wilhelma. Ratował mnie z każdej opresji. Potem nagle zamilkł. Wiedziałem, że jest obok mnie, ale przestał do mnie przemawiać. Zostałem sam z wredną, złą macochą.

– A potem się odezwał i kazał zabić Paulę Ehlers?
– zapytał Fabel.

– Tak. Właśnie tak. Wiedziałem, że będzie do mnie przemawiać, ale muszę wypełniać jego polecenia. Macocha dowiedziała się o Pauli. Powiedziała, że mogą mnie zamknąć. Że będzie musiała żyć z tą plamą na honorze. Kazała mi się pozbyć dziewczyny, nim zdążyłem użyć jej do ożywienia baśni.

– Cholera... – Werner pokręcił głową z niedowierzaniem. – Pańska macocha wiedziała o porwaniu i zamordowaniu dziewczynki?

– Nawet pomogła mi ukryć ciało... Wrócimy do tego później. Chcę, byście zrozumieli, że miałem powołanie, a ona wszystko zepsuła. Nie mogłem wypełniać poleceń Wilhelma. I wtedy on znowu zamilkł. Na prawie trzy lata. A w końcu macocha zamilkła na dobre jakieś trzy miesiące temu.

– Umarła?

– Nie. Miała wylew. Stara suka przestała mówić. Została sparaliżowana i wylądowała w szpitalu. To był koniec. Nie mogła mnie już krzywdzić, znieважаć ani zabraniać robienia tego, do czego zostałem powołany. Tego, co musiałem zrobić.

– Niech zgadnę – powiedział Fabel. – Głos w pańskiej głowie znów się odezwał i kazał zabijać?

– Nie. Wtedy nie. Wilhelm milczał. Zobaczyłem książkę Gerharda Weissa. Kiedy ją przeczytałem, zrozumiałem, że to on jest Wilhelmem. Że nie chciał przemawiać w mojej głowie. Wszystko, co ważne, znalazłem w książce. W „Bajkowej ulicy”. To była droga, którą przebyliśmy razem sto pięćdziesiąt lat temu. To była droga, którą mieliśmy podążać teraz. Tej samej nocy, kiedy zacząłem czytać książkę, z jej kart powrócił łagodny, słodki głos Wilhelma. Wiedziałem, co muszę zrobić. Wiedziałem, że muszę odegrać swoją rolę dobrze, że jestem wyrazicielem prawdy. Wilhelm, czy, jak wolicie, Gerhard Weiss był zmuszony do przeróbek, które zadowolilyby czytelników. Ja nie.

– I wtedy zabił pan Paule.

– Uwolniłem się od macochy i pojednałem z moim baśniowym bratem Wilhelmem. Czuję, że to odpowiedni moment. Wszystko było już zaplanowane, kolejność bajek miała doprowadzić do spełnienia mojego przeznaczenia. Do szczęśliwego końca. Ale najpierw należało zakończyć pozostałe opowieści. Pierwsza była dziewczyna z Kassel, Martha. Dostarczałem tam towar i wtedy ją zobaczyłem. W pierwszej chwili pomyślałem, że to Paula, że obudziła się z magicznego snu. Po

chwili zrozumiałem, kim jest. Była znakiem od Wilhelma. Podobnie jak książka, którą niosła pod pachą Paula. Musiała odegrać swoją rolę w mojej następnej baśni.

– Żyła przez kilka dni, zanim pan „zakończył jej historię”. Dlaczego?

Biedermeyer spojrzał zaskoczony na Fabia, jakby ten zadawał pytanie, na które odpowiedź jest oczywista.

– Miała wcielić się w rolę osoby spod ziemi. Musiała być trzymana pod ziemią. Była wystraszona, ale uspokojałem ją, że nie zrobię jej krzywdy. Nie musiała się niczego obawiać. Opowiadała mi o swoich rodzicach. Współczułem jej. Miała życie podobne do mojego. Została przez rodziców uwięziona w baśni i porzucona w ciemnościach. W mrocznym lesie. Nie wiedziała, czym jest miłość, dlatego uczyniłem z niej „podmieńca” i podarowałem rodzicom, którzy potrafiliby ją pokochać i zaopiekować się nią.

Werner pokręcił zranioną głową.

– Pan jest szalony. Obląkany. Zdaje pan sobie z tego sprawę? Mordował pan niewinnych ludzi. Zadał pan tyle bólu i cierpienia...

Biedermeyer pociemniał na twarzy i skrzywił się pogardliwie. Ten nagły, niespodziewany atak złości sprawił, że Fabel spojrzął znacząco na stojących z tyłu pod ścianą policjantów. Wyprostowali się, byli czujni.

– Pan tego nie rozumie. Jest pan za głupi, żeby to pojąć. Biedermeyer podniósł głos. – Czy to takie trudne? – Wymachiwał rękami i rozglądał się nerwowo wokół. – Chyba nie traktuje pan tego poważnie, prawda? To tylko bajka. Nie widzi pan tego? To tylko mit... baśń... bajka... – Szukał wzroku Fabla, Marii, chcąc znaleźć zrozumienie dla swoich racji. – Wierzymy w bajki, bo jesteśmy ich częścią. Przecież tak naprawdę nikogo nie zabiłem. Już kiedy byłem dzieckiem, zrozumiałem, że wszystko jest tylko bajką. Nikt nie mógł być tak nieszczęśliwy jak ja. Nikt nie mógł być tak smutny i samotny. To śmieszne. Tego dnia, kiedy ma-cocha tak strasznie mnie pobiła, kiedy zawałił się cały mój świat, Wilhelm nie pomógł mi w recytowaniu na pamięć baśni. Powiedział, że to nie dzieje się naprawdę. Że to tylko bajka, którą właśnie wymyślił. Pamiętacie? Przecież powiedział, że pisze bajki. Jestem jego bratem, dlatego że tak napisał w swojej bajce. To tylko bajka...

Biedermeyer pokiwał głową, jakby sądził, że przekonał wszystkich siedzących przy stole ludzi. Fabel przypomniał sobie, co o teoriach Weissa mówił mu Otto: pseudonaukowa paplanina o fikcji stającej się rzeczywistością. Bzdury. Kompletnie bzdury, w które uwierzył ten smutny, patetyczny potwór, siedzący teraz obok nich.

– Co z pozostałymi? – odezwał się Fabel. – Proszę opowiedzieć o pozostałych zabójstwach. Zacznijmy od Hanny Grönn i Markusa Schillera.

– Paula uosabiała wszystko, co dobre, była jak świeży, wyjęty prosto z pieca chleb. Całkowite przeciwieństwo rozwiązłej, puszczalskiej, próżnej i przekupnej Hanny. – Z twarzy Biedermeyera można było wyczytać dumę artysty prezentującego swoje najlepsze dzieło. – Widziałem, że pragnie czegoś więcej. Ciągłe więcej i więcej. Kobieta wiedziona pożądaniem i zachłannością. Narzędziem do osiągnięcia celu było dla niej ciało, chociaż skarżyła się na handlowca Ungerera, który ją podrywał i składał nieprzyzwoite propozycje. Wiedziałem, że trzeba z tym skończyć i śledziłem ją. Dużo dłużej niż Paulę, zapisywałem w notesie każdy jej ruch.

– I w końcu dowiedział się pan o jej romansie z Markusem Schillerem? – zapytał Fabel.

Biedermeyer przytaknął.

– Wielokrotnie obserwowałem ich w lesie. Wszystko było jasne. Przeczytałem jeszcze raz „Bajkową ulicę”, a potem „Baśnie braci Grimm”. Widzicie, Wilhelm dał mi kolejny znak. Las. Mieli zostać Jasiem i Małgosią...

Nadkomisarz siedział i słuchał, jak Biedermeyer opowiada o kolejnych zbrodniach. Wyjaśniał, że następny miał być Ungerer, ale powstało zamieszanie z dostawą tortu dla Schnaubera i musiał dostarczyć go osobiście. Wtedy poznał Laurę von Klosterstadt. Była piękna i wyniosła. A przecież szukał księżniczki. Nie jakiejś zwykłej księżniczki, szukał Śpiącej Królowej. Pozwolił więc jej zasnąć na wieki.

– Potem wykończyłem Ungerera – lubieżnego, ordynarnego świntucha. Dobierał się do Hanny, a nawet do Very Schiller. Śledziłem go przez kilka dni. Widziałem całe to bagno i kurwy, z którymi się w nim tałał. Urządziłem to tak, że niby przypadkowo spotkałem go w St Pauli. Śmiałem się z jego sprośnych, niesmacznych dowcipów i wulgarnych uwag. Chciał pójść

na drinka, ale wolałem, żeby nikt mnie z nim nie widział, więc udałem, że znam kilka kobiet, z którymi się spotykał. Baśnie wyraźnie nam pokazują, jak łatwo można kogoś wyprowadzić na manowce. Z Ungererem poszło łatwo. Zaprowadziłem go do... no, dobrze... zaprowadziłem go do domu, który wkrótce odwiedzicie, mówiąc mu, że czekają tam już kobiety. A potem wziąłem do ręki nóż i wbiłem w jego niewierne serce. Nie spodziewał się, trwało to raptem sekundę.

– A oczy?

– Tak. Ungerer miał grać rolę królewicza w „Roszpunce”, dlatego musiałem wydłubać mu te jego rozpustne oczy.

– A Max Bartmann? – zapytał Fabel. – Zginął przed Ungererem i nie był bohaterem żadnej z baśni. Próbował pan ukryć jego ciało. Dlaczego pan go zabił? Tylko dla oczu?

– W pewnym sensie tak. Te oczy zbyt dużo widziały. Wiedział, kim jestem. Ja wiedziałem, że mogę rozpocząć swoje dzieło, a on mógł zobaczyć w telewizji albo przeczytać w gazetach doniesienia o postępie moich prac. Mógł się domyślić. Dlatego musiałem go wykończyć.

– O czym pan mówi? – przerwał zniecierpliwiony Werner. – Skąd wiedział, kim pan jest?

Biedermeyer poruszał się tak szybko, że żaden z policjantów nie zdążył zareagować. Poderwał się z krzesła, przewracając je, a policjanci stojący z tyłu ledwie zdążyli odskoczyć. Szarpnął koszulę na piersiach, rozrywając ją, poodpadały guziki. Stał teraz, potężny, z obnażonym torsem, pośrodku pokoju przesłuchań. Nadkomisarz uniósł dłoń, powstrzymując policjantów przed rzuceniem się na podejrzanego. Werner, Fabel i Maria stali w cieniu, rzucanym przez olbrzyma, wpatrzeni w jego ciało.

– Chryste... – wyszeptał Werner.

Cały tors Biedermeyera pokrywał tatuaż. Tysiące słów. Skórę miał czarną od atramentu. Małymi literami zapisano na niej treść baśni. Tylko tytuły były wyraźniejsze: „Śpiąca królewna”, „Królewna Śnieżka”, „Muzykanci z Bremy”...

Fabel nie mógł oderwać oczu od tatuaży. Słowa jakby żyły, zdania skręcały przy każdym poruszeniu, przy każdym wdechu. Przypomniał sobie o książkach, które znalazł w mieszkaniu tatuażysty, na temat pisma gotyckiego i miedziorytów. Biedermeyer stał przez

chwilę w milczeniu, a potem zaczął mówić niskim, groźnym głosem:

– Teraz widzicie? Zrozumieliście wreszcie? Nazywam się Grimm. Jestem zbiorem baśni napisanych w naszym języku, przez naszych pobratymców, w naszej ojczyźnie. On musiał umrzeć, bo widział. Max Bartmann pomagał stworzyć to dzieło. Nie mogłem pozwolić, żeby komuś o tym opowiedział. Dlatego wykończyłem go i zabrałem mu oczy. Dzięki temu stał się częścią następnej opowieści.

– Nadeszła pora – oświadczył Fabel. – Proszę nam powiedzieć, gdzie się znajduje ciało Pauli Ehlers. Coś tu nie pasuje. Próbował pan ukryć jedynie ciało Maksa Bartmanna, bo nie pasował do pańskiego planu. Dlaczego zatem nie znaleźliśmy do tej pory ciała Pauli?

– Zatoczyliśmy krąg. Paula jest moją Małgosią. Ja jestem jej Jasiem. Ona jeszcze nie odegrała swojej roli. – Na twarzy Biedermeyera pojawił się uśmiech, ale takiego Fabel jeszcze nie widział na jego zwykle pogodnej, życzliwej twarzy. – Macocha najczęściej kazała mi recytować „Jasia i Małgosię”. To była długa i trudna do zapamiętania bajka, zawsze się przy niej myliłem. Oczywiście, dostawałem za to lanie. Zawsze biła mnie

tak długo, aż myślałem, że już po mnie. Ale Wilhelm mnie uratował. Przywrócił mnie do życia swoim głosem, swoimi znakami, swoją powieścią. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem jego głos, mówił, że nadejdzie chwila zemsty na złej macosze i uwolnienia się z jej szponów, tak jak Jaś i Małgosia zemścili się nad Babą-Jagą. – Pochylił się do przodu, wytatuowane słowa rozciągnęły się. Fabel drgnął, ale się nie cofnął. – Sam upiekłem tort dla Pauli – powiedział. – W piwnicy mam w pełni wyposażoną małą piekarnię i czasem przygotowuję tam wyroby na zamówienie. Jest tam wielki, sprawny piec, który musi stać na betonowej podłodze.

Na twarzy Fabla pojawił się wyraz zmieszania. Wcześniej wysłali do domu Bidermeyera ekipę policyjną. Mieszkał na parterze w Heimfeld-Nord. Policjanci stwierdzili, że mieszkanie jest puste i nie ma w nim nic nadzwyczajnego, tyle że jedna z sypialni była przystosowana dla osoby starej lub niepełnosprawnej.

– Nie rozumiem. W pańskim mieszkaniu nie ma piwnicy.

Bidermeyer uśmiechnął się szeroko.

– To nie jest mój dom, głupcze. Wynająłem to

mieszkanie, żeby szpital dał mi pod opiekę moją macochę. Mój prawdziwy dom to ten, w którym dorastałem. Dom, który dzieliłem z tą jadowitą suką. W Ffeimfeld, przy Rilke Strasse. Tam ją znajdziecie... Tam znajdziecie Paulę Ehlers. Pod podłogą, tam została zakopana. Niech pan ją odkopie, panie Fabel. Niech pan wydobędzie z mroku moją Małgosię. Wtedy oboje będziemy wolni.

Nadkomisarz skinął na policjantów. Złapali Biedermeyera za ramiona i skuli kajdankami.

– Tam ją pan znajdzie... – krzyczał za wychodzącym z pokoju Fablem. Potem się roześmiał. – Kiedy będziecie już w domu, wyłączcie piec.

Piątek, 30 kwietnia, 16.30.

Heimfeld-Nord, Hamburg

Dom znajdował się blisko lasu Staatsforst, tam, gdzie przebiegała autostrada A7. Duży, stary i zupełnie bezstylowy, sprawiał przygnębiające wrażenie. Fabel przypuszczał, że został zbudowany w latach dwudziestych. Otaczał go spory, zapuszczony ogród. Wyglądało na to, że od dłuższego czasu nikt nie dbał o dom. Farba na ścianach wyblakła, miejscami się łuszczyła i odpadała płatami.

Dom przypominał ten, w którym mieszkał Fendrich. Oba wydawały się opuszczone, zaniedbane.

Wybrali się tam dwoma samochodami, towarzyszył im policyjny radiowóz. Fabel, Werner i Maria podeszli do drzwi wejściowych i nacisnęli przycisk dzwonka. Cisza. Anna i Henk Hermann, którzy przyjechali za nimi, skinęli na policjantów z taranem. Drzwi były solidne, dębowe, poczerniałe ze starości. Dopiero po trzecim uderzeniu ustąpiły i z hukiem uderzyły w ścianę przedpokoju.

Spojrzeni po sobie i weszli do środka. Zdawali sobie sprawę, że znajdują się w miejscu, gdzie mieszkał

szalenciec i byli przygotowani na każdą ewentualność.

Zaczęło się już w holu.

W domu panował mrok. Przedpokój od właściwego holu oddzielały przeszklone drzwi. Fabel otworzył je. Zrobił to ostrożnie, choć nic mu nie groziło. Mimo że Biedermeyera mieli pod kluczem, po domu krążył jego duch. Hol był długi, wąski i wysoki. Z sufitu zwisała lampa z trzema żarówkami. Fabel nacisnął wyłącznik i pomieszczenie zalało blade, żółtawe światło.

Na ścianach wisiało mnóstwo zdjęć i kartek papieru. Do tynku zostały przyklejone arkusze żółtego papieru, zapisane czerwonym atramentem. Fabel się im przyjrzał. Były tu wszystkie baśnie braci Grimm. Wszystkie zostały spisane tą samą szaloną ręką. Nie dopatrzył się w nich ani jednego błędu. Perfekcyjne szaleństwo. Pomiedzy nimi kartki z wydań książkowych baśni. I jeszcze ilustracje. Setki ilustracji do baśni. Fabel rozpoznał wśród nich wiele pochodzących z oryginałów, kolekcjonowanych przez Gerharda Weissa. Były też inne z czasów nazizmu, podobne do tych, które opisywał pisarz. Fabel zauważył, że Anna Wolff zatrzymała się przy jednej z nich, pochodzącej z lat trzydziestych. Baba-Jaga miała tu charakterystyczne

semickie rysy, rozpałała ogień pod kociołkiem, i łypała okiem na typowo nordyckiego Jasia. Za nią stała też nordycka Małgosia i przymierzała się do wrzucenia Baby-Jagi do kotła. Taka ilustracja mogła przyprawić widza o mdłości. Fabel nie potrafił sobie nawet wyobrazić, co musiała czuć Anna.

Przeszli przez hol. Dalej znajdowały się pokoje i schody prowadzące na górę. W zupełnie pustych pokojach ściany były pokryte kartkami zapisanymi przez szaleńca. W powietrzu unosił się jakiś zapach. Fabel nie potrafił uzmysłwić sobie, co to jest.

Zajął się pierwszym pokojem po lewej, a Wernero wi wskazał ten po przeciwnej stronie holu. Maria ruszyła dalej, a Anna i Henk poszli na górę. Fabel zlustrował pokój, w którym się znalazł. Na drewnianej podłodze leżała warstwa kurzu, nie było tu żadnych mebli ani śladów zamieszkania.

– Szefie... – zawołała Anna. – Niech pan tu przyjdzie. Musi to pan zobaczyć. – Fabel wspiał się po schodach, za nim szedł Werner. Anna stała w otwartych drzwiach prowadzących do sypialni. W przeciwieństwie do innych pokoi, w tym były ślady życia. Ściany, podobnie, jak w pozostałych pomieszczeniach,

pokrywały przyklejone kartki papieru. Pośrodku stało łóżko polowe, a obok mały stolik nocny. Ale nie to przykuło uwagę Fabela. Na dwóch ścianach ciągnęły się rzędy półek wypełnionych książkami. Fabel podszedł bliżej. Nie. Nie książkami. Książką.

Biedermeyer musiał kolekcjonować je od lat i wydać fortunę na nabycie wszystkich wydań „Baśni braci Grimm”. Obok wydań antykwarycznych stały nowe egzemplarze w miękkich okładkach. Książki ze złocnymi tytułami sąsiadowały z tanimi wydaniem. Oprócz setek wydań po niemiecku, były tu egzemplarze wydane we Francji, Anglii czy Włoszech. Alfabet łaciński mieszał się z greckim, z pismem chińskim czy japońskim.

Fabel, Werner, Anna i Henk oniemieli. W końcu odezwał się Fabel:

– Lepiej poszukajmy piwnicy.

– Już ją znalazłam, a przynajmniej drogę do niej. – Za ich plecami stanęła Maria. Poszli schodami w dół. Ostatnie pomieszczenie na parterze pełniło niegdyś, a może nawet do tej pory, funkcję kuchni. Panował tu porządek. Pod jedną ze ścian znajdował się długi blat, w kącie szumiała chłodziarka. Zauważyli dwoje drzwi.

Jedne prowadziły do spiżarni, drugie były zamknięte na kłódkę.

– Założę się, że to wejście do piwnicy – powiedziała Maria.

– I do Pauli... – dodała Anna, wpatrując się w zamknięte drzwi.

Werner wyszedł z kuchni i ruszył w kierunku wejścia, pilnowanego przez dwóch policjantów. Po chwili wrócił z łomem.

– Spróbuj – rzucił Fabel.

Kłódka ustąpiła, drzwi zostały otwarte i zapach, który już wcześniej czuć było w całym domu, stał się bardziej intensywny. Stopnie schodów prowadziły w mrok. Werner znalazł wyłącznik światła. Gdzieś poniżej dał się słyszeć dźwięk zapalających się jarzeniówek. Cały zespół ruszył w dół.

To była piekarnia. Prawdziwa, działająca piekarnia. Biedermeyer mówił prawdę. Stał tu wielki, włoski piec. Na wózku obok mogły się zmieścić dziesiątki bochenków chleba. Wszystko lśniło czystością. Stół ze stali nierdzewnej i maszyna do wyrabiania ciasta błyszcząły w świetle ostrego, jarzeniowego światła. Fabel spojrział na betonową podłogę. Pod nią leżała Paula.

Znowu poczuł ten zapach. Swąd spalenizny. Przypomniawszy sobie Biedermeyera proszącego, żeby wyłączyć piec. Fabel myślał wtedy, że piekarz żartuje, ale wyglądało na to, iż rzeczywiście włożył coś do pieca przed wyjściem do pracy.

Fabel obrócił się i spojrzawszy na kolegów. Stali wpatrzeni w betonową podłogę, jakby starali się przeniknąć ją wzrokiem i dojrzeć Paulę. Nie Paulę, Małgosię. Spojrzawszy na wózek, który powinien znajdować się wewnątrz pieca.

– Jezu, nie... – wyszeptał, biorąc do ręki ścierkę leżącą na stole. – Tylko nie to...

Owinął ścierkę wokół klamki pieca i otworzył drzwi.

W twarz buchnęła mu fala gorąca. Fetor palonego ciała. Fabel cofnął się, zasłaniając usta i nos ścierką. To było nie do zniesienia. Nie widział wymiotującego Henka Hermanna ani powstrzymującej łzy Marii, ani przerażonej Anny Wolff. Cała jego uwaga skupiła się na wnętrzu pieca.

Na dużej stalowej tacy w pozycji embrionalnej leżało nagie, na wpół spalone ciało starej kobiety. Włosy spłonęły, pozostało z nich tylko kilka zlepionych ku-

lek. Szerniała skóra popękała w wielu miejscach. Temperatura wysuszyła ścięgna i ciało się skurczyło.

Fabel patrzył na zwłoki. To było prawdziwe dzieło sztuki Biedermeyera. Baśń, która wieńczyła wszystko.

Zakończenie „Jasia i Małgosi”: Baba-Jaga zostaje wepchnięta do własnego pieca.

Podziękowania

Snucie tej mrocznej opowieści dostarczyło mi wielu niezwykłych wrażeń. Chciałbym zatem podziękować wszystkim, którzy wspierali mnie i sprawili, że to doświadczenie stało się jeszcze ciekawsze.

Przede wszystkim mojej żonie, Wendy, która od samego początku była entuzjastką tej powieści i której wsparcie oraz cenne uwagi wzbogaciły książkę, czyniąc ją pełniejszą i ciekawszą. Moim dzieciom, Jonathanowi i Sophie, wielbicielce kryminałów, matce Helen i siostrze Marion. Specjalne podziękowania za przyjaźń, wsparcie i bezcenne rady składam Bei Black i Collinowi Blackowi, Alice Aird i Tony'emu Burke'owi, Holgerowi i Lotte Ungerom.

Jestem niezmiernie wdzięczny mojej agentce Carole Blake. Dzięki jej energii, zaangażowaniu i uporowi seria powieści o Janie Fablu odniosła sukces na skalę międzynarodową. Oliver Manson i Dawid Edny z agencji literackiej Blake Friedmann również bardzo mi pomogli. Wydawca Paul Sidey zawsze był moim orę-

downikiem, dziękuję mu za poświęcony tej książce czas i wysiłek. Dziękuję także Larry'emu Sellynowi i Elaine Dyer, którzy wspierali mnie zawsze w trakcie mojej pracy.

Podziękowania dla doktora Bernda Rullköttera, mojego tłumacza na język niemiecki, który pracował ze mną zarówno nad angielską, jak i niemiecką wersją książki. Dziękuję ci, Bernd, za troskę i pomoc.

Koniecznie muszę wspomnieć o ludziach, którzy z entuzjazmem zaoferowali mi swoją pomoc.

Najgłębsze wyrazy wdzięczności dla: pani nadkomisarz Ulrike Sweden z policji hamburskiej za to, że zechciała przeczytać brudnopis powieści i poprawić pewne nieścisłości, a także za informacje i pomoc, jakich mi udzieliła; dziennikarki Anji Sieg, która przeczytała rękopis i sprawdziła, czy nie popełniłem błędów dotyczących Fryzji, doktor Anji Lowit, która zechciała przeczytać rękopis; Dirka Brandenbura i Birte Heli z wydziału zabójstw policji w Hamburgu; Petera Baustiana z komisariatu Davidwache i Roberta Golza z

Komendy Głównej Policji w Hamburgu; Katrin Frahm, mojej nauczycielki niemieckiego; Dagmar Fórtsch, konsula honorowego Republiki Federalnej Niemiec w Glasgow, za pomoc i wsparcie; Udo Röbela, byłego redaktora naczelnego „Bilda”, a obecnie autora powieści kryminalnych, za entuzjazm i przyjaźń oraz Menso Heyla, redaktora naczelnego „Hamburger Abendblatt” za zainteresowanie moją pracą i codzienne wysyłanie e-maili z nowinkami dotyczącymi Hamburga.

Specjalne podziękowania dla mojego niemieckiego wydawcy Marca Schneidersa za wspieranie mnie w pracy.

Składam podziękowanie wszystkim osobom wydającym moją książkę w Wielkiej Brytanii, Niemczech i na całym świecie.

I oczywiście wszystkim mieszkańcom Hamburga:
Ich hedanke mich herzlich.